

Eugeniusz Paukšta

Ich trzech i dziewczyna

Rozdział I

Początek w rudym kolorze

Było tu zawsze nieco spokojniej i ciszej, dlatego wybrali ten zakątek plaży, możliwie najdalej od jazgotu nie oliwionych, hałaśliwych rowerów wodnych, pisku dziewcząt, pokrzykiwań sprzedawców lodów i okazyjnych pamiątek.

Niebo, wyblakłe w tym żarze, jak źle ufarbowany materiał, wisiało wysoko, z rzadka tylko na skłonach horyzontu poutykane postrzępionymi cumulusami.

Od morza wionęło silniejszym podmuchem, zatrzepotała na wysokim maszcie chorągiew ostrzegająca przed niebezpieczeństwem kąpieli. Drobiny piasku uderzały o twarze.

Wysoki chudzielec powiódł wzrokiem za rozkołysaną w biodrach dziewczyną w bikini.

— Danki wciąż jeszcze nie ma — rzucił do dryblasza kompan o włosach przystrzyżonych na jeża.

— To u nas tylko w soboty tak wczesny fajrant... Oni są na finiszu, inwestor ustalił już termin fety otwarcia, a tymczasem wyszła na jaw fuszerka, czegoś tam zabrakło, mają strach. Ciągną na dwie zmiany, nawet w niedzielę chcą tyrać.

— Aleś ty, Lutek, dokładnie zorientowany — chudzielec przejrzał się koledze z dezaprobatą.

— Ramona, Ramona, jak słodko imię twoje brzmi... — zanucił Pazoła tego podfałszowując.. — Tamta fryga zrobiona na rudo znów drze się i piszczy, jakby ją kto w ukropie gotował.

Z wody, bijącej wzmożoną falą o brzeg, dziewczyna wydierała się piskliwym głosem. Słyszeli jej wrzask już kilka razy od chwili, gdy znaleźli się tu przed dwoma godzinami.

— Cześć, przyszłości architektury. Ledwie się wyrwałem z tej Łeby od swoich starych... CO wy tak heroicznie, bez żadnego kota w pobliżu? Nie umiecie wejść w kołobrzeski styl? Kurza twarz, nogi spiekłem jak na patelni. Nie mogliście to umieścić się bliżej? — przywitał obu kompanów Florek Stawski.

— Chłopcy, z nią coś naprawdę niedobrze. — Szymon poderwał się z miejsca, wpatrując się w morze

— Z rudą? — leniwie przeciągnął się Lutek. — Widać, że wpadła ci w oko... No pewnie, nie ma Danki, trzeba się więc jakoś pocieszyć. Ej, Szymek, co ty?

Jednym susem stanął na nogi i pognął za przyjacielem. Widział sam teraz, że to już nie przelewki. Ruda tonęła, jej piski przestały być tym razem idiotyczną zabawą. Trzepocząc rozpaczliwie rękami, zanurzając się pod nadbiegające grzebienie, mocowała się nieudolnie z nagle objawioną wrogością morza.

Fala odboju, niebezpieczna nawet dla dobrego pływaka, odrzuciła rudą daleko od brzegu, na ostro schodzącą tam w dół głębinę. Jeszcze ostrzejsza fala windowała ją na powierzchnię, ręce

dziewczyny desperacko próbowały odepchnąć napór wody, ale nieubłagana głęb ciągnęła i wsysała. Dłoń znowu zatrzepotała, mignęły rude włosy.

Szymon z rozpędu skoczył do wody i płynął, to wyskakując podrzutami całego ciała nad fale, to poddając się im i zezwalając, by przepływały nad ni-m. Nie widział już ostatnich desperackich prób tonącej, nie widział jej samej, zatrzymując w pamięci jedynie miejsce, w którym dopiero co się znajdowała.

Widzieli za to wszystko Lutek i Florek, którzy nadbiegli nieco później nad brzeg. Porozumieli się wzrokiem i również skoczyli do wody. Na piasku za nimi gromadził się pęczniejący tłum.

— Tonie ktoś?

— E tam, byłby ratownik... Pewnie jakaś zwariowana zabawa.

— Ratownik niedawno gdzieś poszedł.

— Tonie, tonie! Ta ruda, co tak powrzaskiwała. Widzicie włosy... już jej nie ma. Nie poradzą, poszła na dno...

Szymon rwał długimi wyrzutami ramion. Wyniesiony nad fale, wzrokiem szukał rudzielca, jak określał dziewczynę. Ale na morzu, poza spienionymi grzbietami, niczego nie było widać. Przeszył go lęk, że przybędzie za późno, bądź co bądź spory kawałek, przy takiej fali trudno się płynię. I wtedy nagle mignęła przed nim ruda plama. Już niedaleko. Wzmógł wysiłek. Najwyżej parę machnięć ramieniem... Gdzieś chyba tutaj? Ale teraz, pusto w tym miejscu. Czyżby już pociągnęło dziewczyną na dno? Trzy razy podobno topielec wychyla się na powierzchnię...

Wyskoczył nad fale, zaczerpnął mocno powietrza i znurkował. Skosem szedł w dół, wytrzeszczając oczy do bólu. Jakżeby się teraz przydała maska, okulary do nurkowania. Widzialność słaba, zbyt skotłowane wszystko na górze. Może trzeba szukać jej bardziej w bok, w prawo? Płucom ciężko, chwila, zbraknie powietrza. Jej nadal nie ma, zielonkawo, żadnego bielejącego na tym tle kształtu. Nie da już rady, może za następnym zanurzeniem powiedzie się lepiej. Wypląć, prędzej wypląć, bo we łbie aż łupie...

Jeden zaledwie oddech, drugi, znowu pod wodę. Fala niesie najsilniej dołem, parę minut i nie zdoła już pomóc dziewczynie. Chyba tym razem jeszcze bardziej na prawo, musiał się przedtem mylić. Zielonkawo, ani punktu zaczepienia dla wzroku. Czyż naprawdę może się nie udać, ma to dziewczynisko utonąć? Tam jakby coś jaśniejszego. To nic, że płuca zdławione, że czerwone kręgi przed oczyma mieszają się z wyraźnie pęczniejącą już bielą, z majaczącym kształtem ludzkiej sylwetki. O Boże, jak dławi! Złapać ją, ciągnąć za sobą na wierzch, do powietrza, do słońca.

Nic już nie widział. Odruchowym, zdesperowanym ruchem wyrzucił ramię przed siebie, zacisnął palce. Złapał coś miękkiego i oślizłego. Włosy, te rude włosy. Rude, rude, kręgi czerwone, czarne, rude, płuca pękają, jakże daleko do tej powierzchni, a dziewczyna straszliwie

ciężka, wstrzymuje, hamuje, puścić ją zatem, ratować przynajmniej już chociaż siebie.

I jeszcze mocniej zacisnął dłoń na włosach.

Fala chlusnęła mu prosto w twarz, w rozwarte usta, zamiast powietrza w krtań wdarła się woda. Zakrztusił się, ale od razu złapał oddech, zaraz i drugi, mocniejszy. Wolną dłonią siekł wodę, pomagał sobie nogami. Jeszcze oddech, jeszcze... Czarne płaty, czerwone i rude rozpląwały się, oddalały. Mógł myśleć, mógł oddychać, żył. A ona? Raptownym podrzutem ramienia wyszarpnął głowę dziewczyny spod wody, unosząc ją nad falę, w tej samej chwili katem oka dostrzegł sylwetki przyjaciół płynących ku niemu; źle musieli obliczyć kierunek, są jeszcze daleko. Prawym ramieniem zagarnął dziewczynę pod plecy, tak by głowa jej spoczęła w dołku jego pachy. Na wznak, wspomagając lewe ramię uderzeniami nóg, mógł płynąć ze swoją zdobyczą do brzegu. Żeby tylko nie było za późno. Ona i teraz nie mogłaby złapać powietrza, fale coraz to przewalają się nad nimi, przy pierwszym otwarciu ust zakrztusiłaby się na amen. Wcale teraz nie wydaje się ciężka, drobna jest jakaś, wychudła.

Silniejsza fala chlupnęła nad nimi, zakryła, następna wyniosła ich nieco w górę, dojrzał wtedy brzeg ze stłoczoną ciżbą ludzką, dziwnie teraz daleki ten brzeg, czyżby znosiło ich, on zaś nie miał siły, by przeciwstawić się naporowi prądu? Mocniej uderzył nogami. Poczł znowu, że płynie, posuwają się, sekunda za sekundą pas plaży zbawczo się zbliża. Przebiega mu przez głowę niedorzeczna myśl, że może i Danka już tam stoi wśród innych, przejęta, zdenerwowana, musi jej przyjemnie być na myśl, że to właśnie on uratował dziewczynę. Bo teraz już pewne, że uratował.

Zdławiony krzyk, dostrzegł rozwarte, pełne panicznego lęku oczy rudej. Chciał ją przestrzec, krzyknąć, że powinna zachować spokój, nakryła ich fala, znów łyknał potężnie wody i wtedy poczuł, jak dziewczyna gwałtownym szarpnięciem wyrwywa się z jego objęcia, a ręce chwytają go kurczowo za szyję i oplatają z niezwykłą siłą.

Szarpnął się, jedną dłonią usiłując rozerwać duszący go kurczowy chwyt, paraliżujący mu ruchy. Zanurzyli się. Odbijając się nogami od wody, próbował teraz obydwoma dłońmi rozluźnić uścisk ramion rudzielca, chwycił powietrze, zduszone gardło już go nie przyjmowało, a ten chwyt był jak. cęgi żelazne, jak jakieś okowy, Odpychał jej ręce, głowę, ciało, na moment zelżał ucisk ramion, udało mu się złapać nieco powietrza, ale zaraz ręce dziewczyny na nowo zwierwały się na jego szyi, może straciła przytomność, podświadomie tylko szukając w tym ruchu ratunku.

Teraz znów była ciężka, ciągnęła na dno jak kamień. Dusila. Czarne, czerwone, rude kręgi... Rude, czemu rude?...

Odczepić się od niej, oderwać ją od siebie, powietrza, powietrza... Matka dowie się pewnie z depeszy, zawiadomiam koledzy. Marzył o takich pięknych domach, jakich Polska jeszcze nie znała, łudził się, że je będzie budował, robił projekty; naiwniak, głupi, na dnie nie trzeba domów,

projektów, szkła ni żelbetonu, niczego nie trzeba... Matka czy przeżyje i to...

Oddech. Jakże mało tego powietrza. Boże drogi, że też tak straszne jest uczucie tonięcia, tak zimno, ohydna ta zielonkawa woda.

Nie, nie może pozwolić, żeby tak marnie miało się skończyć. Szarpnął się jeszcze raz, wparł się całym sobą w dziewczynę, dłońmi,

nogami, nic nie pomaga, jej uchwyt był silniejszy niż jego nadwątłone siły. Znów zielonkawo, płuca rozsadza coś, czarne, czerwone płaty, już nie płaty... Matka, depesza, domy z aluminium jasne jak słońce, jak niebo... A teraz czarno, tylko czarno...

I nagle oddech, powietrze, zelżał ucisk na szyi, już w ogóle nie ma tego ucisku.

— Szymku, trzymaj się mnie! Mam ją, nie bój się. Zaraz przyplynie Florek... Szymek, ogłuchłeś? Szymon! Szymon!

Teraz dopiero pojął. To Lutek. Lutek jest tu. No tak, płynęli z Piórkiem, fala odrzuciła ich na bok. Więc jednak uratują się, będą uratowani, on i ta ruda, brzydka, o twarzy bladej i powleczonej sinymi cieniami, o rękach jak kleszcze...

Wsparł rękę o bark towarzysza. Ale nie miał już siły, by drugim ramieniem wojować z wodą, nogi bezwładnie ciągnęły do dna.

— Florek, winduj babkę, tylko uważaj, żeby cię nie złapała jak Szymka... Ja jego holuję.

Niemocy, która go ogarnęła, nie potrafił przewyciężyć nawet wstyd. Cieszył się opinią świetnego pływaka, startował swojego czasu w mistrzostwach okręgu, czuł się w wodzie jak ryba, aż tu nagle taka historia. Kto by się spodziewał, że tak go zdusi kurczowo, sprawi, iż z ratującego stanie się ratowanym. Tam na brzegu może być Danka...

Poddał się spokojnym, równym ruchom Lutka, niekiedy tylko niezgrabnym wyrzutem nóg starał się dopomagać koledze. Przed oczyma mgła, dławienie w piersiach, pieczenie w gardle, zupełny bezwład... A tam Danka...

Wspomnienie dziewczyny dodało mu sił. Otworzył usta, właśnie przewalał się nad nimi spieniony bałwan, napił się wody. Tym razem orzeźwiła go.

— Już poradzę, puszczaj mnie, Lutek — nie wiedział, szepce czy krzyczy.

Kompan odwrócił ku niemu głowę.

— Nie szalej... Naprawdę możesz?

Puścił. Fala podrzuciła ich w górę. Spływając z nią, zamachał ramionami. Słabe były, mdlały, jakoś chyba dobrnie do brzegu o własnych siłach! Ależ tam tłoczno, pół plaży pewnie się zbiegło oglądać widowisko. A gdzież jest Florek z rudą dziewczyną? Boże, jakie te nogi niemrawe, ledwie tłuką o wodę. Serce wali, gdzie tam wali, dudni jak pociąg w tunelu. Lutek znowu podplływa, w błysku jego spojrzenia niepokój.

W odpowiedzi skrzywił gębę w kwaśnym uśmiechu. Kiedy wreszcie dotknął nogami piachu, pojął, że gdyby jeszcze kilka metrów więcej, nie byłby już poradził. Choć i tu jeszcze niełatwo, ustać nie można, fala odboju dołem podbija nogi, wali w nie drobinami piachu, jakby kto kłuł szpilkami. Trzeba wyskakiwać nad falę, wraz z nią płynąć do brzegu. Tyle że już się można odbić nogami od gruntu.

Na płyciźnie przystanął na czworakach, był zbyt słaby, by na stojąco przeciwstawić się prądowi. A że tam wszyscy się gapią, powrzaszują coś, to nieważne. Dopiero niedawno myślał o matce, o depeszy do niej, o pogrzebanych marzeniach. Trzeba się tylko cieszyć, że żyje. Dziewczynę też uratował... Czemu ci ludzie tak wyciągają ręce w kierunku morza, co tam się znowu dzieje?

— Szymek, winduj się już na piasek... Coś tam Florkowi nie idzie.

To głos Lutka. Więc i on już zauważył. Trzeba by pomóc, ba, ale jak, sam się gramoli niezgrabnie jak niemowlak do brzegu. Nikt już zresztą na niego nie patrzy, przejęci są wszyscy tamtymi. Nareszcie suchy piasek, przyjemny, mięciutki, nagrany słońcem. Już nie ta zielonkawa, słona i gorzka zarazem woda, nie przeraźliwie blada twarz dziewczyny, nie kurczowy uścisk jej rąk...

Odruchowo pogładził się po szyi, jakby czuł tam jeszcze ślady desperackiego uścisku. I zaraz podniósł się, choć na moment od tego wysiłku aż mu w oczach pociemniało. Co z Lutkiem, Piórkiem, z rudą dziewczyną? Ktoś z tupotaniem, ciężko dysząc, przebiegł obok, obrzucając go drobinami piasku. To ratownik. Teraz przerażony śpieszył, aby udzielić pomocy, chociaż pod koniec ratowniczej akcji. Tłum się kotłuje na brzegu, trudno coś dostrzec.

Podszedł parę kroków. Zobaczył... Lutek włókł przez wodę dziewczynę o rudych włosach. Musiała być nieprzytomna, ciało jej przewalało się jak miękki worek. Są już blisko brzegu... Ale gdzie Florek? Ratownik płynie, dobrze pływa, musi znać miejsce, w którym znajduje się Florek. Ale czemu go nie widać? Co się stało?

Przejął go straszliwy lęk... To przez jego niezaradność, przez zwyczajną głupotę. Powinien był wiedzieć, że tonący zawsze usiłuje kurczowo uczepić się ratującego. Nie dopilnował ruchów dziewczyny, naraził kolegów. Lutek okazał się dzielny i wytrzymały nad podziw, ale Florek utonie teraz, a jego nie opuszczą już nigdy wyrzuty sumienia.

Nie patrzył już na nic. Słaniając się jeszcze na nogach pobiegł brzegiem i rozpychając tłoczących się gapiów wskoczył do morza. Chłód wody orzeźwił go, przywrócił mu siły.

Od brzegu usłyszał krzyk, jakby swe imię. Nie oglądał się, płynął w stronę, gdzie tam i sam bezradnie się kręcił ratownik.

— Wariacie, chcesz utonąć? Zawracaj, idioto! — w głosie Lutka brzmiał gniew, pomieszany z

nutką podziwu.

Szymon zobaczył go teraz obok siebie.

— Zawróć, spisałeś się dzielnie, ale nie wolno szarżować, ja popłynę wraz z Lutkiem...

Danka. A skąd ona się tu wzięła?

Nie odpowiedział, mocniej wparł się ramieniem w wodę. Fala burzyła się mocno, coraz to zalewały ich nadbiegające -jeden za drugim bałwany.

— Ma go! — okrzyk Lutka przebił szum -morza..

Tuż przed nimi borykali się z mocniejszą w tym miejscu falą odboju ratownik i Florek. Chłopak szarpał się, wyrywając się z rąk tęgiego, rosłego faceta.

— Co jest? — Lutek podsunął się pod nalaną gębę ratownika.

— Gość koniecznie chce sam płynąć. A był już pod wodą. Nie mogę pozwolić... — urwał, zakrztusił się.

— Lutek — w głosie Florka dźwięczała serdeczna prośba.

— Poradzi już sobie sam... Będziemy zresztą tuż obok.

— Kiedy ja nie mogę pozwolić...

— A gdzieś był przedtem, ciapciaku? Gdy ta ruda tonęła, co? — warknął Lutek.

Twarz osiłka zmieniła się, ale więcej nie oponował. Całą piątką płynęli teraz przewyciężając falę. Już blisko, jeszcze trochę, woda nieco powyżej kolan, podnieśli się, szli brodząc do brzegu.

— Co z tą rudą? Nawet niebrzydka, zgrabna... — odsapnął Lutek, dumnie nadymając pierś przed Danką.

Ona jednak przyglądała się nie jemu, lecz tłumowi na brzegu. W pewnej chwili, pośród dziesiątków na wpół nagich postaci, wyłowiła rudą plamę. Dziewczyna, podtrzymywana przez paru młodych gorliwców, siedziała już, nadal tylko śmiertelnie blada. Pokaszliwała.

— Na drugi raz radzę koledze-pilnować swojego. Udało się, ale gdyby inaczej? Poszedłbyś kolega do mamra i tyle. Topielczyni i jakby zresztą to nie pomogło. Cześć — sucho powiedział do ratownika Lutek, ścisząc głos, by poza nimi nikt inny go nie słyszał.

— Czy panowie podadzą to dalej? Musiałem odejść na chwilę, od rana nie jadłem, kto by się spodziewał, że właśnie wtedy...

— Warto by sprawić koledze solidne manto... Siedź teraz spokojnie i tylko pilnuj swego — uspokoił go Szymek.

Podeszli do rudej dziewczyny. Ktoś zarzucił na nią prześcieradła kąpielowe, drżała bowiem jak w ataku febry. Powoli rumieńce wracały na twarz, oczy nabierały żywszych blasków. Mogła się podobać.

— To panowie? Panowie mnie uratowali?

— Uratował ten pan, musi pani głowę zadrzeć do nieba, by go zobaczyć, mama i tata przydali mu jakąś złą miarę. My tylko kibicowaliśmy wyczynowi.

— Tonęliśmy już razem i gdyby nie Lutek...

— Tere fere, to dalszy ciąg, zupełnie nieważny. A dla ścisłości, największą robotę odwalił tu Florek, On panią przyholował aż do brzegu...

— Tam dołem cholerna siła odboju. Ścięło mnie z nóg, rzuciło na głębię, zakrztusiłem się, dobrze, że mi wtedy zabrałeś pannę z ramion... Ty masz w ogóle cholerne szczęście, Lutek, do kobiet — Florek miał minę mocno kwaśną.

Szymon zauważył, jak Danka spoglądała na Lutka-jasnymi, ciepłymi oczyma. Zrobiło mu się bardzo smutno.

— Dziękuję panom... Gdy się trochę lepiej poczuję...

— Zaraz przybędzie lekarz — powiedział do niej ratownik, gorliwy teraz w pełnieniu swych obowiązków.

Tłum rozchodził się powoli. Sensacja minęła, dziewczyna żyła, cóż tu jeszcze mogło być ciekawego? Lutek odprowadził wzrokiem paru lowelasów w komisowych modnych spodenkach. — Gówniarze! — syknął. — Do wody nie pofatygował się żaden, pewnie, to ryzyko... Oho, czarna flaga, zakaz kąpiel. Stara się nasz ratownik.

— Chodźcie, ulokujemy się gdzieś dalej. Chcę wam opowiedzieć, co mnie dzisiaj spotkało dziwnego — szepnęła Danka, pociągając za, sobą całą kompanię.

— Dziwnego? Co za dzień, same sensacje, przygody. Chodźmy posłuchać. Danka, prowadź! Cała reszta odmaszerować za naszym wodzem w spódnicy!

Szymon przyglądał się idącej obok dziewczynie. Zawsze niezmiernie żywa, pogodna, teraz szła dziwnie skupiona. Drobniotka, zgrabna, od pierwszej chwili spodobała mu się, a teraz chyba zakochał się w niej bez reszty. Co się mogło Dance dzisiaj przydarzyć?

Rozdział II

Dziwni faceci z volvo

Teraz, gdy minął stan nerwowego napięcia, nastąpiła reakcja, poczuli się znużeni, wypompowani z sił. Jeszcze przed chwilą rozgadani, zamilkli, nikomu nie chciało się otwierać ust. Miękki, nagrany piasek leniwie, niebezpiecznym ciepłem przenikał ciała, powieki się przymykały monotonne bicie fal o brzeg także działało usypiająco. Najbardziej zatłoczone odcinki plaży zostały daleko za nimi.

Już nadchodził koniec sezonu. W tych ostatnich dniach sierpnia przeredziło się na ulicach, w samym Kołobrzegu łatwiej było o pokój, mniej samochodów przemykało szosami.

Tylko pogoda od dobrych dziesięciu ranków starała się wynagrodzić chłód i szarugę poprzednich okresów. Słońce grzało mocno dzień za dniem, morze pocięła, ciągnęła plaża.

Szymon spod oka obserwował Dankę. Zmizerniała ostatnio. Trafiła na wykańczaną budowę, tempo tam wzięli niesamowite, wysłannicy inwestora, zakładów włókienniczych z Bielska, popędzali wykonawców, strasząc zaplanowanym terminem otwarcia domu sanatoryjno-wypoczynkowego. Opowiadała o cudeńkach, wyskakujących każdej niemal chwili. A to klamek z nagła zabrakło, a to sfuszerowano przewody wentylacyjne, trzeba było rozbijać dopiero co pomalowane ściany, gdzie indziej pojawiły się zacieki, w słońcu powypaczały się ramy okienne zrobione ze zbyt świeżego drzewa. Jedne brygady przeszkadzały drugim, wszyscy deptali sobie po piętach, nerwowi, rozindyczeni, skorzy o byle głupstwo do kłótni. Danka bardzo sumiennie traktowała swą praktykę, wykorzystywano to, spychając na dziewczynę coraz to nowe zadania. Musiało się to odbić na jej zdrowiu.

Oni lepiej trafili, jeżeli to można było tak określić. Ślamarzyło się z tym Domem Zdrojowym, podobnie jak z przysłowiowym już w Kołobrzegu hotelem. Obydwu z Lutkiem wepchnięto tutaj na praktykę, pętali się, obijali z kąta w kąt, kierownictwo budowy wtedy było najbardziej z nich zadowolone, kiedy się w nic nie mieszało. Lutek nic sobie z tego nie robił, Szymona to jednak drażniło. Nie znosił partactwa, łataniny, oczekiwania, byle minął jakoś każdy kolejny dzień. W ubiegłym roku, w Solinie, było zupełnie inaczej. Tam się przekonał, co naprawdę znaczy robota...

Zetknęły się jego oczy z oczami dziewczyny. Uśmiechała się leciutko, z pewnym przymusem. Milczała, nieskora do zapowiedzianych niedawno zwierzeń. I teraz przykneła powieki w obawie, by nie zapytał o coś, nie przerwał tej chwili wychnienia czy raczej zamyślenia.

Poznał ją przez Florka, on także był z Politechniki Poznańskiej, z tego samego pierwszego roku i z tej samej grupy co Danka. Praktykę odbywał przy dopiero dźwiganym od fundamentów obiekcie, darze górników śląskiej kopalni. Od tygodnia był wolny, przyjechał tu bowiem wcześniej od nich. Tak się złożyło, że od początku trzymali się całą czwórka.

Przyglądał się drobnej twarzy d leciutko skośnym kształcie oczu i trochę zadartym nosie, nadającym obliczu figlarny wyraz. Przy jasnych włosach tym mocniej odbijały ciemne oczy, ruchliwe, nie umiejące spocząć nawet na krótko.

Początkowo traktował Dankę jako morowego kumpla. Aż nadeszło to zupełnie zniechęca. Co prawda jeszcze i dziś nie bardzo był pewien, czy się zakochał, czy po prostu tylko podoba mu się Danka. Niecierpliwie jej oczekiwał, gdy się spóźniała ze swojej budowy, co ostatnio stało się regułą. Ciepłej spływał mu po sercu każdy jej uśmiech, przy tym czuł, że zaczyna być zazdrosny o Lutka, częściej się do niego zwracała, długo umieli gadać ze sobą. Inna sprawa, że z Lutkiem każdy rad rozprawiał, wyszczekany był, obeznany w niejednym, a już znajomością twórczości

Gałczyńskiego imponował dziewczętom, umiejąc na każdą okazję zabłysnąć stosownym cytatem. Może dlatego tylko i Danką tak z nim chętnie przestaje...

Z twarzy dziewczyny przeniósł spojrzenie na Lutka. Leżał z szeroko rozwartymi oczyma, śledząc na niebie rzadkie cumulusy i podobne do nich mewy, żeglujące wraz z podmuchami wiatru.

Znali się już ponad dwa lata, razem zaczęli wrocławskie studia. Zbliżyli się jednak dopiero na kołobrzesckiej praktyce. Zbliżyli się i kto wie, czy znowu się nie oddalą. Z powodu Danki...

Pazoła wyczuł to spojrzenie, przestał gonić za chmurami i uśmiechnął się do przyjaciela.

*Prawie wszystko się stało, co się miało stać,
nie ukryje się ziemi ni niebu —
też uśnij, mój mały, tylko spać, trzeba spać,
więc się nie budź.*

Głos miał miękki, wibrujący. Przyjemnie słuchało się Lutka, Danką odwróciła twarz w jego stronę, okręcił się na piasku Florek. Szymona zalała złość. Czyżby Lutek odgadł jego myśli? Z nim zawsze tak było, jak machnie tym swoim Gałczyńskim, to może się zdawać, że cię przejrzał na wylot i strzela do ciebie osłaniając się tekstem poety.

— Sobie śpiewasz czy mnie? — zachnął się.

— Tobie. Miałaś takie maślane oczy jak człowiek bardzo senny albo jak zakochany sztubak... Czego się, Szymek, czerwienisz, zgadłem coś?

— A może byśmy się wykąpali? Krótco dziś siedzieliśmy w morzu — Florek po swojemu próbował ożywić nastrój. Udało się. Parsknęli śmiechem. — Danką, miałaś coś opowiedzieć — przypomniał Florek.

— Może później?

— Teraz! — huknęli solidarnie.

— Bo ja wiem... Więcej mi się chyba zdawało. Sama zresztą zawiniłam najbardziej. Po cholere pakowałam się w tamte krzaki?

— Krzaki? O, to zaczyna być interesujące — Florek mówiąc to przezornie odsunął się od dziewczyny. — Tylko bez argumentów wyrażanych rękoczynami. Danką, ja cię nie poznaję, taka zawsze grzeczna, przyjemna, teraz tylko czekać, a staniesz na czele chuligańskiego gangu.

Nie zwracała na niego uwagi. Objęła rękami kolana, połyskiwała opalenizną napięta skóra jej drobnych nóg, kołysząc się leciutko, mówiła bardziej do siebie niż do nich.

— O dziesiątej mamy przerwę śniadaniową. Jak zawsze, zapomniałam zabrać coś ze sobą... Czasem rezygnuję z jedzenia, niekiedy przynoszę sobie kanapki z kiosku. Najbliżej do niego przez tę zakrzewioną część parku tuż za naszą budową. Wtedy tylko przeskoczyć przez szosę i już...

Dzisiaj też tamtędy pobrnęłam, czułam się nieco zmęczona, naganiałam się przy kontroli sieci wodociągowej.

Westchnęła, zamyśliła się.

— Muszę sobie dokładnie przypomnieć... Znacie to miejsce, prawda? Zielono tam, ładnie. Gdy docierałam już do szosy, odechciało mi się jedzenia, cieniście było, postanowiłam trochę odpocząć. Leżąc widziałam szosę, dołem poszycie krzaków jest znacznie rzadsze. Czasem przejeżdżał jakiś samochód, kręciło się trochę ludzi... Nie wiem, może nawet zdrzemnąłam się na moment, przymykałam oczy, zieleń w nich zostawała, było tak bardzo przyjemnie... Jakiś wóz zatrzymał się niedaleko, trzasnęły drzwiczki. Nie zwróciłam na to uwagi. Aż dopiero te głosy, niedaleko ode mnie. Przyciszone, ale mocne, jakaś złość w nich, zdenerwowanie. Nie wiem, jak wy, ale ja podobne nastroje z miejsca w ludziach wyczuwam.

— Źle wybrałaś budownictwo, należało raczej psychologię... — zaczął Florek, ale zamilkł na widok zaciśniętej niedwuznacznie pięści Lutka.

— Widziałam samochód, szwedzkie volvo, w nim jakaś dziewczyna, taki tapirowany kociak. Na skłonie szosy, tuż przy rowie, stało czterech facetów, gadało dwóch. Jeden z nich dziwnie wymawiał polskie słowa... Zrozumiałam niewiele, mowa była o płaszczach, że ' ktoś wpadł, siedzi, że jakaś kaucja, że się nie opłaca... I teraz sprawa musi być załatwiona inaczej, nie samochodem. Że to nie przejdzie... Drugi oponował twierdząc, że oni na czekanie nie mają czasu, taka zabawa nie dla nich, albo brać towar, albo koniec z interesem. Im i tak tu depczą po piętach... Tamten wtedy zaśmiał się tylko, powiedział, że deptanie to lipa, a kupca drugiego z miejsca i tak nie mają. Statek będzie za trzy, cztery dni, najwyżej za tydzień. Do tego czasu oni się z sobą nie znają... Facet trzeci o coś szeptem pytał kompana, potem zadukał po niemiecku, że *recht*, że *wird est gut sein*...

Oczy Lutkowi wyszły na wierzch. Uwielbiał podobne historie.

— Ten, który mówił dziwnym akcentem, i ten drugi, nazwałam go Niemcem, poszli zaraz do samochodu, trzasnęły drzwiczki, szurnęli z miejsca. Druga para gdzieś mi się zapodziała. Spojrzałam na zegarek, prawie dziesięć minut minęło od przerwy śniadaniowej. Zerwałam się, bybiec na budowę i zaraz niemalże wpadłam w objęcia jednego z tych facetów...

— Co pani tu robi? — Idę. — Skąd? — Znikąd, z trawki, a pan jakim prawem mnie pyta? — Widziałas nas, słyszałaś? — Tylko bez tykania, nic mnie nie obchodzą wasze sprawy! — krzyknęłam to już ze złością.

— Fiuu— zagwizdał Lutek. — Aleś naiwna, maleńka!

— Pewnie, że naiwna. Faceci spojrzeli tylko po sobie. Wyższy, który głównie gadał z tamtymi dwoma, złapał mnie za rękę, zasyczał: — Więc pamiętaj, gołąbeczko, że cię to gównno obchodzi,

nie próbuj się niczego domyślać ani mi nie włącz w drogę. Bo zduszę jak kurczaka...

Przestraszyłam się, szarpnęłam mocno, udało się, umknęłam w krzaki. Oni za mną, ale gdzie by mnie tam dogonili. Zaraz zresztą i nasza budowa, już się tam ludzie kręcili. Zawrócili z miejsca i tyle ich widziałam... Właściwie głupstwo i naiwność z mojej strony. Jacyś handlarze, waluciarze, pełno tu przecież takich, żerują na Szwedach i innych cudzoziemcach.

— Ale o jakim towarze mówili, że nie wozem? Waluta? Albo coś może innego? — zaciekawiał się Florek.

— Mnie to naprawdę nic nie obchodzi — zachnęła się. — Otrzymałam nauczkę, żeby na drugi raz nie być głupią i nie wylegiwać się w krzakach. Idziemy do wody, obiecałam, opowiedziałam, a teraz dajcie mi spokój — werwa jej wyraźnie była robiona.

— Chwileczkę, Danko. Boję się o ciebie. A jak im wpadniesz gdzieś w oko, poznają cię? — Szymek był zaniepokojony.

— Będą udawali, że nie znają... Ani mnie, ani im to niepotrzebne. Aha, jeszcze jedno. Gdy po powrocie z domu szłam tu do was na plażę, kupiłam sobie porcję lodów i siadłam niedaleko pomnika Zaślubin z Bałtykiem. Gapiłam się na ten pomnik, bardzo go lubię, kiedy znów usłyszałam znajomy głos, mówił po szwedzku. Poznałam, to ci dwaj panowie z samochodu. Szli sobie spacerkiem w kierunku latarni, o czymś gadali. No i tyle moich przygód. Tak między nami, to strachu najadłam się mocno.

— Numeru auta nie zapamiętałaś? Volvo tutaj niejedno, co drugi Szwed przywozi promem taką maszynę...

— Masz zamiar ich tropić? — zapytał Florek.

— Ich raczej nie... Tamci dwaj mnie interesują. I też nie chodzi o ich interesy, diabła się na tym wyznam, durnia z siebie nie zrobię, bo co, przecież nie zamelduję milicji, okaże się, że są czyści i poruta jak jasny gwint... Chodzi o Dankę, grozili jej, może chcieli uderzyć...

— Daj spokój, Lutek, nie wygłupiaj się. Żałuję, że wam opowiedziałam, jeszcze zrobicie jakąś grandę, Nie, nie, maleńki ślad, pewnie wtedy, jak mu się wyrывałam, ścisnął mocno...

Na prawej ręce siniak był wyraźny, na lewej znaczył się trochę słabiej. Wszyscy trzej przypatrując się teraz tym śladom na przegubach rąk dziewczyny spoważnieli. Nawet Florek nie był skory do żartów.

— Takie syny! — zaklął Szymon. — Niechbym ich dostał w swe ręce!

--- Co? Zaskarzyłbyś?

— Guzik. Znalezliby alibi, że byli o tej porze gdzie indziej i tyle...

Sam bym uciał małą pogawędkę z przyjemniaczkami.

— Pomógłbym ci z całego serca — przyłączył się Lutek.

Danka spojrzała po nich z wdzięcznością, ale też z lękiem. Diabli wiedzą, co gotowi narozrabiać. Niepotrzebnie im wszystko opowiadała. Skończyło się dobrze i nie ma co nawracać do całej historii. Zaśmiała się nieoczekiwanie.

— Ależ z was naiwniacy! Było zupełnie inaczej. Na budowie omal nie spadłam z rusztowania, w ostatniej chwili jakiś robotnik złapał mnie za rękę... Stąd te ślady. A tamto to bajka, zupełna lipa.

Opowiedziałam to wyłącznie dla kawału.

Skwaśniali. Mówiła zupełnie serio. Czyżby naprawdę nabrała ich tym razem? Głupio spoglądali po sobie.

— Stop, Danka! Przecież u was rusztowania dawno już zdjęte, budynek otynkowany. Jeśli macie lada dzień odbiór... .Czemu nas zbijasz z tropu? — obruszył się Szymon.

Opuściła głowę jedynie na moment. Stosowała typowo kobiecą zasadę, by w podobnych sytuacjach odpowiadać atakiem.

— Czemu? Temu, że z wami nie można nic na spokojnie. Zaraz zaczynacie się wypytywać, już gotowi do jakichś chuligańskich rozróbek. Nic mi się nie stało, dostałam nauczkę i tyle. Obiecujcie, że...

— Bez żadnych obietnic... Nie chcesz, możemy na ten temat więcej nie gadać, i tyle — zachnął się Lutek.

Zapadło milczenie przeciągające się nieprzyjemnie. Przerwał je dopiero głos Florka:

— Wiara, idzie nasza topielica... Już gładziutka, po makijażu. Niezła babka, jak pragnę poronić...

Odetchnęli z ulgą. Tym razem rura dziewczyna pojawiła się w samą porę. Zgrabna i wcale niebrzydka; wtedy, zmoczona jak kura po burzy, wodząca niepewnie wzrokiem po plaży, wydawała się brzydsza.

— Cieszę się, iż nareszcie państwa znalazłam... To pan Miecio był tak uprzejmy i wskazał miejsce, gdzie państwo się znajdujecie.

— Koleżanko, albo już przez wielmożni państwo, albo przez koledzy. Pośredniej formy nie ma — Florek wysunął się przed kolegów.

— Dziękuję koleżance i kolegom — uważniej przyjrzała się Dance. — Przyszłam z podziękowaniem... Opowiadano mi. Któryś z panów omal nie utonął przeze mnie. Straciłam przytomność i wyprawiałam głupstwa. Boże, jak ja się bałam, jak bardzo się bałam, nie chciałam umierać, tonąć, chciałam żyć...

— To Szymka pani tak czule obejmowała, aż się chłopak zatracił ze szczęścia i razem pociągnęliście się na dno — zakpił Lutek a potem wyciągnął ramię w kierunku Florka, głos jego

przybrał ton namaszczony: — Proszę spojrzeć, oto pani ostateczny, prawdziwy wybawca. Gdyby nie on, nie jaśniałyby teraz pani włosy tak pięknie w blasku słonecznym, nie lśniłyby pełne uroku oczy... I w ogóle. Jemu więc niech pani dziękuje.

— Coś ty? — zachnął się Florek. — Nie rób ze mnie bohatera.

W tej całej hecy główna twoja zasługa.

— Nie udawaj skromnisia. Pani daruje, ale on zawsze taki nieśmiały jest przy kobietach. Nie zepsuty, wie koleżanka... Rzadkość dzisiaj u młodzieży, prawda?

— Koledzy kpią sobie ze mnie. A ja naprawdę chciałam bardzo serdecznie podziękować. Przecież tylko dzięki wam żyję...

Oczy jej posmutniały, chwila, zażawia się. Lutek czuły na takie objawy, zatrzepotał rękami.

— Już, już... My zawsze wolimy ze wszystkiego raczej żartować, niż przesadzać w powadze. A Florek uratował panią naprawdę. Ja wtedy musiałem windować tego drąga, ale on zbuntował się i zdecydował, że sam dopłynie do brzegu. Ominęły mnie zatem wszystkie tytuły do medalu za ratowanie tonących... No nic, Florek, w imieniu nas wszystkich zainkasuje od pani podziękowania. Proszę tylko nie przejmować się, że on taki nieśmiały i nieobyty w towarzystwie dam... O, widzi pani, chce mnie bić.

Florek był zły, Danka chichotała, wrócił humor także Szymkowi.

— Niechże koleżanka siada obok nas. Proszę — korzystając z tej okazji, przysunął się sam możliwie blisko do Danki.

Lutek przybrał dostojną, pozę, stojąc przed całą gromadką, palce wyciągnął w kierunku dziewczyny, zadeklamował:

*Ona była ruda, ale niezupełnie — pewien połysk na włosach
grasował —*

żyła z Finkiem. Fink był reżyser. Przez snobizm komunizował

(są tacy też — na Mazowieckiej)

A Inge? Inge miała w sobie jakiś smak niemiecki,

ten akcent w słowie „Mond” — księżyc... der Mond in Monde...

A Fink był dureń i blondyn...

Urwał, sam ryknąłby śmiechem, widząc roześmiane gęby całego bractwa i zdziwioną, wyraźnie ogłupiałą minę rudej dziewczyny. Podniosła ku niemu twarz, złą i niepewną:

— Pan o mnie? Czemu się pan nabija? Bzdury jakieś. Jaki Fink? Jaki reżyser... I ten niemiecki... Czego pan chce ode mnie?

— O rany Julek, trzymajcie mnie, bo się uduszę, udławię się z radości! — Szymon za brzuch się trzymał i fajtał nogami. Danka skryła twarz w piach plaży. Florek początkowo również się

śmiał, ale potem zlitował się nad dziewczyną.

— Przecież pani to zna... Wiersz Gałczyńskiego, „Inge Bartsch”.

Coś mu się przypomniało, pewnie ten kolor włosów.

— Kasztanowy — powiedziała.

— No pewnie, że kasztanowy, żaden tam rudy, ojej, coś mnie ugryzło... — nawet Florek musiał się pochylić nad nogą, by zdławić śmiech.

Dziewczyna podniosła się urażona.

— Więc jeszcze raz bardzo dziękuję. A tak się wyśmiewać, to nieładnie. Ja...

— Odprowadzę koleżankę — wcale ochoczo Ofiarował się Florek.

Ciągle się śmiejąc odprowadzali wzrokiem oddalającą się parę.

Dziewczyna nie była nazbyt łaskawa dla Florka, próżno jej nadskakiwał. Trzymała się sztywno, patrzyła kędyś przed siebie.

— Oj, coś tu Florek niewiele ustrzeli — zafrasował się Lutek.

— Nie bój się, poradzi sobie...

— Dawno się tak nie śmiałam. Inna sprawa, wstyd tak maltretować człowieka. Przyszła podziękować a ty od razu.

— Jakże, cytowałem poetę, nic więcej...

— Dajcie spokój, idę się kapać.

— Nie wolno. Czarna flaga. Zaraz po tej historii wywiesił ją nagle gorliwy ratownik.

— Nie ratownik, ale pan Miecio. Nie słyszałeś, jak go nazywała ta pani?

Rozdział III

A działo się to w Kołobrzegu

Florek urwał się jeszcze przed zmrokiem. Bąkał, że jest zajęty, nagle mu wypadło, żałuje, cóż, trudno, tak bywa...

Jakał się, peszył, zatracił zwykłą pewność siebie. Uśmiechali się, słuchając jego usprawiedliwień.

— Zostawcie go. Domyślam się czegoś — wtrąciła się Darłka. — Umówiłeś się z nią, prawda?

— Z kim?

— Nie udawaj — pogroziła mu palcem. — W Poznaniu obiecywałeś, że się będziesz mną opiekował na praktyce. A tymczasem?

— Florek, rany boskie, już czas, bo spóźnisz się do rudzielca! — wołał za nim Lutek.

Siedzieli na kamieniach ogrodzenia okalającego nabrzeże. Nie opodał latarnia morska wyrastała swymi pękatymi kształtami, a jeszcze dalej tęnym ścięciem wbijał się w ciemniejące

niebo pomnik Zaślubin z Bałtykiem.

— Umie sobie zorganizować czas. Nam się rozkleiła dzisiejsza sobota. Coś by trzeba jednak wymyślić. Za godzinę będzie to kino pod gwiazdami, przynajmniej świeże powietrze, nieduszno.

— Ja do pedeku. Wiecie, wspomnienia z walk kołobrzeskich — wtrącił Szymek.

Lutek skrzywił się. Wszystkie zainteresowania militarno-historyczne kolegi traktował jako manię. Pewnie, w Kołobrzegu mogą nań napływać wspomnienia, tu podobno zginął w czterdziestym piątym jego ojciec, ale w końcu nie trzeba w niczym przesadzać.

— Co dziś jest w „Adabarze”? Dziwaczna nazwa tego młodzieżowego klubu w piwnicach ratusza. Skąd to się wzięło? — Danka przeciągnęła się, gęstniejący mrok plamami siał się na jej drobnej twarzyczce.

Gwiazdy jak muzykanci.

Sierpień jak ptak zielony.

Gwiazdy grają. Wiatr tańczy.

A sierpień pióra roni.

— Ładne to — powiedziała dziewczyna — Mów, Lutek, dalej.

Noc wciąż w górę wyrasta —

srebrnookienna wieża.

Sierpień na wieży stanął,

takt skrzydłami odmierza.

— Pytałaś o „Adabara”, skąd ta nazwa — korzystając z momentu, gdy Lutek urwał dla uchwycenia oddechu, gwałtownie wpadł w lukę Szymon, śpiesząc z wyjaśnieniami. — W pierwszej połowie szesnastego wieku w Kołobrzegu wybuchł bunt plebejski przeciw patrycjatowi. Na czele stanął Jakub Adabar. Wyrokiem rady miejskiej skazany został na ścięcie...

Pazoła gwizdnął i przyjrzał się koledze, o ile mrok na to pozwalał. Na brzegu zabłyśły światła nielicznych latarni. Od morza ciągnął rześki, z lekka chłodnawy wietrzyk.

— Skąd ty to wszystko wiesz? W Kołobrzegu w każdym razie na niczym nie można cię zagiąć.

— Mówiłem ci już... To jak, idziecie na wspominkowa, prelekcję? To może być ciekawe. Prelegent był wtedy porucznikiem, czytałem o nim, dostał Krzyż Walecznych, a oto nie było łatwo... — kusił Szymon, z niepokojem oczekując decyzji dziewczyny. Miałby ją tutaj z Lutkiem zostawić? — Później wyskoczmy na kawę. Więc jak, Danko?

— Dobrze — skinęła głową. — Ale chyba nie zaraz, co? Posiedźmy tu jeszcze trochę.

— Mamy czas, tam się zaczniesz dopiero po dziewiątej. — Krajecki z radości wywinąłby koźła na bruku nabrzeża.

Za nimi, teraz jakoś daleko, migotały światełka miasta. Na nabrzeżu było ciemniej, rzadko

rozjaśniały sierpniowy zmrok punkty świetlne. Latarnia morska słała dalekie błyski. Spadały w morze, obejmując część horyzontu, grzywki fali oblewały się wtedy srebrem, potem snop światła omiatał krzewy, budynki i ciągnącą pośród nich w różne strony ludzką cizbę. Plusk fali bijącej o brzeg tłumiał monotony poszum głosów. Niebo poprzetykane gwiazdami zgranatowiało. Danka wskazała na spadającą gwiazdę, która zataczając łuk, pędziła w dół.

— Pomyślcie coś, nim zgaśnie wtedy marzenie się spełni — szepnęła.

Szymon położył rękę na jej dłoni. Westchnął.

— Zdażyłeś? — spytała, jakby się domyślając jego pragnień.

— Tak. Oby się spełniło.

— Może — błysnęła zębami.

*Popatrzcie, ile gwiazd na niebie dzisiaj,
a każda dobra jest jak matki uśmiech —
i szumi wiatr, i polski sierpień skrzy się,
i człowiek musi długo marzyć, zanim uśnie.*

Tym razem nawet Szymon nie zachnął się na Pazołę. Słowa poety potęgowały nastrój wieczoru.

— Przespacerowałabym się teraz po plaży. Spokojnie, cicho... Bo we dnie zawsze mi tu jakoś za głośno. Cieszę się na nasze wspólne wakacje. Jeszcze niecały tydzień praktyki i potem czas już tylko dla siebie.

— Na plażę już nie zdążymy. Trzeba iść do pedeku. Boję się tylko, czy was te sprawy będą ciekawie?

— Mówiłam ci już, że jestem też osobiście trochę zainteresowana. Tutaj poległ wuj Albin. Nie znałam go w ogóle, mało o nim wiem, nigdy prawie w domu się o nim nie mówi... Jest więc i jakaś nutka rodzinna w moim stosunku do Kołobrzegu.

— Tu było najkrwawiej na całym szlaku Pierwszej Armii. Ponad tysiąc zabitych po naszej stronie. Kosztowne zaślubiny — Szymon obejrzał się na pomnik, zostający za nimi.

Lutek chciał coś powiedzieć, ale zmilczał. Krajecki poruszył zbyt osobistą nutę, trzeba to uszanować. Inna sprawa, że wcale go nie pociągał projekt Szymona. Na pewno będą jakieś głędoły. Ci wojskowi umieją się bić, ale opowiadać chyba już nie. Wspominki mogą być nudne jak flaki z olejem.

Ujął Dankę pod ramię z drugiej strony. O głowę niższy od Szymona, bardziej odpowiadał jej wzrostem. Przy tamtym draгалu wyglądała jak pchełka.

O tej godzinie wszędzie było rojno, na chodnikach tłoczyły się tłumy wczasowiczów, rozlegały się zewsząd śmiechy, ktoś podpity zawodził nieśmiertelnego „Górala”. W kawiarni „Morskie

Oko" huczało jak w ulu, od muszli parkowej niosły się dźwięki orkiestry, przygrywającej na dansingu. Lutek poczuł nagła ochotę do zabawy. Zamiast do dusznego pedeku mogliby też się machnąć na dansing pod muszlę czy do „Morskiego Oka”. Boże, Boże, strzeż nas przed nastrojowcami. Co w końcu przyjdzie Szymonowi z tego grzebania się w przeszłości? O ojcu wie już wszystko, sam napomknął, że długie lata zbierał o nim wspomnienia najbliższych kolegów, którzy wyszli z życiem z kołobrzesciej batalii. Nie można tkwić bez przerwy w przeszłości, wtedy gaśnie odwaga zdobywania teraźniejszości...

— Już jesteśmy na miejscu. — Danka ścisnęła go mocno za rękę, ruchem głowy wskazując Szymona.

Przepuszczał ich teraz przed sobą, przejęty, jakby nieobecny myślami.

W sali nie było zbyt ciasno. Trochę młodzieży, więcej starszych. Piękna pogoda nie sprzyjała obecnie tego rodzaju imprezom. Nastrój był ożywiony, zebrani w większości musieli się dobrze znać.

— To miejscowi. Przyjezdnych mało obchodzi, co się tu działo przed dwudziestu laty — zgryźliwie powiedział Szymon. — Ci chcą dowiedzieć się czegoś bliższego o swoim mieście.

— Głowę dam, że będzie tu paru uczestników walk. Kombatanckie nawyki, potrzeba wspominków — uśmiechnął się Lutek.

— To ten?

W głosie Danki zabrzmiało wyraźne zdziwienie. Człowiek o zmęczonej, twarzy, mocno łysawy, niewielki, z lekka przygarbiony, nie bardzo pasował do wizerunku bohaterskiego żołnierza. Ale już go przedstawił kierownik pedeku. No i te baretki odznaczeń na piersi. One świadczyły najwięcej.

Speszony był nieco swą rolą. Próbował jakby usprawiedliwić się tym, że to po prostu koledzy, tu zresztą obecni, spojrzął w kierunku gęściej obsadzonego stolika, namówili go, więc postara się na przykładzie własnych przeżyć ukazać pewien wycinek jedenastodniowych walk o Kołobrzeg, miasto i port rozkazem Hitlera zmienione w twierdzę, mającą się bronić do ostatniego żołnierza. Dlatego tutaj walki były tak ciężkie, zażarte, przecież Niemcom ze Świnoujścia drogą morską przybywały posiłki, jak na przykład batalion „Kell”, z którym i jego kompanii przyszło walczyć. Od siódmego do osiemnastego marca...

Głos miał matowy, niekiedy coś w nim chrzęściło chropawą nutą, pokaszliwał i chrząkał, w pewnej chwili spojrzął na zebranych bezradnie, przepaszająco:

— To taki nawyk, został mi po zranieniu... Ale to się zdarzyło już dalej, nad Hawelą, dokąd pchaliśmy się potem za Niemcem...

Prelegent opowiadał z kolei o zażartych walkach 3 dywizji, dokładniej zaś 6 pułku piechoty w

okolicach dworca, którego zdobycie otwierało wejście do portu. Piętnasty, szesnasty i siedemnasty marca zaznaczyły się krwawymi walkami zwłaszcza na tym odcinku. Obrona była zaciekle, hitlerowcy zdawali sobie sprawę, że bronią właściwie ostatniej kołobrzesckiej reduty. Większa część miasta była już zajęta przez polskie oddziały, padła zaciekle trzymana parowozownia, żołnierze polscy operowali już po obu stronach Parsęty, zajęli Wyspę Solną, wdzierali się, dom za domem, pomiędzy stłoczone budynki Starego Miasta Dowódca hitlerowski, generał Tulriede, nie chciał dopuścić do siebie myśli o kapitulacji. Z kwatery głównej Hitlera w Berlinie szły wezwania do zacieklej obrony, zapowiadane było nadejście spieszących z pomocą oddziałów pancernych...

— Dzisiaj rano — mówił były żołnierz zapatrzony gdzieś poza słuchaczy, zasłuchany w powstające w nim echa sprzed lat — poszedłem na tamten teren, by lepiej uzmysłwić sobie raz jeszcze przebieg ówczesnych gorących nocy i dni. Łaziłem po torach, po dworcu kolejowym, przesadzałem nasypy, penetrowałem puste place wokół nich. Okazuje się, że tamtego czasu w tych miejscach już nie ma. Wyobraźnia mogła tylko trochę dopomóc. Zabrakło niektórych budynków, strzaskanych wtedy przez artylerię, na pustych dawniej płaszczyznach wyrosły krzewy i drzewa, inaczej zupełnie teraz, inaczej... W końcu określiłem jednakże miejsce, w którym znajdowałem się wraz ze swoją kompanią. To był wieczór siedemnastego marca...

Nabrał oddechu, napił się kawy. Gdy powiódł po sali zmęczonymi oczyma, znów był tym samym, nieco łysawym cywilem o udreżonej twarzy, niewielkim i przygarbionym. Skoro tylko jednak zaczynał mówić swym miękkim głosem, przypominającym nabrzmiały prze-, jęciem szept, obraz dzisiejszy zniknął. Mały dowódca zdawał się prostować, oczy zapalały się ognikami, wypatrując czegoś poza ścianami sali.

— Szykowaliśmy się do natarcia rankiem osiemnastego. Do wybrzeża nie mieliśmy nawet kilometra. Tylko że tam każdy metr znaczył nieraz daleką drogę. Ciasny pas wokół Niemców zacieśniał się jeszcze bardziej... Żołnierze byli straszliwie zmęczeni poprzednim wysiłkiem. Mimo to nie mogli spać. Skupiali się po paru, szeptali, wspominali kolegów... Kompania. Została z niej tylko nazwa. Nie miałem nawet czterdziestu procent wyjściowego stanu. Rannych, leczących się teraz po lazaretach, nie było wielu. Długa była natomiast lista zabitych. Atakowaliśmy Kołobrzeg od samego początku... To osobliwa sprawa, ale żołnierz, wprawiony w walkach, mający za sobą ciężkie kampanie, staje się niezwykle wyczulony, miewa przeczucia, szarpia nim niepokoje. Tak było i tej nocy. Artyleria siekła z obu stron, nie było minuty przerwy. Hitlerowców wspomagały salwami trzy niszczyciele stojące na redzie portu...

Szymon spojrzął na Dankę. Podpierając dłońmi brodę, przechylona do przodu, słuchała w skupieniu, przejęta kreślonym przez byłego porucznika obrazem. Oczy miała lekko zmrużone.

Porucznik ożywił się, teraz mówił głośniej, gestykulował.

— Gdzieś po północy zagadnął do mnie telegrafista: Poruczniku, jasna cholera, u szkopów coś się dzieje. Szum jakiś, motory warczą, coś tutaj nie w porządku.

I ja to wyczuwałem, podobnie jak żołnierze. Denerwowała ich ta noc, oczekiwanie na świt i sygnał do ataku. Na domiar od ziemi parowała mgła, widzialność była słaba. Nawet od tego odcinka torów, który zdobyliśmy i skąd normalnie roztaczał się szerzej widok na dworzec, niewiele można było obecnie zobaczyć. Ciemne zarysy budynków roztapiały się w mazi oparów. Wyglądało też na to, iż ogień nieprzyjaciela naprzeciw nas osłabł. Spróbowaliśmy paru prowokacji, spostrzeżenie potwierdzało się...

Urwał mu się wątek, a może tylko nie wiedział, jak ubrać w słowa tę część swoich wspomnień. Mówił teraz z trudem, zająknął się parę razy.

— Radiotelegrafista mnie namówił. Łapał jakieś dziwne rozmowy na stanowiskach niemieckich. Jeszcze paru wystąpiło z tym samym. Zdecydowałem się. Trzeba było rozeznaczyć, co się przed nami dzieje. Mgła okazała się pomocna, bo właśnie zrywał się wiatr, mógł lada chwila rozpędzić tę zasłonę. Zimno było, chłód przenikał, myślałem, że nieco emocji przyda się dla rozgrzewki. Jednego się bałem, by przez głupotę nie zaryzykować ludzkim życiem. Dlatego też poszedłem razem z dwoma ochotnikami... Dzisiaj nie ma już tego budynekczku, to był kolejowy magazyn na ropę i smary, stał nieco na uboczu, od prawa... Mieściło się tam stanowisko kaemu, mieli dranie dobry ostrzał, sporo szkody nam wyrządzili poprzedniego dnia. A jednak udało się, dotarliśmy po półgodzinie czołgania się aż pod sam budynek. Niemcy jak gdyby spali. Dziwiło mnie to. Od morza dziwaczny szum jeszcze się spotęgował. Tkwiliśmy tak we trójkę za stosem podkładów i przyznam się, że nie bardzo wiedziałem, co dalej robić. Zegarek wskazywał pierwszą w nocy. Mgła rozpraszała się, powrót zapowiadał się niebezpiecznie. Przyczyn poruszenia wśród Niemców nie ustaliliśmy. Wyglądało na to, że obsada linii naprzeciw nas jest słabsza i jakby mniej czujna. Ci z kaemem przy tym budynku reagowali poprzednio na byle szelest. Teraz zaś, jakby od niechcenia, wypuszczali co jakiś czas serię w kierunku naszych stanowisk za osłoną nasypu toru, i nic... Dzielili ich może od nas trzydzieści metrów. Pełno się wałało wszędzie podkładów porzucanych wybuchami artylerii. Trochę zwariowany pomysł strzelił mi wtedy do głowy. Może nawet nie mnie, Józek, telegrafista, niestety, zginął w późniejszych walkach nad Starą Odrą, też mi poszepty wał do ucha... Niemcy coś knuli. Ruch u nich, zwłaszcza w kierunku portu, wzrastał się. Może szykowali się do nocnego przeciwuderzenia? Warkot motorów, jakby czołgi, nie czołgi. Może znowu przybyły im drogą morską posiłki? Skoro pojawił się przed paru dniami batalion „Kell” ze Świnoujścia, wszystko inne też było możliwe. Inna sprawa, że skrawek wybrzeża, jakim jeszcze rozporządzali, nie miał więcej niż dwa kilometry, może nawet nie tyle...

Rozchrząkał się, zakaszał. Od stolika, gdzie siedzieli jego koledzy, popłynęły zachęcające ruchy rąk i ciepłe uśmiechy.

— Szerokim łukiem próbowałem podczołgać się nieco w bok od tego budynku. Rozmieszczenie stanowisk ogniowych Niemców znaleźliśmy z minionego dnia. Właśnie w tym miejscu istniała niewielka luka. I to właściwie wszystko. Daleko nie zabrnąłem, ten podoficer szwabski sam się jakoś napatoczył, pociągnęło go między sztaple podkładów, dość daleko od swoich, a tuż, tuż przy mnie. Rąbnąłem go kolbą przez łeb, tylko zacharczał. Miałem z nim kłopot, łobuz był cholernie wysoki, tyka chmielowa. Udało się. Dociągnąłem drania do swoich. Cuda potem były z transportem faceta do naszych stanowisk. Coś musieli. Niemcy usłyszeć, bo nas ostrzeliwali. Mgły już nie było. Gdy dobrnęliśmy do chłopców, dochodziła pierwsza trzydzieści. Szkop trochę był przyduszony, Józek nie najzręczniejsz atkał mu gębę naoliwioną szmatą. Wyciągnęliśmy jednak od niego, że Niemcy przeprowadzają ewakuację drogą morską. To motorówki tak grały. On jest z oddziałów osłonowych. Teraz zrozumieliśmy, dlaczego wydawali się słabo zorientowani w terenie... Przekazaliśmy go na tyły. Tam już zresztą wiedzieli o wszystkim. Parę minut, zarządzono atak pełnymi siłami. O siódmej, po dość tęgiej haratani-nie, dotarliśmy do morza. Był osiemnasty marca. Zaślubiny z kołobrzeskim morzem. Nawet zupełnie niedaleko od miejsca, gdzie stoi dziś pomnik. Trochę może bardziej na zachód. Rozstałem się tego dnia z moją ślubną obrączką. Plusnęła cichutko...

— To zakończenie było piękne — mówiła Danka, bijąc wraz z innymi serdeczne brawa.

— Niekiedy im zazdroścę. Oni przeżywali coś naprawdę mocnego. Wiem, wojna, okupacja, to musiało być straszne, dla nas trudne do wyobrażenia. Z drugiej strony życie miało inny rozmach — bardzo poważnie, z jakąś tęsknotą powiedział Lutek. Ale nie byłby sobą, gdyby nie dodał po chwili. — Taki na oko niewydarzony, a proszę... — natarczywie przyglądał się bojownikowi o Kołobrzeg. — No, ale teraz to będą już nudy. Najgorzej z pytaniami i tak zwaną dyskusją.

Tym razem trafił. Pytania padały mizerne, naiwne, często trafiające jak kula w płot. Wyraźnie zmęczony porucznik umiał wpleść w odpowiedź nieco żywszych akcentów. Odetchnął z ulgą, gdy kierownik pedeku, wręczając symboliczne kwiatki, zamknął spotkanie.

Podziękował, zerkając na swoją gromadkę kombatantów, kiedy nagle stanął przed nim Szymon.

— Przepraszam, mam wielką prośbę. Czyby się pan nie przysiadł na chwilę do naszego stolika?

— Koledzy czekają... Widzi pan, idą do nas...

— W Kołobrzegu zginął mój ojciec. Piętnastego marca. Dlatego proszę...

Podniósł głowę, by przyjrzeć się twarzy Szymona, a potem zwrócił się do ciągnących go w

swoim kierunku kompanów.

— Darujcie, parę minut. Bo właśnie kolega mówi, że jego ojciec padł w Kołobrzegu...

— Tutaj? Z którego pułku? Może znaliśmy? — zasypali go pytaniami. — Albo wie pan co, chodźmy do naszej gromady... Niech pan zabiera swoje towarzystwo. Dobrze?

— Dziękuję bardzo. Już idziemy.

— O rany, Szymon znów, coś wymyślił. Ta nasiadówka może być zupełnie ponura — zaszeptał w ucho Danki przerażony Lutek.

Ani ponura, jak się okazało, ani nasiadówka. Trzecia dywizja, ale inny pułk. Dziewiąty, a oni z siódmego. Nie znali, nie pamiętali Jana Krajeckiego. Zginął podczas ataku na parowozownię? Ano tak, tam była haratanina. Gdzie jej tu zresztą nie było... W mieście trzeba było zdobywać dom po domu, zdarzało się, piętro po piętrze...

Życzliwi, serdeczni, któryś poklepał Szymka po ramieniu. Ale rozmowa rwała się ciągle. Gdyby znali, co innego. A tak... Chcieli być sami, w swoim gronie, kombatanckie ciągotki, wygadać się, wspominać, lżej wtedy od razu na duszy... Z drugiej strony nie można tych młodych odprawić. Chyba że sami odejdą.

— Proszę panów, przepraszam, ja też zapytam. Tu w Kołobrzegu zginął mój wuj. Nie znałam go w ogóle, wiem o nim z rodzinnych opowieści. Nie mam pojęcia, w którym był. pułku... Albin, Albin Milak — cicho odezwała się Danka.

Kombatanci starali się znów wyteńczyć pamięć.

— Zaraz, zaraz, Albin. W szóstej dywizji, w moim plutonie... Nie, nie w moim. Był jakiś Albin. Zginął na ulicy przy forsowaniu domów. Bohaterska historia, sporo o niej gadano. Umierał, wołając jakiegoś dzieciaka. Miał, zdaje się, córeczkę. Urodziła się, kiedy już był w wojsku. Ciągle marzył o tym dziecku... Albin? Chyba nie, inaczej się nazywał, tyle że też na A. Adam może? Nazwiska to wcale nie znam.

— Ależ niech panowie nie przejmują się tym... Tak ujęły mnie pańskie relacje, że wuj mi się od razu nasunął przed pamięć. Musiałabym więcej o nim wiedzieć, by pytać. Która dywizja, pułk... — usprawiedliwiała się Danka.

— Nie będziemy panów dłużej zatrzymywać — Szymon podniósł się nagle z miejsca. — Dziękujemy, bardzo dziękujemy. Świetnie pan opowiadał, czułem to tak, jakbym sam znajdował się wtedy naprzeciw tego dworca...

— Zaraz, zaraz, kolego — poderwał się ktoś z kombatanckiej gromadki. — Jeden z dziewiątego pułku mieszka tu stale. Kolejarz, zastępca zawiadowcy. Może on będzie coś wiedział...

Na ulicy odetchnęli głęboko. Powietrze było ciepłe. Rześki wiatr ciągnął od morza. Latarnie

zataczały kręgi, a rozsiewany blask zagarniał coraz to inne miejsca..

— Wiecie co, jestem dzisiaj dziwnie zmęczona. Pójdę do domu, nie gniewajcie się, ale na nic już nie mam ochoty. Odprowadzicie mnie?

Mieszkała niedaleko budowy w baraczkę przeznaczonym dla kierownictwa. Wolno szli przez miasto już przycichające, mniej rojne niż przed paru godzinami. Cienistymi stronami ulicy przesuwały się pary. Dopiero bliżej centrum ruch jeszcze był spory. Od rozwartych szeroko drzwi restauracji „Fregata” płynął gwar mieszający się z dźwiękami orkiestry.

— Cholerna mordownia — skrzywił się Szymek, gdy przechodzili obok!

Zmierzający do lokalu dwaj mężczyźni przewinęli po nich obojętnym spojrzeniem. Krajecki drgnął, obejrzał się za nimi.

— Tego po prawej skądś znam. Ale niech mnie zabiją, jeżeli sobie przypomnę skąd. W każdym razie nie z Kołobrzegu...

— Ten z prawej? — machinalnie powtórzyła Danka. Głos jej podniósł się o ton. — Ja też go znam... — urwała.

— Danka, kto to?

— Zdawało mi się chyba...

Była wyraźnie speszona.

— To nie on chyba... Wydał mi się podobny do tego-, który mi dziś groził.

— On? — Szymon szarpnął się, jakby z miejsca chciał zawrócić i biec za tamtymi dwoma.

Złapała go za rękę.

— Błagam, tylko bez żadnej draki... Wcale nie jestem pewna. — Przyśpieszając kroku, niemal ciągnęła ich za sobą, byle oddalić się od „Fregaty”.

Rozdział IV

Pierwsza większa rozróżba

Szli wolnym krokiem wzdłuż parkowego pasma, biegnącego równoległe do morza. Zieleń zatrzymywała wiatr i było tu parno.

— Patrz, ciągle jeszcze ta nie kończąca się sobota — uzalił się nagle Lutek.

— Masz dość?

-- Nie mogę dziś zebrać się w kupę. Ciotka moja powiedziała by, że pewno idzie na zmianę pogody. Niestety, nie jestem wrażliwy. Coś mi w dzisiejszym dniu przeszkadza, nie wiem co. Chcesz spać?

— Nie.

— Ja też nie. Do chałupy też nie zamierzam wracać. Leżeć na wyrku i bić się z jakimiś głupimi myślami.

Szymon nie odpowiedział. Trawił coś w myślach. W pewnej chwili przystanął i powiedział zastanawiając się.

— Swoją drogą, to trochę dziwne...

— Co? Nie bądź zagadkowy.

— Danka opowiadała mi kiedyś sporo o sobie i o rodzicach, którzy wyjechali teraz do Anglii odwiedzić chorą babkę. Jest tam z bratem ojca dziewczyny... A dziwne z tym wujkiem... Wspomniała o nim przy jakiejś okazji, gdy zanudzałem ją swymi kołobrzeskimi historiami. Że zginął tutaj, nazywał się Albin. Któryś z żołnierzy przypomniał sobie jakiegoś Albina, który tęsknił do dziecka, córeczki, urodzonej pod jego nieobecność. Zwróciłeś uwagę, jak się Danka przez moment głęboko nad czymś zamyśliła?

— Facet nie pamiętał dobrze, mylił Albina z Adamem. Zresztą wszystko jedno, może to i był ten jej wuj. Co z tego? Zamyślić się mogła nad czymś zupełnie innym. Jak chcesz o niej mówić, mów normalnie, że jest ładna, zgrabna, że ma takie urocze, leciutko skośne brązowe oczy, że włosy jej są bardzo gęste, układają się pięknie...

Szymon przyjrzał mu się z ukosa. Cholera, ładnie to mówi. On nie potrafił podobnie. Pewnie i Dance podgaduje w ten sposób swym miękkim głosem.

— Masz rację. Widzisz, mnie kołobrzeskie sprawy obchodzą, wszystkie, stąd historia o tym żołnierzu i jego córeczce wrzuciła mnie.

— A że i Danka cię obchodzi, połączyłeś więc jedno z drugim — uśmiechnął się Lutek. I zaraz potem cichym głosem wyrecytował:

Płynie w łodzi zielonej...

ach, do domu tak blisko.

*Chwila jeszcze i schyli się,
nad córeczki kołyską;
Żona klaszcze w dłonie,
jak ptak do furtki pomknie —
zaczerwienia się mocniej
na klombach pelargonie.*

Mijające ich dwie dziewczyny usłyszały tę recytację, parsknęły zaczepnym śmiechem, wyraźnie zwolniły kroku. Po małej chwili szybszy tupot, nóg zaświadczył o ich rozczarowaniu.

— Szymek, ty naprawdę znasz tego faceta, który napastował dziś Dankę?

— Jeżeli to jest ten sam. Nie była pewna...

— Była pewna, tylko nie nas. Obawiała się, że narobimy grandy. Skąd go znasz?

— Nie umiem powiedzieć. Gdzieś się już z nim zetknąłem. Też o tym myślałem... Bywa tak czasem, że za nic nie można czegoś umiejscowić, wysmykuje się, nie pasuje do nowego tła, w jakim się to widzi po raz wtóry.

— Poznałbyś go, gdybyśmy się znów na niego napatoczyli?

Krajecki drgnął. Było to powiedziane tak jakoś nie w stylu Lutka, innym głosem, pozornie obojętnym. Dziwnie, jak ich myśli pokrywają się ze sobą.

— Poznałbym. Nie życzyłbym mu spotkania.

Tu, w mieście, było znów gęściej, jaśniej i rojniej. Wczasowicze zawsze pałętali się tak do późna w noc. Przy pobliskim kiosku z piwem stało kilku mężczyzn. Lutek gwizdnął z uznaniem.

— O, widzisz, czego nam brakowało. Piwa.

Wypili po kuflu. Przegrzane było, zostawiało niesmak. Lutek wzdrygnął się z obrzydzeniem.

— Zaraza, nie piwo. Słuchaj, co byś powiedział, gdybym ci zaproponował jedną wódkę we „Fregacie”? Ja stawiam.

— Nie mam ochoty.

— Chodź, chodź — pociągnął go za sobą. — Boisz się, bym nie zechciał pójść w Polskę? Nie ciągnie mnie dzisiaj... To zupełnie inaczej wtedy wygląda. Nie mam dzisiaj żadnej chandry, po prostu tylko mnie nosi, odczuwam jakiś niepokój. Jedna stopka dobrze by nam zrobiła... Masz ci los, spójrz, kto to kroczy naprzeciw nas. On się na całego przy niej uwija. Pewnie przy rodzicach wiódł w tej Łebie nader spokojny żywot, więc teraz chce to sobie odbić z nawiązką. Hej, Florek, nie uciekaj!

Stawski z dziewczyną usiłował na ich widok zawrócić w pierwszą przecznicę pośród nowych, świeżących świeżo nałożonymi tynkami bloków. Na wołanie Lutka przystanął zrezygnowany. Ruda dziewczyna natomiast wyraźnie się ucieszyła. Zamachała ku nim rękami.

— Wybawicie w komplecie — puszczając ramię Florka, uwiesiła się dla odmiany u ramion obu przyjaciół. — Mogę jeszcze raz podziękować kolegom za ratunek — uśmiechnęła się. — I może tym razem nie będziecie ze mnie tak bezlitośnie podkpiwać?

— No i co, byliście na tym odczycie? Ciekawy? A Danke gdzieście spławili? — zagadywał Florek, ratując sytuację i ponownie łapiąc dziewczynę pod ramię.

— Nie spławili, ale po dżentelmeńsku odprowadzili do domu. Jak się ty, ciemna maso, wyrażasz, w towarzystwie damy — obruszył się Lutek. I zaraz dwornie uklonił się przed dziewczyną. — Pani, ktoś by śmiał z niej podkpiwać. Byliśmy po prostu pod jej wrażeniem, wtedy człowiek zapomina języka w gębie i plecie jak na mękach. A przecież przed takim cudem nie można się silić na własne słowa, należy tylko powtarzać za poetą, on to bowiem umiał najwspanialej wyrazić...

— Zaraz znów wyjedzie z Gałczyńskim — westchnął żałośliwie Szymon, mrugając do Florka.

Pazoła rzeczywiście odstaąpił o krok, skłonił się przed niedoszłą topielicą i zaczął z taką na sercu:

*Jeszcze mi dzisiaj gwiazdą po nocach
zza chmur snu blyska
dłoń twoja wąska, twarz twoja złota
i bizantyjska.*

*Głos twój? Wodotrysk orzeźwiający,
dzwonki i dzwony;
to woda mówi: to śmieszny koncert
ptaków zielonych.*

*Warkocze? Księżyc wstrzymują w biegu
z rąk leci lira.
Za jeden warkocz setkę sonetów —
i to Szekspira.*

Znów niski ukłon i Lutek zagadał szybko, jakby nie chcąc dopuścić do głosu dziewczyny:

— Wiesz, pani, już wszystko. A teraz pozwól nam niegodnym, abyśmy mogli się z Szymonem oddalić i w samotności rozpamiętywać całą słodczą chwilę naszego spotkania.

Krajecki z miejsca się zorientował, też przysiadł w ukłonie i obaj wycofali się szybko, zostawiając tamtą parę z niezbyt mądrymi minami.

— Ładniutka, zgoda, ale mądre to cielę nie jest...

— Ale Florek zapewne myśli inaczej. Klnie teraz w żywy kamień nasze spotkanie... Popsułeś mu szyki. Rudzielec patrzył w ciebie jak w tęczę. Inna sprawa, że ładne było to, coś mówił. Tylko ta zieleń, te ptaki zielone. Przypomina mi się, jak ona wyglądała pod wodą.

— Kierunek na „Fregatę”, marsz! — uciał Lutek. — Nazbyt stajesz się refleksyjny. Zobacz lepiej, jak ta dzielnica ładnie wygląda. Bloki niby trochę pod szablon, a wydają się lekkie, przyjemne. Kiedy my takie coś będziemy budować? Jeszcze najmniej trzy lata wkuwania, potem staż, a jeszcze potem okaże się, że wszystko jest w tej Polsce tak stypizowane w architekturze, tak odrysowane w gotowych schematach, że na żadną własną inwencję miejsca nie zostanie... Ładna perspektywa, co?

— Nie sędzę, by miało być aż tak źle. Jeszcze i nam niejeden ładny domeczek zostanie do zbudowania w tym kraju. Inna sprawa, że jeśli wszędzie tak wygląda, jak na tej naszej budowie, to marny klops. Antypraktyka, nic innego. Danka lepiej trafiła. Tam ciągną.

— Bo końcówka., U nas tak zawsze, w ostatniej chwili tempo, gorączka, istny szał. I też nie wszystko tam u nich gra. Zatem jakaś kiepska budowlana reguła.

— Nie wszędzie. Budowy przemysłowe chyba w większości wyglądają inaczej... W ubiegłym roku, w tej Solinie, naharowałem się jak wściekły pies, wieczorami nie czułem rąk ani nóg. Tam zresztą praktykę potraktowano nader dosłownie, ale nie żałuję. Czegoś się dowiedziałem. I ludzie tam byli inni, takich migaczy jak tutaj ze świecą byś szukał...

Zatrzymał się nagle, jakby wrósł w ziemię. Odmachnął dłonią na przynaglający ruch Lutka.

--- Zaraz, zaraz... Coś sobie przypominam. Tak, wiem, skąd znam tego faceta od Danki. Właśnie stamtąd.

— Z Soliny?

— Niezupenie. Szerzej może: z Bieszczad. Był z jakąś ekipą naukową, tak przynajmniej mówili. Pętali się warszawą robiąc inwentaryzację zabytków drewnianej architektury. Głównie tych słynnych cerkiewek... Tak, to na pewno był on.

— Jasny gwint, na naukowca mi facet najmniej wyglądał. Historyk sztuki, konserwator? A może po prostu był kierowcą?

Szymon kręcił głową,- bobrując usilnie w swojej pamięci. Obraz ciągle jeszcze nie był jasny,, ryso wał się dość mgliście. Ta ekipa, facet w niej był na pewno. Ale czemu go zapamiętałem?

Do „Fregaty”, zatłoczonej do ostatnich granic, barczysty portier nie wpuszczał już nowych gości. Co chwilę, klnąc siarczyście, odchodzili amatorzy mocniejszych wrażeń. Krajecki skonstatował to z pewną ulgą, nie ciągnęła go ta knajpa, niby najbardziej nobliwa w Kołobrzegu, o fatalnej jednak reputacji. Przekonał się jednak, że możliwości Pazoły są wcale szerokie. Portier skłonił mu się jak staremu znajomemu, zaszeptał w ucho.

— Chwileczkę, przywołam chłopaka, wpuści panów bocznym wejściem, bo tu zaraz bractwo szum by podniosło...

Dopiero gdy się znaleźli we wnętrzu, Lutek, udając obojętnego na wszystko wielkoświatowca, powiedział triumfalnie:

— Widzisz, jakie się to ma plecy? Pchamy się teraz do baru, na salę nie ma co nawet zaglądać, tam mile widziani są goście z grubszą forszą i z szerokim gardłem... Proletariusz przy barze, bez zagrychy, systemem na trupa.

O wolnych stołkach nie było co marzyć. Z trudem docisnęli się do kontuaru, popychani i ściskani. Bractwo było już rozbawione, spocone, rozgadane. Jakieś dziewczęta mizdrzyły się do swoich partnerów albo szklanymi oczyma spoglądały na salę. Dwaj tędzy panowie z zachwytem wpatrywali się w stojący przed nimi długi szereg pełniutkich kieliszków, skupiając siły do ich konsumpcji jak przed skokiem na wielką wodę.

— Szefowo, dwa głębsze dla przyszłości narodu — Lutek przechylił się ku barmance.

Wprawnym ruchem, niemal w tej samej sekundzie, podsunęła im przelewające się stopki.

— Szymon. Trzymaj się.

Wypróżnili kieliszki do połowy. Krajecki wzdygnął się, nigdy nie gustował w alkoholu, teraz ciepława wódka wydała mu się wstrętna. Lutek pił z większą wprawą.

Przyglądali się kotłującemu rojowisku. Znaczna część towarzystwa była już pod dobrą muchą, stąd wylewności, podniesione głosy, gwałtowne wybuchy śmiechu. Orkiestra zarzępoliła melodię, przeszła w skoczny rytm. Mikrofon ujęła wydekoltowana dziewczyna. Od stolików na parkiet sfrunęły pary. Dziewczę zaczęło gardłowo pokrzykiwać, co miało oznaczać śpiew.

Przyglądali się jej z rozbawieniem. W pewnym momencie Lutek trącił kolegę pod żebro.

— Patrz, szanowny pan Miecio odbija sobie dzisiejsze niepowodzenia.

Przy jednym ze stolików, wsparty o blat łokciami, tkwił niefortunny ratownik z plaży. Z rozczochranymi włosami, z wypiekami na twarzy, wyglądał na zalanego. Lutek chciał powiedzieć coś uszczypliwego, ale zastanowił go wyraz twarzy Szymona. Wpatrywał się w tamten stolik, ale nie ratownik zdawał się go obchodzić.

— Wypijmy, bo szturchają nas i cenny trunek kapie na podłogę. Coś ty zobaczył, że gały w słup postawiłeś?

Szymon wypił machinalnie, nie zdając sobie z tego sprawy. Po dłuższej chwili spojrzął na Lutka.

— Tamci dwaj, obok Mięcia, poznajesz?

— Cholera wie. Ci od Danki?

— Żebyś wiedział. I co zrobimy?

Lutkowi zabłyśły oczy. Mrużąc powieki przyglądał się trójce mężczyzn, potem przeniósł spojrzenie na pustą szklaneczkę w ręce. — Tymczasem wypijmy po drugim. Dopiero się zastanowimy.

— Obiecałeś, że tylko po jednym. Proszę cię.

— Jak chcesz — Lutek miał kwaśną minę. — Najprościej byłoby obić faceta po mordzie.

— By potem prostą drogą powędrować na milicję i stanąć przed kolegium za chuligaństwo. Dziękuję... Patrz, Miecio się żegna. Ledwie stoi na nogach. Tu idzie... Tamten pomaga mu, Wyprowadza.

Ten bubek sam został.

— Przysiadźmy się do niego — Pazoła znalazł najprostsze wyjście.

— Głupiś... Też wstaje. Wychodzi? Nie, chyba tu idzie... Zostawił papierosy na stole, jakąś paczkę. Wygląda, że jest zupełnie przytomny. Cholera, nie widzę, pomieszało się, zasłaniają mi go. Mogliby grać jeszcze przez chwilę. O jest...

Postawny mężczyzna, młody jeszcze, przecisnął się obok nich, podchodząc do lady. Barmanka zdjęła z półki flaszkę jarzębiaku. Nalała kieliszek.

Lutek stał już przy nim. Czuł za sobą gorący, przyspieszony oddech Szymona.

— Proszę pani, dwa jarzębiaki.

Szymon nie zaoponował. Przed sobą miał człowieka, którego już kiedyś poznał, a który dziś omal nie skrzywdził Danki. Uczuł jak krew mu uderza do głowy. Zaciśnął jednak zęby, starając się panować nad sobą. Facet w tej chwili obrócił się do Szymona. Coś w źrenicach błysnęło, zaraz zagaśło, Za to Szymon odzyskał rezon.

— O, dzień dobry — powiedział i zamiast po stojący na ladzie kieliszek, wyciągnął rękę do tego człowieka. — Szymon Krajecki, może mnie pan sobie przypomni z Bieszczad, pracowałem w Solinie, a pan...

— ...ak — zbulgotał tamten, niechętnie ujmując rękę Szymona. — Chyba pan się myli. Jakoś nie mogę sobie pana przypomnieć. To jedno, a po drugie o omyłce musi świadczyć fakt, iż nie znam Bieszczad, nigdy tam jeszcze nie byłem. Zdrowie pana.

Wychylił szybko swój jarzębiak, rzucił bufetowej banknot i nie czekając na resztę, kłaniając się zaskoczonemu Szymonowi, zawrócił w kierunku sali.

— A, Zyga, tu jesteś... Nasz stolik tymczasem zajęty — zatrzymał go jegomość, który niańczył przed chwilą podpitego pana Miecia, ratownika z zachodniego odcinka plaży. — Idziemy odwojowywać?

— Pal sześć. Późno już. Złap naszego kelnera, płacimy i wynocha.

— Już? Teraz? Co ci, Zyga, strzeliło...

— Powiedziałem... Panie starszy!

Obejrzał się przez ramię na stojących za nimi o parę kroków Szymona i Lutka, wyraz twarzy miał obojętny. Zaraz odszedł na bok, przywołując kelnera.

— Lutek, płac nasze — szepnął Szymon.

— Gotowe. Nie wypijesz?

— Nie. I ty już nie dopijaj, proszę.

Lutek niechętnie postawił nie dopity kieliszek na kontuarze.

— Zjeżdżamy z tego przybytku?

— Z miejsca. Tym bocznym wejściem, żeby nas nie widział.

Lutek przyjrzał mu się bacznie, nie powiedział ani słowa. Twarz jego przybrała skupiony, napięty wyraz.

Gdy wydostali się na dwór, głęboko zaczerpnęli powietrza. Przesycone, było zapachem jodu, nanoszonym od morza przez wiatr. Przeszli przez jezdnię, przystając po przeciwległej stronie knajpy, pod cieniem starej kamieniczki czynszowej, obskurnej i byle jak połatanej.

— Był w Bieszczadach, czy nie był?

— Głowę bym dał. Wolał nie wdawać się ze mną w rozmowę. Czemu? Zapamiętał, że byliśmy z Danką? Zatem ją poznał? Są. Zobaczyli nas. Czujni.

Tamci na moment zawahali się, wyglądało, że również zapragnęli przejść na drugą stronę jezdni. Zaraz jednak szybkim, długim krokiem pociągnęli w kierunku portu.

— Mieszkają w którymś z domów wczasowych? Ej, idą na parking.

— Jasna cholera, spłyną nam — zaklął Lutek.

Nie opodal knajpy znajdował się nie brukowany, nierówny placyk, na którym, parkowało kilka wozów. Dwaj mężczyźni podeszli szybko do sfatygowanej warszawy, trzasnęły drzwiczki, zaterkotał rozrusznik. Raz, drugi bez skutku, motor nie zaskakiwał.

— Do nich! — komenderował Szymon.

Przebiegli na skos ulicę, szczęśliwie pustą zupełnie w tej chwili, wpadli na placyk. Warszawa ciągle nie chciała zaskoczyć. Tamci musieli ich widzieć. Gdy tylko bowiem Szymon szarpnął drzwiczkami od strony kierowcy, z wozu rozległ się ostry głos:

— Spokojnie, koledzy, spokojnie. Chcecie się może przejechać?

— Mam do pana jedno pytanie — Szymon starał się o spokojny ton głosu.

— Już raz pan pytał... Myli mnie pan z kimś innym.

— Więc teraz drugie pytanie...

— Zaraz, zaraz — mężczyzna przy kierownicy wyłączył stacyjkę — Nie lubię rozmawiać, gdy ktoś stoi, a ja siedzę. Prawda, Stefek?

— Aha — przytaknął kompan i wygramolił się z wozu.

Lutek zanotował sobie, automatycznie niejako, że i jeden, i drugi drzwiczki wozu zostawili szeroko otwarte.

I jeszcze coś zauważył, co spowodowało jego bardzo ostrą reakcję.

— Korbę niech pan zaraz położy na miejscu!

— Bo co? Zaczepiacie, więc może mam się nie bronić?

— Spokój, Stefek... Ma być pytanie. Słucham.

— Dziś przed południem groził pan pewnej dziewczynie. Złapał ją pan za ręce i wykręcał je, aż sińce zostały... Na szczęście uciekła wam. Może to także nie pan tam był? — Szymon stanął tuż przy swoim rozmówcy, aż tamten musiał unieść głowę, by zajrzeć mu w twarz.

— Dziewczyna? Dzisiaj? Ja? — głębokie zdumienie w głosie, ale pod nim tajony niepokój.

— Przy szosie wiodącej przez park...

Coś było w głosie Szymona, co zaimponowało Lutkowi i co musiało najwyraźniej zaniepokoić tamtego. Przez jakiś ułamek sekundy milczał, wreszcie wzruszył ramionami.

— Ach, już przypominani sobie... Czy to pana dziewczyna?

— Nic pana to nie obchodzi.

— Pytam, bo jeżeli tak, to rzeczywiście chciałem bardzo przeprosić... Nie było tak źle. Gadaliśmy z przyjaciółmi, jakieś tam duperele, a potem nagle spostrzegłem tę dziewczynę...

— Tylko bez dziewczyn. Tę panią — z naciskiem poprawił go Lutek.

— Dobrze. Tę panią. Tak nieoczekiwanie wpadła na nas, że się przestraszyłem. Właściwie bez powodu, teraz to widzę. Mogła nas słuchać i cały dzień, nie mamy tajemnic... Jeżeli coś nie tak wyszło, proszę tę panią ode mnie serdecznie przeprosić. Bardzo serdecznie.

— Tylko tyle?

Odsunął się trochę od Szymona, niespokojnie zaglądając mu w twarz. Jednocześnie spojrzenie jego pobiegło trwożnie na strony.

— To wy sobie, panowie, wyjaśniajcie, ja zobaczę, dlaczego nawala ten cholerny rozrusznik — szybko zagadał człowiek nazywany Stefkiem i wepchnął się do wozu, za kierownicę. Włączył kluczyk, stacyjka zabłysła czerwonym światłem, które zaraz przygasło, gdy motor zagrał równymi obrotami.

— Ej, koleś, tylko nie z nami w ten sposób... — zaczął Lutek, osadził go jednak Szymon krótkim syknięciem.

— Chce pan uciekać, dobrze. My się znajdziemy i może gdzie indziej zechce pan bardziej szczegółowo wyjaśnić, czego pan chciał od dziewczyny. Czemu jej pan groził, nakazywał milczenie?

— Po prostu chciałem postraszyć. Wie pan, czasem człowiek zrobi coś głupiego dla żartu... Powiedziałem, przepraszam. Jeżeli panowie sobie życzą, mogę osobiście tę panią...

— Tylko nie to — Szymon przekrzykiwał warkot motoru. — Od tej pani lepiej z daleka! Ale przeproszenie to też mało. Zasłużyłeś pan jeszcze na coś innego. O, na to!

Z rozmachem, mocno, wyrznął faceta w gębę, poprawił z drugiej strony.

Tamten szarpnął się, wyglądało, że skoczy na przeciwnika. W samochodzie zaszamotał się jego kompan, więc Lutek też zacisnął pięści, i nagle wszystko przybrało zupełnie nieprzewidziany obrót. Spoliczkowany facet skulił się, gwałtownie wskoczył do wozu, a zatraskując z rozmachem drzwiczki, krzyknął tylko do Szymka:

— Rachunek otwarty. My się jeszcze policzymy!

Zawył motor, od razu na szybkich obrotach. Ledwie zdążyli odskoczyć, gdy wóz nagłym skretem wypadł na ulicę. Chwila i zniknął z najbliższym rogiem.

Lutek z wytrzeszczonymi oczyma, ogłupiały tempem wydarzeń, patrzył na warszawę, a gdy zniknęła, przeniósł wzrok na Szymona.

Krajecki, też zdezorientowany, tarł ręką czoło.

— Rozumiesz coś? — bąknął Lutek, odzyskując nareszcie mowę. — Przecież siły były równe. Żeby dostawać po mordzie i nic, nie zareagować na żaden sposób, tylko spieprzać wozem, mało nie rozwalając domów?

— Chyba że facetom zależało, by za każdą cenę uniknąć rozgłosu... — powoli wycedził Szymon. — Pamiętaj, Danką mówiła coś o płaszczach, o jakimś innym towarze. Ciemne typy. Dlatego może gość wolał dostać cicho po mordzie i przełknąć to, niż ryzykować, by milicja czy inne władze miały się wmieszać w drakę. Bo chyba normalny facet nie może być aż takim tchórzem.

— Tamten był bardziej nerwowy — uśmiechnął się nagle Lutek. — Korbę brał w rączki... Żal tylko, że dla mnie nie starczyło roboty. Mogłeś powiedzieć, że będziesz ich łał. To zdecydowanie niekoleżeńskie.

Zaśmieli się. Dankę pomścili. Facet oberwał solidnie.

— Masz mocną grabę. Ani cię o to nie podejrzewałem. Zawsze taki spokojny, układny... — cmokał Lutek. — Jajcie masz dalsze projekty? Kontynuujemy tak ładnie zaczęta sobotę?

— Mnie już. minęło. Mam teraz ochotę tylko na sen — spokojnie odpowiedział Krajecki. — Możesz po drodze recytować Gałczyńskiego.

Rozdział V

Coś bliższego o bohaterach

Przydymiona, pokryta kurzem firanka tamowała dopływ światła i tak słabo przenikającego do północnego pokoju. Przecierając oczy, Szymon rozejrzał się po ponurym pomieszczeniu o przeraźliwie wysokim suficie. Lutek na swoim żelaznym łóżku spał jeszcze,

pogwizdując Cienko przez sen. Dwa krzesła, trzeszczące przy każdym poruszeniu, koślawy stolik i szafa z drzwiami na urwanych zawiasach dopełniały umeblowania. Naprawdę nie było o co gwałtować.

Musiał się w tym momencie uśmiechnąć. Przez parę kołobrzeskich tygodni nie widział mieszkania gospodyni więcej niż trzy razy. Patentowanymi zamkami odizolowała się po przeciwległej stronie korytarza od dwóch pokoi wynajętych przedsiębiorstwu budowlanemu, nie chcąc znać swych lokatorów... Czuła się wywiedziona w pole, w sezonie mogła tak dobrze zarabiać, za łóżko osiąga się i sto złotych za dobę, gdy ona za grosze, tak twierdziła, wynajęła oba pokoje na cały rok. Gdy Lutek jej bąknął, że po sezonie letnim złamanego grosza by nie zyskała przez pozostałe miesiące, obraziła się i odeszła mrucząc tylko pod nosem.

Zarówno oni, jak lokatorzy sąsiedniego pokoju, technicy z budowy, mieli przynajmniej spokój. Świadomość istnienia gospodyni docierała tylko niekiedy z przeciwległej strony korytarza straszliwymi fetorami gotowanej kapusty. Drzwi frontowe w ogóle nie były zamykane, wracać mógł każdy, kiedy mu się tylko spodobało.

Wydawało mu się, że w pokoju jest chłodno. Naciągając na siebie mocno już sfatygowaną kołdrę pomyślał, że pewnie się zepsuła pogoda, deszcz się może rozpadał, mógł go nanieść wczorajszy wiatr. Zerknął na zegarek. Zaledwie szósta. Normalnie wstawali o tej porze, ale dzisiaj niedziela, można się wyspać. Jakby na potwierdzenie tego przeciągnął się i przymknął oczy.

Sen jednak nie nadchodził. Znając siebie, musiał stwierdzić z żalem, że pewnie już nie nadejdzie. Nie czuł się wypoczęty, ciało wydawało mu się jakby połamane. Psychicznie też był w kwaśnym nastroju. To pewnie skutki wczorajszej historii z ruda topielicą.

Przez pamięć przepłynęły wszystkie szczegóły...

Wczoraj wszystko było zbyt świeże, tempo dalszych wydarzeń też nie skłaniało do rozmyślań. Obecnie trzeba zatem przeżyć wszystko od nowa.

Lutkowi tymczasem nic nie zdawało się przeszkadzać. Śpi snem sprawiedliwego. Jak szczeniak. W ogóle ma inny stosunek do życia, lżejszy, mniej frasośliwy. Choć i jemu przydarzają się napady jakiejś chandry, dziwacznych zamyśleń. Ogarnia go wtedy melancholia, zamyka się w sobie albo wyrusza w Polskę. To nawet nie, są te zwykłe pijackie trzydniówki. Lutek więcej

opowiada, niż pije naprawdę. Tyle że w takich okresach lubi być sam, z dala od znajomych, wałęsa się po knajpach, diabli wiedzą, gdzie sypia, co robi. Potem zaś wraca jak nigdy nic, znów wyskakuje przy każdej okazji z Gałczyńskim, uśmiecha się do całego świata.

Tu Szymon zachnął się sam na siebie. Za wiele coś myśli teraz o Lutku. Nie warto. Bo za tym czai się myśl o Dance. A jeżeli Lutek podkochuje się w niej naprawdę?

Ze złością przewrócił się na drugi bok. Tylko nie rozdrabniać wszystkiego. Nie może być nic gorszego. Można się wtedy zatruć własnymi myślami.

Zupełnie inaczej ułożyła się kołobrzaska praktyka, niż przewidywał. Pod każdym względem. Specjalnie się starał o skierowanie na ten odcinek wybrzeża. Od kilku lat słuchy krążyły w środowisku studenckim o tym, jaką szansę złapali młodzi architekci i budowlani w Koszalińskim. Kredyt zaufania, zezwolenie na własną wizję, możliwość rozmachu... Z bliska okazało się to już w znacznej mierze przeszłością, okres improwizacji minął; dawne ambitne środowisko młodych wykruszało się z wielu powodów. Został tylko wielki plac budowy, z wojewódzkiego miasta po pamiętnej uchwale rządowej przerzucony do Kołobrzegu. To sarno niemal już wystarczało, żeby starać się tu o letnią praktykę.

On miał przy tym dodatkowe, ściśle już osobiste powody. Nie pierwsze to spotkanie z tym miastem... Marszcząc czoło, próbował zliczyć swoje tutaj pobyty.

Pierwszy przyjazd pozostał tylko w mglistym wspomnieniu. Było to krótko po wojnie. Szukali z matką grobu ojca na wielkim cmentarzu. Znaleźli krzyżyk z tabliczką. Matka płakała, była to wczesna wiosna, chłodnawa jeszcze, on także gotów był płakać, przemarzły mu nogi... A jak miasto wyglądało? Nie rozpoznałby żadnego punktu, na soczewce pamięci pozostał obraz ponury, pełen ruin, spiętrzonych, wysokich; wszędzie ruiny, rzadko dom ocalały. W jednym z takich domów przenocowali wtedy z matką gdzieś kątem. Koleje chodziły w tym czasie rzadko, nieregularnie...

Po kilku latach znów towarzyszył matce. Pierwszy listopada, pół Polski w pociągach, przerzucających ludzi z jednego końca kraju na drugi. Migotania światełek żałobnych lampek na grobach. Także i na kołobrzeskim wojskowym cmentarzu. Dzień szary, mżawka, znów chłód. I miasto szare, .biedne, jakieś zgaszone, zdające się z trudem tylko oddychać. Pamięta, jak ktoś wyrzekł przed matką, że właśnie zamknięto port, odcinając ostatnią szansę dla Kołobrzegu...

Zastanawiał się przez chwilę. To musiały być lata pięćdziesiąte, wtedy zapadła decyzja skasowania kołobrzeskiego portu. Ale i następne wiosny nie przyniosły perspektyw...

Długo potem, ani z matką, ani sam, nie czuł ochoty do nowych odwiedzin. Przytłaczało go wspomnienie ojcowskiego grobu w skali ogólnej szarzyzny, smutku i beznadziei. Dziwne, ale nawet starał się wymazywać fakt istnienia Kołobrzegu z pamięci. Tym silniejszym wstrząsem

stały się kolejne odwiedziny przed paru laty, już po wygraniu przez miasto największego chyba losu w swojej dziesięciowiecznej historii. Zachłysnął się wtedy tempem, pasją, gwałtowną zmianą miejskiego i portowego krajobrazu. Nawet cmentarz, mimo iż jeszcze nie uporządkowany, wydał mu się pełen spokojnej, pastelowej pogody. Większą, symboliczną wymowę miały rzędy setek i setek grobów...

Jakże to Lutek powiedział? Że nie można go zagiąć na niczym, co tyczy się Kołobrzegu, dziś czy w przeszłości? Trafnie strzelił. To się zaczęło w czasie tych kilku dni pobytu tutaj w sześćdziesiątym roku. Uczęszczał jeszcze do liceum. Wykładowcą historii był jeden z żołnierzy I Armii. Umiał opowiadać, a i miał o czym mówić, przeszedłszy cały szlak bojowy, od Lenino, przez przyczółki wiślane, Wał Pomorski, Kołobrzeg, po Berlin... Właśnie Kołobrzeg. Zaczęły się pytania na lekcjach, kontynuowane w długich prywatnych rozmowach. Doszła lektura, zachłanna, nieprzytomna, opracowań, monografii, wspominków. Jeszcze później tropienie ludzi, którzy w trakcie walk zetknęli się z tym miastem. Krąg najbliższy tych, co byli wtedy wraz z ojcem... Jak wyglądał każdy kolejny dzień ich kampanii w trakcie ~ jedenastu dni kołobrzeskich? Tamtego ranka, gdy poległ ojciec, jak wszystko się przedstawiało... Słuchał, notował, jak mozaikę mozolnie klejąc z drobnych okrucich relacji obraz tak mu serdecznie bliski. Tłem zaś stawał się Kołobrzeg, zarówno współczesny, jak (i najbardziej dawny, piastowski, Kołobrzeg rycerzy Krzywoustego śpiewających tu dumną, osobliwą pieśń morską, najwcześniejszą chyba ze znanych pośród narodowych przekazów...

Cóż więc dziwnego, że gdy nadarzyła się szansa, gwałtownie starał się o praktykę na kołobrzeskiej budowie. Marzył mu się rozmach, tempo, ciekawsza praca niż w tej Solinie, która tak mu się dała we znaki. Tym razem przyszło rozczarowanie. Jeżeli go boleśnie nie odczuł, to tylko za sprawą Danki. Że i to właśnie musiało go spotkać akurat w tym mieście...

Westchnął, przymknął oczy. Chętnie by uciekł od tego tematu. Może nawet i wspominkami kołobrzeskimi tak dziś kołował po to, by nie myśleć o Dance. By sobie nie wmawiać, że to stało się teraz naprawdę, że już nie sympatia, że to już coś zupełnie, zupełnie innego...

Od Danki nie było ucieczki, myśl o niej nie dawała się zepchnąć na dalszy plan, wracała, była najważniejsza.

W końcu przecież nic tak bardzo nadzwyczajnego... Florek tak się wyraził któregoś razu, dziwiąc się trochę, że obaj z Lutkiem tak przyłgnęli do tej muchy z brązowymi oczyma... Zaraz się zresztą wycofał, mówiąc o niej kupę przemyśłych rzeczy. Nie bujał, musiała być Danką na roku lubiana.

Uchwycił się tego określenia jak pijany płotu. O właśnie, lubiana. Przecież on też jedynie lubi ją bardzo. Bardziej niż inne dziewczyny. Ostatecznie tak nazbyt wiele się z nimi nie stykał. U nich

na roku były dwie, nieciekawe, mijane obojętnie. Danka była inna, zupełnie inna i tą swoją odmiennością potrafiła go podbić. Naprawdę kumpel, że drugiego takiego ze świecą szukać. Więc lubi ją tylko, nic więcej. Bardzo lubi. Drobna, żywa, inteligentna. Przy niewielkiej figurze zgrabna i zwinna. Wczoraj na plaży dogonił ją przecież z największym trudem. Oczy brązowe z zapalającymi się w źrenicach zielonkawymi plamkami. Wtedy, gdy była w anielskim nastroju i zaśmiewała się z czegoś serdecznie. Nosek odrobinę zadarty w górę, co sprawiało, że czyniła wrażenie bardzo jeszcze smarkatej...

Szymon ciężko westchnął i usiadł na łóżku. Przez okno na przeciwległym murze zobaczył słoneczne plamy. Ładna pogoda, żaden deszcz, to tylko w tej budzie tak ponuro, że można się wściec. Stąd pewnie i ten jego nastrój. Brr, zimno, chłód ciągnie ze starych ścian. Lutek nadal śpi. Tego gryzonia chyba się nie da obudzić. Pal go sześć. Technicy też pewnie śpią jeszcze, w umywalni nie słychać żadnego plusku. Zatem marsz, Szymon, do mycia.

Nie ruszył się jednak z miejsca, tkwił-wciąż na łóżku, zwieszając z niego chude badyle nóg. I wtedy właśnie rozległo się nieśmiałe pukanie, po czym drzwi uchyliły się i Szymon dostrzegł w szparze zaciekawioną, opaloną twarz Danki.

— Czy tutaj... — zaczęła, a poznając go, z miejsca wpakowała się do pokoju. — Uf, myślałam, że was nie znajdę. Czy tu w ogóle nikt nie mieszka? Dobijam się do drzwi wejściowych, nic. Były otwarte. Pukałam na lewo i prawo, tylko jakieś straszne chrapanie... Chłopaki, za pięć minut czekam was na ulicy, dobrze?

— Jego i w godzinę nie dobudzę — wskazał na Lutka. — Stało się coś?

— Musicie mi dopomóc. Na budowie. Obiecałam, że was przyciągnę. Tam sądny dzień. We wtorek odbiór, przyspieszony o dwa dni. Idiotyzm, ale nic nie poradzę. Zgoda?

— Lutek, Lutek, hura, hura, bij zabij! — wrzeszczał rozochocony Szymek, tarmosząc przy okazji przyjaciela bez miłosierdzia.

Poskutkowało. Pazoła wyskoczył z łóżka jak z procy. Oprzytomniał od razu, zdążył nawet oddać Szymkowi parę kuksańców.

— Danka czeka na ciebie za drzwiami, masz pomóc jej na budowie.

— Danka? Na mnie czeka? Budowa? Tyś zwariował? A ciebie czasem nie raczyła łaskawie wybrać?

— Mnie też.

— To co innego... Lecę się umyć.

Czekała na nich roześmiana, spojrzała na zegarek. Potrząsnęła z podziwem głową.

— Trzy i pół, minuty. Niezłe tempo. Boże drogi, nawet uczesani, guziki zapięte.

Szli szybko. Ranek był jeszcze rzeński, ale słońce już zaczynało przypiekać. Znów będzie

prażyło przez cały dzień.

— Inżynier stracił głowę... Masa fuszerek, drobiazgi, ale zatrząsienie tego. Z majstrami sami wiecie, jak nie pokaże się czegoś palcem, nie przypilnuje, to nagle zaniewidzą, i tyle. Trzeba także przygotować protokoły zdawcze. Nigdy w życiu tego nie robiłam. A wy?

— Zdarzało się — nadął się Lutek.

Już byli na miejscu. Od zewnątrz budynek wczasowy zakładów włókienniczych prezentował się okazale. Piętra tarasowato cofnięte w głąb, wszędzie więc mogło przedostawać się słońce, jasny kolor tynków, zgrabna, skończona sylwetka, przy dobrym usytuowaniu na tle pasma parkowej zieleni. Rozświetlona słońcem, prezentowała się wcale okazale, Lutek aż zagwizdał z podziwu. Nie było jednak czasu na kontemplowanie urody budynku. Wokoło huczało.. Teren budowy był zaśmiecony, zarzucony materiałami, zryty ciężarówkami. Wszędzie, na pierwsze spojrzenie, bez żadnego ładu, kręcili się robotnicy, wynosili coś i przynosili z powrotem w nerwowym pośpiechu.

— O, kierownik — Danka wskazała chłopakom pyknikowego faceta, ocierającego w biegu pot z czoła. — Proszę pana, jest pogotowie techniczne. Co mamy robić?

— Pogotowie? Aha, aha, świetnie, świetnie... Widzicie panowie, szaleństwo... Otoczenie zostawimy na jutro, to mucha... Wnętrza. Niewszystko gra. Zajmiecie się może całością pionu wodnego, i kanalizacyjnego. Warto by sprawdzić zamki przy drzwiach. Co drugie się nie zamykają... Malarzy też weźcie w obroty, niech dobiorą kolory do tych ostatnich przeróbek, zaprawa powinna była już wyschnąć...Gdybyście jeszcze później zechcieli wypełnić te arkusze... Są w kancelarii, technik je wyda... Resztę potem obgadamy. Coś w kotłowni nawala, muszę zobaczyć. Miała być centralna ciepłownia dla całego zespołu obiektów, figa z tego, teraz każdy sam sobie zaśmiecać będzie teren pyłem i koksem, bo na magazynowanie brak miejsca. Do chrzanu taka robota! W tym mieście jest trzydziestu inwestorów i mocodawców, a żadnego koordynatora. Oszaleć można, cześć, cześć...

Potoczył się na krzywych nóżkach, ocierając wielką chustką obfity pot.

— Szymon, chwytaj się za te zamki przy drzwiach. Ślusarza gdzieś tu chyba odnajdziesz... My z Danka będziemy obstawiać pion wodny... No, czego się krzywisz? Wieczorem idę do kina na wolnym powietrzu. „Popioły”, przegapiłem je we Wrocławiu. Będziesz mógł zatem pod moją nieobecność opiekować się Danka.

— O ile ja zechcę. Cóż tak mną rozporządzasz? — Obruszyła się. Dobra, Szymek, już my sobie wieczorem odbijemy godziny obecnego rozstania!

— Na dwójce cholerny zaciek na ścianie. Przewody pękły czy jak? Pójdziemy zobaczyć? — Jakiś majster zahaczył Dankę, minę miał mocno nietęgą. — Żeby znów nie trzeba było rozkuwać.

Kierownik zeklnie nas na psiamać. A było dobrze.

— Cześć, Szymek — na widok jego smętej miny dyskretnie przesłała mu palcami całusa. Zamrugął tylko oczyma.

Nie ślusarz, ale stolarz i malarz okazali mu się potrzebni. Futryny i drzwi zrobione ze zbyt mokrego drzewa powypaczały się na słońcu, heble dławiły się świeżą farbą olejną, drzewo łuszczyło się zadziarami, stolarz kłął na całego. Za nimi z kubełkiem w ręku szedł pacykarz, pomocnik malarza, zakrywając poprawki świeżą farbą. Z pokoju do pokoju, z piętra na piętro. Szymon na skrawku papieru notował potrzebne do protokołu dane. Nudne było to wszystko, posuwali się jednak z robotą. Parę godzin i skończą.

— Żar cholerny. Na wrzesień idzie — sapnął w pewnej chwili stolarz. — Tu zawsze jesienią najpiękniej, wtedy gdy całe to tałałajstwo wczasowe dawno się już rozjedzie... Trzeba odsapnąć, no nie?

Wyszli na jeden z tarasów. Z tej wysokości morze stało się niemalże tuż pod nimi, oddzielone kotłowskiem ciał na plaży. Kolorowe parasole wykwiwały żywymi plamami.

— Złuszczą takie fuszery, jak tylko przez nie się patrzy. Ale jak człowiek spojrzy potem z góry na te domy, na sanatoria, to lżej jakoś się robi... Tu było cholerne zadupie, ludzie stąd uciekali jeszcze dziesięć lat temu. Nie było się o co zahaczyć. Port był nieczynny, tyle że parę rybackich kutrów pętało się przy brzegu. Miałem się już przenosić do Słupska, gdy poszły słuchy o tej rządowej uchwale... A teraz? Ani poznać starego Kołobrzegu.

Mrużył oczy, patrzył przed siebie, rękę wyciągnął, jakby nią chciał ogarnąć wielki plac budowy. : — Pan stąd, z Kołobrzegu?

— Od czterdziestego szóstego. My z Sokółki, może pan wie, pod Białymstokiem. Myślałem, wrócę za jakiś czas. Teraz ani nie mam na to ochoty. Dobrze mi w Kołobrzegu, odkąd to wielki świat zaczął się tutaj robić. Czasem tylko złości, że to za wolno, że ciągle trzeba poprawiać zupełnie nowe, ale to chyba u nas musi już tak być? Tyle że przez to każda rzecz drożej kosztuje.

Szymon spoglądał na długi pas nadbrzeżnych budowli, sanatoriów i domów wczasowych, nowych, wbrew tym trudnościom wyrastających jednak każdego roku jak grzyby po deszczu. W samych sanatoriach ma być tu dziesięć tysięcy łóżek. Cała armia...

Wiatru nie było, woda stała się spokojna, cicha, aż za cicha, jakby nie morska. Łagodna żółć i zieleń toni rozniebieszczwały się dalej i granatowiwały, ostrym konturem odcinając linię horyzontu od spłowiałego nieba. Miejscami na te barwy nakładał się w załamaniach leciutki morski poblask starego, spatynowanego srebra.

Wzrokiem zaczepił o iglicę pomnika. Zaślubiny z Bałtykiem. Ładna nazwa, wiele mówiąca, ogarniająca swoją symboliką także poległych tutaj Polaków...

— No jak? — gasząc starannie nogą niedopałek papierosa, zagadnął go stolarz. — Idziemy dalej naprawiać partaczy?

Szymon jeszcze raz odetchnął mocniej, szeroko. Uśmiechnął się. Narzekał, że trafili z Lutkiem na wyjątkowo ślamazarnie się wlokącą budowę, wspominał harówki w Solinie... Pewnie, tam było inaczej, ale przyjdzie moment, gdy i przy tym Domu Zdrojowym zaczną gonić jak zwariowani. Też będą fuszerki, bo jak powiedział stolarz, musi widocznie u nas tak być, ale w końcu gmach stanie.

— Pisz pan tu, troje drzwi — rzekł stolarz.

— Ano tak — ocknął się Szymon.

Wszakże nie musiało to być pełne rozbudzenie, skoro po chwili złapał się, iż zamiast cyfry wstawił w rubrykę literki, pięć, razem dających się odczytać dość jednoznacznie: Danka.

Mocno się musiał wziąć w garść, żeby znów zacząć pamiętać o drzwiach, oknach, futrynach...

— No, fajrant, a za godzinę ruszamy dalej — odetchnął stolarz, gdy nadbiegł od miasta głos syreny, oznajmiającej południe. Przerwa obiadowa.

Przeskakując po kilka stopni Szymon zbiegł na podwórze, aby prędzej znaleźć się koło dziewczyny. Przestał już łudzić sam siebie. Najzwyczajniej w świecie zakochał się.

— O, jesteś, to dobrze. Czekamy na ciebie. Florek ma do nas pretensję, a zarazem jakieś osobliwe projekty. Idziemy do baru mlecznego? Trzeba coś wziąć na ząb...

— Dziewczę miłe, jeszcze się pytasz? Nawet twoją urodą żyć wyłącznie nie można — zaperzył się Lutek. — Zagnałaś nas do roboty bez śniadania.

— Za to stawiam wam barowy obiad. Kluski z serem czy naleśniki, co chcecie?

— Nie bajtlujcie już, chodźmy szybciej, musimy to wszystko obgadać — ponaglał ich Florek, jakiś bardzo przejęty. — Pół dnia was szukałem po całej plaży, dopiero coś mi strzeliło do głowy, by zajrzeć na Danki budowę...

— Refleks, można by rzec, Wcale szybki — zaśmiał się Lutek. — W końcu nic straszego, wieczorem też mógłbyś się zwierzyć.

— Kiedy ja dzisiaj wracam do swoich starych.

— Do Łeby?

— Do Łeby. A popołudnie mam zajęte.

— Ach, teraz rozumiem... Ona była ruda, ale niezupełnie, pewien połysk na włosach grasował... Tak cię, kochasiu, wzięła na rudo?

— Zostawcie. Wcale porządna babka.

Wpakowali się wreszcie do baru. Skończyło się na zsiadłym mleku i bułkach z serem.

A potem Florek, zerkając na zegarek, pociągnął ich w pierwsze spokojniejsze miejsce.

— Bo widzicie, gadaliśmy, by po praktyce, a to już przecież za parę dni, machnąć się do jakiejś spokojniejszej dziury na wybrzeżu...

— Łeba też nie taka spokojna. I w niej wczasowa szarańcza.

— Guzik wiesz. Łeba to nie tylko morze. Jest i to wielkie Jezioro Łebskie.. Ale słuchajcie. Moi starzy lada dzień zwijają manatki, wracają do domu. Ojciec zabrał ze sobą namiot, nie był mu zresztą potrzebny, oddaje go nam. Po to dziś gonię, aby go jutro odebrać... Przyszło mi na myśl, byśmy się do Łeby machnęli wszyscy. Już się trochę tam rozeznałem. Można by wynająć domek campingowy, są nad jeziorem, ale raczej zaszylibyśmy się gdzieś głębiej. Bo przecież ja nie będę tłukł się do was z powrotem z tym namiotem i jeszcze może kajakiem. Dam adres, znajdziecie od razu. Dobra?

— Mówiliśmy o Wolinie, a tymczasem mamy się pchać w odwrotną stronę?

— Ostatecznie jaka różnica? — przerwała Pazole Danka. — Może i ja znajdę znajomego w tej Łebie. W zespole rybackim jest tam przyjaciel mojego ojca. Pochodzi z tej samej wsi, gdzieś w Nowogródzkiem to było... Spróbowałbym się przymówić, a nużby spiknął nas z rybakami, ułatwił coś? Jak myślicie?

— Mnie wszystko jedno — poparł ją Szymon.

— Szanując demokrację, poddaję się większości głosów, choć bunt we mnie się zrywa —Pazoła rozłożył ręce, by po chwili zakrzyczeć głosem pełnym przestachu: — Florek, ale co będzie z rudą? Tak ją zostawisz, niewdzięczny? Samotną? Tutaj?

— Przecież z nią ślubu nie brałem... A jak zechce, może też za mną wylądować choćby i w Łebie.

Przyjrzeni mu się z udawaną powagą.

— Stracony chłopak — zmartwił- się Lutek. — W ogóle to ja trafiłem tu w towarzystwo. Niedowarzona dziewczyna, która zadziera z jakimiś bandziorami. Osilek, który potem tych bandziorów pierze po pyskach. Kochliwy chłopczyk, uwielbiający zwłaszcza wszystko na rudo...

— Zaraz, zaraz — przerwała mu Danka. — Kto prał kogo po pyskach, Szymek, gadaj!

— E tam, zawracanie, głowy, nie znasz Lutka?

— Znam. Wypaplał się, więc teraz się kuli i daje ci rozpoznawcze znaki.

Szymon w złości zagryzł wargi.

— Skoroś zaczął, to paplaj.

— Nic takiego, Danka... Zaszliśmy wczoraj na jedną wódkę do „Fregaty”, Jakoś tam wyszło, że napatoczyli się tamci...

Plątał się, jękał, nie pomogło, dziewczyna bowiem wyciągnęła z niego wszystko, słowo za słowem. Szymon próbował pogwizdywać, Florek był zachwycony, patrzył na Krajeckiego jak w

tęczę.

— Jasny gwint, wy macie cholerne szczęście. Że to mnie nigdy nic takiego się nie przydarzy — ze szczerym żalem powiedział Florek. — Do zobaczenia za parę dni w Łebie. Ciao.

Rozdział VI

Osobliwa noc

Delikatnie ujęła kieliszek w palce spoglądając na przełamujące się i mieniące w rubinowym płynie światło.

Położył dużą rękę na jej dłoni, zakrywając ją całkowicie. Zaśmiała się, chcąc coś powiedzieć. Ściągnęła wargi. Leciutko, żeby go nie urazić, cofnęła rękę.

— Bardzo się cieszę na nasze wakacje. To właściwie od paru lat pierwszy raz wypocznę w czasie ferii. Zawsze chwytałem się jakiejś roboty. W tym roku zgarnąłem niezłe przez marzec i kwiecień w Centrali Nasiennej, starczy na dokładkę do stypendium na cały rok. Ala najwięcej rad jestem z tego, że i ty będziesz razem. Jak to dobrze, że cię, Danko, poznałem... — urwał, spojrzał na flaszkę. — Należę ci. Wypijemy za naszą przyjaźń.

— Gotowany się rozpic, ale niech już będzie... Tylko, Szymek nazbyt się nie rozkliwiaj, nie lubię tego. Mało wyznaję się na romantycznych nastrojach.

Uśmiechem złagodziła może zbyt ostre słowa, spojrzała za okno. Słońce niedawno zaszło. Od zachodu niebo czerwieniło się jeszcze, roztopiając z wolna ten kolor w coraz bardziej miękkich pastelach, by w końcu fiołkowymi oparami zmierzchu ogarnąć miasto.

— Kąpieli nie daruję — potrząsnęła głową, czemuś mu się wydało, że podobnie musiał wyglądać ów Hajduczek, Baśka Wołodujowska, ale gdzież by tam jakiejś Baśce równać się z Danką. Tamta na domiar była ciemna, gdy Danko jest blondynką; ostatnie poblaski słońca załamują się pięknie na jej gęstych włosach. — Kąpieli nie daruję, czy słyszysz, Szymek? — powtórzyła, wrywając go z zamyślenia. — Przysięgam sobie, że żadnego dnia nad morzem nie zrezygnuję z wody. Nawet za cenę „Mistelli” w twym towarzystwie. Teraz chyba będzie przyjemniej, na plaży pusto, spokojnie. Idziemy?

— Zostało nam jeszcze po jednym kieliszku... Danko, może zamówię ciastka?

— Trzy już opchnąłam, straszna rzecz... Poza tym nie mogę ciebie zrujnować. Zatem za twoje zdrowie, Szymek. Za naszą przyjaźń.

Równi z was chłopcy, z ciebie i z Lutka.

Bez entuzjazmu uniósł kieliszek. Czemu Danko ciągle wyskakuje z tym Lutkiem. Może ją coś z nim łączy?

Ludzie oglądali się od stolików, gdy przeciskał się za Danką ku wyjściu. Kurczył się, starał się

zmałeć, zdając sobie sprawę z przyczyny tych spojrzeń. Rzeczywiście, dobrali się jak w korcu maku. On, dryblas, zawsze pierwszy w szeregu na zbiórkach do ćwiczeń wojskowych, ona drobniutka, maleńka, sięgająca mu ledwie do pachy. Może - dlatego się w niej zakochał, że budziła w nim opiekuńcze uczucia?

Odetchnął na dworze z ulgą. Mrok coraz ciemniejszymi płatami zasnuwał ziemię. Tylko od zachodu niebo jeszcze się różowiło. W powietrzu było spokojnie, żaden listek nie drgnął na drzewach. Niosły się skądś dalekie echa.

--- Gnamy z miejsca na plażę?

— Zaczekajmy, aż noc zapadnie. Raz tylko kąpałam się w nocy.

Wtedy brakło księżyca, dzisiaj niedługo wzejdzie. Możemy się przejść w kierunku portu.

Było mu wszystko jedno. Poszedłby za nią wszędzie, dokąd by iść miała ochotę. Ogarnął go świetny nastrój, zapomniał d Lutku. Właściwie to pierwszy wieczór, kiedy są z Danką we dwójkę, zawsze tamci dwaj się pętali. Nie ma więc czym się trapić.

Ujął dziewczynę pod ramię. Podniosła głowę.

— Właściwie powinienes mnie nosić na rękach jak dziecko.. Myślę o proporcjach naszego wzrostu — zastrzegła się z miejsca, widząc jak błysnęły mu oczy. — Szczerze mówiąc, pierwsza rzecz, która spodobała mi się w tobie, to właśnie te równe metr dziewięćdziesiąt.

Widocznie kontrasty się przyciągają.

— A druga?

— Druga? Muszę się zastanowić — marszczyła czoło w rozbawieniu, wnet jednak spoważniała. — Może byś się i domyślił. Druga, to twoje zakochanie w tym mieście.

— Lubisz to miasto?

— Czy lubię, nie wiem. Na jakiś sposób jest mi swojskie, nawet i przez tę pierwszą praktykę... Może to twój wpływ, zaraziłeś mnie, ale od pewnego czasu czuję się jakoś związana z Kołobrzegiem. Jak gdybym miała tutaj coś do zrobienia. Nie umiem tego wyrazić. Kołobrzeg odzywa się we mnie niepokojem, nastrojem podenerwowania, takiego, jakie odczuwa się wtedy, gdy czegoś się spodziewamy, oczekujemy, ale nie możemy sami określić czego.

Przystanęli. Objął ją w pól, nie oponowała, przytuliła się. Z miejsca, gdzie stali, rozpościerał się widok na nabrzeże portowe. Dwa dźwigi pozostawały nadal oświetlone, jakby dopiero co ukończyły pracę. Na jednym ze statków trwała żywa krzątanka. Reflektor blaskami omiatał banderę.

— Finlandia — powiedział Szymon. — A tamten obok to szwedzki. Tam stoją dwa z RFN-u. Widziałem je wszystkie w przerwie obiadowej, gdyśmy ciągnęli do baru mlecznego... Port dziś także pracował, trwał rozładunek... Pomyśl, że przed piętnastu laty skazano ten port na wymarcie.

Razem z nim miasto, w którym nic się nie robiło, resztki budynków murszały ze starości, ludzie stąd uciekali.

Nie odpowiedziała. Przytuleni stali tak długo, spokojnie sycąc się obrazem życia przed sobą. Od morza ciągnęła leciutka morka, przyjemnie chłodząca nagrzaną ciałą.

Przetrawiał słowa Danki o Kołobrzegu. Pewne objawy zainteresowania jego pasjami traktował przedtem jako grzeczność. Nie dalej niż wczoraj obawiał się, że idzie z nim na spotkanie kombatanckie w pedeku jedynie dlatego, że prosił ją o to. Wszakże trafiały się niekiedy z jej strony pytania świadczące, że coś ją naprawdę musiało nurtować. Co, sama nie wie. Mówi o niepokoju, o podnieceniu... Zakochała się?

Uczuł w tej chwili, jak gorąco zalało mu serce radością i jednocześnie zmroziło je lękiem. Jeżeli zakochała się, to w kim? Przystaje tylko z ich trójką. Florek? Znają się przecież od dawna. Więc albo Lutek, albo on...

— A trzecia rzecz, Danka?

Ocknęła się z zapatrzania.

— Co trzecia?

— Trzecia rzecz, dla której mnie polubiłaś? Dotąd wymieniałaś zaledwie dwie... Wzrost i Kołobrzeg. Przyczyny zainteresowania zresztą dość osobliwe. Pragnę znać dalsze.

Musiała wspiąć się na palce, by rozrzucić mu dłonią jasne włosy, gładko zaczesane do góry,

— Paradny jesteś. Obcesowo mnie traktujesz. Skoro chcesz, zatem słuchaj. Trzecia rzecz, to twoja uroda. Męska twarz, jasne włosy, jakby len słońcem prześwietlony, lekko błękitne oczy, łagodne i pełne dobroci, nos wydatny świadczący o charakterze. Czwarta rzecz, to twój charakter. Nieskazitelny we wszystkich cechach, wzorowy. Piąta, to...

— Błagam, nie wykańczaj mnie — złożył ręce jak do modlitwy. — Wolę już więcej nie słyszeć. Jeszcze nadmę się dumą i sfrunę do morza, zostaniesz sama, łzy zaczniesz ronić, ciemna jakaś sztuka zlituje się nad tobą i porwie cię...

— Uciekajmy zatem daleko, daleko, aż na sam koniec plaży — trzymając go za rękę, zaczęła biec. Potem puściła tę rękę i teraz dopiero musiał wyteńczyć całe swe siły. Pędziła szybko, zwinna nad podziw. Trudno jej wszakże było się równać z jego potężnymi susami. Gdy zbiegła na plażę, dopędził ją, a korzystając z panującego tu cienia, złapał wpół, uniósł do góry, leciutka była jak piórko, chwilę tak przytrzymał, dopiero stawiając na ziemi niby przypadkiem musnął jej policzek wargami. Drgnęła, nic jednak nie powiedziała. Bez słowa zeszła teraz-na brzeg, tam zdjęła pantofle i trzymając je w ręku, szła po ubitym, wilgotnym piasku. Drobniutka fala wdzierając się na plażę, opłukiwała jej nogi.

— Danka, gniewasz się? — speszyło go jej milczenie.

— Skądże. Dziwię się tylko, że moczysz buty — prychała.

— A rzeczywiście — dopiero się spostrzegł.

Ujęła go za rękę.

— Maszerujemy w siną dal... — tu obejrzała się na moment za siebie, wskazała dłonią. — Popatrz, ślicznie... Zaślubiny z Bałtykiem. Spotkałeś może kogoś z tych najpierwszych, którzy dokonywali tego aktu, rzucali tu swe obrączki? Czytałam o nich.

Daleko za nimi, podświetlony reflektorami, piął się w górę pomnik Zaślubin z Bałtykiem.

Szymon, wdzięczny dziewczynie za tę chwilę, zaczął mówić ścisłym głosem, na poły szeptem, jakby mocniejszym dźwiękiem bał się rozproszyć nastrój.

— Z tymi najpierwszymi nie udało mi się do dzisiaj zetknąć. Teraz o podobne spotkania łatwiej, zmieniło się, tamten trud i walka odżywają w ludzkiej pamięci. Porządkuje się cmentarze, stawia pomniki, wytycza szlaki turystyczne, wiodące śladami kołobrzesckiej kampanii. Jeszcze kilka lat temu było inaczej. Ci żołnierze żyli częstokroć zapomniani, zostawieni samym sobie. Nie chodziło im o jakieś profity, sami umieli dać sobie radę. Brakło im czegoś innego: nastroju ciepła, serdecznej pamięci, może nutki wdzięczności. Ludzkie to, w ich przypadku bardzo usprawiedliwione. W niektórych zaczynała się już rodzić zgorzkniałość i zniechęcenie, jakby cień niewiary w celowość własnego wysiłku, tamtej wielkiej ofiary. Też ludzkie...

Wolno szli ubitym, wilgotnym piaskiem, podstawiając stopy pod łagodne fale. Było już tu zupełnie pusto. Szymon czuł się szczęśliwy. Mógł tak iść z Danka w nieskończoność, mówić cokolwiek lub milczeć, czuć przy sobie obecność maleńkiej, uroczej dziewczyny, zachłystywać się samym faktem jej obecności, niczego więcej nie pragnąc.

I jej zdawał się udzielać ten jego nastrój. Czuł bez troskę i pełne odprężenie w zachowaniu dziewczyny, w figlarnym harcowaniu jej stóp z wodą, w przytłumionym, cichutkim śmiechu, w dyskretnych uściskach ręki.

Ocknęła się pierwsza.

— Stop, błędny rycerzu. W ten sposób dojdziemy do Międzyzdrojów. Niechże zatriumfuje zdrowy rozsądek. Tu popływamy.

— Zdrowy rozsądek odradza nocną kąpiel.

— Świetnie. Wobec tego wykąpię się sama.. Zaczekaj tutaj, przebiorę się, a gdy wrócę, będziesz pilnował rzeczy.

Ze śmiechem frunęła pod osłonę zakrzewionej skarpy brzegowej. Pokręcił głową, roześmiał się. Zawsze tak było, nigdy nikomu nie pozostawała dłużna.

Po chwili i on rozpędził się i runął do morza. Nie znosił powolnego zanurzania się. Przebrnął jeszcze kilka kroków, a gdy woda sięgała mu wyżej pasa, popłynął udając, że nie dostrzega

niczego za sobą. Po paru chwilach dobiegło go parskanie i lekkie posapywanie. Natężył ramiona, płynąc szybciej.

— Wariacie, zaczekaj! — nie wytrzymała.

Dopiero zawrócił. Chlupnęła mu wodą w twarz.

— Tacy jesteście wszyscy. Dla kobiety wyrzekacie się swoich zasad, nawet tych dyktowanych zdrowym rozsądkiem.

— Danka, kapituluję z góry. Na całym froncie.

Przy porównaniu temperatur powietrze zdawało się o wiele chłodniejsze od wody. Tym chętniej zanurzali się, pływali, nurkowali, chlapali i barszkowali jak niedowarzeni smarkacze. W nocnej scenerii plaża, brzeg i samo morze wydawały się zupełnie inne niż w dzień. Najdziwniejsza była cisza i spokój.

A potem, gdy ubrani przysiedli na skraju skarpy, porosłej ostrymi kępami trawy, czas niemal rozpływał się w swych granicach, stawał się najzupełniej nieważny.

— Nie zimno ci? — objął ją delikatnie ramieniem.

Przytuliła się ufnie.

— Nie — potrząsnęła głową, mokre włosy musnęły mu policzek. — Tak mi dobrze. Siedziałabym tu do rana. Zobacz, niebo ściemniało, tym mocniej odbijają gwiazdy, od zgranatowiałego tła, może któraś zacznie spadać, zamierzamy o spełnieniu najskrytszych pragnień. To ładne wierzenie, choćby w życiu się potem nie sprawdziło. Morze też ciemne, ale nie czuje się w nim grozy, jest jak obłaskawiony zwierz, mruczy przyjaźnie. I te srebrne pobłyski, jakby zapalały się tam tysiące świętojańskich robaczków. Szkoda, że nie znasz Gałczyńskiego jak Lutek, na pewno znalazłby coś odpowiadającego tej chwili.

Uczuła leciutkie, zaledwie wyczuwalne drgnienie jego ręki, gdy wspomniała o Lutku. Ubawiło ją to i rozrzewniło zarazem. Odwróciła głowę ku chłopcu? Tkwił wpatrzony nie w niebo, nie w fascynujące morze, ale w nią. Oczy jego połyskiwały, wyraziste, zognomnione w mroku. Drobnymi dłońmi sięgnęła po tę podłużną twarz, ujęła łagodnie z obu stron, obróciła i przyciągnęła ku sobie, blisko, aż wargi ich zetknęły się z sobą. Zrazu łagodnie, muśnięciem, dopiero potem pocałunek stał się mocniejszy, pełny.

A gdy po długiej, długiej chwili oderwali się od siebie, on teraz dla odmiany ujął jedną ręką jej głowę i tak przytrzymując, znów się przypiął do małych gorących warg. W głowie waliło mu jak młotem, czuł, że drży cały, że chwili tej nie oddałby i zamienił na nic innego w życiu.

Potem było milczenie pełne spokoju, nasycone nim po brzegi. Przytulając dziewczynę do siebie czuł mocne, przyspieszone bicie jej serca. Gdy zaczął mówić, głos jego zawisnął w szepcie:

— Danuś, czy wiesz, że dopiero niedawno uświadomiłem sobie, jak bardzo cię...

Łagodny, ale szybki był ruch jej dłoni położonej na jego ustach.

— Szymku, nic nie mów, o nic nie pytaj, niczego nie chcej.. Nie warto. Zostawmy wszystko, jak jest. Dobrze nam z sobą w tej chwili, cieszymy się nią. I nie trzeba nic więcej.

— Ale przecież...

— Jeszcze raz proszę. Nie rozpraszaaj nastroju tej chwili. Nie trzeba, Szymek.

— Skoro tak sobie życzysz — zgodził się z westchnieniem.

Podniosła się z miejsca, odruchowo otrzepała z piasku sukienkę.

Dłuższą chwilę wpatrywała się w morze, zasłuchana w samą siebie, jakby szukała nazwy dla tego, co zaszło. Powoli obróciła głowę, podnosząc ją ku widniejącej jeszcze plamie twarzy Szymona.

— Pójdziemy już.

Wracali tą samą drogą, nad samym brzegiem, boso, poddając się chłodnym liźnięciom nadbiegających bezustannie słabiutkich fal.

W porcie było teraz mniej świateł, nieliczne tylko latarnie oświetlały nabrzeże. Od tych świateł i od ogieńków na statkach kładły się na wodę długie smugi, w nasyconej olejami powierzchni mieniając się wszystkimi barwami tęczy.

W budynku „Baltony” paliło się jeszcze światło, migotała lampa nad wejściem.

— A ci co? — zdziwił się Szymon. — Jeszcze pracują, tak długo, mimo niedzieli?

Zaciekawiony podszedł bliżej do okratowanych okien, usiłując zajrzeć przez nie do wnętrza. Danka została na miejscu. Przyglądała mu się i myślała, jak wiele w tym chłopcu zostało jeszcze z dziecka. Przecież to zupełnie szczeniacka ciekawość...

Drzwi budynku otworzyły się z piskiem. Kwadrat światła spłynął na cementową gładziznę. Kobieta odprowadzana przez mężczyznę stanęła na progu. Spojrzenia ich wędrujące na boki złowiły sylwetkę Szymona, który jak złapany na gorącym uczynku odskoczył od okna.

Mężczyzna drgnął, postąpił krok w jego stronę, nie schodząc wszakże z wzniesionego na parę stopni podestu. Chciał coś powiedzieć, ale tylko powiódł wzrokiem za odchodzącym szybko Szymonem.

— Idź już, idź, będziesz jutro zmęczona. Za pół godziny chyba skończę. Ładna niedziela. Ze też tym Finom zachciało się odpływać i właśnie dziś musieli robić zakupy na dalszą trasę. Cholerny los.

Kroki kobiety, niepewnie oglądającej się wokoło, zatupotały na twardej nawierzchni. Mężczyzna odprowadzał ją wzrokiem, potem jakiś czas rozglądał się po okolicy. Wzdychając wszedł do środka i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi.

— Głupią miałem minę, gdy się tak na mnie gapili — burknął Szymon doszlusowując do Danki. — Człowiek ma czyste sumienie, ale jak tak na niego patrzą, sam zaczyna źle myśleć o sobie — zaśmiał się niewyraźnie.

Od dworca dobiegł gwizd parowozu. Szymon mocniej złapał Dankę za ramię. Spojrzała zdziwiona:

— Pewno ci coś nowego strzeliło do głowy?

— Jakbyś wiedziała... Przecież nie pójdziemy zaraz do domu. Byłoby mi przykro — powiedział szczerze. — Przypomniał mi się zawiadowca, o którym wczoraj mówili kombataneci. Walczył o Kołobrzeg, podobno jest z dziewiątego pułku. Może teraz mieć służbę, w nocy spokój, moglibyśmy sobie pogadać od serca, jeżeli okaże się, że równy facet. Dobrze, Danko?

Na dworcu rzeczywiście było już cicho. Nawet bufet zamknięto,

Wyganiając tym samym ostatnich doprawiających się tutaj piwoszów.

Na peronach stygła pustka, szarzyzną cementu przełamowały donice

z rozbijała w nich czerwoną pelargonią. Szymon powiedział do dziewczyny cicho, bardzo cichutko:

— Patrz, najmniejszego śladu nie znajdziesz na dowód, że o ten dworzec toczyły się straszliwe walki, że tyle ludzi tutaj zginęło. Jakby nigdy nic, nadjeżdżają pociągi, wysypują się setki i tysiące wczasowiczów, chorych, miejscowych mieszkańców. Jeden czas przemija, zastąpiony bez reszty przez drugi. Aż dziwnie.

— Przemija, ale coś po sobie zostawia. Pamięć, tradycje, legendę. — To dosyć, czy jednak za mało? — Otrząsnął się zaraz: — Chodźmy do zawiadowcy.

Tkwiał w swoim biurze z miną sennawą. Czerwona czapka leżała rzucona na sfatygowane biurko. Podniósł na wchodzących zmęczone, wyblakłe oczy.

— Dobry wieczór. Proszę?

— Na spotkaniu z uczestnikami walk o Kołobrzeg powiedziano nam wczoraj, że pan był żołnierzem I Armii i walczył w Kołobrzegu. Ponieważ te sprawy osobiście nas interesują, chcielibyśmy pana poznać... Przepraszam, Krajecki jestem, a to moja koleżanka...

— Danuta Milak.

— Źleście państwo trafili — odpowiedział po odwzajemnieniu prezentacji. — To mój zastępca wojował w Kołobrzegu. Dzisiaj ma wolne, pracujemy po dwadzieścia cztery godziny. Nawet by się nieźle złożyło, bo jest u niego przejazdem szwagier, też z tamtych formacji... Ja tu przybyłem co prawda wcześniej, zaraz z pierwszą ekipą kolejarską z Poznania, na wiosnę czterdziestego piątego, ale to co innego... Szkoda, zmartwiłem państwa...

— Ależ to nic. Znajdziemy tu drogę raz jeszcze. Mówiłem dopiero co Dance, że śladu nie

pozostało dzisiaj z tamtych zniszczeń. Przecież tutaj toczyły się ciężkie walki? Pan to przywracał do życia?

— Nie tylko ja. Całą ekipą zjechaliśmy. Co prawda niewielką, w piątkę. Robota była niewąska — zapalił się nagle, jak ręką odjął minęła senność, oczy mu zabłyśły. — Och, to był czas! Głodno, chłodno, na ząb nie było czego włożyć, a przecież wspomina się jak coś nie wiem jak bardzo uroczystego i radosnego. Może to, że było się młodym. A może jednak to właśnie, że z niczego niemal budowało się od nowa. Jak to wyglądało, prawdę powiedzieć, nie wiadomo było, od której strony zaczynać. Tory poszarpane, leje pośrodku nich. Dobra setka potrzaskanych wagonów, parę lokomotyw, jedna do góry kołami. Trochę dalej tkwił pociąg pancerny, dobrze naszym dosolił... Budynki w gruzach, wszędzie szkło, pył, trupy niemieckie, parę dni tośmy się tylko zabawiali w grabarzy... Nie wiem, jakim cudem się udawało wszystko, trudno by było liczyć na czyjąś pomoc, głównie naszą piątką ciągnęliśmy. Po paru tygodniach tory były wolne, wyrwy zasypane, podkłady położone, szyny zamocowane. Nawet jedną lokomotywę uruchomiliśmy. Już się od tej chwili nie baliśmy.

Urwał, uśmiechnął się.

— Widzicie, jak człowiek tylko wspomni, to zaraz się i rozgada. Żeby tak we dnie, pokazałbym wam, po ciemku nie da rady... Przyjdźcie kiedy, umówcie się z kolegą, może i ja podskoczę, opowiem bliżej, moje to mniej już ciekawe, pokojowe dzieje, choć i w nich kuł i ciemnych typów nie brakło... Co jest, da jasnej cholery?

Nasłuchiwał. Danka i Szymon także podnieśli głowy. Od strony portu albo przyległego skrawka nabrzeża dochodził szum, hałasy, ostrym sygnałem ciął spokój nocy pędzący samochód. Zabłyśły reflektory. I znowu jakiś wóz pędzący na sygnale.

Zawiadowca zwrócił się w ich stronę.

— Tak na słuch to syreny milicyjne. Pogotowie inaczej trąbi. Coś się stało w porcie... Wiadomo, duże miasto, obce statki, kupa ludzi, zdarzają się różne cuda i u nas. No, jakby przycichło.

Wracali inną drogą. Noc dawno już przewaliła się na drugą połowę. Niebo znów spłowiło, zatracił się gdzieś. ostry jego granat. Gwiazdy zaczęły blednąć.

Gdy przed barakiem, gdzie mieszkała Danka, chciał ją znów ucałować, łagodnie wysunęła się z jego objęć.

— Nie, Szymku, nie trzeba... Pa, Szymek. Jutro będę się na nogach ślaniać z niewyspania. Galop na budowie będzie tymczasem nie mniejszy niż dzisiaj. Cieszę się, że za parę dni koniec praktyki i że ruszamy do Łeby.

Zniknęła, wtedy westchnął, zawrócił i powoli poczłapał do domu. Gdy wsunął się do swego

pokoju, jak zawsze znajdując wszystkie drzwi rozwarte, Lutek już spał. Szymon ogarnął go życzliwym ciepłym spojrzeniem, takim, jakie zawsze mają zwycięzcy dla pokonanych partnerów...

Rozdział VII

Poniedziałek źle się zaczyna

Gdy spóźnieni, rezygnując ze śniadania, szli na budowę Domu Zdrojowego, milczący dotychczas Lutek zagadnął Szymka, starając się nadać głosowi drwiące i najzupełniej niefrasobliwe brzmienie:

— Coś to waćpan tak późno wczoraj bawił poza domem? Wróciłem o dwunastej, a ciebie ani śladu.

— Poszliśmy z Danką na dworzec, wiesz, ciekawi kombatanckich wspominków Pamiętajsz, co ci żołnierze mówili w sobotę w pedeku? Zagadało się nam z zawiadowcą... A ty gdzieś bumbłował do północy?

Dostrzegł, że Lutka to uspokoiło. Dobrze mu strzelił tym dworcem. Od razu też wołał przejść do kontrofensywy. Po co miałby się chłop zamartwiać.

Pazoła ożywił się. Przegarnął dłonią ostrzyżone na jeża włosy, przystanął,

— Oto, co wczoraj recytowałem. Posłuchaj.

...a ostatnie godziny są jak most nad przepaścią,

a tyle zerwanych przęseł,

a miłość jest na moście,

a przepaść pod miłością,

a księżyc jak lustro wklęste.

Szymon rozwarł szeroko oczy. Nie bardzo pojmował, do czego czy do kogo mają się odnosić te strofy. Chyba Lutek nie jego ma na myśli, jest tam jednak coś i o miłości... Minę miał niewyraźną.

— Wiesz, do kogo piłem?

Szymon pokręcił głową.

— Do Florka... To zresztą zupełnie paradna historia.

— Gdzieś ty go widział? Przecież miał pojechać do Łeby. Został?

— Pojechał chyba. Z tym, że znacznie później. Możemy iść wolniej, na budowie i tak nie będzie co robić. U Danki szaleństwo, u nas nuda. Zresztą ja nie narzekam...

— Gadaj wreszcie, co z Florkiem?

— Zaszedłem sobie przed kinem na piwko, wiesz, w tym okrągłym kiosku... Piję i medytuję, jakie to piwsko parszywe, na domiar ciepłe, gdy nagle zziajany i z miną, jakby mu kot nawalił pod

nosem, wypływa przede mną Stawski. Aż mi się żal go zrobiło. Opowiedział mi o swych dolegliwościach sercowych. Z tym rudzielcem. Okazuje się, że babka spóźniła się na randkę. Więcej niż o dwie godziny.

— Jasny gwint, a on przez ten cały czas czekał?

— Żebyś wiedział. Cierpliwy chłopak... W końcu zjawiała się, ale jakaś inna, nieświeża, zdenerwowana. Jeden policzek miała czerwony, jakby obrzmiała. Nie tłumaczyła się, zbyła go czymś, że wcześniej nie mogła, a i teraz wpadła zaledwie na parę minut. Okazało się, że skądś jej narzeczony się pojawił. Pojmujesz? Wobec tego w ogóle nie może się więcej z Florkiem spotykać, bo tamten zazdrosny, nieobliczalny, mogłoby stać się coś złego, już i tak ktoś mu podszeptał, że ona ma 'tu jakiegoś chłopca... Więc żeby Florek o niej zapomniał. Na amen... Wyobrażasz sobie, jak to podziałało na naszego kochliwca? Mało się nie rozplakał, w dodatku zobaczył u niej jakieś łezki.

— Szkoda chłopaka. Ale może to i dobrze. Ta ruda nie bardzo jakoś przypadła mi do gustu. Wygląda na cwaniarę.

— Jest jeszcze jedna rzecz dziwaczna i dla mnie niezrozumiała. Albo Florek coś pochrzanił, bo jest w swoim melancholijnym nastroju, albo ta dziewczyna puściła taki numer, chcąc go odstraszyć...Już się żegnali, nie chciała, by ją odprowadzał, oglądała się wokół siebie. I wtedy szepnęła, że Florek ma nas ostrzec, abyśmy uważali, byli bardzo ostrożni, bo coś niedobrego dzieje się wokół nas... Dziewczyna mówiła to nieskładnie, bojąc się własnych słów... Dlatego Florek został i ganiał po mieście, dopiero szczęśliwie napatoczył się na mnie. Co ty powiesz na to? Bo ja tu ni w cholere nie rozumiem, w czym rzecz.

Szymon wzruszył ramionami. W pierwszej chwili chciał sprawę zlekceważyć, przyszło mu jednak na myśl, że przecież właśnie oni uratowali dziewczynie życie. Zdawała się naprawdę wdzięczna, niezależnie od tego, co z niej za ziółko. Więc chyba dla zabawy nie kpiłaby z nich. Mogła coś sobie ubzdurać, ale na przesadnie naiwną też nie wygląda. Więc może coś się jej obilo o uszy?

Podzielił się swymi myślami z Lutkiem. Wchodzili na teren budowy. Niemrawo ruszali się tam robotnicy, pokrzykiwał technik.

— Myślałem też podobnie. I wiesz, co mi przychodziło do głowy? Tamten facet, któregoś obil po gębie. Może ona go zna albo może coś podsłuchiwała. Mogły to być zwykłe pogróżki, niemniej babka się wystraszyła. Tylko skąd mogła wiedzieć, że właśnie o nas chodzi, a nie o kogo innego.

— Racja... Facet nie wie przecież, kim jesteśmy.

— Przedstawiłeś mu się.

— Nie zapamiętał. Zresztą nie wiem. Później pogadamy. W każdym razie szkoda mi Florka.

Pocziwy chłopak, trochę byczkowaty, ale na to już nic me można poradzić.

Zaśmiali się. Technik szedł ku nim z rozradowaną gębą.

— No, może we wrześniu wreszcie ruszymy. Dostajemy dwie brygady i już awizują nam materiały. Nareszcie się ocknęli.

— We wrześniu nas już tutaj nie będzie, szkoda.

— A prawda, kończycie praktykę. Tylko nie obmalujcie nas w sprawozdaniu za ostro — uśmiechnął się. — Opinię wystawimy wam taką — zgiął rękę w łokciu. — Dopilnujcie dziś wylewania żelbetu, tych słupów wspornikowych. Żeby zaprawa była wymieszana, jak należy. Mają to dobrze strambować. Aha, stal zbrojeniową też dostaniemy. Do jesieni podpedzimy pod dach — ale to już dodał cicho, nie wierząc we własne słowa.

Przy wylewach zaczepił ich majster.

— To ci dopiero chryja, co? Cały Kołobrzeg aż kipi. Milicja uwija się jak w ukropie, wszędzie w porcie ich pełno. Z psami chodzą, ale po całej nocy jaki tam pies ułapi ślad. Cwaniaki to robiły, szkoda gadać. Mówią, że kupa była tych dolarów i innej waluty. Obłowili się goście.

Wybałuszyli oczy.

— W porcie? A co się tam stało? — Szymon przypomniał sobie nocne alarmy słyszane z dworca, sygnały milicyjnych wozów, błyski reflektorów.

— Nie słyszeliście jeszcze? Naprawdę? „Baltone” obrabowali! Nie z towaru, ale z forsy. Wybrali niedzielę, jedyny dzień, kiedy utargu nie odwożą stamtąd do banku. I właśnie wczoraj mieli duży ruch, pełną kasę.

Zaraz, kto to mówił o jakichś wielkich obrotach? Ach, prawda, mężczyzna, który stał na schodach „Baltony” i narzekał przed kobietą, że taką mieli paskudną niedzielę. Finowie kupowali, statek miał rankiem odpłynąć... Ciekawe, odpłynął, czy zatrzymany został pod jakimś pretekstem?

Poczuł, że się rumieni. Dobrze, że Lutek odszedł już z majstrem, wpytując go ciekawie o szczegóły. Inaczej zaraz by zobaczył zaczerwienioną gębę kompana. Że też człowiek musi mieć wszystko wypisane na twarzy, byle co, a wyskakują na nią rumieńce jak u zgorszonej starej panny... Bo przecież naprawdę głupio. Licho go wczoraj zaniósło pod okno „Baltony”. Słyszał wiele o tym sklepie, o zagranicznych towarach, które marynarze kupują tam na warunkach wolnocłowych, o bateriach wódek, chciał tylko zerknąć do środka. Zupełnie jak szczeniak... Tamten jegomość zauważył go, podejrzliwie się przypatrywał. Cholera, żeby się nie wplątać w jakąś kabałę!

Ledwie otrząsnął się z lęku. Nic przecież nie zrobił, aby się bać. Ostatecznie to, że zajrzał przez

okno, guzik zresztą przez nie zobaczył, nie jest przestępstwem. Co się z nim stało, że z igły zaczyna robić widły, poddaje się panikarskim nastrojom. Na domiar wtedy, gdy naprawę ma z czego się cieszyć. Wczorajszy wieczór był uroczy, najpiękniejszy ze wszystkich wieczorów w jego życiu.

Dopiero na wspomnienie Danki rozprężył się wewnątrz. Pewnie, można tylko się cieszyć i czuć szczęśliwym. Nie chciała wprawdzie, by pytał i mówił, ale to o niczym nie świadczy. Musi go lubić i chyba nawet więcej niż .lubić, sama go zaczęła całować, I jak całować.

— Panie akademik, coś się pan tak rozmarzył. Na bok, bo beleczka może się osunąć- na nóżkę — zaśmiali się robotnicy, dźwigający, pręty zbrojeniowego żelaza.

Gotów był tłuc sam siebie po łbie. Postanowił zebrać się w kupę. Ostatecznie pierwsza sprawa to zupełny idiotyzm, co go ona może obchodzić. A że zakochał się w Dance, to w końcu czy mało jest zakochanych na świecie i jakoś żyją, pracują normalnie, umieją siebie utrzymać w garści. On zaś obwieszcza swoim zachowaniem całemu światu, że coś z nim nie jest w porządku. Nic dziwnego, że Lutek parę razy tak dziwnie dziś popatrzył na niego. Gotów się jeszcze wszystkiego domyślić.

To go otrzeźwiło do reszty. A jeszcze, że tego dnia wyjątkowo było co robić na budowie.

Betonowanie szło sprawnie, bez przerwy jazgotała na placu mieszarka, bloki wciągały na górę gotową zaprawę, zbrojarze postukiwali miarowymi uderzeniami młotków, strugi wody zwilżały już uformowane fragmenty. Obaj praktykanci uwijali się wspólnie z robotnikami, dawno już przyswoili sobie tę prawdę, że najgłupszą rzeczą jest stać i nadzorować innych, nie włączając się do roboty.

Lutek zerkał na Szymona uważnie. Gdy spotykały się ich spojrzenia, odwracał głowę.

Krajecki nie wytrzymał któregoś razu:

— Co się wygapiasz na mnie jak cielę na malowane wrota? Zamiast odpowiedzi Lutek zadeklamował głosem pełnym robionego patosu:

*Coraz bardziej wszystko mnie boli,
już mi szkodzi nawet i ser
siedmioma szpadami melancholii
przebity jestem jak Apollinaire.*

Szymon był już pewien, że Pazoła się czegoś domyśla. Niełatwo mu pewnie przyszło przetrwać świadomość, iż wczorajszy wieczór przyjaciel spędził z bańką.

Udał teraz niefrasobliwość.

— Przejąłeś się pewnie niefortunnymi amatorami Florka. Przejdzie mu, w Łebie zaraz zakocha się w innej.

— Sobą się przejąłem, nad sobą boleję — stęknął Lutek i zrobił perskie oko, gębę jednak miał nadal krzywą.

Niewyraźną sytuację rozładowały nowe wieści, przywiezione przez kierowcę ciężarówki. Zaraz pobiegło to po budowie.

— Milicja szaleje. Dziesiątki ich łażą po porcie... Paru facetów już zatrzymali. Wygląda jednak, że macają na ślepo. To musieli być nie lada cwaniacy. Ciekawe, znajdą ich czy nie znajdą.

Lutek uśmiechnął się do Szymona:

— Widzisz, jest okazja, ażeby zabawić się w prywatnego detektywa. Wyobraź sobie: szajka, faceci z dużym dorobkiem, powiązani z różnymi przestępczymi środowiskami... Albo inaczej. Zupełna dla odmiany amatorszczyzna. Jakiś facet poluje na dolary, bo na coś tam ich potrzeba jego dziewczynie. A on zakochał się, szaleje z miłości, gotów jest dla niej na wszystko. Decyduje się. W tej roli wyobrażał bym sobie na przykład Florka. Albo ciebie.

— Zgubiłeś — obruszył się Krajecki.

— Tylko się nie przejmuj. Coś się zrobił taki wrażliwy? Wygłupiam się, bo nudno. „Liryka, liryka, tkliwa dynamika, angelologia i dal”, jak śpiewał mistrz Konstanty.

Machnął ręką na te jego wygłupy. Ostatecznie czym się przejmować. Zna Lutka nie od dzisiaj. Zawsze był z niego nastrojowiec, romantyk, bałaguna. Nie zmienił się w Kołobrzegu.

A jednak do końca pracy był podenerwowany, nie mogąc opędzić się niewyraźnemu uczuciu ogarniającego go niepokoju, jakby obawy przed zagrożeniem. Czyżby tak działało dziwaczne ostrzeżenie rudej dziewczyny, przekazane przez Florka? A może brak mu po prostu Danki, tęskni do niej i nie potrafi zapełnić sobie czasu spędzonego z dala od niej?

Gdy ukończyli robotę, tak wyciągnął swe długie nożyiska śpiesząc na budowę dziewczyny, że Lutek ledwie mógł za nim nadążyć.

Danka, o dziwo, czekała już na nich. Ostatnio bywało odwrotnie, do ostatniego momentu czegoś od niej chciano, coś musiała robić, polecać, sprawdzać. Tymczasem dzisiaj z daleka już kiwała im na spotkanie ręką.

— Wyobraźcie sobie, przyjęcie przesunięto o parę dni. Nadeszła depesza z Bielska. Kierownik omal nie oszalał. Wydał niepotrzebnie kupą forsy na nadgodziny, a wytłumaczyć się z tego niełatwo — trąkotła, .a potem zniecka przystanęła, i wspinając się na palce, pocałowała jednego i drugiego w policzek. Zdumieli się, nie zetknęli się dotąd z podobnymi objawami czułości z jej strony. Raczej była oschła.

— Możesz powtórzyć ten eksperyment raz jeszcze? — oblizał się Lutek.

— Figa! A w ogóle nie wyobrażaj sobie za wiele. To miało bardzo rodzinny charakter — westchnęła. — Cholernie jestem dzisiaj zmęczona i śpiąca. To wina Szymona. Czy wiesz, że

wczoraj nieledwie do świtu kazał mi się pałętać po Kołobrzegu, łaźać po porcie, po dworcu, po plaży. To zresztą było przyjemne. Kapaliśmy się nocą, urocza historia. Ani jednego człowieka na brzegu, woda wspaniała.. — Musisz, Lutek, wybrać się też któregoś wieczora na taką kąpiel — dorzuciła, jakby tonując nieco poprzedni swój zachwyty.

— To tak, teraz już wiem. Bo ten zdrajca mówił, żeście zasiedzieli się na dworcu, słuchając jakichś wojennych wspominków... Patrz, jaki się zrobił czerwony, tylko mu białka łyskają.

— Bo też i byliśmy na dworcu. Kapaliśmy się zaraz z wieczora. Jeszcze potem tkwiliśmy trochę w porcie, koło „Baltony”... Czy wiecie, że był tam jakiś rabunek?

Lutek gwizdnał.

— Wszystko już jasne. Dopiero mówiłem Szymkowi, że jacyś amatorzy musieli, zorganizować ten napad. Nawet go trochę podejrzewałem...

— Głupie dowcipy...

— Uderz w stół...

— Czego Wy się czubicie jak dwa koguty? Bo zawrócę, przyjmując zaproszenie naszego technika. Proponował mi dziś wyprawę do „Fregaty”.

— Po naszych trupach... Szymon, kryj się!

Mijający ich patrol milicyjny uważnym spojrzeniem obrzucił całą trójkę. Lutek szalał z radości.

— A nie mówiłem? — aż w ręce klasnął.

W barze mlecznym, o cudzie, były dziś naleśniki. Dopiero sobie przypomnieli, że właściwie są bez śniadania. Podwójne porcje zniknęły w okamgnieniu.

— Cacy, cacy, już czwarta, pora na kąpiel. A potem wracam do domu, napiszę parę listów, od tygodnia nie dałam o sobie znać rodzicom do Anglii, będą się niepokoić. Później zaś spać, spać.

--- To się jeszcze zobaczy — spokojnie przyjął jej oświadczenie Pazoła. — Idziemy.

Proponuję poprzez okolice portu. Przyjrzymy się tej słynnej „Baltonie”.

— Nie mam ochoty — zaoponował niespodziewanie Szymon.

Danka spoważniała. Czoło jej przecięty zmarszczki. Powoli potrząsnęła głową, włosy jej zafalowały przy tym ruchu, słońce odbiło się od nich jak od leciutko nadbrązowiałych kłosów dojrzałego żyta.

— Lepiej tam nie zaglądamy... Wiesz, Lutek, ty żartujesz a tymczasem... Widzisz, wczoraj, gdy wracaliśmy z plaży, w tej „Baltonie” paliło się jeszcze światło. Szymka coś poniosło, by tam zajrzeć przez okno. Ledwie się jednak przysunął, otworzyły się drzwi, wyszła jakaś kobieta i za nią mężczyzna. Zobaczyli Szymka...

Lutek zagwizdał przeciągle.

— Taki bal... Szymon, czemuś mi nic nie mówił? Nie dokuczał bym ci wygłupami. Mogłeś facetowi łatwo podpaść, nietrudno, jako że takich tyczek chmielowych na pęki się nie spotyka... Jeżeli milicja jeszcze nie natrafiła na trop, a facet zwierzył się jej ze spotkania z tobą, może zainteresować się twoją osobą. Lepiej rzeczywiście tam nie zaglądać, aż się sprawa wyjaśni.

Na plaży, gdy po kąpieli grzali się na gorącym piasku, nawrócił do tej historii.

— Chyba przesadziłem. Ostatecznie nie ma się czym przejmować... Jestem dzisiaj w złym sosie, miewam takie napady, kiedy wszystko widzę na czarno. Minie mi...

I zaraz zaczął miękkiem, ciepłym głosem:

*Tristis est anima mea
usque, jak mówią, ad mortem....
Oto się jesień zaczęła,
i nie ma komu dać w mordę;
i nic, już nic nie zachwyca,
i nic, już nic nie wystarcza,
idzie przez łan osmętница,
tęsknota gospodarcza.*

Danka słuchając przymknęła oczy. Lubiła, gdy Lutek recytował. Potem zaś pogładziła chłopca po ręce. Zwykły, normalny odruch, Szymek odczuł to jednak mocnym ukłuciem w sercu.

— Dziękuję, Danka. Wcale miło głaszczesz. Szymon oszaleje z zazdrości.. A mną się nie przejmujcie. Do jutra minie... Po prostu forsa się kończy, czekam z domu na jakiś przekaz, staruszkowie zapomnieli o jedynaku, za praktykę wypłacą nie wiedzieć kiedy, stąd mój fatalny nastrój. Mordobicie zaś Szymek już skutecznił za siebie i za mnie. Cholernie zachłanny facet.

Skwitowali go nieco wymuszonymi uśmiechami. Leżeli bez słowa, z przymrużonymi oczyma. Słońce piekło wcale mocno. Lepiej było leżeć tak leniwie, słuchać uderzeń małej fali o brzeg, cieszyć się słońcem i nie myśleć o niczym przykrym.

Stanowczo nie układał im się ten dzień dzisiejszy. Niewytłumaczony niepokój wisiał w powietrzu. Komunikaty PIHM-u głosiły zmianę pogody. Skłonni byli myśleć, że to różnice ciśnienia tak oddziałują na nich.

Gdy powoli zaczęło chłodzić, a słońce zawisło najpierw dużą, zwiększającą się tarczą nad rozłożonym przez siebie morzem, potem zaś nagle zanurzyło się w nim, podnieśli się z wyraźną ulgą.

Nad Kołobrzegiem zapłonęły latarnie, kiedy pożegnali się z Danka. Pazoła przystanął w pewnym momencie.

— Wracasz do chałupy?

— A ty?

— Nosi mnie... Pójdę trochę położyć po mieście. — Po małej chwili dorzucił: — Gdybym późno się zjawił albo i na jutro też zawieruszył, nie niepokój się tym. Wiesz, miewam okresy, kiedy muszę być sam.

Obcy ludzie mi nie przeszkadzają, stanowią obojętne tło. Z bliskimi nie potrafię wtedy wytrzymać. Może dlatego byłem dziś tak dokuczliwy. Cześć, Szymon.

— Cześć.

Długo jeszcze spoglądał za Lutkiem. Żał mu było Pazoły. Coś go widocznie mocno gryzło.

Rozdział VIII

Danka zostaje sama na placu

Już budząc się uświadomiła sobie, że dzisiaj jest wtorek, szczęśliwy jej dzień. Na stole i czekał list z Anglii, pełen informacji, szczegółów i tęsknoty za nią. Dojechali do Anglii szczęśliwie, wygodą z tym autobusem uruchomionym bezpośrednio z Poznania do Londynu. Matka i brat oczekiwali ich niecierpliwie. Tyle lat, pierwsze spotkanie. Solidnie okrasili je łzami... No i tydzień z górą już tu siedzą, ciesząc się rodzinnym spotkaniem. Jaka szkoda, że musiała jechać na praktykę, zamiast razem z nimi zwiedzać Londyn. Taaakie miasto... W ogóle świetnie tu mają, brat się urządził, matce na niczym nie zbywa, tyle że posunęła się mocno, ma już swoje lata... O nią się dopytuje, fotografię ogląda, chce wiedzieć jaka to jest jej wnuczka. A oni tęsknią coraz bardziej...

Niby nic, a jakże ją to cieszyło. Właśnie ta ciepła, niezmiernie serdeczna nutka. Wygrała los na loterii, nie każdy mógłby się pochwalić takimi rodzicami... To ogromne ich przywiązanie. Z podróżą do Anglii też ociągali się i zwlekali.

Czas pilił. Porwała ze stołu swój list, uczciwie napisany, wieczorem. W Wolnej chwili nada go w najbliższym urzędzie przy porcie. Za parę dni dotrze do Londynu. Rodzice przestaną się niepokoić, jak się tu urządziła, jak idzie jej praca, co robi w walnych godzinach.

Pogoda piękna jakby na zamówienie. Na budowie spokojniej, już i plac wokoło splantowany, specjalna brygada kładzie chodniki. Fuszerki w budynku z grubsza już usunięte. Z komisją odbioru nie będzie chyba wielkich kłopotów...

Była tutaj lubiana. Robotnicy witali ją życzliwie, jak kogoś swojego. Stary majster tynkarski tradycyjnie trząśł nad nią głową, wydziwiał, że jego córka nie taka. Inna zupełnie, gdzieżby porównać, diabli wiedzą, co temu ladaco w głowie, goniłaby za chłopcami jak zwariowana, aż wstyd niekiedy. Za jego młodości równie głupich dziewczuch nie było. Ale i takich jak Danka, dla odmiany, ze świecą by szukał...

— Jak, gołąbeczko, ładnie znów dzisiaj? I robota się pcha, może premia większa podleci? Nie mówił nie takiego kierownik budowy? Albo technik może coś wie? Podpytałabyś, gołąbeczko, powie, on przecież tak strzyże za tobą oczyma...

— Dobrze, panie Jańczyk, podpytam. Co tu jeszcze nowego?

— Tu, nic. Spokój. Tylko w porcie gwałt z tą „Baltoną”. Ludzie gadają, że tam był w kasie huk forsy. Zagranicznej. Już paru gości przymknęli. Szybko ich wyniuchali.

— Panno Milak.

Technik o pyzatej twarzy nawoływał, pomagając sobie wymachiwaniem ramion. Drobnymi kroczkami szedł w tym kierunku.

— Słucham, co takiego kolego?

— Kierownik prosi. Coś dobrego — uśmiechnął się, patrząc na nią maślanymi z zachwytu oczyma.

Nie zdążyła wypytać go bliżej, bo na progu baraczkę pojawił się już kierownik. Inżynier, zawsze tak przejęty i zatroskany, też lepiej dzisiaj wyglądał. Ukłonił się, wyciągnął rękę.

— Wie pani, uznali mi te nadliczbówki, nie będzie już żadnej chryi. Aha, ci pani koledzy niech zajrzą jutro albo jeszcze i dziś. Niewiele, ale parę złotych każdemu z nich kapnie za okazaną pomoc... A teraz sprawa najważniejsza. Póki jeszcze jest spokój przed odbiorem, przygotowałem opinię dla uczelni. Przedstawiciele inwestora też podpisali, dając swoją pieczęć. Opinia palce lizać, zresztą na taką pani zasłużyła. Proszę. Oto ona. Jeszcze tylko w kancelarii należy potwierdzić odbiór. Cieszy się pani?

— Cieszę, ale jeszcze nie znam jej treści.

— Pni, laurka! Na złoty medal — ocenił technik, pan Józio.

— Przebiegła wzrokiem tekst zajmujący stronę maszynopisu. Rzeczywiście, same superlatywy, „szczegółowe wymienienie prac, jakie prowadziła, zakres praktyki, ocena. Trudno by wymarzyć coś równie dobrego.

— Bardzo, bardzo, panie inżynierze, dziękuję — szepnęła i w porywie wdzięczności zarzuciła mu rękę na szyję, całując siarczyście w policzek.

Kierownik zdębiał, zaraz potem szcerwieniał, zamrugnął oczami, aż wreszcie uśmiechnął się od ucha do ucha. Z boku ktoś żałośliwie westchnął. Ach, prawda, pan Józio. Niewiele myśląc odwróciła się, ucałowała i tego gamonia.

— Panu także dziękuję. A teraz uciekam, muszę nacieszyć się tym papierem.

— Podpis w kancelarii u panny Mani... — krzyknął za nią inżynier.

— Później, później podpiszę.

Ciągle uśmiechnięci patrzyli za nią, w pewnej chwili zetknęły się ich spojrzenia. Inżynier

momentalnie spoważniał, zachrząknął niepewnie, technik też się przestał uśmiechać.

— Tak, tak, dobra dziewczyna, będzie z niej budowlaniec... No, ale dość świętowania. Panie kolego, wietrzniki wszystkie sprawdzone? W porządku?

— Jeszcze jeden pozostał do wymiany. Na lewym skrzydle...

— To co pan tu stoi i gębę rozdziawia jak do sera? Panie Józku, za pół godziny żeby był spokój z wietrznikami.

— Dobra, dobra, nie pali się...

Rzucił jeszcze okiem w stronę, gdzie pobiegła Danka, ale dziewczyna zniknęła już we wnętrzu budynku.

Pragnienie podzielenia się z Szymonem i Lutkiem swoim sukcesem narastało tym bardziej, im przedłużał się czas dodatkowej nieoczekiwanej roboty. Bo oto nagle przy próbnym paleniu wystąpiły poważne usterki w pionie ogrzewczym. Pulsująca po podgrzaniu woda wylała się w kilku pokojach, jeden z pionów też się okazał nieszczelny i na wymalowanych świeżo ścianach pojawiły się obrzydliwe zacieki. Ciąg przewodowy także pozostawiał niemało do życzenia. Nastąpiło prawdziwe urwanie głowy, stała się wszystkim potrzebna.

Wyrwała się dobrze po południu i pobiegła pod Dom Zdrojowy. Tutaj również tempo robót ostatnio nieco się ożywiło, co zresztą nie przeszkadzało, że co krok napotykała przysięgłych markierantów, wylegujących się po kątach. Biegała po całej budowie, nikt bowiem niczego nie wiedział o chłopcach.

— Pewnie gdzieś przy żelbecie...

Tam znów odsyłali ją do murarzy. Ci kierowali do nadzoru budowy. Ale i tam wstrząsano ramionami:

— Gdzieś chyba są.

Dopiero któraś z urzędniczek kantoru, zajrzała do listy obecności. Brakowało podpisów Szymona i Lutka. Cicho przyzwała Dankę do siebie.

— Nie przyszli dziś... Niech pani nic nie mówi, tu taki bałagan, i tak się nikt nie połapie, że zaplanowali sobie bumelkę. Jutro podpiszą za dwa dni... — uśmiechnęła się przy tym życzliwie.

Danka była wściekła. Co ich skusiło właśnie dziś bumelować? Nigdy tego nie robili, wygadali by się. Jeszcze Szymek, taki solidny i bardzo obowiązkowy. Bo Lutek miał swoje narowy, po nim ciągle można było spodziewać się różnych rzeczy. Przecież nic się chyba nie stało? Ogarnął ją na chwilę niepokój, przypomniała się historia z „Fregaty”. Może tamci zemścili się na nich? Zaraz odrzuciła tę myśl. Nawet gdyby ktoś stłukł ich trochę, na budowie na pewno by się zjawili, ostatnie przecież dni praktyki... Więc co? Lutek wczoraj był niewyraźny, może upił się, pociągnął z sobą Szymona i teraz chrapią w domu w najlepsze? Albo pociągnęli od rana na plażę,

wygrzewają się w słońcu i w morzu zrzucają kaca.

Po czwartej mogła wreszcie opuścić budowę. Nawet się zawahała przez moment, czy iść na plażę, sporo wczasowiczów ciągnęło już bowiem stamtąd do miasta. Dzień jednak był ciepły, słońce prażyło w najlepsze. Mało to razy znacznie dłużej wygrzewali się wszyscy na piachu? Pewnie czekają tam na nią. Łobuzy, nie przyjdzie żadnemu na myśl, że wypadaloby zajrzeć do niej, wywiedzieć się na budowie, czemu się spóźnia.

Nawet Szymek nie zaniepokoił się o nią. Po przedwczorajszej nocy, po pocałunkach na plaży. A wydawał się tak bardzo zakochany. Niewdzięcznik. Figę teraz kiedy otrzyma, nie pocałunek. Lutek może nawet lepszy od niego, udaje tylko lekkomyślnego. Co tam zresztą ich szeregować[^] obaj zasłużyli, obaj oberwą takie wcieranie, że im zbieleją uszy.

Tak się nastawiła wewnątrz na to wcieranie, taką przygotowała sobie orację, że gdy na plaży nie zastała chłopców w zwykłym miejscu, stanęła skonsternowana bez reszty. To już zaczynało być niepokojące. Chyba że opuścili plażę wcześniej i poprzez wydmy krótszą drogą poszli po nią na budowę. Ale i tam ich nie znalazła.

Zmęczona była, od mizernego śniadania nic jeszcze nie jadła, bieżanina w słońcu też wypijała siły. Pomimo to nieomal biegła do domu zamieszkanego przez chłopców. Zziajana, na krótką chwilę zatrzymała się na klatce schodowej, by złapać oddech. I znowu po kilka stopni, byle szybciej, byle się wreszcie czegoś dowiedzieć.

Drzwi jak zawsze stały otwarte. Przebiegła szybko korytarz, szarpnęła za klamkę pokoju. Tutaj też było pusto, tyle że we wnętrzu panował większy niż kiedykolwiek bałagan. Wyglądało jak po niezgorszym trzęsieniu ziemi. Stała pośrodku, patrząc na rozbebeszone łóżka, na stół zavalony wszelkim śmieciem, na rzucone na podłogę koszule i spodnie. Świadomość czegoś złowróźbnego zakradła się do jej serca. Biło jak oszalałe, aż je musiała przytrzymać dłonią.

—A panna do kogo? — ostry głos zabrzmiał tak nagle, że wzdrygnęła się cała.

W drzwiach stała niechlujna, rozmamłana jejmość w kwiecistym, niesamowicie brudnym szlafroku. Złym spojrzeniem mierzyła Dankę.

— Dzień dobry, chciałam zobaczyć się z moimi kolegami. Też jestem praktykantką — studentką... — Nie wie pani, co z nimi się dzieje?

— Tego pierwszego — gest ramieniem w kierunku łóżka — to wczoraj wieczorem zabrali. Milicja. Podobno dobry gagatek... A drugiego nie było i nie ma. No, wyrywaj stąd panna, jeszcze co zginie i ja będę odpowiadać...

— Co pani... Zabrali? Milicja? To znaczy aresztowali? Za co?

— Nie wiem. A żebym i wiedziała, nie powiem... Ładne towarzystwo, grosze płacą, a zajmują się jakimiś brudnymi sprawami. No już, wynocha, panienko. Dostyc mi czasu wczoraj

namarnowali. Dwie godziny musiałam tkwić przy rewizji, podpisywać protokół, słuchać tego wszystkiego. Też chcę mieć spokój.

— Już, już idę... Czy tylko pani była przy tym obecna? A tamci panowie, którzy mieszkają obok?

— Sama się panna ich zapytaj. Ja co, informacja jestem telefoniczna?

Wypchnęła ją wielkim swym biustem na korytarz.

Danka zatrzymała się przy drzwiach sąsiednich, pukając w nie energicznie. Stał w nich młody człowiek o pełnej twarzy.

— Proszę?

— Jestem koleżanką Lutka i Szymona. Na praktyce budowlanej. Co się z nimi dzieje? Ta pani opowiada mi straszne rzeczy...

— Nie wiem, proszę pani. Gdy wróciłem do domu, było już po wszystkim. Tego wysokiego pana aresztowano. Kolega asystował przy rewizji. Podobno coś milicja znalazła, ale co, nie wiem, kolega nie wspomniał bliżej...

— A gdzie jest pana kolega?

— Na dwa dni wyjechał przed godziną do Słupska. Tym wieczornym autobusem, wie pani?

— No więc niczego się panna nie dowiedziała nowego... Szkoda marnować czasu — brudna jejmość od nowa przystąpiła do szturmu. Młody człowiek spojrzał na nią lękliwie, wyraźnie tracił ochotę na dalszą rozmowę z Danką.

Wyszła zdruzgotana tym, co usłyszała. Szymon aresztowany. Rewizja, dwie godziny. Znaleźli coś? Co mogli znaleźć? Lutka nie było w domu, dotąd się nie pojawił. Czy on także został aresztowany? Może zatrzymali go gdzieś na ulicy albo w jakimś lokalu... Florka jak na złość też w Kołobrzegu nie ma, лихо poniosło go do Łeby. Została sama w tej sytuacji, ani wiedząc, co robić, gdzie się dowiadywać o chłopców... Iść na milicję? Czy jej tam zechcą coś powiedzieć?

Przysiadła na maleńkim skwerku. Dłonią przecierała czoło. Trzeba się zastanowić. Sytuacja jest naprawdę poważna. Co gorzej, zupełnie niezrozumiała. Szymek aresztowany? Za co, na Boga miłego, za co?

Tylko bez paniki, uspokajała samą siebie. Trzeba działać, należy zatem powściągnąć nerwy. Spokój jest teraz bardziej konieczny niż kiedykolwiek. Szymek aresztowany. Tak, ale co z Lutkiem? Zaraz, zaraz, bąkał coś Szymek, że Pazoła chodził ostatnimi dniami niewyraźny, że tylko patrzeć, a poniesie go. Może więc właśnie „poszedł w Polskę” i dlatego nie było go w domu. Podobno nieraz odbębnia regularną trzydniówkę. Najpierw więc należałoby za wszelką cenę odszukać Lutka. Dopiero potem działać z nim razem, określić plan ratowania Krajeckiego.

Aresztowany. Wszystkiego by się mogła prędzej spodziewać, ale nie tego. Bo za co?

Nagle przyplął przed nią wieczorny, czy nawet nocny już obraz. Szymka zainteresowała rześcicie oświetlona od wewnątrz „Baltona”. Zapragnął zajrzeć przez okno... I wtedy ukazała się na progu najpierw ta kobieta, a potem mężczyzna. Widzieli Szymka, jego długą figurę, może i twarz, padało tam pełne światło latarni. Mogli zapamiętać, a potem, już po tym napadzie, kto wie, czy nie wskazali właśnie na Bogu ducha winnego chłopaka...

W pierwszej chwili przeraził ją wniosek, że aresztowanie Szymka ma związek z napadem na „Baltone”. Zaraz jednak ochłonęła. Jeżeli tak, to wszystko w porządku. Długo chłopaka nie przetrzymają wyjaśni się, że jest całkowicie niewinny.

Wyjaśni się? Czy zechcą uwierzyć wyjaśnieniom Szymona? Każdy podejrzany będzie szukał dla siebie usprawiedliwienia... Ktoś inny musiałby potwierdzić słowa Szymona. Ona była z nim razem. To będzie najmocniejszy argument. Przecież jej nie posądzą o udział w spisku.

Coś tam chodziło po głowie, nie mogła skonkretyzować myśli. Aż nagle się rozjaśniło. Byli przecież w towarzystwie zawiadowcy na dworcu kolejowym, gdy od portu zaczęły dochodzić jakieś, hałasy i pojawiły się światła reflektorów. To wtedy miał miejsce napad na „Baltone”. Zawiadowca potwierdzi, że w tym czasie byli z nim razem. Zapamiętał ich na pewno..:

Porwała się z miejsca. Jasne, to pierwsza rzecz, jaką należy zrobić. Potem można będzie poszukać Lutka. Jeżeli to będzie potrzebne, to najpewniej po jej oświadczeniu zwolnią Szymona natychmiast. No pewnie, jakże inaczej...

Ruszyła szybkim krokiem.

W Komendzie Powiatowej Milicji nikomu nie śpieszyło się do wypoczynku, takie odniosła pierwsze wrażenie. Milicjanci kręcili się po obszernej kancelarii, przez oszklone drzwi widziała, jak wstępują i zstępują po schodach.

Dyżurny podoficer wypytywał zatrzymanego młodzieńca o długich włosach. Na ławie siedziały dwie wymalowane, podpite dziewczyny. Danka obrzuciła to wszystko jednym spojrzeniem, przepchnęła się przed oblicze dyżurnego.

— Nie widzi obywatelka, że jestem zajęty? Proszę zaczekać.

— Ale kiedy ja nie mogę czekać. To ważne,..

— Obywatelka po polsku rozumie? Proszę zaczekać — powtórzył groźniej.

— Proszę pana, ja w sprawie Szymona Krajeckiego... Chciałam powiedzieć, że mogę być świadkiem, wszystko wiem...

Dyżurny nagle okazał zainteresowanie. Obejrzał się za siebie, skinął na najbliższego posterunkowego, by zajął się młodzieńcem o długich włosach. Dopiero podnosząc się lekko na krześle, zwrócił się do Danki.

— W czyjej sprawie?

— Szymona Krajeckiego. Wczoraj wieczorem został aresztowany.

— Chyba zatrzymany. Wszystko jasne.-1 co pani wie? Może o jego pewnych zainteresowaniach, tak?

— Nie rozumiem.

— Przecież sama obywatelka powiedziała, że wszystko wie, wszystko może wyjaśnić.

— No tak, przecież my pod „Baltoną” byliśmy dobre pół godziny wcześniej i Szymek z tym napadem nie mógł mieć nic...

— Stop! Proszę zaczekać — głos drżący był z podniecenia, oczy dyżurnemu nieomal wylazły z orbit. Sięgnął po słuchawkę, nakręcił numer, chwilę czekał, potem sprężył się przy stoliku: — Panie poruczniku, tu jedna taka przyszła i okazuje się, właśnie „Baltoną”... Tak, rozkaz. Bo to w sprawie tego wysokiego, cośmy go wczoraj doprowadzili...

Ostrożnie, pełen dumy z siebie, odwiesił słuchawkę. Zwrócił się teraz do milicjanta, nasłuchującego z wielkim zaciekawieniem.

— Jurasz, zaprowadźcie natychmiast obywatelkę do porucznika.

— Tak jest — zasalutował tamten. — Idziemy, obywatelko.

Gdy szli po schodach, milicjant nie wytrzymał, ciekawość go rozpiełała, twarz miał wcale sympatyczną, bardzo jeszcze szczeniacką.

— Fiu, fiu, ładny kawał. „Baltoną”. Fiu, fiu! A obywatelka to kto, narzeczona; jego dziewczyna?

— Czyja?

— No, tego od „Baltony”.

— Przecież mówię, że to nie on...

Zaśmiał się w odpowiedzi. Stanęli. Po zapukaniu pchnął jedna z wielu drzwi. Przepuścił przed sobą Dankę, wyprostował się. .

— Panie poruczniku, melduję, przyprowadziłem zatrzymaną.

— Dziękuję. I nie zatrzymaną. Pani sama się do mnie zgłosiła z informacjami. Proszę spocząć — podsunął Dance krzesło.

Dłuższą chwilę przypatrywali się sobie. Miała wreszcie dosyć tego milczenia.

— Panie poruczniku. Przyszłam w sprawie Szymona Krajeckiego. Został aresztowany.

— Zatrzymany. Dopiero po czterdziestu ośmiu godzinach, z chwilą otrzymania sankcji prokuratorskiej, zaczyna się areszt.

— Chyba nie będzie potrzeba tej sankcji w stosunku do Szymona?

Nie odpowiedział. Podjęła więc bez zachęty z jego strony.

— To mój kolega, jest tutaj na budowlanej praktyce. Tak jak i kolega Pazoła...

— Lucjan?

— Tak... Domyślam się, że chodzi o „Baltonę”. — Wydało się jej w tym momencie, że porucznik drgnął pod wpływem jej słów. — Bo o cóż innego? Kapaliśmy się tego wieczora do późna, a potem obok portu poszliśmy na dworzec kolejowy. Chcieliśmy tam spotkać jednego ze zdobywców Kołobrzegu w czterdziestym piątym roku. W „Baltonie” było jasno. Szymon podszedł do okna, chcąc zajrzeć do wnętrza, jak dzieciak, z ciekawości. Na próg wyszła właśnie jakaś kobieta, a zaraz za nią mężczyzna. Zobaczyli Szymona, jak cię cofał... No, i tyle. Poszliśmy na dworzec, nic więcej. Więc chyba to moje zeznanie najlepiej świadczy o niewinności Szymona. Byliśmy u zawiadowcy, gdy się to stało. Ten napad.

Wpatrywał się w nią intensywnie i jakby drwiąco.

— Tak — odetchnął. — Pięknie. To jest ten fragment z „Baltoną”. A teraz niech nam pani powie, czym się zajmował pani kolega.

— Student. Drugi rok politechniki. Żyje ze stypendium i z przygodnych zarobków. Wiem na przykład, że w tym roku pracował dłuższy czas na wiosnę w Centrali Nasiennej.

— Sztuką się nie interesuje?

— Sztuką? Chyba tylko tyle, co wszyscy. To raczej już Lutek.

— Pazoła? — porucznik poderwał się z krzesła.

— Tak. Uwielbia Gałczyńskiego. Stale cytuje jego wiersze.

Porucznik znów usiadł.

— A obrazy? Takie rzeczy?

— Nie wiem. Nie słyszałam, by specjalnie entuzjazmowali się plastyką.

— Nic pani nie wie?

— Nie.

Zastanawiał się chwilę.

— A o ikonach też nic?

— O ikonach? Absolutnie. Pierwszy raz słyszę. Jakie ikony?

— Nic, nic, tak się pytam... No dobrze... Gdzie pani mieszka? A jeszcze wcześniej nazwisko, imię, imiona rodziców, stały adres...

Notował dokładnie. Obejrzał dowód Danki i legitymację studencką. Długo się przypatrywał jej samej. Wreszcie rzekł ze skrzywieniem:

— No tak. Może pani iść. Proszę nie wyjeżdżać z Kołobrzegu bez uprzedzenia nas o tym. No i dziękujemy pani za informacje.

— Proszę pana; ale Szymon, to jest, chciałam powiedzieć, kolega Krajecki? Przecież moje zeznanie chyba wystarcza, żeby go zwolnić. Więc ja proszę, niech pań...

Parsknął śmiechem, ale zaraz się zmitygował. Pokręcił głową.

— Decyzja nie ode mnie zależy. To się rozstrzygnie jutro. Gdy będzie trzeba, wezwiemy panią. — Nacisnął guzik dzwonka. A gdy stanął w drzwiach ten sam milicjant, który przyprowadził tu Dankę, powiedział do niego: — Pani jest wolna. Proszę ją wyprowadzić...

— Tak jest, panie poruczniku.

Na tych samych schodach, którymi dopiero niedawno szli w górę, milicjant przypatrywał się dziewczynie z-nie tajonym zainteresowaniem. Wreszcie powiedział:

— Ładny numer z tego chłopaka. Myśmy nie łączyli go jakoś z „Baltoną”. Pewnie mocno pani dokuczył, co?

Stała jak wryta.

— Co pan powiedział? Ze Szymek nie z „Baltoną”? Więc...

— Nic nie powiedziałem. Czego się obywatelka denerwuje? Dyżurny tam patrzy, podniesie raban, spokojnie. Tak sobie zażartowałem.

Otarł pot z czoła. Wystraszył się.

Danka szła zaś do domu krokiem lunatyka. Powoli docierała do niej świadomość, że popełniła straszliwe głupstwo. Nie o „Baltonę” w sprawie Szymka chodziło. O coś innego. A ona, głupia, sama im podsunęła „Baltonę”, jeszcze bardziej wkopała Szymka. Zaczną go podejrzewać i o to przestępstwo. A jeżeli zawiadowca nie potrafi sobie przypomnieć czasu, jeżeli nie będzie wiarygodne i jego świadectwo?

Gdy znalazła się wreszcie w swoim pokoju, opuściła ją cała energia. Z płaczem padła na łóżko. Co ona zrobiła! Co ona zrobiła!

Rozdział IX

Marnie z nami, panie Krajecki

Ledwie się tylko drzwi zatrzasnęły, młodszy z dwu towarzyszy aresztanckiej celi przywitał go cichym śmiechem.

— Co, koleś? Jakże tam niewinność, coś mi marnie z tą cnotą wygląda?

Nie odpowiadał. Szkoda słów. Ten drugi jegomość, masywny grubas, żalący się, że to tylko o głupie sto dolarów chodziło, nie denerwował go. Młokos natomiast mógł doprowadzić do szału swym przechwalaniem się więziennym stażem i drwinami ze wszystkiego. Zastał go tu już tamtej nocy, podpitego, ziejącego rynsztokowym słownikiem.

— Koleś, nawet słowa dobrego nie masz dla kumpla z pierdła? Uważaj, by ci kością to nie stanęło..

Szymon wściekle spojrzał na niego. Musiało być coś groźnego w jego postawie, bo tamten

zamilkł.

— Uważaj, ostatni raz cię ostrzegam, zostaw mnie w spokoju! Bo inaczej z tobą pogadam, a wtedy cienko zaśpiewasz.

Usiadł na brudnej i lepkiej pryczy. Rozejrzał się po celi z solidnie zakratowanym oknem, wychodzącym na mur, gdzie spod opadłych płatów tynku wyzierała cegła. Pięć pryczy, kibel w kącie i wszystko. Szara, brudna podłoga. Cholera, wściec się można.

Zdawał sobie przy tym sprawę, że wściekanie się było naprawdę ostatecznością. W tej kabale, niezrozumiałej, w jaką się coraz bardziej wplątywał, konieczny był nade wszystko spokój, zimna precyzja myślenia. W końcu nie wyglądało to jedynie na zbieg przypadków. Więcej, tyle już wiedział, że takim zbiegiem przypadków na pewno nie było.

Ukrył twarz w dłoniach. Spokojnie, spokojnie. Raz jeszcze należy wszystko przemyśleć. Nowa historia, która w pierwszej chwili do reszty wytrąciła go z równowagi, może się w końcu okazać pomocą. Z tej chyba wygrzebie się bowiem bez trudu. W „Baltonę” nie wrobią go żadnym sposobem. Na początku w ogóle nie wchodziła ona w rachubę. Jakoś tak nagle wyskoczyła dziś rano. Można to było wywnioskować choćby ze źle ukrywanego podniecenia oficera śledczego, który go dopiero co indagował w tej sprawie. Psiakrew, najgorzej, gdy człowiek za mało ma elementów w rękach. Choćby ta „Baltona”, czy to dalszy ciąg prowokacji nieznanego przeciwnika, czy tym razem naprawdę przypadek, dla którego sam stworzył pretekst tamtego wieczoru przez swoją niewczesną ciekawość.

Spokojnie; spokojnie. Tu nie uniwersytet, tu trzeba myśleć, przypomniał sobie zasłyszane gdzieś powiedzenie. Uśmiechnął się leciutko. W jego obecnej sytuacji w paradoksalny sposób powiedzenie to potwierdzało jakąś część prawdy. Tu rzeczywiście trzeba solidnie kręcić głową, o nią przecież chodzi w ostatecznym rozrachunku...

Wycirus aż zagwizdał ze zdziwienia, gdy zaraz po śniadaniu Szymon znów wywołany został na przesłuchanie.

— Ostro się biorą do ciebie, gościuniu.

Porucznik z miejsca przystąpił do pytań. Ledwie mógł ukryć swe podniecenie.

— Marnie z nami, panie Krajecki — zagaił, --- Wcale szeroko pan sobie poczynał... Przez noc doszło co nieco szczegółów. Więc jak, zna się pan w końcu na sztuce, czy nie zna?

— Powiedziałem, że tak jak amator.

— Ale na ikonach się pan wyznawał? Ostatecznie i bez fachowości można wiedzieć, że to wartościowe obrazki. Sumujemy. Bieszczady pan zna. Był pan tam nie dalej jak w ubiegłym roku. Mówi pan, że w Solinie, na praktyce? A później?

— Z Soliny pojechałem bezpośrednio w Olsztyńskie, do matki. Chorowała wtedy, musiałem ją zastąpić przy gospodarce.

— A ikony zabrał pan z sobą, prawda? Dużo ich było? Nie chce pan mówić? U nas przeważnie tak bywa. Potem dopiero się rozkręcają ludziom języki. Czasem już nazbyt późno. No dobrze. To byli Szwedzi, Niemcy, może Anglicy? Niech pan się nie dziwi tak strasznie. Chodzi mi o tych kupców, którzy mieli odebrać od pana ikony. I odebrali, bo te dwie to chyba mizerna resztką, prawda? Jakie pan zna języki?

— Dobrze angielski, trochę niemiecki.

— Zgadza się. W sam raz wystarczy.

Porucznik zapatrzył się w okno, jakby zobaczył tam coś nader interesującego. A później, jakby od niechcenia, wystrzelił:

— „Baltonę” z kim pan obrobił?

Szymona aż poderwało z miejsca. Przypomniały mu się jego śmieszne pozornie obawy, by go nie wplątano i w „tę aferę”. Nawet Lutek doradzał ostrożność. Diabli go skusili zaglądać 'przez okno, Teraz będzie pił piwo, którego sam sobie nawarzył. Skąd jednak oni do tego doszli?. Wczoraj porucznik słowem o „Baltonie” nie pisał. Udawał, czy dopiero teraz połączono go z tą historią? Coraz lepiej, pieska niebieska! Dobrze, że na dodatek nie zamordowano nikogo w Kołobrzegu; gdy już się ma takie pierońskie szczęście i to posądzenie gotowe by spaść na kark.

— Nic nie wiem o „Baltonie”.

— Jak to? Mieszka pan w Kołobrzegu i nie słyszał pan o napadzie? Nic a nic? A co pan tam robił tej nocy, kiedy nastąpił rabunek?

— Szedłem z dziewczyną. Nic więcej.

— Gdzie są dolary i inne dewizy?

— Proszę pana!

— Spokojnie, tylko bez krzyku. To raczej ja mógłbym tu pokrzykiwać i miałbym po temu prawo, a widzi pan, zachowuję się idealnie spokojnie.

— Ale stawia mi pan uwłaczające zarzuty.

— Moje prawo. Pana prawo udowodnić; że nie mam słuszności.

— Proszę. Wracałem z plaży z dziewczyną. z koleżanką, jest tu również na praktyce.. Przechodziliśmy obok „Baltony”, zajrzałem nawet przez okno, zdziwiony, że tam we wnętrzu pali się światło...

Porucznik zaśmiał się cienko, nie dowierzając. Szymon w duchu nie mógł nie przyznać mu racji. To zagląkanie z ciekawości nie mogło wydawać się wiarygodne.

— Potem poszliśmy na dworzec, gdzie chciałem spotkać się z jednym z kolejarzy,

uczestnikiem walk o Kołobrzeg. Interesują mnie te sprawy,, wspominałem panu już wczoraj dlaczego... Tamtego ko lejara nie było. Rozmawialiśmy z zawiadowcą, na pewno będzie mógł to potwierdzić. W trakcie tej rozmowy od portu doszły nas krzyki, gwałt jakiś, warkot motorów i syreny samochodowej, rozjaśniło się niebo od reflektorów. Przypuszczam, że właśnie wtedy dokonano napadu...

— Dobrze to ułożone. Ale pozwolę sobie wtrącić — słodziutko wycedził porucznik — że świadectwo kolejarza nie będzie dla pana dostatecznym alibi.

— Dlaczego?

— Bo ten ruch w porcie powstał w momencie wykrycia rabunku. Sam zaś fakt miał miejsce wcześniej. Może właśnie wtedy, gdy pan stał pod oknem. Logiczne, prawda?

— Jest jeszcze koleżanka — jęknął Szymon, zdruzgotany uwagą porucznika. — Ona potwierdzi moje słowa.

— Wątpić należy, by rabunek został dokonany przez jedną osobę — flegmatycznie wycedził porucznik. — Jaka była średnia cen tych ikon przy sprzedaży?

— Co proszę? Ikon? Skąd ja mogę wiedzieć, nic z tym nie mam wspólnego.

— Osobliwe. Przechowuje pan dwie ikony pod materacem swojego łóżka i nic pan więcej nie chce powiedzieć w tej sprawie.

— Nie wiem, skąd się tam wzięły.

— Panie Krajecki, niechże pan się zastanowi raz jeszcze nad wszystkim, o czym mówiliśmy. Uprzedzałem już, że okolicznością łagodzącą jest szczere przyznanie się do winy. Sprawa jest jasna i nie ma się co zapierać.

Nastała teraz długa chwila milczenia. Przerwał ją Szymon.

— Panie poruczniku. Czy ja jestem aresztowany?

— Jak dotychczas tylko zatrzymany. Do upływu czterdziestu ośmiu godzin. Potem zajmie się panem prokurator. Wtedy to już będzie aresztowanie. Nie widzę powodów, by ukrywać przed panem, że właśnie oczekujemy na sankcję prokuratorską.

— Ale wszakże wszystko to stanowi jakąś niezrozumiałą dla mnie prowokację.

— Nie, tej bajeczki z nieznanym z nazwiska, który był podobno w Bieszczadach w jakiejś ekspedycji naukowej i którego pan spotkał tutaj, mało: miał z nim starcie, niech pan lepiej już nie powtarza. To za naiwne, pan zaś za inteligentny na podobne wykręty.

— Może to potwierdzić kolega Pazoła.

— A właśnie. Gdzie on jest?

— Skąd mogę wiedzieć? Rozstaliśmy się przedwczoraj wieczorem. Poszedł do miasta, był w złym nastroju, miewa niekiedy takie okresy, wtedy nie wraca nawet przez kilka dni. Pamiętam

takie wypadki z Wrocławia.

— Pragnie pan mu dać czas na wymiganie się od sprawy?

— Już chyba w stosunku do Pazoły nie będziecie występować z oskarżeniem? To byłoby śmieszne.

— Zobaczymy. Sami zdecydujemy, co będzie śmieszne, a co wręcz odwrotnie. Radzę panu raz jeszcze, proszę się zastanowić. Traci pan dużą szansę.

Porucznik sam go odprowadził do celi. A teraz oto siedzi i przypomina sobie treść przesłuchania. Nie ma co, wesoło, do tego jeszcze „Baltona”. I ten piekielny argument porucznika, obalający dworcowe alibi. Jasny gwint, w ten sposób można zupełnie wykołować człowieka.

Ktoś dotknął jego ramienia. Podniósł głowę. Stał przy nim młodzian z obfitym uwłosieniem.

— Koleś, nie szarp się. Różnie bywa, czasem się wpada, trudno. Gadaj, o co cię ująją, coś się może poradzi.

— Dajże mi święty spokój!

— Jak jaśnie osoba uważa — obraził się odchodząc w kąt celi, Zaraz znalazł sobie drugiego, partnera do rozmowy. — Panie- waluciarz, spokojna głowa. Teraz za dolarki już nie przeganiają tak mocno jak dawniej. W najgorszym razie piątkiem obleci.

— Dajże pan spokój! Piątkiem, łaskawca się znalazł. Ja nie handlowałem. Miałem. A mieć można. Nie dam się zrobić, nie wiedzieć za co.

— Jasny gwint, to ci towarzyszo — zagwizdał młodzian. — Sami niewinni, święci młodziankowie, można powiedzieć. Kurza twarz, co za nudy z takimi neptkami. O, znów do nas idą...

Z korytarza dobiegł szcęk klucza wkładanego do zamka. Drzwi się otworzyły szeroko. Milicjant baczny spojrzeniem obrzucił celę.

— Szymon Krajecki. Wychodzić.

— Fiuuu — zacudował się owłosiony bywalec aresztów. — Ostro się biorą.

Szymon pomyślał to samo. Nie miał zresztą nic przeciwko temu. W końcu musi się wszystko wyjaśnić, przecież człowiekowi niewinnemu nie można wmówić tego, czego nie zrobił.

Ten sam pokój, z którego wrócił tak przecież niedawno. Porucznik stoi przy biurku.

— Niech pan stanie sobie tutaj, przy ścianie — wskazał mu miejsce, sam zaś otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju. — Proszę.

Szymek drgnął. We wchodzącym poznał mężczyznę z „Baltony”. Skrzyżowały się ich spojrzenia. Tamten zamrugał tylko oczyma. Skinął głową.

— To chyba on, panie poruczniku. Na pewno jego ujrzeliśmy z żoną, gdy odskakiwał od okna.

I wzrost, i twarz, zgadza się. Chyba także jeden z tych dwóch, którzy wtargnęli do sklepu. Knebel zakładał mi tamten niższy, ten trzymał za ręce.

— Poznaje pan z całą pewnością?

— Zaznaczyłem już, co do pierwszego zetknięcia, jestem pewien. Raczej też i co do drugiego, ale tutaj nie na sto procent! Pan sam rozumie, człowiek był przerażony, działa się to zresztą tak szybko, trudno było się bawić w obserwowanie twarzy.

— Dziękuję panu.

Drzwi się zamknęły. Porucznik chwilę .odczekał, mruknął:

— Proszę siadać... Więc jak, panie Krajecki? Co pan powie na wynik tej konfrontacji? Nie wypadła dobrze dla pana.

— Ten pan nie jest jednakże pewien. Mógł się zasugerować moją sylwetką, zbiegły się mu oba te wydarzenia. Ja naprawdę nie mam nic wspólnego z rabunkiem w „Baltonie”.

— Ejże, ejże, radzę panu się zastanowić. Tymczasem pójdzie pan do celi. Odprowadzić — zwrócił się do zawezwanego milicjanta.

— No co, koleś, niezła rozgrywka, prawda? Mocno się przypieprzyli do ciebie. Coś im tak sadła zał za skórę? Słuchaj, a może ty z tym napadem na dolarki coś miałeś wspólnego? Tylko po mojemu, tam musiał być gość więcej oblatany. Inna rzecz, takiego z miejsca by nie przymknęli.

— Zostaw pan swoje uwagi dla siebie.

— Kurczę pieczone, jaki arystokrata! Niemal jak zagraniczny gość. To musisz wiedzieć, koleś, że takie cuda w pierdłu nie ujdą. Tu dopiero prawdziwa demokracja, wszyscy równi, jeden w drugiego, jak pod metrówkę.

Ledwie się pohamował, by nie trzasnąć gówniarza w pysk. Dopiero by sobie narobił bigosu, jakby mało było przyjemności dotychczasowych. Konfrontacja i taki rezultat! Piekielny krąg, gmatwanina bez wyjścia.

Nie potrafił usiedzieć. Zerwał się i dużymi krokami zaczął krążyć po przekątnej, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Nie wiedział, jak długo to trwało.

— Koleś, po sercu radzę: tylko bez nerw!

Powiedziane to było życzliwie z doświadczeniem bywalca, co już z niejednego aresztanckiego pieca chleb jadł. Szymon skinął przytakująco głową Pewnie, święta racja, tylko że to wcale niełatwo zmusić się do panowania nad sobą w obliczu takiego osaczenia. Poczucie krzywdy jest nazbyt, mocne. Co za przeklęty splot okoliczności, bo w końcu nie można mieć pretensji do władzy, że tropi przestępstwa. Pozory nazbyt przemawiają przeciw niemu, by milicja miała się .bawić w humanitaryzm.

Od samego początku wszystko się tak pechowo zaczęło układać. Od nagłego najścia przedostatniej nocy. Dochodziła jedenasta. Spał już w najlepsze, rozbudzony zaś spojrzął na zegarek, stąd pamięć tego szczegółu. Najpierw był błysk latarki, dopiero potem pstryknął kontakt i brudna żarówka sypnęła przyćmionym światłem. Zamrugął oczyma na widok milicyjnych mundurów. Usłyszał swoje nazwisko.

— Proszę się ubierać. Jest pan podejrzany o prowadzenie z cudzoziemcami handlu dziełami sztuki.

Najpierw szeroko otworzył oczy, potem wybuchnął śmiechem. — Panowie, jakaś generalna omyłka. Nigdy nie miałem z czymś takim nic wspólnego.

— To się okaże. Proszę się ubierać.

Później zaś wprowadzono gospodynię w brudnym jak nieszczęście szlafroku i młodego technika, sąsiada zza ściany. Oznajmiono im, że będą świadkami rewizji. Śmiał się w duchu i z tej rewizji, i z zastraszonych min świadków. Gospodyni zaczęła biadolić i wyrzekać na swoją dołę, bo jakże w jej porządnym domu milicja, ale zaraz ją przywołano do porządku.

— To drugie łóżko kto zajmuje?

— Kolega, też student na praktyce, Lucjan Pazoła.

— Gdzie On jest teraz?

— Nie mam pojęcia. Rozstaliśmy się w mieście wieczorem. Położyłem się spać, kolega widocznie jeszcze nie wrócił. Tamte rzeczy należą do niego...

Rozwścieczony był, też pomyśl, występować z głupimi podejrzeniami i na domiar przeprowadzać rewizję. Z uczuciem złośliwego zadowolenia obserwował wysiłki milicjantów, przeglądających każdy, świstek, nie pomijających w pokoju żadnego drobiazgu. Naiwni, łudzą się, że znajdą tutaj cokolwiek. Że też się dali wprowadzić na taki fałszywy trop... Zarazem jednak momentami ogarniał go przejmujący niepokój, którego nie umiał sobie wytłumaczyć. Bo jeżeli to wszystko bzdura, więc czego się niepokoi?

Na podłogę frunęła pościel. Gospodyni zajęczała, nikt na to nie zwrócił uwagi. Coś stuknęło. I nagle jeden z milicjantów triumfalnie podniósł w górę sporą paczkę owiniętą w gazetę. Wszyscy zastygli, on sam zaś musiał mieć najbardziej zdziwioną i zaskoczoną minę. Jak inni, wyciągnął szyję, spoglądając na ruchy milicjanta ostrożnie odwijającego gazetę.

I zaraz aż jęknął. Niepokój okazał się uzasadniony, W rękach milicjanta rozkwitły dwie stare ikony, żywe w barwach, choć nieco podniszczone. Wyjęte były z ram, dla ochrony zaś przed zniszczeniem przełożone kawałkami tektury,

— I co pan na to powie? — zwrócił się do niego przewodniczący rewizji. — Gotów pan może stwierdzić, że to nie należy do pana?

— Jestem gotów jak najbardziej — odrzucił, pojmując całą paradoksalność sytuacji. — Pierwszy raz to widzę i nie mam najmniejszego pojęcia, jakim sposobem znalazły się te ikony w moim łóżku.

Potem to już krótko trwało. Świadkowie podpisali sporządzony naprędce protokół rewizji. Marsz ulicami miasta, aż wreszcie areszt w budynku powiatowej komendy, spisywanie personaliów i pierwsza rozmowa z porucznikiem prowadzącym śledztwo. Pytania o odbiorców artystycznego towaru. Kto, kiedy, za ile?

Tak jak i dzisiaj. Z tym, że przyplątała się jeszcze „Baltona”. I znów tak niewiele ma na swoją obronę.

Podjął piekielny spacer po przekątnej celi. W głowie szumiało, kołowało się, jedne myśli przeganiały drugie, każda równie ponura. Zarazem jednak umysł pracował jasno, przeraźliwie jasno, szukając w zarzutach oskarżenia wszelkich możliwych furtek.

Zastanawiało go nade wszystko jedno, Jakim cudem milicja tak na pewniaka trafiła do niego? Skąd się wzięły pod jego materacem te dwie ikony? Widywał podobne w Bieszczadach w zapadających się, opuszczonych od dawna cerkwiach. Ale przecież nigdy żadnej z tych ikon nawet nie dotknął.

Na kliszy pamięci pojawiła się twarz człowieka, któremu niedawno dał w pysk. Twarz znajoma z Bieszczad. Człowiek ten należał do jakiejś naukowej grupy, inwentaryzującej zachowane w tej części Rzeszowszczyzny zabytki budownictwa sakralnego, owe przepiękne, słynne cerkiewki. Ten człowiek poprzysiągł mu zemstę, wspomniał o otwartym rachunku. Najpewniej trzeba iść tym śladem... Co to niedawno Lutek opowiadał? Ach, o relacjach Florka zasłyszanych od rudej piękności, niedoszłej topielicy. Przestrzegała, że mają być ostrożni, że coś niedobrego czai się koło niego i Lutka. Czyżby chodziło o te właśnie ikony? Musi wszystko zeznać porucznikowi, naprowadzić go na ten trop. Odszukają chyba łobuzów, którzy, zaatakowali Dankę, gdy przypadkiem podsłuchiwała ich rozmowę. O towarze mówili, pewnie zatem o tych ikonach. Czemu jednak podrzucili je jemu? Akt zemsty? Takie ikony muszą słono kosztować. Nie mogli znaleźć na nie żadnego kupca?

Wzruszył ramionami. Domysłami daleko tu nie ujdzie. To już będzie rzeczą milicji wyświecić wszystkie strony tej sprawy. Jego tylko niechaj zostawią w spokoju.

Gdy wtedy tak układał argumenty swojej obrony, wydawały mu się mocne i nie do odparcia. Porucznik wszakże odniósł się do tych rewelacji bardzo sceptycznie.

— Jak się nazywają ludzie, o których pan mówi? Zwłaszcza ten z Bieszczad, którego pan jakoby tam widział w ubiegłym roku?

— Nie znam. Przedstawili się bardzo niewyraźnie, pod wpływem przymusu.

— Gdzie mieszkają?

— Też nie wiem.

— Więc jakże mamy ich szukać?

— Kolega Pazoła rozpoznałby ich. Także koleżanka Milakówna.

Pomogę panom.

Porucznik skrzywił się tylko z niesmakiem, jakby wyczekiwał od niego bardziej inteligentnych wykrętów. Ani trochę nie trafiła mu do przekonania obrona Szymona. Ze znużeniem umieszczał ją w protokole.

Tak, to było wczoraj. Dziś się sytuacja zmieniła jeszcze bardziej na gorsze. Sam widział teraz naiwność swych argumentów, cóż z tego, że one właśnie były prawdziwe, a zarzuty bez reszty fałszywe. One jednak zwarcie układały się w ciąg logiczny.

Chodził, znowu siadał, po sto razy od nowa przemyślał te sprawy i zawsze rezultat przemyśleń okazywał się niepomyślny dla niego. Czuł się skołowany i piekielnie nieszczęśliwy. A jeszcze tak niedawno wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę, w to, że los się uśmiecha, do niego. Wieczór z Danką, rozmowa i pocałunki tak radośnie go nastroiły! I oto teraz otrząsa się jak pies po wyjściu z zimnej kąpieli. Aresztowany, posądzony o nielegalny handel dziełami sztuki, w dodatku o rabunkowy napad. Wszystko przy tym zdaje się świadczyć przeciw niemu...

Co też Danka teraz porabia? Czy wie już, co się z nim stało? Musiała czekać na niego i Lutka, na budowie albo na plaży. Potem pewnie szukała, niespokojna, dlaczego się nie zjawili. Lutek zresztą może i był, pierwszy zaalarmował, gdy się dowiedział w domu o tym, co zaszło. Jeżeli Lutek wrócił, wyglądało bowiem, że zanosi się u niego na tradycyjną trzydniówkę. Dziewczyna może być -sanna, kto wie, może i ona uwierzyła w jego winę. Skoro znalazł się taki niezbity na pozór dowód, jak obrazy ukryte pod pościelą? Może otrząsnęła się z obrzydzeniem i w ogóle nie chce go znać?

— Głowa, koleś, do góry. Zaraz będzie kolacja, potem kimono, rano zbudzisz się w lepszym humorze — obwieś o długich włosach czuł do niego wyraźną sympatię.

Znowu zgrzyt klucza w drzwiach. Dziwne, że nie usłyszeli zbliżających się kroków. Po niego?

— Krajecki.

Nawet nie czekając na wywołanie swego nazwiska, szedł już ku drzwiom. Pewnie, że po niego. Uwzieli się, kuja żelazo, bo zdaje się im, że jest gorące.

Porucznik miał twarz zmęczoną. Niewiele gadał.

— Chciałem pana powiadomić, że uzyskaliśmy już sankcję prokuratorską. Na dwa miesiące tymczasem. Proszę podpisać...

Otworzył jedną z dwu tekturowych teczek, wyjął arkusz papieru. Szymon przebiegł go szybko

wzrokiem. Zwykły druk urzędowy. Prokurator, powołanie na przepisy, paragrafy, ponure zdanie o sankcji, o podejrzeniu o dokonanie przestępstw, znów paragrafy. Na koniec, że aresztowany przyjmuje tę decyzję do wiadomości.

Nachylając się, aby złożyć podpis, przypadkowo zahaczył spojrzeniem o papier leżący w otwartej teczce na wierzchu akt. Krótki, pisany na maszynie tekst, wybite w nim jedno nazwisko, adres, jakieś słowa o handlu z obywatelami zagranicznymi, słowo ikona... Tyle jeszcze dostrzegł, że brakło tam podpisu. Porucznik spostrzegł się, gwałtownie szarpnął teczkę, zamykając ją z hałasem. — Proszę podpisać.

Ach tak, zwykły więc jakiś donos. Na maszynie, bez podpisu. A w domu podrzucone w łóżku dwie ikony. Sprytna koncepcja. Efekt, jak dotąd, znakomity.

Na krótki moment wszystko zamigotało mu przed oczyma. Dłonią oparł się mocno o stół, zdawało mu się, że runie, rozbije się o tę dawno nie mytą podłogę. Opanował się jednak. Więcej, odczuł przyływ energii, ochotę do walki.

Podniósł wysoko głowę.

— To wszystko, panie poruczniku?

— .Na dzisiaj tak. Jutro będziemy dalej rozmawiać. Może też prokurator zechce się z panem zapoznać... Co jeszcze, kustosz dokonał ekspertyzy znalezionych ię, pana ikon. Mają wysoką Wartość artystyczną i podlegają ochronie.

A niechby i stu prokuratorów. Ustąpiła poprzednia apatia i rezygnacja. Niech jeszcze milion dowodów wynajdą przeciw niemu, niech ściągną stu kustoszów i innych speców, on się nie podda. Będzie walczył, obroni swój honor. A potem, jak wyjdzie, odzyska swoją dziewczynę.

Wspomnienie Danki wróciło mu do reszty pogodę ducha.

Ku zdziwieniu porucznika, Szymon uśmiechnął się teraz szeroko.

Rozdział X

Nocna wyprawa do „Fregaty”

Deszcz siekł od samego rana, gnany ostrym zachodnim wiatrem. Miasto zszarzało, opustoszały ulice, rynsztokami spływały całe potoki.

Zziębnięta, nie zważając na strugi wody pryskające spod nóg, jeszcze przed pracą pobiegła do domu zamieszkanego przez chłopców. Może się wreszcie Lutek pojawił?

•Tym razem drzwi do mieszkania . były zamknięte. Widocznie po ostatnich przeżyciach gospodyni bardziej zaczęła się troszczyć o swoje mieszkanie. Danka wzdrygnęła się wspominając odrażającą gębę i zatłuszczony, niesamowicie brudny szlafrok. Wyciągnęła rękę do dzwonka, ale zaraz ją cofnęła.

Gdy tak stała niezdecydowana, otworzyły się drzwi, wyszedł z nich znany już jej technik o bladej, nalanej twarzy. Cofnął się na widok ociekającej wodą dziewczyny. Złapała go za rękę:

— Przepraszam, nie wie pan, czy kolega Pazoła już wrócił? Lutek, ten drugi...

— Nie słyszałem. Mogę zobaczyć.

— Bardzo proszę.

Spoglądała, jak szedł mrocznym korytarzem i cicho otwierał drzwi pokoju chłopców. Zaraz je przymknął z powrotem. Nie musiał mówić, wiedziała, że Lutek jeszcze się nie pokazał. Przeszła ją niespokojna myśl, że może i jemu się stało coś złego.

— Nie ma. I chyba nie był, w pokoju taki sam straszny bałagan jak uprzednio... Przepraszam, śpieszę się, do widzenia pani.

Chciał ją wyminąć, znów go musiała złapać za rękę. Czegóż on taki bojaźliwy, u licha?

— Mam wielką prośbę. Gdyby Lutek się zjawił, proszę mu powiedzieć, żeby natychmiast, ale bez chwili zwłoki, porozumiał się ze mną. Danka jestem, Milakówna. Lutek już będzie wiedział.. Zaraz, ma pan skrawek papieru, ołówek? Napiszę parę słów, pan to zostawi u nich w pokoju. Przepraszam, że zatrzymuję.

— Nic, nic. Proszę, papier i ołówek.

Skreśliła szybciotko kilka zdań. Podkreśliła słowo: natychmiast. Siląc się na najuprzejmiejszy uśmiech, podała kartkę technikowi.

— Bardzo, bardzo panu dziękuję. Ujął jej rękę, potrząsnął, o dziwo, uśmiechnął się nawet.

Szła teraz już wolno, rozmyślając o wszystkich wydarzeniach, które dotknęły jej grupkę. Deszcz wzmógł się, siekł mocnymi strugami, nie zważała na to, że nie zabrała ze sobą płaszcza. Czuła się osamotniona. To prawdziwy pech, że musieli rozsypać się właśnie teraz, gdy Szymonowi grozi nie wiedzieć co. Idiota z tego Lutka, jakieś maniackie pomysły z tym jego „chodzeniem w Polskę”, snobizuje się, zgrywa na sfrustrowanego filozofa od wełschmerzów czy jak? A i Florek maminsynek, tatów pojechał żegnać do Łeby, zamiast czekać tu na nich.

Stuk konwi zrzuconych z wozu przed barem mlecznym wyrwał ją z tych rozmyślań. Przemówił zdrowy rozsądek. Wczoraj nie jadła kolacji.

Spokojnie już weszła do baru, zamówiła dwa duże, gorące mleka i bułki z masłem. Przy stoliku było wolne miejsce, siadła, dopiero teraz poczuła, jak jest zmęczona; od mokrego ubrania wstrząsały nią dreszcze. Gorący napój rozgrzewał, po ciele rozchodziło się błogie ciepło. Mogła myśleć spokojniej i intensywniej.

Trzeba zsumować fakty. Szymon siedzi i w tej chwili nie widać raczej perspektywy, by go miano prędko wypuścić. Lutek może wrócić zaraz, ale można go też będzie oczekiwać nie wiedzieć jak długo. Na dwoje babka wróżyła. Zostaje Florek w tej zakichanej Łebie. A gdyby tak

depeszę, ściągnąć go jak najszybciej?

Z zachwytu nad swym pomysłem tak solidnie łyknęła mleka, aż sobie sparzyła wargi... Nic, grunt, że coś można już działać. Prosto stąd do domu, przebrać się, zabrać płaszcz przeciwdeszczowy. Potem, na pocztę, nadać depeszę. Zараż, ale ten adres? Florek powtarzał go kilka razy, zdaje się, Lutek nawet zapisał. Łeba, Florian Stawski, ulica Rybacka.

— Przepraszam, czy można?

Spojrzała ku mówiącemu. I on teraz ją poznał. Kustosz miejscowego muzeum, dobry znajomy Szymona.

— Dzień dobry. Dzień dobry. Boże,, ależ pani straszliwie zmokła. Tu łatwo o przeziębienie... Dawno nie widziałem pani ani Szymona u siebie. Praktyka, galop na budowie, nieprawdaż? Co u Szymona się dzieje?

— U Szymona? To znaczy pan nic nie wie? Nic pan nie słyszał?

— Co miałem słyszeć? — zdziwił się. — Wyjechał?

— Gorzej — przysunęła twarz bliżej do suchej twarzy mężczyzny. — W poniedziałek w nocy został aresztowany. Zarzucają mu idiotyczne sprawy, z którymi nic, ale to nic, nie miał wspólnego. Wiem o tym najlepiej. Sama zresztą, interweniując w milicji, przyczyniłam się do powstania nowego zarzutu...

— Szymon aresztowany? Krajecki?

Kustosz był zaskoczony i najzupełniej zdezorientowany. Lubił, bardzo, Szymona, który często odwiedzał założone przed paru laty muzeum i prowadził z kustoszem długie rozmowy. Dwa razy towarzyszyła mu Danka, stąd i jej znajomość z panem Pajączkiem. Mrugał teraz, rzadkimi rzęsami, oczyma krótkowidza wpatrywał się w Dankę jakby w jakąś zjawę nie z tego świata. Całe jego oblicze tchnęło przy tym tak wielką życzliwością, że dziewczyna uczuła nagłą ochotę zwierzenia się. Zbyt długo musiała już tłamsić w sobie to wszystko.

Odetchnął, słysząc opowieść o „Baltonie”.

— Głupstwo. Wyjaśni się... A o co chodziło naprawdę?

— Właśnie że nie wiem. Podpytywano mnie, czy Szymon ma, coś wspólnego z historią sztuki. Z malarstwem. Z ikonami jakimiś...

— Z ikonami? — oczy kustosza zognomniały tak, że zdawały się przesłaniać sobą całe jego oblicze. — Bo właśnie...

— Widzi pan, była u Szymona rewizja. I pod łóżkiem znaleziono jakieś obrazy, tak przynajmniej wywnioskowałam.

Położył swą rękę na jej dłoni.

— Chwileczkę, panno Danusiu. W tej chwili zaczynam już coś rozumieć. Kojarzy mi się to z

pewną wczorajszą sprawą. — Obejrzał się dookoła, zniżył głos: — Proszę jedynie o dyskrecję. Wczoraj wezwano mnie na milicję. Tam pokazano dwie ikony, z prośbą o wydanie oceny, czy podlegają one ochronie jako okazy dawnej sztuki. To były rzeczywiście ciekawe rzeczy, choć nie najwyższej klasy. Stosunkowo młode. W każdym razie sporej wartości. Na Zachodzie zbieracze szaleją teraz w pogoni, właśnie za ikonami, osiągają tam one horrendalne ceny.

— Pytano mnie o kontakty Szymona z cudzoziemcami... — zastanowiło ją coś w wyrazie twarzy swego rozmówcy. — Panie magistrze, ale pan chyba pewien jest niewinności Szymona?

— Ufam mu. Tym bardziej nie mogę pojąć skąd się u niego wzięły ikony. A pani to rozumie?

— Domyślam się... Zostały podrzucone. Chyba też znam powody.

— ' To zna pani może i sprawców?

— Jeżeli podejrzenia moje są słuszne, jednego z nich widziałam dwa razy.

Znów te szeroko rozwarte oczy. Musi mu najkrócej zrelacjonować swe podejrzenia. Trudno wszakże mówić, gdy myśl zaabsorbowana jest czymś zupełnie innym. Bo właśnie strzeliła jej do głowy nowa koncepcja działania... Zdobyła się jednak na opowieść.

— Najgorzej, że jestem sama. Do milicji iść nie mam po co. Znów ten porucznik będzie się dziwnie uśmiechał, traktując mnie jak pomyłką, w najlepszym wypadku jak naiwne dziecko. Chcę ściągnąć tu Florka, pan go nie zna, mój kolega z roku, czwarty z. naszej paczki.

— Żebym wiedział, że chodzi tu o Szymona, żebym wiedział — mruczał przejęty kustosz. — Inna sprawa, że to nienowa historia. Jeszcze przed miesiącem odwiedził mnie taki starszy pan z Koszalina, z Wojewódzkiej Komendy Milicji. Mówił, że poprzez nasze miasto przechodzi szmugiel dzieł sztuki, głównie bodajże ikon. Gdyby się więc zdarzyło, a jako kustosz bardziej niż kto inny mogę mieć z tym do czynienia, że zetknę się z czymś podobnym, to wtedy... no, rozumie pani... Jakies sieci musiały więc władze zastawiać wcześniej. Tym bardziej dziwne, że tak łatwo dały się nabrać na wplątanie w to Szymona. Dziwne, dziwne.

Dance też coś chodziło po głowie. Nie mogła sobie przypomnieć. Aż uderzyła się mocno w czoło rozwartą dłonią.

— Zgadza się. Tamci wtedy, którzy mnie nastraszyli, mówili coś o deptaniu po piętach... Właściwie to wszystko zaczęło się ode mnie. Żeby nie tamta historia, Szymon nie obiłby po gębie faceta, ten by się na nim nie mścił, byłby spokojny.

— Niechże pani nie robi sobie wyrzutów. — Głos jego przybrał teraz ton uroczysty: — Panno Danusiu. Gdybym mógł na coś się przydać, proszę liczyć na mnie. Teraz muszę już iść.

Podniósł się, wstała od stolika i ona. Patrzyła z wyteżeniem na swego rozmówcę. Zastanawiała się. A gdyby? I teraz już z miejsca podjęła decyzję:

— Dziękuję i... od razu skorzystam. Proszę pana, chciałbym z panem pójść wieczorem do

„Fregaty”, przejść .się także po innych knajpach i kawiarniach.

Wyraźnie się stropił. W spojrzeniu jego nabrzmiewał wyrzut. Szymon w takiej sytuacji, a jej w głowie zabawy? Przełknął ślinę, chciał już powiedzieć coś ostro, uprzedziła go jednak.

— Chodzi o Szymona... Pragnę mu pomóc. Widziałam tamtych ludzi, mogę ich rozpoznać. Sama przecież do _ nocnych lokali nie pójde... Może też odnajdziemy Lutka. Bardzo proszę.

Zgodził się bez entuzjazmu na tę dziwną propozycję.

Danka uśmiechnęła się patrząc za nim. Pocziwy odludek, zakopany po uszy w przeszłości, bobrujący po Kołobrzegu i okolicy w poszukiwaniu eksponatów dla swej placówki, chodząca encyklopedia wiedzy o regionie od jego prasłowiańskich początków, zawsze z naiwnym zdumieniem reagował na docierające do niego przejawy normalnego życia.. Cóż dopiero teraz...

Chwile załamania minęły. Znow była sobą, mogła myśleć intensywnie i organizować działanie. Czas płynął, Szymek fatalnie musi czuć się za kratkami, należy wszystko uczynić, by przyspieszyć jego zwolnienie. Lutek musi się znaleźć. Ściągnie Florka, we trójkę łatwiej im pójdzie.

Do baraku wpadła jak po ogień, błyskawicznie zmieniła sukienkę, narzuciła płaszcz i pognąła na pocztę. Gdy nadała już pilną depezę, odetchnęła. Dopiero się Florek zdziwi w tej Łebie. Nie chcąc go zbytnio przerażać, tekst zredagowała w ten sposób: „Przyjeżdżaj natychmiast. Z Szymonem bardzo źle. No bo przecież nie poda, że jest aresztowany. Nie wiadomo też, czy poczta zgodziłaby się przekazać taką wiadomość...

Na budowie czas jej się dłużył. Właściwie mogłaby nawet się zwolnić, co by to wszakże jej dało? Poza penetracją lokali w asyście kustosza Pajączka nic innego nie przychodziło jej na myśl.

Lutek ciągle nie dawał znaku życia. Z żalem stwierdziła to raz jeszcze pod koniec roboty.

Nie śpieszyło się jej do domu, ciasnej, byle jak umeblowanej klitki w budowlanym baraku. Do wieczora zostawało jeszcze tak wiele czasu. Od budowy poszła w dół, ku morzu spienionemu ciągnącymi na brzeg grzywaczami. Szły mocne i huczące. Plaża była mokra, twardo ubita, zatarły się ślady tak pracowicie budowanych grajdołów. Na linii horyzontu rysowała się ledwie majająca sylwetka statku.

Szła wolno, tą samą drogą, jaką w niedzielną noc przemierzała wraz z Szymkiem.

A to budynek tej nieszczęsnej „Baltony”. Przy nabrzeżu, jak wtedy, przycumowanych kilka statków oczekujących na załadunek. Szwedzkie bandery. Jeszcze wczoraj nie było ich tutaj.

U wejścia do portu., przy falochronach, zapłonęły światełka pozycyjne. Zmierzch wcześniej spadał z zachmurzonego nieba. Zabłysła latarnia, pierwsze snopy promieni zaczęły zataczać koliste kręgi. Danka zerwała się na ten sygnał jak ptak. Ani się spostrzegła, jak czas jej przeleciał. Trzeba pędzić na spotkanie z kustoszem. Biedak, pewnie ciężko wzdycha, szykując się na straszną dlań eskapadę.

Pan Pajaczek już czekał, wbity w ciemny garnitur. Spod grubych szkieł spoglądał na nią jakby zatroskany. Ujęła go mocno pod ramię, wdzięczna za to niewątpliwe poświęcenie z jego strony.

— Tak, tak — Odpowiadał trochę nieprzytomnie na podziękowania. — Mam nadzieję, że szybko się uwiniemy. Bo widzi pani, kapitalna rzecz, dzisiaj właśnie przeżyłem radosną chwilę... Przyszła delegacja dzieci razem z nauczycielem. Dzieciaki hasając nad Parsętą naprzeciw Wyspy Solnej, urządziły sobie na skłonie terenu coś jakby skocznię. Piasek z murawą obsunęły się nagle i w usypisku znalazło się sporo bezcennych rzeczy. Kilka rybackich ciężarków kamiennych, na pierwszy rzut oka wyglądają mi na wiek dziesiąty lub jedenasty, wisiołek pochodzenia chyba bizantyjskiego, trudno to jeszcze dokładniej określić, musiałbym rzecz przekonsultować. Co wszakże najbardziej mnie uradowało, to przepiękna sprzączka. brązowa, głowę bym sobie dał uciąć, że gotlandzka, najpóźniej z dwunastego stulecia... Cały dzień przesiedziałem nad tymi historiami. Pokażę je wam, gdy do mnie wpadniecie...

Urwał, przed chwilą mówił z zapalem, ożywiony, przejęty, teraz zmalął, skurczył się, przygaśł zupełnie. Zawstydzony przeniósł spojrzenie krótkowidza na Dankę, zdając się tym wzrokiem przeproszać za nietakt.

— Bardzo, bardzo przepraszam — szepnął.

Pociągnęła go ku „Morskiemu Oku”, najruchliwszej kawiarni nie opodal wybrzeża. Z trudem znaleźli wolne miejsce.

— Kawa? — spojrzał pytająco na Dankę.

— Kawa i... i jakiś winiak. Mam dreszcze — uzupełniła, widząc jego zdziwione spojrzenie. W tym napięciu zapragnęła nagle czegoś mocnego.

Rozglądała się uważnie po sali, Na Pajaczkę nie mogła liczyć. Tylko ona i nieobecni chłopcy znali wygląd tych ludzi, którzy, była tego pewna, musieli mieć wiele wspólnego z całą aferą. Wokół rozbawione towarzystwo, grupki, szepczące pary, gęsty dym stojący w powietrzu, brzęk naczyń, śmiech. Twarze, twarze, twarze. Każda inna, wszystkie podobne, ale wśród nich nie ma, tych, których szuka.

Podniosła kieliszek wypić do dna.

— Pójdziemy dalej?

Kawa i winiak rozgrzały ją, myślała jaśniej. Czy to nie dziecinada ten jej pomysł z szukaniem obcych ludzi, których może nawet już nie potrafi rozpoznać, z tropieniem sprawy, w której gubiły się i koniec, i początek. Jedno było pewne, ogromna krzywda Szymona.

Do następnej kawiarenki jedynie zajrzeli. Podobnie do obskurnej knajpy, w której kotłowała się pijana ciżba. Ani Lutka, ani tamtych też tutaj nie było.

— To co, chyba trzeba do tej „Fregaty”? — westchnął Pajaczek. Czuł się dość niewyraźnie w

narzuconej sobie roli ni to detektywa, ni to przyzwoitki miłej, ale zwariowanej na swój sposób dziewczyny. Spojrzał na nią z ukosa, zapytał ni stąd, ni zowąd: — Krajecki był, zdaje się, w Bieszczadach?

Nie odpowiedziała. Wchodzili właśnie do „Fregaty”. Szatniarz odbierał ich okrycia. Nie chciała Pajączkowi odpowiadać. Aż nazbyt dobrze zrozumiała podtekst jego pytania. Przecież i ona chwilami łapała się na podobnych myślach, tyle że starała się je odrzucić od siebie. Niemożliwe, Szymek nie mógłby tego zrobić. Nie mógłby.

Cień wątpliwości jednak zostawał. Na jego tle wyłaniał się z pamięci ironiczny uśmiezek porucznika z komendy milicji.

— Chodźmy szybko.— pociągnął ją nagle kustosz.

Zdumiała się. Jednak potrafi coś działać. Myślała, że bada musieli wyjść, Pajączek w porę jednak .zauważył, że któryś stolik się zwalnia. Zdążyli. Inna para, szturmująca z drugiego końca sali, cofnęła się zawiedziona.

— Zupełnie zapomniałam. Proszę. Na jutro — wydostając z torebki chusteczkę natknęła się na ten papier. Zastała go zatknięty w szparę drzwi swojego pokoju.

— Wezwanie od prokuratora.

— Tak. Dziś mi doręczyli. Cieszę się, może inaczej mnie wysłucha niż ten porucznik... Nie, koniaku niech pan nie zamawia... Kawę, coś do picia — machnęła ręką, kelner już odszedł.

I tu nikogo ze znajomych. Z miejsca, w którym siedzieli, nie widać było baru, skąd nadbiegał nieustanny poszum. Lutka też nie ma Przebłysk niepokoju. A z tym co się dzieje? Tyle już dni...

Kustosz podniósł kieliszek.

— Za Szymka — w głosie jego było jakby zawstydenie za tam to pytanie.

W ogóle stał się niezmiernie miły. Gdy zagrała orkiestra i ku parkietowi zaczęły podążać pary, pan Pajączek skłonił się szarmancko przed Danką. Zawahała się, przyszło jej wszakże na myśl, że tańcząc, lepiej będzie mogła przyjrzeć się obecnym we „Fregacie”. Pokieruje Pajączkiem tak, by przewijać się brzegami tanecznego kręgu.

Jednakże nic z tego. Obce twarze, co najwyżej znane z migawkowych zetknięć na plaży czy na ulicach miasta. Mocnym akordem urwała się melodia. Pajączek podniósł do ust jej rękę I wtedy nagle zadrżała. Ci dwaj nie znani w tym gronie goście musieli przedtem zasłaniać swymi plecami resztę. Bez wątplenia, to było towarzystwo z tamtego volvo. Dwaj mężczyźni — właśnie ten z lewej zagadywał po polsku z osobliwym cudzoziemskim akcentem, ten drugi dukał po niemiecku. I dziewczyna tapirowana, ta sama lalka, która siedziała w wozie. Jacyś jeszcze dwaj obcy razem z nimi. Dwa zsunięte stoliki, na nich piętrzące się naczynia i stos butelek.

— Są, proszę pana. Ci zagranicznicy z volvo...

Zamrugał oczyma, jakby przywracany do rzeczywistości z głębokiego snu. Mogło się zdawać, iż zapomniał zupełnie o celu ich przybycia do tego lokalu.

— Na pewno oni? — zrozumiał wreszcie.

— Z całą pewnością. Tylko co teraz robić? W stosunku do nich nie mim przecież żadnych zarzutów. Nie oni mnie napastowali, nie w ich obecności to się działo.

Rozejrzała się jeszcze dokoła. Do tamtego stolika zbliżył się kelner podając kawę i jakiś czerwony płyn w smukłych kieliszkach. Zaraz zaczął coś pisać, pewnie rachunek... Siedzący tyłem do niej mężczyzna obejrzał się nagle i pokiwał głową, jakby odpowiadając komuś na znak porozumienia. Danka podążyła oczyma za jego spojrzeniem. Ledwie się wstrzymała, aby nie krzyknąć.

Przy kotarze oddzielającej przejście do baru stał jeden z tych, którzy wtedy ją zaskoczyli. Ten mniej aktywny. Nie mówił wtedy nic, tylko patrzył tak bardzo groźnie.

Od cudzoziemskiego stolika podniósł się barczysty mężczyzna i szedł w kierunku baru. Tamten przy kotarze cofnął się wtedy w głąb, już go Danka nie mogła widzieć.

— Niech pan uważa na tych tutaj... Tam jest jeden z mych prześladowców. Muszę się jeszcze upewnić. Trzeba chyba będzie szukać pomocy milicji...

Przecisnęła się szybko w kierunku baru. Co robić, co robić? Nie będzie wszakże krzyczeć, to śmieszne, z miejsca by spłoszyło faceta. Prosić kelnerów czy barmankę o wezwanie milicji? Niewiele to da. Zaczną wypytywać, gotowi narobić przedwcześnie szumu, facet pryśnie i tyle.

Teraz ich ujrzała. Tamten, postawny, o dziwnie płaskich uszach, Stał zwrócony do niej tyłem, W tłoku przysunęła się tuż za jego plecy. Dukał właśnie łamanym niemieckim...

— *Also gut... Aber ich muss wegfahren. Morgen abends, gut?*

— *Morgen? Nein. Übermorgen. Nachmittags. Hier?*

— *O, nein...*

Nie dosłyszała reszty, wyszeptał kolejne słowa. Stała w miejscu jak przygwożdżona. Mężczyźni podali sobie ręce, cudzoziemiec wrócił na salę. Spojrzenie drugiego prześliznęło się po Dance Błysk w oczach, drgnięcie twarzy. Wiedziała już, że ją poznał. Co robić? Idzie do baru... Obejrzał się za nią. Trzeba po Pajączka, mężczyzna potrafi i-coś zdziałać.

Niemal biegiem, ku zdumieniu obecnych, puściła się do zajmowanego przez nich stolika. Pajączek podniósł się z miejsca.

— Prędzej, prędzej — zaszeptała. — Jest tam... Musi pan coś zrobić, żeby go zatrzymano. Prędzej...

Z pełną rezygnacji czy desperacji energią pośpieszył za nią z powrotem do baru.

— Który to?

Oczy jej napełniły się rozpaczą. Już go tutaj nie było. Jeszcze nie wierzyła sama sobie. Nie ma. Uciekł.

— Łapmy przynajmniej tamtych. Znają go, mogliby wskazać trop.

Cudzoziemski stolik także był opróżniony. Już się tam krzątał kelner, ładując na tacę naczynia.

— Danka — usłyszała za sobą głos nabrzmiący zdziwieniem.

Obróciła się. Przed nią stał Lutek wymięty, z poszarzałą twarzą, jakiś brudny i zarośnięty.

Przypadła do niego.

— Szymon aresztowany. Niesłusznie. A tu są ci, wiesz, z którymi się biliście, oni wsadzili Szymona. Prędeż, bo chcą nam uciec...

Zagwizdał, zaklął, jeżeli i był podpity, to oprzytomniał w jednej sekundzie. Puścili się całą trójką do szatni. Pajaczek przezornie już w drodze wyciągnął z kieszeni numerek i drobne. Porwali płaszcze i wybiegli na ulicę. Myszkowali wokoło oczyma. Nikogo z tamtych nie było widać. Danka wysunęła się aż na jezdnię, gdy nagle doskoczył do niej Lutek i szarpnął silnie do siebie.

Hamując gwałtownie, a zarazem potem zrywając na pełnym gazie, przemknęło obok nich volvo. Danka poznała za szybą wytapirowaną dziewczynę.

— To oni, oni...

Wóz wspaniale przyśpieszając gnał pełną parą. Zakręcił, i zniknął z pola widzenia.

— Zauważyliście może numer? — spytała Danka złamanym głosem.

-- Na końcu na pewno była czternastka — powiedział Pajaczek.

Rozdział XI

Relacja Florka

— Krychna miała rację, gdy ostrzegała. Wykpiliście mnie — Florek powiedział to z wyraźną urazą.

— Kto mógł wiedzieć, że tu szykuje się, podobny kryminał...— bąknął skruszony Lutek. Minę miał mocno krzywą, ku zdziwieniu Florka pokorny był nie po swojemu i cichy. — Najwięcej w tym mojej winy. Diabli mnie ponieśli we światy. W tym czasie stało się wszystko najgorsze.

Rozmąmlany, nie ogolony, siedział na rozbabranym łóżku. W pokoju panował straszliwy bałagan, nikt tu niczego nie sprzątał jeszcze od momentu rewizji.

Florek ciągle nie oswojony z masą nowin, jakie przed chwilą na niego spadły, przeżuwał coś w sobie, przypatrując się spod oka nienajfortunniej wyglądającemu Pazole. Wychudł, blade był, oczy miał podkrążone, przystrojone obwisłymi workami.

W pokoju było jak zawsze mroczno, tylko na przeciwległym murze kładły się płyty słońca. Stawski z pewnym niedowierzaniem spoglądał na zegarek, dochodziła zaledwie siódma. Prawie dwie godziny już przegadali.

Lutek ziewnął szeroko, przyjrzał się koledze.

— Nie mogłeś przyjechać nieco później? Ledwie się człowiek przyłożył, już się trzeba podnosić. Do drugiej w nocy przesiedziałem wczoraj z Danką i kustoszem w muzeum. Pomyśleć, jak wiele się stało przez tych parę- dni... Dziwnie to wyglądało, opowieść tak bardzo aktualna, a wkoło muzealne rupiecie, jakieś kamienie, stare ozdoby, broń. — Przeniósł spojrzenie na łóżko Szymona, okupowane przez siedzącego na nim Florka. — Jasny gwint, tu miały być te cholerne ikony. Dla mnie sprawa jest jasna, ktoś je tutaj podrzucił. Łączę to z ostrzeżeniem twojej rudej. Musiała o tym coś wiedzieć. Warto by babkę odszukać. Nie wiesz, gdzie mieszka?

— Nie chciała mi nigdy powiedzieć. W ogóle była jakaś tajemnicza. Czuło się w jej zachowaniu piekielny strach. Musieli ją czymś zaszachować, biedna dziewczyna.

— Biedna jak biedna. Wygląda mi na niegorsze ziółko. Skąd jej konszachty z łobuzami? — zachnął się Lutek.

— Gadasz, bo jej nie znasz... Mogła zostać zmuszona.

W odpowiedzi machnięcie ręki.

— Właściwie to mamy czas. Rano nic nie zdziałamy. Danka ma wezwanie do prokuratora na dwunastą. A gdybyśmy tak, Florek, również się do niego zgłosili, by świadczyć na korzyść Szymona?

Nagle Pazoła uśmiechnął się całą gębą, przeciągnął się, wstając serdecznie rąbnął Florka przez plecy.

— Dobra jest. Pomożemy Szymonowi.

Florek rozłożył się wygodnie na łóżku Szymona. Musiał koniecznie złapać oddech. Oszło miło go to, czego się dowiedział od Lutka. Już depeza Danki napędziła mu solidnego stracha. Z tymi wariatami nic nie wiadomo, zawsze się muszą w coś wplątać, myślał tam w Łebie, szukając sposobu jak najszybszego dotarcia do Kołobrzegu. Co tu gadać, położenie Szymka nie jest najweselsze. Lutek nie wie chyba wszystkiego, ale i to, co powiedział, wystarcza, żeby było. nad czym się zastanawiać. Weszli komuś w paradę, temu komuś zależy ażeby przerzucić na nich swoją winę. Może zmylić po prostu w ten sposób ślady, skierować milicję na fałszywe tropy. Za tym wszystkim kryć się może afera na wielką skalę. Przecież na wybrzeżu, w sezonie urlopowym, pełno się kręci wszelkich niebieskich ptaków, ułatwione są kontakty z cudzoziemcami, w tłumie łatwiej jest zniknąć...

Coś mu zakotłowało w głowie, coś, czego nie umiał sprecyzować. Cień jakiejś myśli rozplątał

się jednak, nic już z niego nie pozostało. Odetchnął głęboko. Jest po prostu zmęczony. Telegram Danki dotarł do niego późnym wieczorem, gdy wrócił z jeziora. Na pociąg via Słupsk było .za późno, inne kombinacje przesiadkowe nie pasowały. Pozostawała znów próba dostania się na miejsce autostopem, przeszkadzał jednak ulewny deszcz. Zaryzykował wszakże. Trzy razy się przesiadał, by nad ranem dobrnąć wreszcie do Kołobrzegu i przed szóstą zjawić się w pokoju kolegów. Tu z miejsca jak obuchem przez łeb wieść o aresztowaniu Szymona. Ładny bal.

Życie jest zawsze takie, że jest się. w nim, moje złoto albę zimnym łajdakiem, albo natchnionym idiotą.

Uśmiechnięty, odświeżony, w drzwiach pojawił się Lutek. Stawski odetchnął, nareszcie kumpel wraca do normy, bo jeszcze przed chwilą wyglądał okropnie.

— Dobra jest, zaczynamy działanie. Wygląda na to, że tylko my będziemy coś mogli Szymkowi dopomóc. Detektywi-amatorzy. Do spotkania Danki z prokuratorem mamy czas. Z tego przesłuchania dowiemy się może nowych elementów, ostatecznie oni w milicji też muszą coś robić. Sprawę „Baltony” zostawiamy tymczasem na uboczu, nic o niej właściwie nie wiemy. Diabli też wiedzą, czy jedno łączy się z drugim. Osobiście nie widzę tu związku... Dwóch facetów napada na Dankę, która przypadkowo podsłuchiwała ich rozmowę z dwoma cudzoziemcami dysponującymi samochodem volvo. W wozie siedziała dziewczyna. Teraz wiemy — Lutek zgiął jeden palec — że końcowe cyfry numeru wozu to 14.

Stawski słuchał z napiętą uwagą.

— Teraz dwa. — Zgiął drugi palec. — Facetów tych spotykamy potem idąc z Danką wieczorem do domu. Okazuje się, że Szymon jednego z nich zna z Bieszczad...

— I tu by grała sprawa ikon.

— O właśnie, ale nie przeszkadzaj. We „Fregacie” natykamy się na tych samych gości. Dochodzi do rozmowy przy bufecie w barze. Facet nie przyznaje się do znajomości z Szymonem. Na ulicy, przy starej popielatej warszawie o cholernym żary wie, na motorach się trochę znam, dochodzi do rozmówki między nami i do mordobicia. Faceci nazywają się Zyga, czyli Zygmunt, to ten bardziej bojowy, który napastował Dankę, i drugi, Stefek, który chwycił za korbę. O, widzisz, te imiona to bardzo ważny konkretny ślad. Teraz dalej...

-- Czekaj — Florek chwycił go za rękę. — Wyście przedtem mówili, że we „Fregacie” z tymi facetami siedział przy stoliku także i ratownik, jakże mu, Miecio...

— Jasny gwint — Lutek z podziwem popatrzył na Florka. — I ty zaczynasz kręcić głową. Zupełnie o tym zapomniałem. Zatem Miecio musi facetów znać, i to chyba dobrze. Nowy trop. Masz coś jeszcze?

Patrzył zdziwiony na Florka, który dał mu znak ręką, by milczał, sam zaś zastanawiał się nad

czymś bardzo intensywnie. Aż przybladł, a oczy jego zolbrzymiały.

— Słuchaj, powiedziałaś, że ta warszawa miała cholerny zryw, jakoś po prostu nie pasujący do marki wozu? I że była popielata, mocno poobijana?

— No tak.

— Ten zryw... coś mi się przypomniało. Może ci opowiem, jeżeli zagra, potwierdzisz. Bo widzisz, mnie się też coś takiego zdarzyło, gdy jechałem do Łeby. Jeszcze w niedzielę, potem gdy ciebie szukałem, by przekazać to ostrzeżenie Kryśki.

--- Rudej.

— Rudej. Miej tą przyjemność... Widzisz, było już wtedy późno, tylko patrzeć, jak zacznie się ściemniać. Nie miałem wiele nadziei, czy dotrę do Łeby. Tu łatwo złapałem samochód, ale tylko do Koszalina. Stamtąd pieszo dotarłem do wylotowej szosy i długo czekałem na próżno. Parę wozów przeleciało, żaden nawet nie przyhamował. Byłem już zrezygnowany, zostawał mi tylko pociąg, ale grubo po północy i tylko do Słupska. I wtedy przemknęła ta warszawa, jakoś też tak cholernie szybko i bardzo cicho. Machnąłem ręką, bez większej nadziei. Śmignęli tylko. Wyglądałem czy coś innego nie jedzie do Koszalina, gdy nagle zobaczyłem, że warszawa się cofa. Stanęli przy mnie. Pytają, dokąd chcą jechać. Mówię: Łeba. Spojrzeli po sobie. Siadaj pan. My też do Łeby. Wpakowałem się do wozu, myśląc, że mam szczęście. Szurnęli z miejsca niemal wsiadając na setkę. Motor rwał jak diabli, dziwiłem się, stary grat z takim zrywem. Coś nawet na ten temat im powiedziałem, żaden się nie odezwał. Mruki. Jeszcze coś rzekłem, to samo. Przestałem się wobec tego odzywać. Ciągnęli jak szatany, prowadził ten niższy... — tu Florek nagle poderwał się z miejsca. — Słuchaj, teraz mi się przypomniało, tamten nazywał się Stefek. To byli oni, ci sami.

— Fiuu! — zagwizdał tylko Lutek, zatarł ręce i wydymając wargi, zarecytował:

*Nie mówię, że jestem geniusz,
lecz i nie dupa:
też bym napisał „Dziady”
gdybym się uparł.*

Florek przeprowadził go krzywym wejrzeniem, zaraz jednak, przejęty, wrócił do opowieści.

— W pewnym momencie jeden z tych facetów wskazał ręką na zegar w wozie, zwracając się do mnie, bym sprawdził, czy dobrze wskazuje czas. Było już po dwudziestej... Później znów coś było z tym czasem, wyglądało, jakby się bardzo spieszyli, albo, albo chcieli, abym zapamiętał dobrze godzinę. Nie wiem. Goniąc tak ciągle setką albo powyżej, facet dobrze prowadził, minęliśmy Sławno, Słupsk, tam się chwilę zastanawiali nad drogą, wybrali dłuższą, ale lepszą przez Lębork. W Lęborku byliśmy po dziewiątej. Stamtąd już niedaleko. I wtedy ni stąd ni zowąd

stali się bardzo rozmowni. Zwłaszcza ten drugi, co siedział obok kierowcy. Stefka. Pytał, po co jadę do Łeby. Że oni też by chcieli tam trochę wypocząć. Może znam jakieś pensjonaty albo najlepiej prywatne locum, ale z obiadami. Objeżdżają całe wybrzeże, Kołobrzeg im się nie podobał, zbyt ciasno, za cywilizowanie... Potem urwał się z tym gadaniem. Słyszałem, jak szeptali coś do siebie o ulicy Trzeciego Maja... Wysadzili mnie w śródmieściu. Patrzyłem jeszcze za nimi, pojechali rzeczywiście w stronę Trzeciego Maja. Ale w Łebie przez następne dni ani ich, ani wozu już nie widziałem.

— To byłby dowód, że...

— Czekaj, nie koniec. Dzisiaj znów zauważyłem tę warszawę. Za kierownicą tkwił Stefek. Nikogo więcej w wozie nie było. Siedziałem w sfoferce ciężarówki obok kierowcy, drogę dobrze widziałem. Zaraz przed Koszalinem w kierunku na Sławno śmignęła mi ta warszawa. Jeszcze mój kierowca powiedział, że tęgo pruje. Ta sama, odrapana, popielata. No i facet ten sam. Co na to powiesz?

— Przerwałeś mi. Tamta niedzielna jazda byłaby dowodem, że faceci nie maczali rąk w napadzie na „Baltonę”. Tak jak mówiłem, mnie się te sprawy ze sobą nie łączą. W każdym razie jest nowy punkt zaczepienia. Masz jeszcze coś, Sherlocku Holmesie z Łeby?

— Nie. Gadaj ty dalej.

— Punkt trzeci. W niedzielę faceci z „Fregaty” jadą do Łeby swoją warszawą o rzadkiej, jak na tę markę, sprawności. Stefek jest za kierownicą. Skręcają w ulicę Trzeciego Maja... W Łebie chyba długo nie zostają, jeżeli dziś rano wóz znów pędzi w tamtym kierunku z Koszalina albo i z Kołobrzegu... Zaraz, zaraz, Danka mówiła, że facet wspomniał zagranicznikowi, iż musi wyjechać. To był Stefek, jak wynika z jej słów. Czyżby jechał do Łeby w związku z rozmową z tym Niemcem czy Szwedem? Wiesz, to już jest coś.

Brawo, Florek!

Stawski rozjaśnił się. Nareszcie i on na coś się przydał, na równych prawach zaczął brać udział w tej dziwnej grze.

— Czwarty punkt — ciągnął Lutek — to wczorajszy wieczór. Spotkanie Danki ze Stefkiem. No i całe to zagraniczne towarzystwo przy stoliku w „Fregacie”.

— Zapomniałeś, że w niedzielę było ostrzeżenie Kryśki, a w poniedziałek w nocy aresztowano Szymona.

— Racja. Czy myślisz, że ostrzeżenie łączyło się z tym?

— Mogło się łączyć.

— Wiesz, gdzie znajduje się twój rudzielec?

— W tym rzecz, że nie. Ucieła wtedy wszystko. Gdy zapytałem o Łebę, bo dzień wcześniej

wspominała, że może tam zajrzy, odpowiedziała, że nie ma czego szukać w tej miejscowości.

— Sprawa tej dziewczuchy jakoś mi tu nie gra. Za mało po prostu wiemy... Sądzę, że jeżeli przedstawi się to wszystko prokuratorowi, będzie miał możliwość przyśpieszenia śledztwa. Tylko że to chwilowo niewiele pomoże Szymkowi. Sami musielibyśmy zadziałać, może odszukać facetów na własną rękę?

— W Łebie? Tam trudno się dostać. I Danki nie możemy zostawić samej.

— Pojechałaby z nami... Ale może istotnie, nie ma tam po co się wrywać. Zresztą ten Stefek jechał dziś sam... Drugi, Zyga, mu siał więc tu zostać. Tu też trzeba szukać rudej dziewczyny.

— I Miecia.

— I Miecia. Tego się odnajdzie najłatwiej. Ratownik.

— Zostaje też volvo cudzoziemców.

— Święte słowa. Florek, zachwycasz mnie. W ogóle stylowa zabawa. Dwa samochody, zgraja przestępców. W rezultacie zaś siedzi Szymon. Kręcka można dostać.

— Słuchaj, Lutek. Pod materacem znaleźli te ikony? Tutaj? A może Szymon je miał, dostał od kogoś, może się mylimy, przypuszczając, że ktoś je tutaj podrzucił? — trochę niepewnie zaczął Florek.

— Jesteś księżycowy bałwan. Ja Szymka za dobrze znam. On na szwindle nie pójdzie. A co z „Baltoną”, jak myślisz? Wiemy tu coś?

— To, co od Danki. Niepotrzebnie paplała o tym w komendzie milicji, może by w ogóle nie przyszyli tej historii Szymkowi.

— Może. Choć na wszelki wypadek na pewno by próbowali węszyć... Pajączek z muzeum bąkał, że wspomniano mu, wtedy, gdy dawał opinię o ikonach, że z „Baltoną” śledztwo na dobrym tropie. Przy konfrontacji facet z dolarowego sklepu rozpoznał przestępcę.

— Sądziś, że chodzi o Szymka?

— Nie wiem. Przy takim pechu wszystko możliwe. Szymek przecież wlaź mu na oczy, gdy podglądał przez okno. Idiotyczne pomysły, swoją drogą.

— Daj spokój. Szkoda chłopa.

— Dlatego klną. No, będę się ubierał. W tej norze chłodno, choć na dworze na pewno już upał. Zjemy śniadanko, potem pójdziemy na budowę po Dankę. Odprowadzimy ją, sami też poprosimy o widzenie z prokuratorem. Przekażemy mu nasze wiadomości. I mało tego, i dużo zarazem. A później rozejrzemy się po mieście, może znajdzie my te wozy, warszawę czy volvo, może twoją rudą, może Stefka. Z tym ostatnim, gdyby co, nie będę się patyczkował. Mordę mu skuję jak diabli. Cholera, za korb»j wtedy chwycił. Bohater, psia jego mać. .

Florek słuchał słów przyjaciela, ale pierwotne uniesienie już minęło. Głowę wcisnął w ramiona i nad czymś myślał okłapy i zniechęcony.

— Mnie się zdaje, że to całe rozumowanie funta kłaków nie warte — powiedział wreszcie, — Wybrzydząmy się na milicję, że nie szuka tam sprawców, gdzie trzeba, a przecież to są rutyniarze, mają lepszego niżeli my nosa. Nam się ubzdurała jakaś historia, tania romantyka i wszystko do niej naginamy.

— Oo — przeciągle zadudnił Lutek.

— Możesz sobie wydziwiać. No bo sam powiedz, jakie my w końcu mamy przeciw tym facetom dowody? Danką podsłuchiwała rozmowę z obcokrajowcami. Handelek, coś takiego. Normalne, tu, cholera, pół świata handluje. Na krezusa nie wyglądam, a stale mi ktoś proponuje jakieś kupno. Swoi faceci, obcy, nawet w tej Łebie jakiś Czech na siłę chciał mi opylić pulower. Wracając do tamtych, źli byli na dziewczynę, że ich słyszała, pogrozili i tyle. Daliście im po pysku, zgoda, słusznie, ale na tym wszakże i koniec. Że podobno kogoś takiego widział Szymek w Bieszczadach, jeszcze nie dowodzi niczego. Milicja też łączy Szymka z ikonami, bo był w Bieszczadach.

— No i bo w łóżku rzeczywiście znaleziono ikony.

— Więc widzisz. Tu mają przynajmniej realny punkt zaczepienia. A my co? Jeżeli ci sami ludzie jechali do Łeby, też nic nadzwyczajnego. Żebym miał swój wóz, również bym jeździł. Wczorajsza heca we „Fregacie” to też nic osobliwego. Mogli się umawiać na spotkanie. No, sam powiedz, czy się nam coś za łatwo nie układa cała afera?

Pazoła skwaśniał, krzywo popatrywał na Florka. Jego argumenty robiły wrażenie. Zabębnił palcami po poręczu łóżka.

— To czemu każde z nas wpadło na to samo?

— Zasugerowaliśmy się nawzajem. To proste.

Lutek dopiero teraz się zdenerwował.

— Może masz rację. Ale co mamy robić? Zwiesić ręce bezczynnie, podczas gdy Szymon siedzi? Niewinnie. Bo w jego winę nie wierzę. Poza tym, niezależnie od twoich argumentów, mówi mi coś wewnątrz, że jednak mam rację. Zgoda, można trochę odczekać nie robić szumu, ale zainteresować się facetami nie zaszkodzi. Choćby był tylko jeden procent na poparcie moich racji.

— Wcale nie jestem pewien, czy warto stwarzać podobne fikcje... Słuchaj, Lutek, ja nie mam teraz w Kołobrzegu meliny. Nie można by się domeldować do ciebie? Może twoja gospodyni wstawi tu jeszcze jedno łóżko. Zapłacę z miejsca, starzy zostawili mi trochę grosza.

— Całe szczęście, bo ja jestem goły jak święty turecki. Pożycz mi stówkę... A do tej baby

pójdę, choć to straszne spotkanie. Zaczekaj.

Po paru minutach wpakowała się do pokoju' jejmość w brudnym szlafroku. Przyjrzała się uważnie Florkowi.

— Aha, to pan ten amator? Może pan mieszkać. Za tydzień sto złotych, płatne od razu. Łóżka nie wstawię, może pan na tym spać. Pościel tylko zmienię. Aha, i proszę też dokumenty, zameldują pana.

— To łóżko kolegi Krajeckiego.

— Jak wróci, dostawię dla pana inne.

Wyrywając mu dokumenty z dłoni, wymaszerowała godnie z pokoju. Florek odprowadził ją przerażonym wzrokiem.

Lutek wybuchnął śmiechem. Jakoś łatwo przechodził dzisiaj z nastroju w nastrój.

— Urocza, prawda? Zgasiłeś mnie swymi wątpliwościami. Zobaczmy wszakże, czyje w końcu okaże się na wierzchu.

Na dworze, po wczorajszym deszczu i chłodzie znów było ciepło i słonecznie.

Na przystanku zatrzymał się autobus. Pasażerowie stłoczyli się wchodząc do środka. Florek obojętnie zajrzał do wnętrza wozu. I nagle drgnął, łapiąc Lutka za ramię. Autobus ruszył z miejsca.

— Zobacz czy to ona?

— Kto znowu?

— Kryśka. Tylko, że już nie ruda, ufarbowana na czarno.

Pobiegł za autobusem. Jeszcze raz mignęła przy oknie twarz dziewczyny. Teraz był pewien. Gorączkowo oglądał się za taksówką, ale żadnej nie było w pobliżu. Tylko młodzik jakiś gramolił się za kierownicą prywatnego Wartburga. Florek podskoczył w tę stronę.

— Przepraszam, czy nie byłby pan łaskawy podrzucić mnie tak, bym mógł dogonić autobus.. Zostawiłem w nim teczkę — zełgał.

Młodzik spojrzał wyniośle: — Nie. Bardzo mi się śpieszy.

Spojrzenie Florka pobiegło za autobusem mijającym teraz wieżę kolegiaty i znikającym w oddali.

— Klapa — spokojnie zawyrokował Lutek. — Idziemy na kawę!

Stawski powlókł się ociężałym krokiem.

— Co na to powiesz? — zapytał, gdy zamówili już kawę i stos drożdżówek. Lutek bezczelnie używał na jego kieszeni.

— Nic. Normalnie. Babki lubią się teraz przemalowywać. Chyba że... ale to już będzie romantyka.

— Chyba że co?

— Że zrobiła to celowo. Że wie więcej, niż ci chciała ostatnio powiedzieć.

— Miała stąd wyjechać.

— Właśnie to uczyniła, tym autobusem. Pij kawę. Boski napój.

Wiesz, jak o nim pisał Gałczyński?

*Hej, czarna kawa nas urzekła,
poeto, czarną kawą sław,
lecz gorzki szatan na dnie piekła
to ci dopiero kawa kaw.*

Rozdział XII

Mała przygrywka do nowych wydarzeń

— Widzisz, Danko, sprawdza się, przestępca zawsze ciągnie na miejsce zbrodni — uśmiechnął się, zaraz jednak zdał sobie sprawę z niewczesności swojego żartu. — Przepraszam — szepnął, ściskając jej rękę.

To ona ich pociągnęła tą drogą. Rozmowa z prokuratorem odświeżyła w niej wrażenia niedzielnej nocy, chciała skonfrontować swoje przeżycia. Lutek przyglądał się jej dyskretnie. W brązowych oczach wyraźny smutek, na pół osunięte powieki. Pomyślał, że Danko bardzo przywiązana jest do Szymona.

— Przejdźmy w pobliże portu — koniecznie pragnął ją oderwać od ponurawych refleksji. — I nie martw się, karta się na pewno odwróci.

Dźwigi, transportery, ładowniki i ciągniki, pracowały pełnym tempem, pod pozorną gmatwaniną, wśród pokrzyków, brzęków i skrzypu odczuwało się harmonijny ład. Przy nabrzeżu tłoczyło się kilka statków, inne stały na redzie, oczekując na zwolnienie miejsca. Wózki akumulatorowe z chrzęstem przewoziły do magazynów jednolicie wyglądające paczki. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Obok przesunął się z jazgotem dźwig samobieżny, podjeżdżał na skraj nabrzeża.

— Mają gaz. Tu każda minuta się liczy, płacona w dewizach — zauważył Lutek. — Ci mają dobrze. Pewnie jakaś szarża. Robota leci, a oni do miasta, na piwko, na kurczaka. Ci Szwedzi szaleją za kurczakami, mówił mi jeden kelner — patrzył z zainteresowaniem na trójkę mężczyzn schodzących ze statku po trapie.

Danko złapała go mocno za ramię.

— Ten z prawej, to facet z „Fregaty”. Z nim umawiał się wczoraj Stefek, czy jak go wyzwiecie.

— Z prawej? — zainteresowali się, przyglądając się uważnie mężczyźnie pozostającemu nieco w tyle za dwójką swoich kolegów.

— Czekajcie, podgadam go. Zaproponuję jakiś handelek — mrugając do nich, zerwał się Lutek.

Zanim go zdołali zatrzymać, znalazł się już przy Szwedach, Tamten grzecznie podniósł dłoń ku nakryciu głowy.

— *Sprechen Sie deutsch?*

— *Etwas, nich viel...*

— *Ich will fragen...* czy nie ma pan do sprzedania czegoś. Płaszcz ortalionowe, może non-ironowe koszule. Albo dewizy?

Szwed zmierzył go ostrym spojrzeniem. Pokręcił przecząco głową.

— *Nicht. Geben Sie mir Ruhe...*

— *Aber, mein Herr ich will handeln.*

— *Ich werde Milizei rufen! Weg!* — furknął tamten już rozwścieczony.

— Przepraszam... *Verzeihen Sie...* Bardzo przepraszam.

Pozostał speszony, z miną .bezdennie głupią. Florek wybuchnął śmiechem.

— Detektyw, jak z koziej...

— Udław się.

— Uspokójcie się, dżentelmeni! Przy kobiecie zaczynacie pyskówkę. Chodźcie już na plażę, jeżeli podtrzymujemy nasz zamiar. Bo ja nie mam specjalnej ochoty. Za dwie godziny odbiór i galówka na budowie.

— Idziemy. Na plaży w spokoju obgadamy wszystko. Spróbujemy rozważyć raz jeszcze całą wizytę. — Florek był dziś nieoczekiwanie rzeczowy.

Lutka zastanawiało zachowanie Stawskiego. Gdy ciągnęli teraz plażą, kierując się na zazwyczaj zajmowane przez nich miejsce, popatrywał ciekawie na zaabsorbowanego Florka. Znali się już. parę tygodni, wystarczająco, .by z grubsza poznać swe charaktery. Stawski był dobrodusznym, na miły sposób naiwnym chłopakiem. Ujmował pogodą i niefrasobliwym stosunkiem do świata. Świetnie nadawał się na materiał do przekpinek i małych złośliwości. A teraz raptem zbuntował się. Przy tym schmurniał, momentami wydaje się, jakby był nieobecny.

Danka szła przodem, Florek zaś ciągle ślepił oczyma na wszystkie strony, jakby czegoś poszukiwał w gęstym tłumie.

Pazoła stuknęła się w czoło. No jasne, przecież ten chłopak ogląda się za swoim rudzielcem. Przypadła mu dziewczyna do smaku pomorskiej kąpieli, kiedy omal nie potopili się wszyscy. Ba,

już nie rudzielec, ale kruczoczarne stworzenie, jeżeli to ją naprawdę widzieli w autobusie

Te same wątpliwości musiał odczuwać Stawski.

— Sam już nie wiem. Może to był tylko ktoś bardzo do niej podobny. Bo po co się miała przemalowywać?

— Powinieneś znać ją lepiej ode mnie. Podobna była, ale to jeszcze wiele nie mówi. Zgrabne i ładne dziewczęta wszystkie są do siebie w jakiś sposób podobne.

Trafił. Florek rozpromienił się na chwilę.

— Widzisz, Wygadywałeś a przecież nie zaprzeczysz że jest ładna i zgrabną,

— Tylko powinna inaczej się czesać. I rudzina też dzisiaj przestaje być modna.

Dochodzili już w pobliże swojego miejsca. Trochę w lewo mieści się posterunek wartowniczy.

— Spójrzcie, Miecia naszego jeszcze nie ma — zwrócił uwagę Lutek.

— Nie masz większych zmartwień — parsknęła Danka.

Po chwili była już w morzu. Płynęła cawlem, prując wodę ostrymi wyrzutami ramion. Małe jej stopy w szybkim rytmie ubijały powierzchnię.

— Zupełna balia... Gonimy za nią,

Morze z każdym przemijającym dniem intensywniej błękitne, trwało teraz nieporuszone, ledwie, ledwie gdzieniegdzie pojawiała się zmarszczka. Płynęli całą trójką, daleko w morze, Lutek oglądając się w pewnej chwili, czy ratownik nie zechce ich gwizdem zawracać.

Ciągnący od dolnych warstw wody chłód usuwał z nich napięcie nerwowe, w którym żyli przez ostatnie dni. Długo krążyli, nawracali, znów wypływali w morze. A jeszcze zaczęła się chlapanina, nurkowanie, zatapanie, aż do utraty tchu, aż do bólu oczu, żartych Słoną wodą, aż do obezwładniającego, ale przyjemnego zmęczenia.

Wyciągnięci potem na piasku przegrzonym słońcem, sytkim, drobniutkim, leniwie mrużąc powieki, wypoczywali tym wypoczynkiem najbardziej pełnym, przez nic nie zmaconym. Pierwsza ocknęła się z tej półdrzemki Danka. — Aż mi wstyd. Kąpiemy się, wylegujemy, jakby nic się nie zmieniło. Gdy sobie przypomnę Szymka, mam uczucie cholernej zgagi. Jeszcze dziś to przyjęcie budowy, a potem popijawa. Od rana trwa odbiór, ledwie się zwolniłam, kierownik koniecznie pragnął, bym cały czas asystowała ekipie inwestora. Musiałam mu też obiecać, że przyjdę na pewno, jeszcze przyprowadzę i was.

--- Nie łam się, Danka. Nie ma jeszcze powodu do nakładania żałoby. Ta kąpiel świetnie mi zrobiła. Mogę nareszcie logicznie myśleć.

— Ostatni moment — zaburczał Florek.

— A tego jaki giez ugryzł? Co się z wami dzieje? Florek kąsa jak mucha na deszcz, ty, Danka, przeżywasz niepotrzebne skrupuły, błądzisz duchem po innym świecie.

— Przeżywam jeszcze raz tę dzisiejszą rozmowę — odszepnęła.

Przyszła razem z chłopcami. Prokurator nie kazał jej długo czekać. Sam otworzył drzwi, zapraszając do gabinetu. Lutka i Florka ogarnął ciekawym, uważnym spojrzeniem.

— To pani koledzy?

— Tak. Pazoła i Stawski. Mają prośbę do pana. Chcieliby podzielić się swymi uwagami w sprawie Szymona. Bo my... — zawahała się wtedy — my mamy pewne podejrzenia.

— Wiem. Porucznik mi wspominał. Zobaczymy... Przedtem porozmawiamy z panią.

Protokolant notował tę rozmowę, ale wydawało się, że nic w niej nie ma z urzędowego charakteru. W sprawie „Baltony” prokurator postawił jej parę pytań. Gdzie stali, jak długo, czemu Szymek chciał koniecznie zajrzeć do środka. Jak długo byli potem na dworcu. Więcej już do tej sprawy nie nawracał. Odnosiła niejasne wrażenie, jakby miał już tutaj swe własne zdanie, i to zdanie niczym nie obciążające Szymona. Więcej natomiast interesowały go te drobne szczegóły, które tak lekceważąco zbywał porucznik milicji. Czy może dokładnie opowiedzieć, jak wyglądało zajście w krzakach nie opodal budowy, gdy przypadkiem podsłuchiwała jakąś rozmowę? A awantura we „Fregacie”, wywołana przez Szymka i Lutka. Co o niej wie?

Zaskoczony usłyszał o przekazanym przez Florka ostrzeżeniu rudej dziewczyny. Podobnie zaciekała go sprawa szybko mknącej Warszawy zdążającej do Łeby.

— Tutaj oni sami mogliby panu najwięcej powiedzieć. Gdyby pan zechciał ich zapytać — dodała.

— Jak najchętniej. Może pani przeczyta tylko i podpisze protokół — podsunął jej kilka kart maszynopisu. — A teraz chyba ich zaprosimy? — uśmiechnął się prokurator.

Odpowiedziała uśmiechem. Zupełnie inaczej wyobrażała sobie człowieka pełniącego tę funkcję. Jako jakąś zasuszoną, ponurą i straszną postać, łypiącą oczyma, pokrzykującą, wietrzącą wszędzie podstęp i zło. Tymczasem ten młody, brzydki, ale o miłej powierzchowności człowiek ujął ją swą serdecznością.

Przyjemnie też rozczarowali się Florek i Pazoła. Początkowo wyraźnie nastroszeni, szybko roztajali, zwłaszcza Lutek, który znów zapałał entuzjazmem do własnej konstrukcji przestępstwa. Punkt po punkcie przedstawiał swoje stanowisko prokuratorowi. Ten słuchał uważnie, przytakiwał, niekiedy szeroko rozwierał oczy. Zapisał imiona Zygi i Stefka, zastanowił go ratownik Miecio. Potem, ku pewnemu rozczarowaniu Lutka, szczególne zainteresowanie objawił podróżą Florka warszawą i wizytą podejrzanych ptaszków w Łebie.

— Wspomnę, że Łeba szczególnie nas interesuje, ponieważ kilka już razy natrafiliśmy w podobnych historiach na ślady tam prowadzące. Może więc i tutaj przestaje to być przypadkiem — powiedział — Szkoda, że pan nie zorientował się, w jakim kierunku pojechała w Łebie warszawa.

— W stronę jeziora. Tam, gdzie przebiega ulica Trzeciego Maja. Oczywiście są tam i inne uliczki. Ten wszakże kierunek — wyjaśnił Florek.

Odpowiedział jeszcze na pytania dotyczące rudej dziewczyny. Tutaj był zdecydowanie powściągliwy i niechętnie, Z ukosa przyglądał się swemu rozmówcy.

— Sądzę, że przypadkowo dotrzeć musiały do niej jakieś pogroźki pod adresem kolegów. Może chcieli ich pobić, nie wiem. To przyzwoita dziewczyna, w żadnym wypadku nie łączyłbym jej z tymi zabijakami.

— Odnoszę podobne wrażenie, ale widzi pan, interesuje nas wszystko. Sprawa jest pogmatwana, a przy tym ważna... Mamy poszlaki wskazujące na to, że przerzut ikon odbywa się na naszym terenie nie po raz pierwszy.

Myślę, że nadal będziemy współdziałali ze sobą. Jeśli cokolwiek zwróci państwa uwagę, coś nawet błahego, proszę z miejsca dawać mi znać albo w moim zastępstwie porucznikowi prowadzącemu śledztwo. Traktujemy sprawę jako szczególnie ważną i wymagającą szybkiego działania.

— Ale ten porucznik... — zaczęła Danka.

— Wiem, wiem, już zmienił zdanie.

Gdy wyszli, ogarnęła ich początkowo euforia. Zdawało się, że można już liczyć godziny do uwolnienia Szymona. Potem jakoś zwarzyły się ich humory.

Prokurator był miły, to prawda. W końcu jednak i on nie czynił wielkich nadziei, raczej zbywał ich grzecznościowo. Podzięka za informacje i prośba o dalszą współpracę mogły stanowić jedynie kurtuazyjny gest.

Powiedziała to teraz głośno.

— Pewnie, cudów nie ma. Jednak coś go zaciekało w naszych rozmyślaniach.. Notował dokładnie, a ten drugi facet w kącie, przy maszynie, trząsał klawiszami jak urzeczony — zastanawiał się Lutek. — Prosił o pomoc, jakby tym samym dając nam placet na dalsze działanie. Cholera tylko wie, jak i gdzie działać.

— Zaczepiając marynarzy z obcych statków — syknął Florek.

Lutek spojrział na niego zezem.

Florek przyglądał się tarczy swojego zegarka.

— Mamy jeszcze z godzinę czasu... Idę na mały spacer wzdłuż plaży. Może ją spotkam. A ty się na mnie nie gniewaj. Sam miewasz chandryczne okresy, Lutek.

Powlókł się na nieswoich nogach z głową ponuro zwieszoną. Patrzyli za nim przez dłuższą chwilę.

— Mnie się to podoba. Zakochał się na całego. Boję się tylko, że nieszczęśliwie. Dziewucha

wygląda na jakieś niewydarzone ciele.

— Jeżeli tylko to. Mnie nie daje spokoju jej ostrzeżenie.

— Raczej dobrze powinno to o niej świadczyć.

— Może zrobiła to z wdzięczności za uratowanie życia... Chodzi o coś innego. Skąd ona wiedziała, że nam coś grozi? W przypadek tutaj nie wierzę. Może jest w zмовie z bandziorami? Czemu się przefarbowała?

— To już żadna poszlaka. Mogła równie dobrze wyjechać.

— A jeżeli coś ją tu trzyma?

— Florek chyba — zaśmiała się Danka.

Przysunął się bliżej do dziewczyny.

— Miło zareagowałaś na Florkowe fantazje. Chciałem ci przyobieczać, że już mu nie będę dokuczał, ale sprawa dzisiejsza przedstawia się wręcz odwrotnie. To on jest złośliwy i napastuje mnie jak zły psiak. Miłość, jak widać na załączonym obrazku, różnie oddziałuje na ludzi. Mnie, widzisz, nastraja romantycznie. Staję się sentymentalny i uczuciowy. Znasz „Rozmowę liryczną”? Jest tam taki uroczy fragment:

Kocham cię w słońcu i przy blasku świec.

Kocham się w kapeluszu i w berecie.

W wielkim wietrze na szosie. I na koncercie.

W bżach i w brzożach, i w malinach, i w klonach.

I gdy śpisz. I gdy pracujesz skupiona.

I gdy jajko rozłukujesz ładnie.

Nawet wtedy, gdy ci łyżka spadnie.

W taksówce. I w samochodzie. Bez wyjątku.

I na końcu ulicy, i na początku.

I gdy włosy grzebieniem rozdzielisz.

W niebezpieczeństwie, I na karuzeli.

W morzu. W górach. W kaloszach. I boso.

Dzisiaj, Wczoraj. I jutro. Dniem i nocą.

I wiosną, kiedy jaskółka przylata.

Głos Lutka miękki był teraz, matowy i ciepły. Przyglądała mu się spod przymrużonych powiek. Mógł się podobać. Zastanowiła się nad słyszonym, tekstem. Lutek wyraźnie 'kieruje to do niej. Florek, jego romans, stał się dla niego pretekstem. Czyżby ten chłopak pod-kochiwał się w niej?

— A to czy znasz, Danuś?

W dziewczynie się, kocham

*w niebieskich pończochach,
zaraz po zachodzie
na miasto wychodzi,
każdy dom jest modry,
gdy idzie ulicą.
Głaszcze końskie mordy,
usypia woźniców.*

Co się z nią dzieje? Czemu się jej Lutek coraz bardziej podoba, czemu słucha go z takim przejęciem? Teraz, gdy biedny Szymek zamartwia się tam, truje każdą chwilą za kratą, gdy należałoby myśleć wyłącznie o nim, Lutek staje się jakby coraz to bliższy. Łatwiej mu jest posługiwać się tekstami poety, ale wolałaby, by bezpośrednio do niej mówił własnymi słowami.

Uczuła jego dłoń na swojej ręce. Dłoń ta była ciepła, nabrzmiała pulsowaniem. Odpowiedziała lekkim uściskiem. Podciągnął się wtedy na piasku, uczuła jego oddech na swoim policzku, a potem delikatny, ledwie muśnięciem znaczący się pocałunek. Nie odsunęła twarzy.

Przymykając oczy, czuła, jak jej w tej chwili jest dobrze, jak spływa skądś uczucie spokoju, i wielkiej pewności.

Zaraz jednak myśl zamąciła się innym wspomnieniem. Nieco dalej od tego miejsca całowała się z Szymkiem. Wtedy także czuła się dobrze, też nadciągał zewsząd ten pełen uroku spokój.

Odsunęła się dosyć gwałtownie. Lutek pozostał nieporuszony na swoim miejscu, nie odezwał się słowem. Ale przecież milczenie, które zapanowało teraz, nie było nieme.

— Ech, jasny gwint, nic z tego. Przepadła jak kamień w wodę. Zjawa — ciężko padając na piasek zastękał Florek.

Trudno go było pocieszać czymś zdawkowym, nie odpowiedzieli .więc. Florek sam zaraz zagadał, mając w zanadrzu inne nowiny.

— Zauważyliście, że jest tutaj inny ratownik? Jakiś chudzielec, wymokły i z kwaśną miną.

— Zastępstwo jakieś?

— Warto go może podpytać.

— Pamiętajmy, że Mićcio siedział przy stoliku razem z tymi dwoma, którzy napastowali Dankę. Wtedy jak Szymek zbił jednemu z nich mordę... Cholera, a może jego nieobecność też jakoś się łączy z tym wszystkim?

— Już na nas czas, tyle tylko, że zdążymy się przebrać i dojść na budowę — rzuciła Danka.

Słońce rozleniwiało, powlekli się z trudem przebierając nogami, Florek miał rację. Na piasku leżał chudawy facet w czapeczce ratownika.

— Dzień dobry. Pan teraz tutaj? A pana Mićcia już nie ma?

Podniósł na nich obojętne spojrzenie.

— Nie ma. Bo co?

— Nic. Znaliliśmy się. W sobotę razem ratowaliśmy topielicę, taką rudą dziewczyną, nie słyszał pan?

Usiadł, teraz dopiero zainteresowany. Obejrzał ich ciekawie.

— Ach, to wy jesteście. Miał chłop szczęście. Bo pomyślcie, gdyby ta dziewczyna utonęła? W kryminale by siedział... Został zwolniony. Z miejsca, w sobotę wieczorem, właśnie za tę sprawę. Udało się, mogła być dyscyplinarka, dochodzenie. Zarząd wolał nie robić sobie kłopotu. A jego też to niewiele obeszło. Nie zginie. Gość dobrze nadziany. Już on sobie czym innym odbije straty.

Urwał, jakby uważał, że i tak już dosyć powiedział. Popatrywał z ukosa.

— Dziękujemy panu za informacje — powiedziała Danka. — A nie wie pan, gdzie można zetknąć się z panem Mięciem? Zaprzyjaźniliśmy się wtedy...

— A co to, niańczy go? Musiał zostawić pani swój adres.

— Nie zostawił. Do widzenia.

— Cześć.

Gdy oddalili się nieco, Lutek po swojemu zgiął palec.

— A jednak czegoś się dowiedzieliśmy. Po pierwsze: z jakiego statku jest ten jegomość, który się wczoraj umawiał ze Stefkiem...

— Przestań się wyrażać o tym bandziorze tak czule — roześmiał się Florek.

— Masz rację. Niech będzie: z panem Stefanem. Lepiej? To jedno. A teraz po drugie — znów zgiął palec — to losy Mięcia. Zwolniony. Forsiaty, nadziany, jak ten uprzejmiak powiedział.

— Ale w sumie co z tego? — naparł Stawski.

— Czekaj. Cierpliwości. Ziarnko do ziarnka...

Rozdział XIII

Lutka zapoznane talenty

Już było po uroczystym jublu.

Zaprawiony mówkami w części oficjalnej, tego podlany w drugiej, zwanej towarzyską, piękny dom wczasowy Bielskich Zakładów Włókienniczych wpisany został na listę zrealizowanych inwestycji kołobrzeskich.

Z trudem odczepili się od technika o pyzatej twarzy, który nudno dopominał się u Danki o przyobiecane jakoby spotkanie we „Fregacie”.

— Ależ, panie Józiu, nic panu nie obiecywałam.

--- Jakże nie — łapał ją za rękę, chwiejąc się na patyczkowatych nogach.

— Panie Józinku kochany, aniele, serca mego radości — Lutek energicznie wziął go pod pachę. — Kierownik pana wzywa, słyszy, pan, jak się drze rozpaczliwie z trzeciego piętra, wasze j budowy. Zasuwasz pan galopem, bo ani on, ani my czasu nie mamy...

— Za ostro z nim postąpiłeś, Lutek. Patrz, ofiarował mi kwiaty. Porządny chłopak. Za karę nieś teraz te wszystkie wiązanki.

Kilka bukietów. Nie spodziewała się. Ładnie to wypadło. Od inwestora, od kierownictwa budowy, od pana Józia. I ten najmiłszy, choć skromny od załogi. Majster Jańczyk go wręczał. Ze słowami, że z nią najlepiej się pracowało. Nie dawała tego poznać po sobie, ale była wzruszona. Opłacała się harówka. Cóż z tego, że reszta jej paczki miała praktykę ułatwioną, skoro z niej niewiele wynieśli.

Ujęła Lutka i Florka pod ramiona, szli nową trasą, za osłoną parkowego krzewią wytyczoną wzdłuż morza. Noc była jasna, wyraziście stały się pasma światła przedzielanych cieniami. Przypomnieniem nadbiegły wrażenia innej nocy, gdy kąpała się z Szymkiem, gdy potem na skarpie spotkały się ze sobą ich usta... Posmutniała.

Nie opodal rosła w górę żelbetonowa konstrukcja jakiegoś gmachu. Gdzie indziej dopiero zakładano fundamenty, wysokie ramię koparki wystrzeliwało ponad drzewa. W gotowych, użytkowanych już domach wczasowych czy sanatoryjnych z niektórych okien padały jeszcze światła.

— Parę lat temu była tu pustka. Tamta część miasta straszyla tylko usypiskami gruzu. A teraz? — nawet mało refleksyjnego Florka uderzył obraz rozrastającego się miasta.

— Nie zapomnij, że Kołobrzeg wygrał wyjątkową szansę. Koncentracja środków wykonawstwa, skrócony okres rozbudowy. To wszystko rzutuje.

— Nie sprzeczasz się — powiedziała cicho. — Nieważne, jakie przyczyny, dobrze, że coś tak pięknie rośnie, że cieszy... Szymona brakuje. On w tym mieście jest rozkochany, zna je na wylot, ileż to razy wyciągał mnie na wędrówki, pokazując, co było, jak się przełamywały tutaj poszczególne epoki. Aż po marzec czterdziestego piątego.

— Tak, a potem była pustka wielu lat, stagnacja, więcej, bo uwiad. Przecież ludzie stąd uciekali, nie istniały żadne perspektywy, nie robiło się nic. I nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ta wielka wolta.

— Ważne, Lutek, że teraz jest pięknie... Cieszę się z tych kwiatów. Cały mój pokój będzie nimi pachniał. I powiem wam, trochę mi żal, iż praktyka już skończona, że budowa stoi i nie będzie tam niczego do roboty, nawet żadnych fuszerek do naprawiania w ostatniej chwili. Wczoraj

to jeszcze złościło, dziś wspomina się zupełnie inaczej.

— Jesteś nastrojona sentymentalnie. A mnie jak na złość nic stosownego nie przychodzi do głowy, by ci wierszem podbudować ten nastrój... Co robimy z tak pięknie zaczętym wieczorem?

— Tylko nie próbujcie namówić mnie na „Fregatę”. Nie mam nastroju — zaburczał Florek.

— Nie byłbym tak pewien na twoim miejscu. A jeśli byś tam znalazł swą wiochnę?

Florek nie odpowiedział, westchnął jedynie ciężko, jak człowiek bez reszty zdesperowany. Lutek uśmiechnął się, pękiem kwiecica szturchnął Dankę pod bok:

*Pokochałem cię w noc błękitną,
w noc grającą, w noc bezkresną.
Jak od lamp, od serc było widno,
gdyś westchnęła, kiedym westchnął.
Pokochałem cię i boso,
i w koronie, i o świcie, i nocą.*

Droga rozdzielała się dwoma pasmami asfaltu. Po brzegach pęczniały owocami rozrosłe krzewy głogu.

— Siądźmy na chwilę. Jest bardzo ciepło. Nie uwierzyłabym, że jutro już wrzesień.

— Siadamy i czekamy na wielką przygodę. Sądząc po poprzednich dniach, tylko patrzeć, jak się nam coś przydarzy. Nie minął jeszcze tydzień od początku tych wszystkich historii, a ciągle coś się przytrafia nowego.

Tylko Florek trwał w zadumie, nie uczestnicząc w rozmowie. Nogi podwinął pod siebie i tkwił jak zastygły posąg na tle zieleni murawy prześwietlonej blaskami księżyca. Popatrzyli na niego z wyraźnym zdumieniem. Ależ wzięło chłopaka! On zaś, jakby wyczuł ich nastrój, odezwał się cichym głosem:

— To było ładne, coś mówił, Lutek, przed chwilą. Trafiało do mnie. Nie śmiecie się, każdego może coś złapać tak nagle. Już w Łebie biłem się z jedną myślą, chciałem was prosić, byście zgodzili się na mój projekt... Nie wiedziałem nic jeszcze o złej przygodzie Szymka.

Aktualne to stałoby się dopiero wtedy, gdy Szymek wróci do nas...

— Mów prosto, Florek, nie musisz kołować — Danką pogładziła go po jasnych włosach.

— Posłuchaj przedtem — wpadł Lutek w chwilę ciszy.

*Ja tylko mam gitarę
i cię, i ten zmierzch,
i trzy piosenki stare;
które ci gram, gdy chcesz.
Pierwsza jak ciepłe deszcze,*

*druga jak nów we mgle,
a trzecia słodsza jeszcze
niż pozostałe dwie.*

*Kochaj mnie, miła, kochaj,
bo tylko wtedy wiem,
że blaski są na niebie,
a gwiazdy w sercu twem.*

Danka siedziała wsparta o ramię zasłuchanego Florka. Chłopak wyraźnie drżał, przecież nie od chłodu, noc taka ciepła. Wspominał swoją rudą dziewczynę...

— Mów, Florek — powiedziała dziwnie wyschłymi ustami.

— Gadaj, stary. A na moje przycinki nie zwracaj uwagi. Wiesz, taki już jestem... — Lutkowi zdawało się, że jego obecność onieśmiała Stawskiego.

Florek zamachał dłonią.

— Nie to, nie to... Nic ważnego. Tak mi coś przyszło na myśl, ale to nie ma sensu. Nieaktualne. Może kiedyś... — innym już głosem, opanowanym, podsunął teraz: — Może już pójdziemy? Jak długo macie zamiar roztkliwiać się nad księżycem i Kołobrzegiem skąpanym w poświacie?— starał się nadać swemu głosowi nutę drwiny.

Nastrój prysł. Asphalt drogi stał się, szary, bezbarwny. Owoce głogu zwisały niezgrabnie. Trzy ćwiartki księżycy upodobniły się do wycinanki ze źle pofarbowanego papieru.

Odczuli znużenie, nawet pęki kwiatów ciążyły, główki goździków i dalii zwisały bezradnie.

— Moglibyśmy jechać już jutro. Zateśniałam teraz za Łebą, kojarzy mi się z uczuciem spokoju. Lubię Kołobrzeg, najpewniej Szymek to we mnie wpoił, ale dziś wyjechałabym stąd bez wielkiego żalu. Ale jakże bez Szymka?

— My zaś guzik mu możemy pomóc. Ta bezradność jest chyba najgorsza.

— Jednak prokurator... — Danka czepiała się nitki bardziej optymistycznej.

— Prokurator jest prokuratorem. Z sympatii dla ciebie nie zwolni faceta, jeśli nie będzie miał innych podstaw do swej decyzji.

Wcale niedelikatnie i nader mocno jak na swoją małą rękę grzmotnęła Lutka przez kark.

— Kieliszki wypite na cześć włóknarzy z Bielska nastroiły was pesymistycznie. A ja wierzę w dobry i szybki koniec tej przygody. Tymczasem trzeba się wyspać. Myślę, że i wy pomaszerujecie gładziutką drogą do domu? Skręcamy.

Jej baraczek był już blisko. Przed drzwiami przyjęła kwiaty z rąk chłopców, potem wybrała z pęku po czerwonym goździku wręczając im je z paradnym gestem.

— Mogłabyś Florkowi dać biały. On i tak kocha się w innej — zakpił Lutek.

— Nie rób sobie złudnych nadziei. Całe to naręcze zachowam dla Szymka — odcięła się, znikając w drzwiach.

— Ona jest klawa — rozradował się Florek.

Przy pierwszym rogu przystanęli.

— Nosi cię? Nie masz ochoty na spanie? — domyślił się Lutek. — Ja też nie. Mały spacerek?

Nowa dzielnica jasnych bloków, jeszcze o świeżych tynkach, prze chodziła w drugą, wykończoną parę lat wcześniej, za którą znów rozpościerał się plac budowy. Jarzeniowe światła łagodnie spływały na ulicę.

— Słuchaj, stary, chciałbym z tobą pogadać, poradzić się. Tylko żebyś się nie wyśmiewał. Może to zresztą i śmieszne, sam niekiedy tak myślę, bo to właściwie pierwszy raz, ani bym się spodziewał, że właśnie tutaj...

— Myślisz o tej dziewczynie?

— O Krychnie. Wrąbałem się szczeniacko. W Łebie pragnąłem to z siebie zrzucić, zwłaszcza po ostatniej rozmowie, gdy odpaliła mnie tak obcesem. Guzik z tych starań, rwało mnie do niej jeszcze mocniej. Czekałem cierpliwie na was: planowałem, że urządzimy się, a ja wtedy machnę się tutaj, będę jej szukał. Dopiero zaczynała swój pobyt wczasowy, dostała skierowanie na dwa tygodnie... Ciągle o niej myślę i wielu rzeczy zupełnie nie mogę zrozumieć.

— Czekaj, brachu. Mówisz: wczasy. Kto ona jest, gdzie pracuje, mieszka, jak się nazywa, ta historia z jej narzeczoną, ostrzeżenie, skąd, co, kupa tutaj pytań. Zaczynajmy od początku. Na ulicy chcesz gadać, czy gdzieś zajrzemy?

— Wolę tutaj. W lokalu przeszkadzaliby ludzie... To głupie, co powiem. Nie wiem, czemu się tak stało, ona nie mówiła, ja nie wypytywałem, zresztą trwało to bardzo krótko... Nie znam jej nazwiska. Poza tym też wiem niewiele. Mieszka w Krakowie. Czy i jaką ma rodzinę, nie wiem. Gdzie pracuje, też nie wiem. Bąknęła któregoś razu, że musiała wyjść z dziesiątej klasy liceum, uczy się teraz zaocznie... Pierwsze jej wczasy. Bardzo się cieszy. Morza też nie widziała dotychczas. Może dlatego tak się wygłupiała.

— Omal jej to słono nie kosztowało.

— No widzisz. Ale słuchaj dalej. Garnęła się do mnie, odnosiłem wrażenie, że bardziej niż do przygodnego znajomka. Umawialiśmy się, robiliśmy projekty na dalsze dni. A potem to zwariowane, ostatnie spotkanie, gdy czekałem na nią więcej niż dwie godziny. Wsiąknęłam w jakąś ciemną historię. Mam przecucie, pewność niemal, że to bardzo porządne dziewczę, te sprawy się wyczuwa — odsapnął, jak po ogromnym wysiłku. — Musiałem to jednak ujawnić, sam nie potrafię sobie poradzić. Więc jak widzisz to wszystko, Lutek? Mów szczerze.

— Też niewiele rozumiem... Ty ją znasz lepiej, łatwiej ci. Zaczniemy od początku. Koza pierwszy raz na wczasach, pierwszy raz widzi morze. Nie musi być z niej wielka cwaniara, bo inaczej umiałaby ukryć swoje zachwyty. No i nagle szok, tonięcie, heca z ratowaniem, znajomość z nami. Niewątpliwie uczucie wdzięczności. Tu może kryje się też podkład przekazanego nam ostrzeżenia. Może starcie z kimś powstało właśnie na tle tej sprawy. Stąd siniec, łzy, lęk, zerwanie z tobą... Przebarbowanie włosów też dziwne. Gdyby to był zwyczajny kociak, jakich pełno przecież zjeżdża nad morze w poszukiwaniu przygód, uznałbym takie farbowanie za normalne. Mogła uznać, że ciemne włosy bardziej będą podbijać niż rude...

— Tak, tak...

— Jeżeli wszystko miało zarysować się na ponuro, lepiej, byś to przeboleł wcześniej... Raczej więc nie cwaniara, ale mimo to wplątana w ciemne towarzystwo. Słuchaj, nie widziałeś jej nigdy z tamtymi facetami? No, z tymi, z którymi gnałeś potem do Łeby warszawą?

— Ani z nimi, ani w ogóle z nikim.

— Osobliwe. Zazwyczaj takie gronko lubi trzymać się razem. Może zresztą nie chcieli się nazbyt afiszować publicznie. Dziewczyna łatwiej wpada w oko...

Znaleźli się w starej, częściowo ocalałej dzielnicy. Aleje i boczne uliczki straszły ciemnią, punkty oświetleniowe stały rzadko... Pazoła z jakąś złością wynikającą z poczucia bezradności rozłożył ręce.

— Szczerze mówiąc, guzik wiem. Jedna rada. Jeżeli ona jeszcze jest tutaj, powinieneś starać się ją odszukać. Musi gdzieś mieszkać, coś jeść. Przeszedłbyś się po domach wczasowych, spenetrował kawiarnie. Damy sobie radę bez ciebie. Jutro od samego rana zabaw się w detektywa. W innym wypadku nadal będziemy głupi, zdani na różne domysły.

— Też podobnie myślałem.

Pociągnęli pomiędzy dawnymi willowymi domkami, śmiesznie pretensjonalnymi, z wieżyczkami i kolumnami przy gankach. Milczeli. Florek, nie pocieszony opinią przyjaciela, znowu pogrążył się w rozmyślaniach. Lutek także niezadowolony był z siebie. Może należało jakoś inaczej odpowiedzieć Florkowi, a w każdym razie bardziej niefrasobliwie.

Chciał już coś ciepłego powiedzieć koledze, gdy nagle zwróciły jego uwagę odbłyśki załamujące się na masce jakiegoś samochodu.

— Zobacz, jak te wozy teraz wszędzie poupychane. Jeszcze sezon. Jakiś grat... Czekać, czekać — głos jego zabrzmiał ciszej i Lutek rozejrzał się uważnie dookoła. — Poznajesz?

— Ta warszawa — szepnął Florek, gdy podeszli bliżej. — Trzeba zapamiętać adres. Facet musi gdzieś tutaj mieszkać.

— Musi, nie musi. Wóz tkwi zaparkowany między dwoma posesjami. Ani tu, ani tam. Adres?

Słusznie. Ale to mało... Sprawdzą tylko...

Florek oczy wytrzeszczył, widząc jak Lutek wyjmuje z kieszeni scyzoryk i manipuluje przy drzwiczkach wozu. Odskoczyło coś z trzaskiem.

— Co ty zamierzasz robić? — szepnął, gdy Lutek z rozochoczoną gębą wrócił do niego.

— Zabrać facetowi wózek. Pojmujesz?

— Ukraść samochód. Zglupiałeś?

— Ukraść nie ukraść. Zabrać i odstawić pod komendę milicji. Niech zgłosi tam o kradzieży, będą go mogli wylegitymować i ptaszek znajdzie się w garści. Zobaczymy, Stefek czy Zyga.

— A kluczyki? Jak uruchomisz? — cichutko pytał Florek.

— Ten tu kabelek, widzisz? I szpileczka, zawsze mam parę w kłapie. Z tym można cudów dokonać bez żadnych kluczyków. Szpileczkę w przewód od stacyjki, do niej bezpośrednio od cewki dołącza się ten kabelek, drugi koniec na rozrusznik i gra.

— Skąd na tym się znasz?

— Politechnizacja, pojmujesz?

Majstrował przy samochodzie. Drzwiczki zaskrzypiały, Lutek zruszył tam jakieś śruby, już był w środku wozu. Dźwignia od maski. Wysunął się cicho, podniósł maskę. Spojrzał w teje samej chwili na Florka, zagwizdał cicho.

— Chodziło mi coś takiego po głowie. Warszawa nie może mieć podobnego zrywu. Nie była przesadzona twoja opowieść o szybkiej jeździe. Inny motor pod karoserią warszawy. Cwany ptaszek. Uważaj teraz... Jeżeli motor zapali, wsiadaj z miejsca do wozu, klamkę z drugiej strony już opuściłem. Musimy wyrwać stąd jak najszybciej. Nie wygląda mi na to, ale jeżeli facet rzeczywiście gdzieś w pobliżu nocuje, mogłaby z tego wyniknąć niegorsza draka. Tłumacz się wtedy, że nie jesteśmy złodziejami.

Mówiąc to, szepcąc właściwie, cierpliwie manipulował przy motorze. Nie bardzo mu szło, może nie znał tego typu motoru. Krwawiąc palce, wbijał szpilkę w gruby kabel bezpośrednio od cewki do rozrusznika. Dalszy ciąg operacji Florek już znał, ciągle jednak powątpiewał w talent przyjaciela. Jakże, bez kluczyka uruchomi maszynę?

Gdy wreszcie udało mu się zapalić motor, Lutek przyśpieszył obroty, pchnął Florka.

— Siadaj!

Sam wskoczył, włączył światła postojowe. Samochód wstecznym biegiem powoli wytoczył się na uliczkę. Florek z duszą na ramieniu wyglądał przez szybę. Jeszcze się bał, ale już go zaczynała cieszyć osobliwa przygoda. Coś się nareszcie działo. Wokoło było pusto i cicho. Nigdzie w oknach nie zapaliło się światło, nie otworzyły się żadne drzwi.

— No, warszawa już nasza — triumfalnie zapał Lutek, gdy z bocznej uliczki wjechali na

asfaltowy szlak. — Mogą teraz pocałować nas w tyłek. Powiesz, niedobry pomysł? Facet chyba nie wyrzeknie się wozu, jeszcze takiego wozu. Niby stare pudło, wrak, a pod spodem motorek najwyższej klasy. Cwaniaki. Uwielbiam takich.

— Jedziesz pod komendę milicji?

— Nie, pod „Fregatę”.

Florek w końcu nie był pewien, czy Lutek nie mówi tym razem prawdy. Z takim wariatem nic nie wiadomo. Ale Pazoła okrężnymi drogami omijał nocny lokal, mimo że tamtą trasą byłoby o wiele bliżej. Wolał nie ryzykować.

Z impetem zajechali pod komendę milicji. Lutek wyłączył motor tym samym sposobem, podnosząc maskę i odłączając kabel.

— Cholera, wytłumaczcie temu dyżurnemu, o co nam chodzi. Na wszelki wypadek może zechcieć nas przymknąć.

Florek pomyślał, że jutro ma przecież zacząć poszukiwania Krychny.

Takiego szczęścia jednak się nie spodziewali. W drzwiach wejściowych zderzyli się z jakimś porucznikiem. Lutek zatrzymał go z miejsca.

— Można pana przeprosić? Ważna sprawa. Związana z Krajeckim i w ogóle z tymi ostatnimi cudami.

Milicjant spojrzał na nich bystro, otworzył drzwi.

— Proszę. Ja właśnie prowadzę śledztwo w tej sprawie. Panowie Stawski i Pazoła, nieprawdaż?

Byli zdumieni. Skądże znają tu ich nazwiska?

— Ano to świetnie. To pewnie o panu wspominał nam prokurator?

— Dobrze mówił chociaż czy źle?

— Genialnie... Aha, idziemy na piętro, może pan powie, by pilnowano tego wozu jak oka w głowie: To wcale nie warszawa, pod maską jest zupełnie inny motorek...

Porucznik spojrzał zaskoczony, zaraz wydał polecenie dla dyżurnego.

— Bo to tam klamka otwarta na siłę, więc żeby kto się nie zechciał złakomić — uzupełnił z głupia frant Lutek. — Nie mogłem inaczej.

— To nie wasz wóz?

— Jeszcze nie dorobiliśmy się... Ponurawo u pana — rozejrzył się po gabinecie.

Florek był zaskoczony szampańskim humorem Lutka. Pewnie ten udany kawał z warszawą tak podziałał na jego samopoczucie.

— Zatem słucham.

— Samochód należy do facetów znanych nam tylko z imion. Zyga i Stefek, ci, którzy napadli

na dziewczynę, a których poturbowaliśmy potem leciutko wraz z Szymonem Krajeckim. Ci, którzy jechali w niedzielę wieczorem do Łeby, podwożąc zarazem tego jegomościa — wskazał na Florka. — Wczoraj wczesnym rankiem samochodem tym jechał znów w tamtą stronę sam Stefek. Stefek, który jeszcze w przeddzień umawiał się we „Fregacie” z marynarzem, chyba jakimś oficerem ze statku szwedzkiego „Kaliopa”.

— Cholera, od kogo to wszystko wiecie? — zdumiał się porucznik.

— Nasz wywiad działa niezgorzej w ramach współpracy obywatelskiej z organami milicji.

— A niech was! — porucznik uśmiechnął się po raz pierwszy. — A ten samochód, jak się teraz tu znalazł?

— Łącząc po mieście, natknęliśmy się na niego przy ulicy Pocztovej. Stał zadekowany w jakiejś dziurze. Wsiadłem z kolegą i przywiozłem tutaj.

— To kradzież! Po coście to zrobili?

— Jak to po co? Żebyście przez to mogli rozpoznać faceta. Będzie szukał samochodu, zgłosi kradzież na milicji. Wóz można schować gdzieś w podwórzu... No i gość będzie rozszyfrowany. Jak pan uważa, zły pomysł?

— Może i dobry... Ale wbrew prawu. To kradzież samochodu.

— Jaka kradzież, skoro go dostarczyliśmy bezpośrednio w ręce milicji.

— Darujcie, muszę jednak zaprotokołować to wszystko.

— Rozkaz. Jeżeli pan sobie tak życzy — Lutek wyraźnie zawiedziony był powściągliwością porucznika. — Przy okazji może przydadzą się panu jeszcze pewne szczegóły całej sprawy. Ratownik Miecio, który zna tamtych dwóch, Zyge i Stefka, bośmy ich razem widzieli przy stoliku we „Fregacie”, od ubiegłej soboty nie pracuje, został zwolniony. Podobno „nadziany” gość i potrafi niezgorzej sobie poradzić na inny sposób.

— To wiemy — zripostował porucznik.

— Zatem dziesięć do jednego — uśmiechnął się przekornie Lutek. — 69 chyba nasze wiadomości i ten samochód za dziesiątką wystarczą?

Rozdział XIV

Panie prokuratorze, ja ją kocham

Spoglądała na nią z zachwytem, ani by umiał, ani pragnął zresztą ukrywać radości. Poprawiła uczesanie; była jakaś miła kokieteria w tym ruchu jej dłoni.

— Ładnie ci tak na czarno... — powiedział — Jednak coś mi tu nie pasuje. Wolałem cię chyba na rudo.

— Musisz się przyzwyczać, Florek. Obecnie żałujesz, a tyle mi nadokuczałeś, ten twój kolega

też wyskakiwał z wierszykiem O moich włosach.

— Nie było w tym złej intencji. Lutek zawsze jest taki, a niech mu coś pasuje do Gałczyńskiego, wszystko poświęci dla przyjemności cytowania poety. To złoty chłopak.

Jaka szkoda — pomyślał — że nie może jej opowiedzieć o nocnej hecy z porwaniem samochodu. Przecież to był wspaniały numer.

I znów wpatrywał się w nią...

Co za szczęśliwy traf. Zerwał się wcześniej, przygotowując się do poszukiwania Kryśki, z niewielką nadzieją, by mogło zakończyć się powodzeniem. I oto niemal przy pierwszych krokach, ledwie wszedł do baru mlecznego, zobaczył ją przez okno. Przestraszyła się, gdy stanął tak nagle przed nią.

— Krychna!

— To ty, Florek?

— Przedwczoraj widziałem cię w autobusie. Nie byłem pewien. Uczesanie. Nawet się w moją stronę nie obejrzałaś.

— Sądziłam, że jesteś w Łebie. Skąd mogłam przypuszczać?

— Nie będziesz już więcej ode mnie uciekać, prawda? Powiedz, że nie będziesz.

— Chyba nie będę.

Prowadził ją pod ramię, nie bardzo wiedząc, dokąd idą i po co. Dziewczyna pierwsza oprzytomniała.

— Nie będziemy chyba rozmawiać tak na ulicy. A na plażę jeszcze za wcześnie. Wyszłam, by zrobić parę drobnych sprawunków.

— Na plażę pójdziemy razem. Już cię tak łatwo nie puszczę. A teraz... Teraz, bo ja wiem. Kawiarnia jeszcze chyba zamknięta?

Była otwarta. Przy stolikach pełne puchy. Pierwsi prosili o kawę, mocną, jak najmocniejszą. I ciastka. Dużo ciastek.

Dopiero gdy minęło pierwsze radosne zaskoczenie spotkaniem, przypomniały mu się refleksje i niepokój wszystkich minionych dni. Tyle spraw nie wyjaśnionych wiązało się z tą dziewczyną!

— Kryśka, co to było z tym narzeczonym? Zbujalaś, prawda? Nie masz narzeczonego?

— Nie mam. Ale nie wracaj już do tej historii. Nie chcę pamiętać o tamtym dniu.

— Naprawdę nie chciałaś mnie więcej znać?

— Musiałam tak postąpić..— I ciszej już dodała, — Myślałam potem o tobie często. Cieszę się z naszego spotkania.

— Mogłaś mnie odszukać. Albo kolegów. Na plaży, na budowie, wiedziałaś, że są na praktyce — wyrzut tkwił w jego głosie.

— Nie pytaj już. Cieszymy się, że znów jesteśmy razem. Po co wracać do tamtych dni?

Zasępił się. Po co wracać? Czyż można to zostawić nie domówione? A jeszcze sprawa Szymka. Aresztowany, poważne zarzuty. Jakoś to wszystko za ściśle się łączy ze sobą. Czy Kryśka wie o Szymonie?

Wprost nie zapytał ją o to. Sam nie wiedział czemu, kołował pytaniami, szedł do prawdy okrężną drogą.

— Twoje zachowanie było wtedy tak dziwne i nieoczekiwane. Ostrzegałaś mnie i moich kolegów, że coś niedobrego nam grozi.

— Byłam rozklekotana, w złym nastroju, nie wiem czemu, wszystko widziało mi się w ponurych barwach — usiłowała bagatelizować jego pytania. Czuł w niej narastający niepokój. Przechyliła się ku niemu, położyła rękę na jego dłoni. — Florek, zostaw, mówmy o czymś innym. O nas.

— Chciałbym. Tylko że miałaś rację, sprawdziły się twoje przeczucia, jak je nazywasz. Wiesz coś o tym?

Twarz jej stężała, w oczach zamigotał wyraźny lęk.

— Nie wiem. Stało się coś?

— Tak. Szymon, ten wysoki, który cię pierwszy ratował i które mu właściwie zawdzięczasz życie, został aresztowany.

— Aresztowany? Dlaczego? — wielkie, ogromne, olbrzymiejące źrenice.

— Nie wiem. Różne zarzuty. W czasie rewizji znaleziono u niego jakąś paczkę, były tam obrazy, bodaj ikony, wiesz, takie prawosławne, ze starych cerkwi.

— Paczka? Rewizja? Ikony?

— Tak dziwnie pytasz. Czemu drżysz, Krychna?

Wymawia te. słowa, a zarazem czuje, jak go ogarnia niepokój, jak rodzi się podejrzenie, że nic nie jest tu proste. Kryśka wie znacznie więcej, niż pragnie powiedzieć, on zaś fatalnie trafił z ulokowaniem swych uczuć. Wewnętrzne jednak przekonanie podpowiadało mu, iż nie jest tak źle, że Kryśka jest uczciwa, na pewno zaplątano ją w jakieś paskudne sprawy, nic więcej, nic więcej...

Nie odpowiedziała na ostatnie pytanie. Zmaląła, skurczona nagle, zapadła się w swoim krzeselku. Przypomniało mu się, gdy po wyratowaniu z topieli siedziała na piasku też taka nagle zdrobniała, przykurczona, budząca współczucie.

— Krychna — przynaglił łagodnie.

— Chwileczkę, chwileczkę. Nic nie wiedziałam. Przysięgam, Florek, ja nic nie wiedziałam.

— O czym, o Szymku?

Skinęła głową. Zaciskała wargi, całym wysiłkiem pragnąc stłumić wzbierający w niej płacz.

Powieki jej osunęły się na oczy; spoglądała teraz małymi tylko szparkami. Ręka na stole drżała jak w ataku nerwowym. Poglądził tę rękę. Ciężka była ta chwila oraz przedłużające się milczenie, niepokój zaciążył z nagła nad małą salką kawiarni, nad paterą nie napoczętych ciastek, nad kawą stygnącą w mdłą ciecz.

— Więc to były ikony? I za to aresztowano Szymona?

— Tak. Pod zarzutem, że handluje z cudzoziemcami arcydziełami o zabytkowej wartości, które podlegają ochronie państwowej.

Westchnęła ciężko.

— Na Boga, ja naprawdę nic nie wiedziałam, Florek. Przysięgam ci. Nie wiedziałam.

— Czego nie wiedziałas, o czym ty mówisz, Krychna?

— Nie wiedziałam, co jest w tej paczce. Nie przyszłoby mi do głowy.

— Z jakiej racji miałaś to wiedzieć? Co ci przyjść miało do głowy?

Narastał w nim niepokój, więcej, jakaś już groza. Ona zaś powzięła decyzję. Wyprostowała się, spojrzała pewniej, choć bardzo smutno.

— Proszę cię. Nie przerywaj mi. Nie wypytuj. Sama opowiem. Muszę jeszcze raz wszystko przemyśleć, wszystko przypomnieć. Szymon aresztowany. Mój Boże, mój Boże. Teraz rozumiem. To on wszystko, ten Zygmunt, przez niego ta cała historia.

— Zygmunt? — powtórzył zdumiony — Zyga może?

— Ty wiesz? Znasz go?

— Nie. Ale ty go znasz. A ja się domyślam, kto to jest. Właściwie znam też, prawda, jechałem z nim samochodem. Warszawą.

— Stefana warszawą?

— Zgadza się.

Głos jej twardy był teraz, ostry. On sam też stwardniał, jakby skamieniał. A więc tędy przesuwają się trop? Lutek nie mylił się jednak w swych domysłach. Tamci są jak najbardziej z tą aferą związani. I ona, też, Kryśka. Ładnie ulokował swoje uczucia.

Czekał. Pragnie, by się chwilowo nie dopytywał; nie przerywał, zatem dobrze. Zdobędzie się na to. Ona zaś ciągle milczy, patrząc w przestrzeń, wypranymi teraz z barwy oczyma. Przypomina sobie naprawdę, czy szuka pretekstu, jakiegoś motywu, który by zbagatelizował to wszystko, z czym się dotychczas wyrwała. Może obmyśla jakieś przewrotne kłamstwo. On jednak na to nabrać się nie da. Za wiele go kosztowała i kosztuje ta sprawa.

Ze zdziwieniem zaglądał w głąb siebie samego. A więc potrafi zdobyć się na taki hart, na podobne opanowanie? Bardzo mu bliska jest ta dziewczyna, więcej niż bliska. Niejedno by dla niej poświęcił. Ale nie wszystko. Istnieją granice, których nie wolno przekroczyć, choćby miały

oznaczać przekreślenie po prostu faktu istnienia Krychny. Choćby i to...

Czekał. Ona zaś milczała, zbierając siły. Wreszcie skierowała spojrzenie w jego stronę.

— Nie chcę się z niczego usprawiedliwiać. Przyjmij to tak, jak ci podam.

Odetchnął mocno. Nie przychodziło jej łatwo mające nastąpić zwierzenie.

— Szymon aresztowany. Uratował mi życie, a ja... To trochę potrwa. Muszę się cofnąć w przeszłość, pewne sprawy dopiero wtedy zrozumiesz... Wspominałam ci, że z liceum odeszłam z dziesiątej klasy, półtora roku przed maturą. Ojciec ciężko zachorował, kosztowały lekarstwa, wymagał opieki. Trzeba było iść do pracy. Dostałam się do administracji walcowni w Nowej Hucie. Potem urządziłam się bliżej, w samym Krakowie, w Towarzystwie Przyjaciół Dzieci. W sekretariacie. Do dziś tam pracuję... Ojciec zmarł, matka też się rozchorowała, skutek przeżytych wstrząsów. Było: nam bardzo ciężko. Rodziny bliższej nie mamy, jakieś tam pociotki, dziesiąta woda, między nimi daleki kuzyn. Stefan... Z zawodu mechanik, przez pewien czas prowadził nawet warsztat samochodowy. Potem rzucił to, tak naprawdę to nie wiem, czym się zajmuje dzisiaj. Jakieś okazyjne historie. Obrotny jest, sprytny. Stefan dopomógł nam w najtrudniejszym okresie. Może dzięki temu mogliśmy przetrwać, aż matka wróciła do zdrowia, mogła znów zacząć pracować. Za swoją pomocniczego nie chciał. Nigdy. Dopiero tutaj, w Kołobrzegu, dokąd otrzymałam skierowanie na wczasy i gdzie spotkałam go przypadkowo. Zdziwił się moim widokiem. Zaprosił na kawę, pytał, jak się nam teraz wiedzie. Poprosił o mój wczasowy adres. Nic więcej.

Urwała, w gardle uczuła drażniącą suchość, wypila kawę.

— Zamówić jeszcze? — spytał.

— Jeśli byłbyś uprzejmy.

Wsparła brodę na podwiniętych dłoniach. Zwrócił uwagę na jej długie, o ładnej linii palce.

— Nie widziałam go przez kilka lat. Wtedy już was znałam. Spotykałam się z tobą... Któregoś wieczoru nagle przyszedł do mnie Stefan ze swoim kolegą. Właśnie Zygmunt, znałam go z widzenia jeszcze z Krakowa, pełno go tam we wszystkich lokalach, ma szalone powodzenie u dziewcząt, choć różnie o nim się mówi. To działo się wtedy, gdy spóźniłam się na spotkanie z tobą... Długa była ta rozmowa i ciężka. Zygmunt wyszedł zresztą na samym początku, wolał pozostawić Stefanowi swobodę. Chodziło o tę paczkę, nie wiedziałam, co się w niej znajduje. Stefan postawił to jako warunek, jako formę spłacenia z mej strony długu wdzięczności za udzieloną kiedyś matce i mnie pomoc. Podał adres. Mam się tam dostać, podrzucić to gdzieś w pokoju, najlepiej wpakować do łóżka, pod pościel. Nic więcej. Tłumaczył, że głupstwo, koleżeński kawał. Byłem tylko zrobiła to sprytnie i cicho... Przekładając zacząłem kojarzyć to z wami. Także z tobą. Powiedziałam, że was znam, żeście uratowali mi życie, żadną więc miarą nie

mogę. Był zaskoczony, zaklął ordynarnie. Kazał mi chwilę na siebie zaczekać. Pewnie naradzał się z Zygmuntem,

— Jak się on nazywa. Ten Zygmunt.

— Gawryluk. Zygmunt Gawryluk. Miałeś mi nie przerywać, ja bardzo proszę. Trudno mi mówić o tym wszystkim... Gdy wrócił, był rozwścieczony. Powiedział mi, że pomimo wszystko muszę to uczynić. Że to dla niego sprawa zasadnicza. Dla mnie zaś drobiazg. Dodał, że w niczym wam nie zaszkodzi. Wypomniął swą pomoc.

Urwała. Nadchodził najtrudniejszy moment zwierzenia. W wyrazie jej twarzy Florek dostrzegł jedynie rezygnację i smutek.

— Nie chciałam. Odmawiałam. Uderzył mnie wtedy. Ten ślad widziałeś. Groził mi zemstą. I ciągle nalegał. Nie mogłam pojąć, czemu mu tak zależy na paczce podrzuconej do waszego pokoju. Bałam się go, był zupełnie inny niż dotychczas. Okazuje się, że dopiero wtedy poznałam go naprawdę. Może pod wpływem lęku wyraziłam zgodę. Kazał mi jeszcze zerwać z tobą, w ogóle z wami. Nie spotykać się, pokazywać się w Kołobrzegu jak najmniej. Powiedział, że mnie urządzi gdzie indziej. W Mielnie albo w Przyborowie. Czułam się otępiała, było mi wszystko jedno. On też wmówił rai, że powinnam ufarbować włosy. Zrobiłam to później. Podsunął wreszcie pomysł narzeczonego, kazał ci tak oświadczyć... Teraz już wiesz, czemu podczas spotkania byłam tak straszliwie zdenerwowana. Nikt mi dotychczas w życiu nie groził, nikt nie bił, nikt do niczego wbrew sobie samej nie zmuszał, nikt nie powoływał się na długi wdzięczności...

— Dalej — powiedział zimno, gdy na chwilę przerwała.

— Rozstałam się z tobą. I zaraz poszłam do domu, gdzie mieszkali Szymon i Lucjan. Nikt mnie nie widział. Wszystkie drzwi były otwarte, ustąpiły pod naciśnięciem klamki. Podrzuciłam, tę paczuszkę. Nie wiedziałam, jaka jest jej zawartość. Nie przypuszczałam, że skutki tego będą tak groźne, że Szymon zostanie aresztowany... — Po chwili milczenia dodała: — To właściwie wszystko, Florek. Możesz mnie potępić, możesz mnie teraz zostawić samą i nie chcesz spotykać się więcej.

— Gagatek ten twój kuzynek — syknął ze złością, jakby pragnąc zwalić wszystko, całą winę na tamtego, by odciążyć w ten sposób dziewczynę. Ale widział zarazem, że odciążyć ją nie było tak łatwo.

— Może nawet nie on — próbowała go bronić. — Stefan mógł się przecież znaleźć w podobnej jak ja sytuacji. On mnie zmusił do tego postępku. Jego namówił Gawryluk. Wyszedł wtedy ode mnie na kilkanaście minut do Zygmunta i wrócił bardzo zdenerwowany. Może go tamten czymś szantażował... Teraz też wystrychnął Stefana na dudka. Sam jest za granicą, obłowił się tutaj, Stefan zaś został na lodzie. Widziałam go wczoraj wieczór. Jest wściekły, odgraża się, że zemści

się na Zygmuncie. Gadanie, jeżeli tamten już naprawdę jest w Szwecji...

— W Szwecji? Skąd wiesz?

— Stefan tak mówił, Zygmunt od dawna miał paszport zagraniczny. Zaprosił go daleki kuzyn, który od końca wojny mieszka w Sztokholmie. Gawryluk czekał tylko na załatwienie jakiejś sprawy, łączyły się z tym duże pieniądze, miał zaraz potem wyjeżdżać. Stefan coś gadał, że nawet się nie doczekał, załatwił sprawę inaczej. Zakpił ze Stefana, zostawił go na lodzie.

— Zbyt gorąco bronisz swego krewniaka.

— Nie. Opowiadam, co wiem. Szczegółów nie znam, Stefan mi się nie zwierzał. Tak naświetlił mi sprawę. Przyszedł po pożyczkę, miałam tysiąc złotych, dałam mu. W czasie tej rozmowy pomstował na Gawryluka. Wspomniał też o ikonach, że chodziło o sprzedaż za granicę takich religijnych obrazów. Że to daje cholerny dochód. I że jest zakazane. Dlatego, gdy powiedziałaś, że w paczce były ikony, zrozumiałam, jakie świństwo zrobiłam Szymonowi. Ale skąd władze mogły wiedzieć, że Szymon ma takie obrazy? Ktoś poinformował o tym milicję?

— Pewnie twój uroczy Stefanek.

Wzruszyła ramionami.

— Nie myślę go bronić. Może i on. A może Gawryluk. Kelnerka przyniosła kawę. Wymownie spojrzała przy tym na zamówione ciastka. Florek podchwycił to spojrzenie.

— Proszę cię, Krychna, ciastka..

Potrząsnęła głową. Nie potrafiłaby przełknąć kęsa.

Nad stolikiem zaciążyło milczenie. Florek usiłował zdobyć się na spokój, by uporządkować zasłyszane od dziewczyny wiadomości. Jedno było pewne, że całkowicie odciążały one Szymona. Najważniejszy argument przeciw niemu upadał. Sprawa „Baltony” zupełnie księżycowa. Pozostaje rola Kryśki w tym wszystkim. Można jej wierzyć, czy też to nowa legenda, po części jedynie oparta na prawdzie? Była z tamtymi w zмовie, czy rzeczywiście jedynie przypadek zetknął jej losy z zamierzeniami łobuzów?

— Ten samochód należy do twojego kuzyna?

— Warszawa? Tak. Stary gruchot.

Już otwierał usta, by uświadomić ją, że pod tym pozornie starym gruchotem ukrywa się doskonały motor zupełnie innej marki, ale coś mu nakazało milczenie. W końcu nie wszystko jeszcze jest jasne i gładkie.

— A ty, Florek, skąd ich znasz? Mówiłeś, że jechałeś razem warszawą? Bo chyba dobrze rozumiałam?

— Jechałem. Do Łeby. Jako autostopowicz. Przypadek, mogłem załadować się równie dobrze na każdy inny wóz. Wtedy zresztą nie o tych gościach nie wiedziałem. Później dopiero sprawy się

wyjaśniły.

Zdawała się nie słuchać go, pogrążona we własnych dociekaniach. Podniosła głowę.

— Do Łeby? Dziwne. Gdy wspomniałam Stefanowi wtedy, w niedzielę, że skoro mam wyjeżdżać, to może bym sobie wybrała Łebę mam trochę pieniędzy na książeczce, jakoś urządziłabym się, choćby prywatnie, pamiętam, widzisz, o twoich opowieściach i dalszych projektach, zaperzył się, nagle zamachał rękami, że do tej miejscowości to nie. Żebym nie śmiała tam jechać, jeszcze piwa nawarzę Zygmunтови i jemu.

— W Łebie? A co ma Łeba z tym wszystkim?

Wtedy ci dwaj gnali tam na wariata. Wzięli go na łebka, choć .zdrowy rozsądek nakazywałby im nie brać nikogo. Podawali tak dokładnie godzinę, jakby pragnęli, podkreślić swoją obecność w tym czasie na szosie... Zaraz, zaraz, co się mogło dzieć późnym wieczorem w niedzielę? W niedzielę... No tak, Danka wyraźnie podkreślała, Lutek mówił, że to była niedziela. Napad na „Baltonę”. Czyżby i to się ze sobą łączyło? Skoro jednak byli w podróży, zatem nie oni. A jednak... I czemu tak bardzo Stefan odradzał Kryśce wyjazd do Łeby? Jedno jest tutaj pewne, że nie dowierzał dziewczynie, widocznie obawiał się jej obecności na tym terenie. A więc nie tylko Kołobrzeg, również i Łeba?

— Gdzie jest twój Stefan?

— Nie wiem. Chyba w Mielnie, tam mieszka ostatnio.

— W Mielnie? To jakim sposobem mógł wczoraj pożyczyć od ciebie pieniądze? — wykrztusił z wysiłkiem przekonany, że przyłapał dziewczynę na kłamstwie.

— Przyjeżdża. Samochodem to żadna sztuka. Może jest zresztą inaczej Nie kontrolowałam go. Wspominał o Mielnie, zapamiętałam to — Podniosła spojrzenie na Florka, szepnęła teraz zupełnie cichutko — Więc jak zdecydowałeś, urywamy naszą znajomość, nie będziesz mnie chciał już znać?

Nie potrafiła dłużej utrzymać nerwów na wodzy. Żal, serdecznie było mu jej żal. Ale nie mógł sobie pozwolić na choćby cień współczucia.

— Zanim zastanowimy się, co z nami, istnieje ważniejsza sprawa: Szymon, on cierpi, jest niesłusznie aresztowany — powiedział to sucho i twardo.

— Czemu o tym mówisz? W momencie, gdy dowiedziałam się, że ta przeklęta paczka stała się przyczyną aresztowania Szymona, powzięłam decyzję. Jeszcze zanim ci opowiedziałam to wszystko. Skutki decyzji mojej, mogą być różne. Wolałam się więc upewnić, czy mną bardzo pogardzasz, czy wykreślasz mnie zupełnie ze swojego życia. Dlatego pytam.

Przetarł czoło dłońmi, pragnąc poskromić nieznośny, pulsujący ból czaszki. Ujął jej rozedrgane wciąż ręce w swe dłonie.

— Krychna, ja nie wiem, naprawdę nic już nie wiem. Strasznie mnie to rąbnęło. Przez cały czas tylko o tobie myślałem, okropnie pragnąłem cię zobaczyć. A teraz nie wiem, nie wiem. Jak mogłaś tak zrobić? Jak mogłaś? I czy ja mam prawo zaufać ci w zupełności? Czy powiedziałaś mi wszystko, bez reszty już wszystko?

— Chyba że o czymś zapomniałam. Taić nie zamierzałam niczego, Pytaj, jeżeli cię coś jeszcze ciekawi.

— O nic nie chcę już pytać. Może później.. Wspomniałaś o decyzji, co miałaś na myśli?

— Prosto stąd razem udamy się na milicję, żebyś mógł być mnie pewny... Złożę zeznania. Nie wiem, może mnie zatrzymają. Tak bym tego nie chciała. Ze względu, Florek, na ciebie. Bo tak to mi wszystko jedno.

— Na milicję nie pójdziesz — powiedział stanowczo. Pójdziemy do prokuratora. Znam go. Wczoraj składaliśmy u niego zeznania. Ufa nam, to jest Dance, Lutkowi i mnie.

— Jak wolisz. Mnie wszystko jedno... Szymon aresztowany. Przeze mnie. Przez moją głupotę. Przez tchórzostwo. Masz rację, możesz już nie chcieć mnie znać, głupiej dziewczyny, szkodzącej ludziom, którzy uratowali jej życie. Masz prawo mną pogardzać.

Potrząsnął przecząco głową. A potem podniósł się, podszedł do lady, regulując należności.

— Za ciastka też. Proszę zjeść je za nasze zdrowie — uśmiechnął się niewyraźnie.

Jak automat szła za nim. Na ulicy ujął ją jednak pod ramię. Bardzo tego pragnęła, ale bała się do niego przytulić. Nużby odtrącił. Bezwiednie jedno i drugie przyśpieszało kroku, szybciej i szybciej. Przed budynkiem prokuratury powiatowej stanęli zadyszani, rozgrzani tym biegiem.

Poprosił sekretarkę, by go zameldowała. W sprawie bardzo, ale to bardzo pilnej. Gdy zniknęła za obitymi, ceratą drzwiami, zwrócił się do Kryśki.

— Zaczekasz tu. Przedtem sam pójde do niego.

Gnało go, by działać szybciej, szybciej, nim zdąży się w nim skonkretyzować jakaś decyzja. Bał się tego momentu. Znalazł się na rozdrożu. Tak, właściwie to musiałby bezwzględnie potępić dziewczynę, zerwać z nią raz na zawsze. A jednocześnie wszystko właśnie ciągnęło go do niej. Co się okaże silniejsze? Jakie racje zostaną na wierzchu?

— Pan prokurator prosi.

Wyszedł zza biurka, witając go uśmiechniętą twarzą i wyciągniętymi rękami.

— Dzień dobry delegatowi spółki detektywów amatorów. Zupełnie jak w kryminalnej powieści, nieprawdaż? Zdębiałem z wrażenia, gdy mi porucznik zameldował o waszym wyczynie z warszawą.

— Panie prokuratorze — Florek bezwiednie przybrał ton bardzo uroczysty. — Dostarczę panu za chwilę najmocniejszego dowodu niewinności Szymona Krajeckiego. Sprawca podrzucenia

paczki z ikonami czeka w sekretariacie.

— Co proszę? Podrzucenia paczki? Sprawca? — gorączkował się wcale niezawodowo prokurator. — Jeżeli to prawda, jesteście kapitalni... Czy łączy się to z tamtymi dwoma, właścicielem samochodu i jego kompanem?

— Jak najbardziej. Z tym, że ten drugi, Zygmunt, jest już w Szwecji.

— W Szwecji? Uciekł czy wyjechał legalnie?

— Legalnie. Wszystko powtórzy panu ta dziewczyna.

— Ta ruda, która was ostrzegła? To ona podrzuciła paczkę?

— Ona. I już nie ruda. Przemalowana na czarno.

— Dobrze, zaraz ją zawezwę. Może pan zostać przy przesłuchaniu.

— Ale ja mam prośbę, panie prokuratorze. Wielką prośbę... — zawahał się. — Panie prokuratorze, ja tę dziewczynę bardzo lubię. Więcej. Ja ją kocham, nawet po tym, co wiem, nie mogę tego uczucia odrzucić od siebie. Wiem, że jest poważnie obciążona. Ale wierzę w szczerość jej słów, w prawdę tego, co mówi, że nie była świadoma skutków swego postępu. Ona przecież sama przychodzi tutaj, by złożyć zeznania. Więc ja proszę, jeżeli to będzie możliwe, jeżeli pan uzna to za stosowne, żeby...

— Żeby ją puścić wolno? Nie zatrzymywać? — z namysłem, bez poprzedniego już ożywienia powiedział prokurator, przyglądając się Florkowi badawczo, ale i z życzliwością. — Nie mogę panu nic obiecać. Z wyjątkiem tego, że uwzględnię tę sugestię przy podejmowaniu decyzji. Jeżeli cokolwiek będzie w mojej mocy...

— Dziękuję, bardzo dziękuję. O nic więcej pana nie proszę. To może głupie, ja nigdy się nie kochałem, więc pewnie dlatego tak mnie to wzięło. Czy mógłbym też zapytać, jeśli można, czy ten Stefek już zgłosił się po samochód?

— Do tej chwili nie otrzymałem meldunku... Prosimy zatem tę panią?

— Proszę, by uwolnił mnie pan z asystowania przy przesłuchaniu.

— Zgoda.

Gdy Florek skierował się ku drzwiom, odprowadzało go przyjazne spojrzenie prokuratora.

Potem przyszło jednak chłopcu żałować swojej decyzji. Kwadrans mijał za kwadranssem, a Krychna wciąż tkwiła za obitymi cerata drzwiami. Zachodził w głowę, co się tam może dziać, o co wypytuje prokurator dziewczynę. Może Kryśka zeznaje coś jeszcze, coś, czego jemu nie chciała ujawnić? Tyle tajemnic nagromadziło się koło tej dziewczyny.

Sekretarka nie bez zdziwienia spoglądała na młodego człowieka ocierającego coraz to pot z czoła, bladego, reagującego nerwowo na każde skrzypnięcie, na odgłos kroków z korytarza, popatrującego co chwila z napięciem wyczekiwania na drzwi gabinetu prokuratora.

Kiedy wreszcie drzwi te się otworzyły i stanął w nich protokolant, serce Florka zadrgało.

— Pan jest proszony — skinął na Florka.

Wszedł i z łękiem spojrzął w stronę biurka. Kryśka siedziała przejęta, ale opanowana. Schyliła się, by podpisać protokół. Prokurator spojrzął na Florka.

— Chciałem wam zakomunikować, że pani Krystyna Wiśniewska jest wolna. Jeżeli zajdzie potrzeba, odpowiadać będzie z wolnej stopy. Zobowiązałem panią do całkowitej dyskrecji. W stosunku do wszystkich.

— Nawet do nas?

— Was to nie dotyczy. Wszakże my współdziałamy ze sobą najściślej. A o potrzebie dyskrecji wam przypominać nie potrzebuję... Nie skończyłem poprzedniej myśli. Według procedury powinienem panią zatrzymać w areszcie prewencyjnym co najmniej do zakończenia śledztwa. Zwolnienie następuje wyłącznie na moje osobiste ryzyko.

Oczy Kryśki stały się wielkie, wielkie, Florek zaś miał ochotę rzucić się prokuratorowi na szyję.

— Wydaje mi się, że pani zrozumiała swój błąd i pragnie go naprawić... Dobrowolne złożenie zeznań także bardzo poważnie się liczy — mówiąc to patrzył tylko na Florka. On zaś zrozumiał... To wyraźna aluzja prokuratora do jego zwierzenia o miłości do Krychny. Na tę miłość zyskuje niejako placet przedstawiciela prawa.

I w tejże chwili spostrzegł się, że mało, a byłby zapomniał o najważniejszym.

— To Szymek zostanie zwolniony, prawda?

— Koronny zarzut dzięki zeznaniu pani został usunięty. W tej sprawie pan Krajecki jest wolny od podejrzeń. Niestety, pozostaje jeszcze druga sprawa. Spodziewam się, że wyjaśnimy ją już niebawem, posunęliśmy się tutaj daleko. Do tej chwili jednak istnieje obciążające zeznanie kierownika placówki i to sprawia, że nie mogę cofnąć swej sankcji.

Florek westchnął serdecznie. Co za szkoda, że i ta sprawa, nie została rozwiązana do końca. Ujął wyciągniętą rękę prokuratora, odwzajemniając serdeczny uścisk.

— Bardzo, bardzo dziękuję. Do widzenia.

Gdy znaleźli się na ulicy, Krychna z uśmiechem nadziei spojrzała na Florka:

— Tyś o to go prosił? Ty, Florek?...

Rozdział XV

W nieco zwolnionym tempie

Film był nudnawy, a jeszcze przeciągał się ponad miarę. Tkwili jednak na swoich miejscach, gapiąc się na zmieniające się obrazy. Nad nimi późne sierpniowe niebo migotało gwiazdami.

.Danka odwracając wzrok od ekranu wpatrywała się w gwiazdy intensywnie, oczekując, aż któraś z tych skierek łagodnym łukiem zacznie spadać ku, ziemi. Należy w tym czasie, nim gaśnie, zdążyć pomyśleć o jakimś marzeniu. Wtedy to pragnienie się spełni...

Lutek przechylił się ku niej, czuła jego gorący oddech, szeptane słowa wtórowały jej myślom:

*Posłuchaj tylko: ten szum, to noc tak płynie,
szeroka noc, gwiaździsta noc sierpniowa,
sierpniowy czas, sierpniowy wiatr w Szczecinie —
o, cóż za szczęście w tej godzinie
przez okno patrzeć w świat i kochać cię odnowa.*

— Psst — nadbiegło od tyłu posykiwanie obruszonego kinomana. Odsunęli głowy od siebie. Lutek melancholijnie zwrócił spojrzenie ku ekranowi.

Wróciła do swoich poprzednich myśli. Tamta gwiazda spadała szerokim łukiem, spokojnym i cichym. O czymże myślała? O uczuciu, wielkiej, pełnej miłości, żeby była mocna, przepojona ufnością i siłą. Żeby z niej czerpać oparcie, w niej znajdować energię i radość życia.

Gniewnie poruszyła się na sfatygowanym krześle. Skąd w niej nagle podobne rojenia? Przejścia ostatnich dni, nadmiar wrażeń, tamta noc z Szymkiem, ciche, miękkie poszepty Lutka. I już rozdroże kryjące się za pytaniem, który z tych dwu chłopców jest jej właściwie bliższy. Skoro jednak pojawia się problem wyboru, to chyba daleko jeszcze do uczucia miłości. Zatem jedynie aura szczególnego, nastroju, wzbudzona sympatią i życzliwością do tej trójki budrysów, rozkołysana nastrojem nadmorskich dni?

Zmusiła się do skupienia uwagi na końcowych epizodach filmu, wbrew chęciom wpatrywała się w ekran. Lutek obok ziewnął w tej chwili serdecznie. Nudził go ten film tak samo jak ją. A Florek? Ten w ogóle przebywał na innym świecie. Siedziałby tak samo gdziekolwiek, zasłuchany w siebie, zatroskany Krychną i ich dalszą przyszłością.

Musi odczuwać żal do nich, z tego wyraźnie zdawała sobie Danka sprawę. Zjawił się na plaży, gdzie go oczekiwali niemal do południa, przejęty, zadowolony i niespokojny zarazem. Lutek z miejsca szepnął wtedy na jego widok:

— Odnalazł rudą dziewczuchę...

Pierwsze słowa Florka potwierdziły to przypuszczenie. Ale Stawski nie był skłonny do zwierzeń. Dorzucił to jedynie, że dzięki Krych nie upadły argumenty przeciw Szymkowi, wyjaśniło się, iż nie ma on z ikonową aferą nic wspólnego.

— Jak? Dlaczego? Gdzieś był tak długo? Z nią cały czas?

— Z nią. I u prokuratora. Razem tam poszliśmy.

— Coś taki dyskretny, Florek?

— Muszę to sobie raz jeszcze dokładnie przemyśleć. Zaraz wam wszystko opowiem.

Siadł na piasku, opuścił głowę, jasne włosy osunęły mu się na czoło, tkwił tak, rozradowany i przygaszony zarazem. Dłonią bezwiednie przesypywał piasek, strużynami przeciekający przez palce. Długo trwało, nim zaczął mówić.

I teraz tak siedzi zadumany, z opuszczoną głową. Przyglądała mu się, kierując spojrzenie na prawo. Smutny był, rzecz niepojęta u pogodnego wesołka, zarażającego cały rok na polibudzie niezmiennym swym optymizmem. I nagle taka odmiana. A może to niechętnie dziewczynie opinie Lutka rozbroiły go aż tak bardzo. Również i jej wyraźna niechęć, tyle że nie podkreślona słowami. I ona, i Lutek spoglądali na Krychnę z innego dystansu.

Żał się go jej zrobiło. Tak jak przedtem Lutek szeptał jej strofy Gałczyńskiego, podobnie ona przechyliła się teraz ku zwieszanej głowie Stawskiego:

— Florek, rozchmurz się... Nie ma sensu trapić się w nieskończoność...

— Gdy się z nią rozstawałem, wszystko wydawało mi się proste i jasne. A teraz gmatwanina od nowa. Tak mi się w tym trudno pozbierać...

Film skończony. Wzdłuż prowizorycznie zaadaptowanych wypalonych murów zabytkowej Sali Rycerskiej zabłyśły światła. Publiczność stłoczoną ławą opuszczała letnie kino pod gwiazdnym dachem. Od strony amfiteatru w parku nadmorskim nadbiegały dźwięki orkiestry. Poprzez gąszcz zieleni przeblyskiwały migotania latarni morskiej.

— Dawno nie oglądałem tak nudnej chały. Trwało to niemal dwie i pół godziny — ziewnął Lutek. — Głupi miałem pomysł z pójściem do kina. Ale co było innego robić? Po rewelacjach Florkowych nie ma już nawet potrzeby na dalsze detektywistyczne zabawy. Prokurator nam tego nie powie, ale bardzo byłbym ciekaw, ile pomogliśmy im w trafieniu na właściwy trop. Bo co oni w końcu bez nas wiedzieli?

Roześmiała się. Lutek mówił to najbardziej poważnie. Jakaś część racji kryła się w jego słowach. Na pewno wiele pomogli, dzisiejszym zaś działaniem Florka i jego dziewczyny przyśpieszyli wiązanie ostatnich oczek sieci. Kto teraz i kiedy w nią wpadnie?

Florek obrócił twarz ku dziewczynie:

— Danko, muszę z tobą pogadać. W cztery oczy. Dziś jeszcze. Prosić o radę.

— Dobra.

— Ja mam ochotę zajrzeć pod budynek komendy, zerknąć, czy stoi tam jeszcze popielata warszawa naszych przyjaciół — Lutek z miejsca zorientował się w sytuacji.

— To umówmy się, Lutek, na dworcu, Poczłapiemy tam z Florkiem, ty zaś załatwisz komendę, zgoda?

— Głowę dam, że ma ochotę na większe piwko — Stawski, zachwycony obrotem sprawy,

oglądał się za Lutkiem. — Genialnie, Danko, spławiłaś go.

— Sam się spławił.. Chcesz wiedzieć prawdę, poprosiłam go o to... Nie krzyw się, zrozumiał. A teraz gadaj, Florek o co ci chodzi...

— Danko, jestem zaskoczony i wytrącony z trybów. Gdy wam referowałem przebieg spotkania z Krychną, odczuwałem świetnie, że macie wielki żal do dziewczyny. Rozumiem was, gdyby nie podrzuciła ikon, nie byłoby w ogóle tej przykrej historii, Szymon by wcale nie siedział, a my razem hasalibyśmy teraz po Łebskim jeziorze. Tak to na pozór wygląda, ale dla mnie sprawa nie rysuje się aż tak jednoznacznie prosta. Kocham ją, nie mam powodów, by to ukrywać. Wzruszyła mnie dzisiaj swą gotowością poniesienia konsekwencji za głupstwo, które zrobiła. Pamiętaj, też, iż Krychną nie wiedziała, co jest w tej paczce. Przerażona była, gdy dowiedziała się o Szymonie. Przy Lutku nie chciałem opowiadać wszystkiego, bo widzisz, Krychna zwierzyła mi się z przyczyn, dla których w końcu uległa namowom tego Stefana.

Głos rwał mu się, słowa wydawały się mdłe, niepełne. Odczuwał wszakże, iż go Danko rozumie, że ma w niej oddanego słuchacza. Pamięć odtwarzała szczegół po szczególe z ранego spotkania z Krychną. Każde jej słowo, ruch czy gest zastygły na siatce pamięci...

Szli wolniutko, przytuleni do siebie jak para zakochanych. Wieczór był ciepły, ale od morza nadciągały już chłodniejsze podmuchy. Niebo niezmiennie pstrzyło się gwiazdami. Popatrywała w górę, żadna ze skierek nie chciała spadać. Dankę ogarniało uczucie spokoju, tak potrzebne po nerwowym podnieceniu ostatnich dni. Ze spokojem rodziła się pewność, że kończą się kłopoty, tylko czekać, wyjaśni się wszystko bez reszty. A wtedy...

Przecinała w tym miejscu wątek myśli. Nie chciała zaglądać w przyszłość, podświadomie wyczuwała, że stanie wtedy wobec innych problemów, na inny sposób też może będzie jej trudno. Tak się w niej samej wszystko ostatnio pogmatwało...

Próbowała dotrzeć do istotnego sedna przeżyć Florkowych. Dobrze trafił ze swoim zwierzeniem, w obecnym nastroju skłonniejsza była do ciepłych odruchów.

Na tle relacji chłopca można było inaczej spojrzeć na tę naiwną dziewczynę, która zawsze już w jej pamięci pozostanie z rudymi włosami. Ocena Lutka i jej była przedtem nazbyt może surowa. Ale przecież istnieje i ten drugi, Florkowy punkt widzenia. Próbujący nie tyle usprawiedliwiać, ile tłumaczyć...

— Sam nie byłem pewien własnej oceny. Zdobywałem się na tym większą surowość, im bardziej zdawałem sobie sprawę, jak mi Krychna jest bliska.

— Jak widzisz to wszystko dalej?

— Najprościej. Chcę być z nią razem.

Światła dworcowe wyrastały przed nimi. Ostry gwizd, narastający turkot kół, odchodził ostatni

lokalny do Koszalina. Na kliszy pamięci tamten wieczór z Szymonem, także gwizd parowozu, podobny turkot.

Domyślała się, ku czemu zmierza Florek. Chodziło nie o samo wszakże zwierzenie ani o ocenę moralną jego decyzji. Nie musiał uciekać od swojego uczucia ani się szarpać w sprzecznościach. Pragnął po prostu uczucie to rozwijać i cieszyć się nim. Dziewczyna nie ukończyła jeszcze swojego urlopu. Ich gromadka szykowała się na wyjazd do Łeby. Inicjatorem był Florek, więcej, przygotował wszystko dla tych wymarzonych wakacji. Nie stawiał sprawy na ostrzu noża, nie próbował się wycofać. Lojalność wobec przyjaciół i uczucie do Krychny spinały się konfliktowo.

— Chciałbyś, by Krystyna mogła pojechać razem z nami?

— Nie śmiałbym marzyć. Danko. Wiem, że pragnę być teraz z nią razem. Więcej niż pragnę, muszę. Będę gdziekolwiek, tyle że z Krychną. Ona nie wie nic jeszcze o moich projektach, przedtem winienem być naradzić się z wami. Ja ciągle jeszcze jestem naiwny i strasznie niedopierzony. Bo wiesz, łudziłem się, że...

— Że przekreślimy tamto i zaprosimy ją do Łeby razem z nami, prawda, Florek? Tak myślałeś.

— Tak. Głupio, bo ty i Lutek macie rację. Po tym, co się zdarzyło.

— Mylisz się. Ja cię popieram. Potrafię być chyba miła dla tej dziewczyny. Lutek da się przekonać, a zadecyduje o wszystkim Szymek. To chyba zrozumiałe dla ciebie.

Stanął rozpromieniony, rozradowany jak małe dziecko. Triumfalnym ruchem głowy odrzucił włosy do tyłu, a potem porwał Dankę w ramiona, unosząc w powietrze i okręcając wokoło siebie.

— Florek, co robisz? — śmiała się, na próżno wrywając się z jego ramion.

— Danko, sto razy mówiłem, że jesteś morowa, najmorowsza ze wszystkich dziewczyn.

Na peronach było pusto, zupełnie jak tamtej pamiętnej nocy. Na jednej tylko ławce gwarzyło ćmiąc papierosy trzech mężczyzn. Któryś na ich widok przesłonił czoło dłonią.

— Dobry wieczór, zjawiliście się jednakże... Dobrze tym razem trafiliście, bo to obaj koledzy są razem, pogadujemy w tę ostatnią sierpniową noc... O, a tamtego pana dziś nie ma? — zdziwił się, widząc Dankę w towarzystwie innego młodzieńca.

— My właśnie trochę w sprawie tamtego kolegi — powiedziała witając się z zawiadowcą. — Gdyby nie pewne zdarzenia, byłibyśmy tutaj na pewno wcześniej. Milakówna... — odpowiedziała na prezentację dwóch pozostałych mężczyzn. — To mój kolega, Stawski. Przyjaciół tamtego dryblas.

— No i widzicie, znów będziecie mogli wspominać. To ta panienka, o której wam mówiłem. Też ma na cmentarzu wojskowym kogoś z rodziny, a tamten wysoki chłopiec, którego ojciec... — urwał, schmurniał nagle.

Zapadło na moment milczenie. Jeden z nowo poznanych mężczyzn otworzył już usta, chcąc coś

powiedzieć, zawiadowca powstrzymał go jednak ruchem dłoni.

— Teraz rozumiem — szepnął i zaraz, z wyraźnym wszakże przymusem, zwrócił się do Danki.

— To go nie wypuścili?

— Pan wie?

— Domyślam się. Dwa razy mnie wzywali na przesłuchanie. Raz na milicję, a potem do prokuratora. Niby o tę „Baltonę” chodzi... Tłumaczyłem, nie mogło to być, w tym czasie siedzieliśmy tutaj razem. Chociaż... Nie wyglądał mi na to... — bąkał speszony, niepewny.

— Idąc na dworzec, przechodziliśmy koło „Baltony”. Paliło się tam, Szymka coś pociągnęło, by zajrzeć przez okno.

Opowiedziała w skrócie całą historię.

— Aha, aha — cmokał przejęty zawiadowca, zaciekawionymi pochrząkiwaniami wtórowali mu pozostali mężczyźni. — To dopiero trafunek. Kto by pomyślał. — Ale ciągle jeszcze nie wygasła w nim nieufność.

— Mówił dziś prokurator, że lada dzień wyjaśni się wszystko — wtrącił Florek.

— Aha, aha, tak mówił? No to i dobrze... — Zawiadowca wyraźnie zawstydzony poprzednią swoją rezerwą, dorzucił: — A jakby mnie jeszcze wezwali, to tak powiem, że aż za cholewy im pójdzie. Nie ruszajcie wy swoich. Ojciec padł w Kołobrzegu, a tu syna po kryminałach ciągną nie wiedzieć za co. Ot jak — i dopiero odsapnął zadowolony.

— Ten kolega, no, którego tu nie ma, jak się nazywa? Czasem zdarza się, przypomni się coś, choć to już niby dawno było — starszy z kompanów zawiadowcy sprowadzał rozmowę na inne tory.

— Krajecki. Szymon Krajecki. Pamiętam, Szymek mówił, że jego ojciec był w dziewiątym pułku — szybko podjęła Danka.

— Dziewiąty pułk, to znaczy trzecia dywizja. Chłopaki mieli gorąco, grupami szturmowymi szli, a każdy dom jak fortecę musieli zdobywać. Od wieży ciśnięć pchali się na miasto... Myślałem, że będę może co wiedział. Bo ja czołgista. Ale my wspieraliśmy siódmy pułk. Oni szli alejami, a my ich ubezpieczaliśmy ogniem. Cztery nasze maszyny pełzły. Bywało, my jeszcze walimy, żeby rozbić jakieś gniazdo oporu, a tamci piechocińcy już od tyłu drą Niemcom portki... Krajecki? Nie zdarzyło mi się słyszeć... Może później, ale to już mnie wtedy sparzyło, w szpitalu byłem. Taka tylko pamiątka została — zdjął kaszkiet, dostrzegli w przyćmionych światłach popstrzoną plamami blizny goliznę czaszki. — Nie szkodzi, lepiej, że nie na głowie, czoło tylko i ucho trochę mi osmałiło.

— A o Milaku, Albinie Milaku panowie nic nie słyszeliście? To był mój wuj. Tylko że nie wiem z jakiej jednostki. Piechota, tyle słyszałam.

— Też tu zginął? — zapytał zastępca zawiadowcy.

— Też.

— Może szwagier co wie. On piechociniec po części, po części artylerzysta. Jak Janek, pamiętasz co może?

— Artylerzysta ja, piechociniec tylko z przypadku. Dopiero od czternastego marca w piechocie. Na ochotnika od nas prawie stu chłopca poszło z przeciwlotniczej do osiemnastego pułku, szósta dywizja. Mnie przydzielono do trzeciego batalionu. Tam ich już niewiele zostało, ledwie sześćdziesiąt chłopca. Okropnie ich poszatkowali hitlery poprzednio. Ale ci, co zostali, diabły były nie wojsko. Na warsztaty samochodowe od razu my poszli. No i udało się. Jatka zrobiła się tam ze szkopów. Ale najgoręcej to było na drugi dzień, szesnastego marca. Pchaliśmy się na Stare Miasto. Ratusz miejski wzięliśmy wtedy i kolegiatę.. Tam była tęga obrona. A potem te maleńkie uliczki, ciasne, że choć się rękami jednocześnie o domy po obu stronach podeprzeć... Następnego dnia, siedemnastego, tak samo. Ciągłe po prawej stronie rzeki, na port się pchaliśmy, bo niby nikt nic nie wiedział, ale słuchy chodziły, że szkopy mają ochotę uciekać morzem. Statków to oni w porcie mieli, oj, mieli... Tego siedemnastego, dzień przed wyzwoleniem miasta, jak kościół braliśmy koło głównego placu, mało już i mnie brakowało. W ośmiu nas, cała kompania.

— Kompania? Ośmiu? — zdumiał się Florek, w głosie jego za brzmiało wyraźne niedowierzanie.

— A żebyś kolega wiedział. W Kołobrzegu pod koniec to już tak było, że stany jednostek miały czasem niepełne dziesięć, czasem dwadzieścia, a jak trzydzieści procent etatowego stanu, to bardzo dużo. Zabitych, rannych był huk.

— No i jak tam było?

— Jak było? Dostaliśmy się do takiego jednego domu. Twardy był, kolumnienki od przodu, sklep jakiś rozbity, butelek, że Boże mój.. Walili do nas z piętra, tak wyglądało. I my od razu na piętro, granaty przed siebie, serie i po schodach, skokami. Padł jeden, ale się wdarliśmy. Hitlery na drugie piętro, ale tam nie od razu udało się nam wdrzeć... Zrobiła się kotłowanina przy wyjściu na klatkę schodową, bo to wyrzły się, granat do góry i znów do tyłu, a oni też nie czekają, sieką, im z góry to łatwiej. Aż tu raptem od parteru robią skok na nas. Zaczaili się, wpuścili, a teraz chcieli zgnieść od dwu stron. Dwóch już mieliśmy zabitych, dwóch rannych, choć ci leżąc wspomagali nas jeszcze. Naparli mocno. My w głąb mieszkania, jedne drzwi, drugie, słaba zaporą. Złość, aż nosi człowieka, już koniec wojny bliski, a tutaj przyjdzie ginąć. Granatów brakło. Kapral zaryzykował, pęczkiem machnął, rąbnęli go, zwałił się nam do tyłu na ręce, że swoje jednakże zrobił, to zrobił. Siekanina jak na mielone kotlety, barykadę nam zrobili sami ze siebie. Zza tych

nieboszczyków niemieckich waliliśmy teraz do szkopów, ci znów się umocnili na piętrze. Ale już było spokojniej...

Potał czoło dłonią, spojrzął nagle na gości.

— Jak nazwisko tego wuja panienki?

— Albin Milak.

— Milak, Milak... nie pamiętam. Nie słyszało się chyba. Nie, mnie oni nie byli dobrze znajomi, pamiętajcie, ja z przeciwlotniczej, tylko na ochotnika do tych chłopaków. Ale Albin? Albin to jeden był z nami. Dostał, przez krzyże go trzepnęło odłamkiem. Wiecie, wtedy już koniec, tyle że jeszcze męczyć się trzeba. Na pewno wiem, że Albin to był. Niewielki, czarniawy, sprytna też jucha jak mało. Pierwszy wszędzie się wdzierał, piwnicami, okienkiem, zdawało się, kot się nie wciśnie, a on przelazi, z granatami, od tyłu zaszedł niemiachów, utorował nam drogę... No, ale teraz z nim było źle. Pogadywało się tam czasem ze sobą. Jak zdarzała się butelka, a było ich po niemieckich mieszkaniach, wypijaliśmy razem. Okropnie czekał na koniec wojny. Żona, mówił, córeczka mała, pierwsze dziecko, tak mi się przypomina, że dziecka tego nie widział, pod jego nieobecność przyszło na świat...

— A skąd ten Albin pochodził? — napiętym głosem spytała Danka.

— Skąd? Ot, nie pamiętam. Może i mówił, może się nie zgadało. To tylko pamiętam, z żoną i tym dzieciakiem, córeczką. Ale też jak przez mgłę...

— A co Niemcy? — Florek ciekaw był dalszego przebiegu walki.

— Ostrożni już byli. Raz my im seryjkę do góry, raz oni do nas w dół... Bali się, nam też było trudno atakować, czekaliśmy na swoich. No i właściwie trzech tylko było u nas zdatnych do bitki. Dwóch zabitych, trzech rannych, najciężej ten Albin. Z dobre pół godziny tak trwało, aż nadeszła nowa grupa naszych, daliśmy wtedy diabłom bobu. A jeszcze dwóch w piwnicy znaleźliśmy, pod węglem się chowali, bohaterowie... Ten Albin nie doczekał już swoich, skołał.

— To na pewno nie ten. Albinów w końcu jest wielu. Na wschodzie zwłaszcza, w Nowogrodzkiem, Wileńskiem. Jedną wioskę pamiętam, jeździłem tam przed wojną, co drugi był Albin — ni stąd, ni zowąd odezwał się zawiadowca.

— Jak nazwisko niewiadome, to pewnie nie utrafi... A ten wuj jaki był rośły chłop czy maleńki, taki trochę kurczaczek? Bo tamten właśnie jak kurczę. Ale siłę miał, że i dwóch kowali by z miejsca rozłożył.

— Jaki był? Nie wiem. Ja mało wiem o tym wuju. Chyba jednak raczej nie mały. Mój ojciec, drugi jego brat, to rośli mężczyźni — pół głosem, w zamyśleniu odpowiadała Danka.

— No tak, wspominki. Często przychodzą do głowy. Tyle lat, dzieci porosły, pożeniły się, swoje bachory mają, a z pamięci nie ubyło tamtych wydarzeń. Czasem tak wstają świeże, jakby

wczoraj jeszcze człowiek siedział w tym czołgu — zamruczał zastępca zawiadowcy. — Ja to ani Krajeckiego ani żadnego Albina, Milaka tam czy innego, nie pamiętam. W czołgach nie było takich... A my to znaleźliśmy się. Pamięć się ma do dziś. W pierwsze dni, jak tylko czołgi Wprowadzono w akcję kołobrzeską, nocą mieliśmy podejść na stanowiska ogniowe, żeby piechotę wesprzeć. Taki jeden ze sztabu dywizji miał nas wyprowadzić na miejsce. Wyprowadził, a niechże go. W bagna, zaryliśmy się w cztery maszyny. Ani do tyłu, ani do przodu, tylko wciąż głębiej i głębiej wrzynały się w grunt te nasze kochane IS-2. Pod ogniem rano trzeba je było wyciągać. A już groziło najgorsze...nie czołgisty śmierć w błocie...

— Nareszcie was znalazłem. Kawał drogi do tego dworca. — z cienia wyłonił się Lutek. Panowie pozwolą, z tej. samej paczki, Pazoła jestem — przedstawił się kolejarzom i ich gościowi. Spojrzał potem po swoich. — Nic nie rozumiem, wóz został zwrócony właścicielowi. Okropnie był podobno wzruszony, dziękował... Więcej nic mi nie chcieli powiedzieć.

— Warszawę mu oddali? Puścili obwiesia wolno? — zdumiał się Florek.

— A my tutaj, czekając na ciebie, zasłuchaliśmy się we wspomnienia wojenne panów. Bo widzisz, ten pan jest czołgista, a ten znów służył w artylerii przeciwlotniczej, potem zaś na ochotnika przyłączył się do szturmujących oddziałów piechoty — przedstawiła kolejarzy Danka, urywając tym zwierzenia przejętego Lutka.

— Ach - tak, to musi być pasjonujące. Inaczej się słucha tych rzeczy od bezpośrednich uczestników, inaczej zupełnie o nich czyta. Ani porównać nie można — połapał się Pazoła.

— Pewnie, pewnie — zagadał były czołgista, polectany tymi słowami. — Przeżyło się, przeżyło. Dwunastego marca, pamiętam datę, bo to był zamiar już tego dnia zdobyć Kołobrzeg, trudno, nie wyszło, tydzień prawie mieliśmy przed sobą dalszego pieklenia się, otóż tego marca w trzy maszyny ruszyliśmy przez takie zagaję...

— Ludzie, o rety, ładna sprawa, osobowy nadchodzi. Druga godzina, ale zleciał ten czas! — Złapał się za głowę zawiadowca i pobiegł, po drodze naciskając na łeb czerwoną czapkę.

— No, to już na nas też pora... Ten pociąg przywozi świeżą poranną gazetę. Poczyta się nowinki. O, już wjeżdża.

Kilka zaledwie wagonów, wysypało się z nich też niewiele osób. Z bagażówki frunęły na peron jakieś paki. Sprzedawca z kiosku „Ruchu” odbierał plik czasopism. Byli żołnierze z miejsca sięgnęli po numery „Głosu Koszalińskiego”. Przybliżył się Lutek, także kupując egzemplarz. Złożył go i wetknął do kieszeni.

— To my chyba pójdziemy — powiedziała Danka, wyciągając dłoń do sympatycznych kolejarzy. Korciły ją wieści przyniesione przez Lutka. Jakże to, oddali temu Stefanowi samochód, jego samego też wypuścili! Chyba musiano zakpić z Pazoły.

— Lutek, a nie łziesz ty? Jakże go mogli wypuścić? To po cholere zabieraliśmy tę warszawę?
— gdy tylko oddalili się nieco od tamtych, wybuchnął zdenerwowany Florek.

— Bo widzisz, mnie się zdaje... Co to? Wołają nas?

Od tyłu nadbiegały głośne pokrzyki. Wymachując gazetą, zawiadowca, jeszcze w czerwonej czapce, pędził w ich stronę. Zawrócili z miejsca.

— Dobrze, że kolega zajrzał w gazetkę... Czytajcie! — sapał kolejarz, tamci dwaj też przyłączyli się już do całej grupki. — O tu, gdzie wiadomości z ostatniej chwili.

Florek wlepił oczy w gazetę, przez ramię zaglądali mu Danka i Lutek. Notka była króciutka. Powiadamiała, że władze ujęły sprawców napadu rabunkowego na „Baltonę” w Kołobrzegu. Jednym ze sprawców okazał się znany na wybrzeżu ratownik Mieczysław K. Dochodzenie w toku.

— Hura! Hura! — zakrzyczał Lutek. — Teraz Szymona na pewno już zwolnią.

Danka rzuciła się najpierw Florkowi, potem zaś Lutkowi na szyję.. — A ja gorszy? — zaśmiał się zawiadowca.

— Najlepszy — cmoknęła go w nie ogolony policzek.

— Dobra nowina. Nie można jej tak zostawić na sucho. Grzech byłby... — z rozjaśnioną gębą zasapał były czołgista. — To ja proszę do siebie. Jest jakaś flaszka gorzały. Żona znajdzie też na pewno coś na przekąskę.

Po chwili, gdy nie mogąc odmówić tak serdecznej prośbie, szli już peronem całą gromadą, dorzucił jeszcze:

— A przy okazji opowiem wam o dwunastym marca, co to nie mogłem skończyć...

Rozdział XVI

Dzień osiąga swój punkt kulminacyjny

Przedtem zjaśniało morze, jakby ktoś fale pociągnął delikatniutką srebrną polewą. Wdarły się w to złotawe przebliski przeskakujące z miejsca na miejsce. Osnute seledynem niebo przerodziło się w delikatną jak puszek baziowy żółć, rozjaśniało się kaczeńcami, a potem zaczęło z sekundy na sekundę różowieć, wraz z morzem nabierać odcieni pomarańczowych, by-w końcu buchnąć krwistym blaskiem mocnej czerwieni. I jeszcze króciutka chwilka oczekiwania, znacząca się nagłym przyciszeniem w przyrodzie, wstrzymaniem głosu przez ptaki, zastygnięciem powiewu wiatru pośród szepczących liści, by dopiero zaczęło się szaleństwo radości, gdy nabrzmiała, triumfalna w purpurze tarcza słoneczna zaczęła się wynurzać z bałtyckiej wody. Wielki krąg wypływał, już był w trzech czwartych na świecie, już tylko rąbkiem, rąbeczkiem jeszcze zaledwie się chował w nieznanym, aż wreszcie cały wychynął na świat. I teraz zaczęło się odwrotne misterium zmiany barw, wygaszanie kolorów. Z purpury w czerwień, z kaczeńcej żółci w

delikatny kolor cytryny, i wreszcie już tylko seledyn zmieszany z przytonowanym błękitem nieba. I kula słoneczna zmniejszała się, wracała do normalnych wymiarów. Już był normalny dzień, świeżość swą znaczący igraszkami srebrnych i złotych pasm na znów przyciemniałej tafli spokojnego Bałtyku.

Przedarli się od terenów uzdrowiskowych przez zarośla parkowe na plażę, na brzeg, stali tu przytuleni we trójkę, zapatrzeni w rodzący się wspaniałą pogodą dzień. Blask słoneczny odbijał od ich zmęczonych, ale pogodnych twarzy, lśnieniami osiadał na źrenicach oczu.

*Cóż, kocham światło. Promieniem,
jak umiem, wiersze obdzielam.
O, gdybym mógł, tobym zmienił
cały świat w jeden kandelabr.*

Lutek umilkł. Spojrzeli po sobie, pogłębili uśmiechem wzajemną życzliwość.

— Ładnie, Danko, zaczynasz, pierwszy dzień wolny od pracy kończysz nad ranem. Inna sprawa, że mili faceci. Szkła było cokolwiek mało, markowałem już tylko picie, byle im starczyło. Ale się rozgadali! Normalnie ani się wie, jak takie wspomnienia silnie tkwią w ludziach. Poskrobać tylko, upust się otwiera, odżywa stary czas. Ileż oni mają tych wspomnień, aż momentami chciało się im zazdrościć. Gadamy czasem na to pokolenie, ale jednego mu odmówić nie można: życia aż nazbyt bogatego we wrażenia, w emocje, w napięcia, w ciągłą potrzebę podejmowania decyzji i dokonywania wyboru... Ta kolejarska trójka, to w końcu cholerny kawał historii. Inna sprawą, że o walkach kołobrzeskich wiemy już chyba wszystko. Inaczej widzę teraz to miasto.

Florek kiwał przytakująco głową:

— Wiecie, odniosłem takie wrażenie, że oni na tle naszej radości, z powodu Szymona, piekli swą własną pieczeń. Gdybyśmy nawet nie chcieli, musielibyśmy przecież ich słuchać. Istnieje w ludziach potrzeba zwierzeń, rozładowania tkwiących głęboko emocji — spojrzał na dziewczynę. — Coś się, Danko, tak zamyśliła? Wspominasz swojego wujka? Nie sądzę, by to o niego chodziło. Niby pamiętają świetnie wszelkie szczegóły, ale czy zauważyłaś, jak ciągle jeden prostował w jakichś detalach drugiego. Oni po prostu widzą tamto poprzez pryzmat własnych przeżyć, każda taka opowieść, dygresja ma subiektywny charakter... Nie byłbym pewien, czy ten żołnierz umierający z przetrąconym kręgosłupem nazywał się Albin. Wypowiedziane imię złączyło się z innym obrazem.

Otrząsnęła się z zadumy.

— Na pewno nie wujek. Dziwne, tutaj zaczęłam o nim myśleć jak o kimś bliskim. A ja go przecież nie znałam. Zresztą wuj nie miał w ogóle dzieci. Sama historia lego człowieka, o którym

opowiadał kolejarz, jest jednak wzruszająca. Myślałem, jak wobec tamtych przeżyć niewielkie są nasze emocje. Ale wracajmy do nich. Spać się chyba już nie będziemy kłaść? Niedługo piąta. Chciałabym, żeby było znacznie później. Bo chyba Szymka dziś już wypuszczą? Trzeba jakoś zabić ten czas — zaczęła grzebać w swej wielkiej torbie. — Jest. Bałam się, że kostium kąpielowy zostawiłam w domu. Macie ochotę iść do wody?

Chłopcy spojrzeli po sobie, zaśmiali się. Florek wstrząsnął się jak zmarznięty pies. Bezradnie rozłożył ręce:

— Cóż robić. Skoro taki twój rozkaz... Aha, Lutek znów strzeli z Gałczyńskim. Poznaję po jego minie. Gadaj, trafia to do mnie.

*Rano słońce, rano pogoda,
idziemy do kąpeli.
Sama radość. Sama uroda!
Jak tu się nie weselić?*

*Z sosny słysząc dzięcioła stuk.
A tutaj ryby bryzg spod nóg.*

*Ech, bracia, wptaw.
I płynąć, pływać,
aż tam, gdzie z drugiej strony
wiatr, roześmiany wiatr przygrywa
na sitowia strunach zielonych.*

— Ślicznie — Danka klasnęła w dłonie. — Sama radość. Sama uroda. Jak tu się nie weselić. Muszę tylko schować się gdzieś, włożyć kostium.

— Uważaj w tych krzakach, byś nas znowu nie wpakowała w jaką kabałę — pokrzykiwali za oddalającą się dziewczyną.

— Słuchaj, Florek — skorzystał Pazoła z okazji, że zostali sami. — Masz ochotę zabrać do Łeby tę swoją Krystynę? Włączyć ją do naszej paczki?

— Chciałbym. A jak to widzisz?

— Mnie w końcu to mucha. Jeżeli Danka się zgadza. Może się przyzwyczaję do tego rudzielca zrobionego na czarno. Tylko się nie wstrząsaj, nie myślę jej przecież urażać. Rzecz w tym, co postanowi Szymek.

— Lutek! Wy z Szymkiem znacie się przecież od dawna. Na pewno twój głos wiele znaczy u niego. Pomożesz mi?

— Dobra jest. Tylko nie kwicz. Uważaj, Danka wraca.

Biegła już roześmiana i świeża.

— No i powiedz, nie może się babka podobać? — zagadnął Lutek.

— Czy wiecie, że dzisiaj sobota? Dokładnie tydzień temu zaczęła się ta afera. Nastraszyliście mnie. Oglądałam się ciągle i nasłuchiwałam, czy znowu ktoś nie mówi o jakichś szacherkach. Zaraz bym wołała was na pomoc.

Sobota. Godzina trzecia.

Ach jaki piękny świat!

Motyl z szuflady wyleciał

i wietrzyk przez okno wpadł.

Piosenka w szalonej głowie

szumi jak młody las.

Za miasto, za miasto, panowie,

wędrujemy w majowy czas.

— Pięknie, ale ja już fruwać do wody. Chłodno na powietrzu, jeszcze słońce zbyt mocno nie grzeje.

— Pierwszy września. Pomyślcie, biedne dzieciary maszerują dzisiaj do szkoły.

— A przed nami jeszcze wakacje. Dopiero wakacje!

Chlapnęło, posiało bryzgami.

Rozgrzani kąpielą, długo potem siedzieli na brzegu, spoglądając na wodę. Jakiś okręt wpływał do kołobrzесьkiego portu.

— Chodźcie już. Nudno tak siedzieć. Albo po prostu radość rozpiera mnie dziś. Poza tym ludzie już ciągną. Skurczone wszystko, rozziewane, idą, bo muszą, owczy pęd, moda posiadać własny grajdołek. Właściwie nie znoszę tłoku. Florek, w tej twojej Łebie znajdzie się spokojniejszy kąt?

— Nad morzem też rojno, choć może nie tak bardzo, jak tutaj. Ale nad jeziorem można zaszyć się trochę dalej, spokój, ani człowieka. Mamy kajak. Gdyby tak się udało wypożyczyć gdzieś łódź, wszyscy moglibyśmy się do niej wpakować, pociągnęlibyśmy aż pod Kluki czy Smołdzino, gdzie się mieści Słowiński Park Narodowy. Tam cisza, niekiedy od niej aż smutkiem dźwięczy.

— Kiedy jedziemy? Jutro czy jeszcze dzisiaj?

— Aleś ty w gorącej wodzie kąpana, dziewczyno — zacmokał Lutek. — Maszerujemy nudzić się w innym miejscu. Boże, tyle człowiek musi przez tego Szymona wycierpieć.

— Słuchaj, Lutek, bez żartów. Jesteś pewien, że dzisiaj go zwolnią?

— Nie wiem, przypuszczam, ale licho wie. Co gorsze, że jutro niedziela. Żeby się to czasem nie przeciągnęło do poniedziałku?

— Dwadzieścia po siódmej. — Florek nasłuchiwał, czy zegarek nie stanął. — Co będziemy robić? Kupa czasu.

— Możemy zajrzeć do portu. Tam się zawsze coś dzieje.

Powlekli się noga za nogą. Rześkość odczuwana po kąpieli minęła, znać dawało o sobie znużenie. Nie przespana, pełna emocji noc i obecny niepokój wyczekiwania nie miały bez śladu.

Florek miał rację. W porcie zawsze się coś działo, we dnie i w nocy. Tu nie znano spoczynku, najwyżej nasilenie prac malało albo się powiększało. Dźwigi wirowały bez przerwy, to znosząc coś na nabrzeże, to zabierając-z niego towary przerzucane do okrętowych luków. Warczały podnośniki, cicho szumiały zwinne wózki akumulatorowe, buszując po całym terenie.

Przysiedli na barierce, tarasującej wejście na część strzeżoną, niedostępną dla gapiów.

— Szwedzki statek! — zawołała Danka. — Celnicy tam idą.

— To znaczy, że odjeżdżają. Łobuz ten Szwed, ze Stefanem to owszem, a ze mną nie chciał handlować — pociesznie skrzywił się Lutek.

— Najwidoczniej nie wzbudzasz zaufania swym wyglądem. O, cholera, ale gość się zalał w pestuchnę! Czy mnie się zdaje? Podobny. Patrzcie, on czy nie on?

--- Stefek! Jak mamę kocham, Stefek.

— Poznają go też. — szepnęła Danka.

— Jasny gwint, gdzie tylko się nie ruszymy, zaraz coś musi się dziać — zadziwił się Stawski.

— Nic jeszcze nie ma. Tyle że ululany facet. Pcha się do portu. Stanął, patrzy, wytrzeszcza oczy, też na ten statek.. Jakby kogoś tam wypatrywał.

— Może Szwed nie stawił mu się na randkę?

— Pięścią grozi. Paradne.

— Tamten marynarz. Zobaczył Stefka. Wycofał się. Widzicie?

Wpatrywali się w podpitego człowieka, który w jednej chwili jakby nagle otrzeźwiał, zwinnym susem przesadził barierę i nie. zważając na nawoływania wartownika puścił się pędem w kierunku nabrzeża, przy którym stał przycumowany statek szwedzki, Wartownik zrzucił karabin z ramienia. Ale już przyskoczyli do niego dwaj jacyś cywile, szepnęli coś, sami również pobiegli terenem portowym.

Stefek biegł w kierunku statku, krzycząc coś ostrym, jazgotliwym głosem. Na pokładzie znać było wyraźne poruszenie. Właśnie ukazali się tam strażnicy celni, zegnali się, ściskając dłonie, najpewniej kapitanowi... Zdumieni wpatrzyli się w człowieka wzywającego ich rozpaczliwie.

— Stać, stać! Nie puszczaj ich! Nie puszczaj!

— Nasz Szwed, widzicie? Trochę z boku, za tymi belami... Biegnie, znika we wnętrzu statku. Któryś z celników za nim...

Na teren portu na sygnale wpadł milicyjny samochód. Przyhamował tuż nad skrajem nabrzeża. Milicjanci wyskoczyli, wołali coś do celników.

— Ale draka — Lutek aż ręce zatarł z radości. — Rozrabiaka z naszego Stefana. Musieli mu Szwedzi nawalić, jeżeli ich sypie, ani patrząc na własne ryzyko. To przecież dalszy ciąg naszej afery. Głowę bym dał.

— Lutek, zobacz, ten samochód — gwałtownym ruchem trąciła go Danka, wskazując za siebie.

Daleko za terenem portu stało czarne volvo. Dwaj mężczyźni stojąc obok auta przyglądali się zajściu przy statku. Jeden z nich przyłożył do oczu lornetkę. Opuścił ją wolno, bardzo wolno. Nadbiegł trzask gwałtownie zamykanych drzwi samochodu. Volvo dokonało zgrabnego obrotu i nabierając szybkości pomknęło ulicą prowadzącą do portu.

— Wszyscy aktorzy na widowni. Pełniutko. Filmowa scena. Jak babcię Kocham. A tam co znowu?

— Stefka już mają milicjanci. Tłumaczy im coś, pokazując na statek. Na pokładzie miota się kapitan, coś tam wykrzykuje. Czy Stefek ich rzeczywiście zasypał? Że też tak mało wiemy. Stąd nic prawie nie słyhać.

— Dajże spokój. Ja mam już dosyć tych wszystkich sensacji — syknęła Danka.

—

Na nabrzeżu nagle ucichło. Stefek stał spokojniutki teraz, obok dwaj milicjanci w cywilu. Dwaj inni na skraju nabrzeża gapili się niemo na statek. Na pokładzie grupa marynarzy, kapitan, jeden z celników. Reszta zniknęła we wnętrzu.

:— Po pokazie pantomimicznym następuje tak zwany żywy obraz — żartował Lutek.

— Nie bajtluj — osadziła go Danka.

— Czy milicjanci kapnęli się coś z tym volvo, czy nie? — na własną rękę zgłębiał rzecz Florek.

A tam nadal trwała martwota. Nawet dźwigi przyhamowały pracę, nie terkotały wózki, zaciekły podnośniki. Wszystkie spojrzenia tkwiły wlepione w drobnicowiec. Nieczęsto się zdarza, by celnicy w asyście milicji na brzegu ponownie przystępowali do kontroli zwolnionego już statku.

— Stara łajba. Tyle że ładnie pomalowana. Jak, podstarzał dzdżira — zaśmiał się Lutek.

— Patrzcie, wóz milicyjny odjeżdża. Tylko kierowca. Rwie całym gazem. Reszta milicjantów zostaje.

— Są celnicy. Kapitan biegnie do nich. Jakiś pakiet. Ależ wymachują ci Szwedzi łapami.

Przeciągły, ostry sygnał powracającego milicyjnego wozu. Wparli całym pędem, zdzierając hamulce nad samym progiem nabrzeżna. W rękach milicjanta papierek. Już schodzi po niego celnik. Wraca po trapie. Oddaje kapitanowi. Ten saltuje. Celnicy zabierają z sobą jednego ze Szwedów.

Porucznikowi z towarzyszącymi mu osobami zastąpił dróg, Lutek.

— Panie poruczniku, na chwileczkę... Pan nas zna — ręką wskazał na Dankę i Florka. Chcę tylko wspomnieć, że było tutaj to szwedzkie volvo, widzieli wszystko, potem machnęli się stąd na pełnym gazie.

—Dziękuję. Pewnie do Świnoujścia na prom. Nie szkodzi, zaczekają tam na nas, nie ma obawy. Przepraszam...

— A Szymek kiedy będzie zwolniony?

— Niedługo, czekamy na prokuratora. Prowadzi przesłuchanie w Koszalinie. Musimy mieć od niego nakaz zwolnienia.

— Taki gips...

Rozdział XVII

Wracamy do punktu wyjściowego

Było już po dwunastej, gdy warszawa prokuratury wyłoniła się zza rogu ulicy. Przerywając swój od godziny trwający spacer przed frontem budynku, pędem puścili się całą trójką do samochodu.

— Nareszcie. Nie mogliśmy się pana doczekać. — Danką z miejsca przypuściła szturm.

Wyblakły, zmęczony człowiek odpowiedział nikłym uśmiechem:

— Przepraszam was... Tempo zupełnie szaleńcze. Jeszcze nie koniec. Pan Krajecki na moją prośbę został powiadomiony, że dzisiaj nastąpi zwolnienie. No cóż, racja leżała całkowicie po waszej stronie. Jak też w zasadzie słuszny był kierunek waszych podejrzeń. Trafi liście niemal bez pudła. Jak na amatorów, rezultat na piątkę z plusem.

Szedł do swego gabinetu na piętrze, otoczony jak wianuszkiem przejętą trójką.

— Czy my panu nie przeszkadzamy? — tylko z grzeczności, na wszelki wypadek spytała Danką.

Znów się musiał uśmiechnąć. Otworzył drzwi przepuszczając ich przodem. Zwrócił się jeszcze tylko do sekretarki.

— Proszę przywołać pana Alfreda. Da mu pani ten nakaz zwolnienia. Niech bierze mój wóz i z miejsca rusza do aresztu. Tam są już zresztą przygotowani. Albo zaraz, chwileczkę, niech Alfred zaczeka. Razem z nim pojedą ci państwo.

Zamknęły się obite ceratą drzwi.

— Przepraszam, że zadysponowałem jazdę bez zapytania o zdanie, ale chyba pragniecie jak najszybciej uściskać kolegę?

— Jak najszybciej i jak najmocniej — zaśmiała się Danką.

— O, w to nie wątpię.

— Panie prokuratorze. Niby wszystko się zgadza, ale-pewne elementy w naszym rozumowaniu wciąż nie pasują do siebie... Przyobiegał nam pan... Czyby więc można zapytać... — Lutek mówił to mocno niepewnie.

— Można. Zastrzegam przy tym z góry, że niektóre szczegóły mogą zostawać objęte tajemnicą śledztwa. W ogóle podobna rozmowa to w jakimś stopniu naruszenie obowiązujących-przepisów, ale mam nadzieję, że nikt mi głowy za to nie urwie.

— Czy ratownik Miecio związany był z tamtą dwójką? A ci z volvo, co to za jedni? Będą aresztowani? Ten Szwed ze statku? Czy znaleziono ikony?

Pazoła korzystał z przyzwolenia, dalszych pytań miał równie sporo. Urwał, bo na biurku zadzwieczał telefon., Prokurator ujął słuchawkę.

— Tak, tak... Zaraz tam będę... Co mówicie? Ciekawe, ciekawe. Ani słowa o tamtych? Uparł się? Może ze swego punktu widzenia ma nawet rację. Mógłby sobie przekreślić szansę wyjścia za kaucją... Dobrze, niedługo tam będę, ciągnijcie tymczasem sami. Cześć.

Odłożył słuchawkę, spojrzął na młodych strzygących z nie ukrywaną ciekawością uszami. Tym razem roześmiał się na całe gardło, nawet oznaki znużenia tak poprzednio wyraźne, zniknęły z jego twarzy.

— Szalenie mi się podobacie. Nie miałem jeszcze równie uroczych współpracowników. Zgadza się, rozmowa tyczyła naszej sprawy. Wyniki przesłuchań. Na gorąco. Zaraz i ja ruszam do roboty. W grę wchodzi cudzoziemcy, to wymaga delikatnych, w rękawiczkach robionych posunięć. Nie każdego można zatrzymać, choćby tylko na czterdzieści osiem godzin. Czasem nawet, wbrew pozorom, nie warto... — spojrzął na zegarek. — Jeszcze dzisiaj muszę być w Świnoujściu.

— Pewnie ci z volvo?

— Zgadł pan, panie Pazoła.

— A poprzednie moje pytania? Przepraszam bardzo, ale...

— Króciutko, żeby zaspokoić pierwszą ciekawość. Potem wystąpię z pewnym projektem. Zatem sprawa ratownika i „Baltony”, owszem, wiąże się, nieco pośrednio, ale ściśle z aferą ikonową. Pierwszy oficer na statku, ten Szwed, posiadał przy sobie dwadzieścia trzy ikony... Otóż

mój projekt...

— Najmocniej przepraszam! A Zyga! Gawryluk! Naprawdę uciekł do Szwecji?

— Zgadza się. Będą z tym spore kłopoty. Sprawdziliśmy listę pasażerów promu. Przedostatnim rejsem wyjechał także Zygmunt Gawryluk z legalnym paszportem. Razem z dolarami i koronami szwedzkimi zrabowanymi w „Baltonie”.

— Oooo!

Prokurator podniósł się z miejsca.

— Przepraszam najmocniej, ale obowiązki, nic nie poradzę. Nie muszę przypominać, że wszystko, co powiedziałem, musi być utrzymane w bezwzględnej tajemnicy. Moja propozycja brzmi, byście jutro po południu, powiedzmy o siedemnastej, odwiedzili mnie w Koszalinie, prywatnie w domu. Zapraszam na winiak i kawę. Żona też będzie rada was poznać. Opowiadałem jej o gronie detektywów z Kołobrzegu. Wtedy będę mógł bez ograniczeń służyć swoją osobą. Rzecz jasna, zaproszenie dotyczy również pana Szymona. Zgoda? Mój adres, proszę zanotować..!

— Dziękujemy. Zjawimy się na pewno.

— To świetnie. Samochód czeka. Proszę pozdrowić pana Krajeckiego,

Danka odetchnęła, gdy wyszli przed gmach i ładowali się do samochodu razem z pracownikiem prokuratury.

— Mnie także przestało się wszystko kleić do kupy. Te wyjaśnienia raczej pogmatwały widzenie sprawy — przyznał Lutek.

Jeden Florek, wciśnięty w siedzenie, nie brał udziału w rozmowie, pogrążony w zamyśleniu.

T- Przepraszam, długo to potrwa? — zapytał Lutek, gdy zostawiając ich przed budynkiem mieszczącym areszt, pracownik prokuratury energicznie-zadzwoił do bramy.

— Nie sadzę, by dłużej niż kwadrans.

— Jeszcze kwadrans, mój Boże — rozpaczliwie westchnęła Danka.

— W sam raz wystarczy, byś się zatroszczyła o kwiaty dla powracającej do świata uciśnionej niewinności. Bo w końcu, gdyby nie twoja szalona ciekawość i .pragnienie podsłuchiwanie nie przeznaczonych dla twoich uszu rozmów po krzakach.. — Lutek przybrał, ton uroczysty.

— No, no, i gdyby nie wasze skłonności do mordobicia — odcięła się, ale zaraz klasnęła w dłonie. — Z kwiatami wszakże masz rację. Wypadałoby. Tylko że w tej dzielnicy nie ma kwaciarni. Co robić?

Florek wzruszył ramionami. Nadęty, był i osowiały. Lutek popatrywał na Dankę przez dłuższą chwilę. Cienie jakies przeleciały mu przez twarz. Dostrzegłszy spojrzenie dziewczyny, przybrał tragicznie bolesciwą minę, zastękał:

Do kresu mąki

*oto się zbliżam.
Czy znajdą czystą
wśród moich piżam?*

Zrobił perskie oko, bąknął, że będzie za chwilę i pędem ruszył ku najbliższej przecznicy.

— Lutek!

— Daj mu spokój, zjawi się zaraz — zmitygował ją Florek. — Wiesz, Danka, boję się reakcji Szymona.

— Na sprawę Krystyny?

— Tak. Najgorsze, że ze swego punktu widzenia będzie miał całkowitą rację.

— Nie trap się. Zaradzimy.

— O tak -- westchnął Florek.

I znów długie, napęczniałe oczekiwaniem minuty, dreptanie przed frontem niezbyt okazałego aresztu. Przechodnie, świadomi miejsca, oglądali się za nimi ciekawie. Danka zła była na siebie, że nie potrafi się opanować. Co się z nią dzieje? Więc jednak Szymek? Nie Lutek? Czy może emocja spowodowana jest wyłącznie niecodziennością przeżycia, nic zaś więcej poza szczerą sympatią i przyjaźnią nie łączyło jej z żadnym z tych chłopców? A w ogóle jak powinna wyglądać prawdziwa miłość? Florek jest podenerwowany, ale u niego wszystko od początku do końca jest jasne. Czemu jednak i Lutek najwyraźniej osowiał? Skąd te cienie, przelatujące przez jego twarz, gdy tak żywo podjęła słowa o kwiatach? Kwiatach dla Szymona. Od niej.

— Jest Lutek -- głos Florka przerwał jej rozmyślenia.

Taksówka przyhamowała przy krawężniku. Wyładował się z niej Lutek z olbrzymią wiązką kwiatów w ramionach. Były tam pomieszane ze sobą róże i gladiole, lwia paszcza, astry i jeszcze inne kwiaty, zupełnie jakby ktoś pośpiesznie ogołocił ogródek.

Całe naręcze spłynęło teraz w ramiona Danki, aż zginęła za tą kupą kwiecica.

— Żebyś nie płakała. No i Szymon żeby miał od razu zajęte ręce.

W ten sposób nie będzie mógł cię obejmować, na czym ja wygram z kolei na czysto — dworował Pazoła.

Przyjrzała mu się uważnie. Nic, roześmiana gęba. Jedynie w oczach te same cienie musi wyczuwać, że go dekonspirują, przymyka powieki.

— Szalenie to piękne z twojej strony. Ogromnie dziękuję. Przyznaj się, kogoś okradł?

— On przecież sam nie wie. W każdym razie ograbił najładniejszy ogródek. — Florek z podziwem przyjmował wyczyn kolegi. Przyjrzał się kwiatom. — Poczucia harmonii to jednak ty nie masz...

— Spróbuj w tym tempie. Uwaga, baczność!

W drzwiach otwartej furtki stanął Szymon, jakby dłuższy jeszcze i chudszy niżeli normalnie. Przymrużył oczy oślepienie słońcem. Moment tak stał, aż ruszył naprzeciw trójce przyjaciół.

— Spokojnie, nie pchać się. Danka pierwsza wręcza mu kwiaty i skacze na szyję. Potem my, Później zaś po koki wszyscy przechodnie. Od tej pięknej panny poczynając — Lutek uklonił się przechodzącej obok dziewczynie.

— Impertynent! — syknęła z pasją.

A jednak odbyło się inaczej. Z pocałunków pozostał tylko ten, który Szymek złożył na dłoni Danki.

— Kurczę pieczone. Dziś, ósmy dzień. No, ale już wszystko dobrze. Ułaskawiony przestępca wraca na wolność. — Szymon próbował pokpiwać sam z siebie, ale mu to jakoś nie wychodziło.

Wszystkim im nic nie wychodziło. W powodzi słów, odruchów, gestów, zaistniało coś nieznośnie sztucznego. Żadne z nich za nic nie przyznałoby się do wzruszenia, jakie ich ogarnęło. Dopiero w tej chwili opadło napięcie wielu poprzednich godzin. Wszystko wróciło do normy, choć nie mogli się jeszcze odnaleźć w nowym układzie. Na domiar te kwiaty. Szymon trzymał je obu rękami, sypał się, schylał się po nie niezdarnie.

— Gamoniu, ofiaruj to zaraz Dance, za wszystko, co dla ciebie zrobiła — podsunął mu Lutek.

Zdetonowany posłuchał, zsypał kwiaty w ramiona dziewczyny, zabąkał coś w, przeproszeniu. Florek zachichotał, parsknęła śmiechem i Danki. Jeden Pazoła z wysiłkiem zachowywał poważną minę.

Wreszcie Szymon rozjaśnił się, zaczerwienił, a potem odetchnął z ulgą.

— No, nareszcie normalnie. A czułem się jak na własnym pogrzebie.

Rozładowała się trochę atmosfera.

— Zapraszam was teraz na obiad. Zaoszczędziło się co nieco przez tydzień spędzony na państwowym wikcie. Za smaczne to zresztą nie było.

— Też wymagania. Takich obwiesiów powinno się trzymać wyłącznie na wodzie i czerstwym chlebie. Zaproszenie przyjmujemy. „Fregata”?

— Ten to ma rozmach — zachnęła się Danki. — Słuchajcie, co zrobić z kwiatami? Ja się podźwignę.

— Kurtuazja nie przewiduje pomocy damom w dźwiganiu kwiatów złożonych im w hołdzie.

— Impertynent — syknęła naśladując do złudzenia ton nieznanej dziewczyny sprzed aresztu.

— I co mię spotyka za dobre serce? Pajaczek był przerażony, że mu zdewastuję cały ogródek przed muzeum, ale w końcu sam pomagał zrywać kwiaty, gdy się dowiedział, że to dla ciebie, Szymek. Właśnie te najbrzydsze wiechcie, to jego zasługa.

— U Pajączka? W muzeum? — Florek skrzywił się, wyraźnie rozczarowany. — Byłem przekonany, że zrobiłeś skok na prywatny ogródek.

— Ryzyko. Zresztą u kustosa też dygotałem ze strachu. Wyobraźcie sobie, kogo tam gościł. Dwóch milicjantów, którzy przybyli ze sporą paczuszką.

— Z czym?

— Wyraźnie mówię: paczuszką. Dokładniej, skoro po polsku nie rozumiecie. Zbiorem dwudziestu trzech ikon. Chodziło o fachową ocenę zbioru.

— Fiuuu! No i co?

— Pajączek był przejęty. Patrzył na milicjantów jak na bazylijszków. Wzrokiem wodził po ścianach swojego gabinetu. Rozumiałem go, żałował, że nie może zostawić ikon jako eksponatów do swojego muzeum.

— Wiecie co, zajrzyjmy najpierw do niego — strzeliła Danką z pomysłem. — Ma tam sporo wazonów, w sam raz miejsce na nasze kwiaty.

— Tu cię boli, cwaniaro — zaśmiał się Lutek. I już wszystko było dobrze, normalnie!

— Będziecie musieli wiele mi opowiedzieć, bo ja ciągle nic nie rozumiem z tej afery; Nikt tam nie starał się mnie informować dokładnie.

Kustosa Pajączka nie zastali w muzeum. Więc tylko woźnej zsypani kwiaty na krzesło, zalecając udekorowanie nimi gabinetu dyrektora. Żeby miał ładnie.

Woźna krzywo patrzyła na Lutka, wreszcie nie wytrzymała:

— To po co pan rwał te kwiaty? Jak to u nas teraz wygląda? Jeszcze mi pan rabaty podeptał. Pan kustosz ma dobre serce, bo ja...

Czym prędzej zwinęli żagle. Florek ciągle spoglądał na zegarek, nikt na to nie zwracał wszakże uwagi.

— Szkoda, że go nie zastaliśmy — żałował Szymon.

— Przejmował się twoją historią. Do tego stopnia, że z Danką nocami przesiadywał we „Fregacie”, gdy ona na własną rękę poprowadziła śledztwo...

— Danką? Bąkał coś porucznik, że wam najwięcej zawdzięczam, iż tak szybko zpstaję zwolniony. Ale że Danką?

— Widzisz, nas zabrakło — Lutkowi było teraz bardzo niezręcznie. — No, Florek w Łebie, a ja parę dni bumblowałem po knajpach. Znasz mnie... Danką sama podjęła walkę z tą zgrają. Ej, chłopie, gdybyś wiedział, ile dla ciebie zrobiła. Ani wart jesteś tego.

Krajecki zamruczał jak obłąskawiony niedźwiedź. Florek znowu spojrzął na zegarek. Zatrzymał się speszony, niepewny.

— Słuchajcie, może wy ten obiad beze mnie... bo to, widzicie, umówiłem się z nią. Muszę iść.

Szymon spojrzał z ciekawością.

— Czego się tak rumienisz? Co za ona? Może ta ruda? — w głosie brzmiało niedowierzenie.

— Jakbyś zgadł — Danką przyszła Florce z pomocą. — Wrębał się wyżej uszu. Ta jego Krychna zresztą też działała w tej sprawie.

— Ona?

— Nawet dwukrotnie — zgryźliwie podrzucił Lutek, ale zamilkł na błagalne spojrzenie Florca.

— A jednak „Fregata”. Masz gest, Szymonku, upór też, czynisz to bowiem wbrew wyraźnym zakazom Danki. Ona uwielbia ten lokal wyłącznie w nocnych godzinach. W asyście pana Pajączka.

Gdy zajęli już miejsca, Szymon coś sobie przypomniał i z niepokojem spojrzał na Lutka:

— Bałem się, czy mi zechcą zaliczyć praktykę? Chyba prokurator mógłby tam w razie czego interweniować?

— Spokojna głowa. Masz tu zaświadczenie, że wszystko w porządku. Kierownik życiowy facet. Z miejsca wystawił papierki.

— To będziemy mogli już jechać do Łeby?

— Śpieszy ci się? A ukochany Kołobrzeg? Masz dość?

— Nie Kołobrzegu, ale tej aury. Wolałbym zapomnieć. Kosztowało to mnie niemało zdrowia. Czego ja się tam z początku nie nasłuchiwałem o sobie. Wyobraźcie sobie sytuację, gdy was pytają, gdzie schowaliście dolary? Tymczasem ja jeszcze w życiu dolara nie oglądałem. — Obrócił się do kelnerki, która przystanęła przy stoliku nasłuchując ciekawie toczoną przy niej rozmowę. — Trzy koniaki, coś na przegryzkę. I kartę. Albo radę, jaki najlepszy dziś obiad.

— Krezus, jak mamę kocham.

Teraz dopiero popłynęła opowieść, posypały się pytania, zwłaszcza Krajecki wszystkiego był ciekaw, najbardziej zaś ich udział i w rozwikłaniu afery.

A potem milczał już, słuchając tylko i patrząc na nich rozmięszonymi oczami. Wszyscy byli tacy kochani. Żadne z nich nie zawiodło w trudnej próbie przyjaźni.

Dankę ogarniał szczególnie serdecznym spojrzeniem. Lutek, Florek, chłopcy, zawsze drzemie w nich pasja przygody. Ale Danką? Przez przypadek pozostawiona sama w obliczu nieszczęśliwych wydarzeń, interweniująca w milicji, u prokuratora, podejmująca dochodzenie na własną rękę, ryzykująca kto wie, może i życiem, szajka mogła nie mieć żadnych skrupułów... Ileż razy myślał o tej dziewczynie, o ich nocnej wyprawie nad wodę, o kąpieli zakończonej pocałunkami. Jakże się obawiał, że może się teraz odwrócić od niego, nie pragnąc żadnych wyjaśnień. Tymczasem

okazała się tak bardzo oddana i wierna. To na pewno coś więcej niż życzliwość i przyjaźń.

Śmiał się do niej oczyma i całą twarzą. I tylko momentami niepokoiły go spojrzenia rzucone przez Lutka. Spojrzenia, za którymi kryło się coś głębszego. Normalnie chłopak nie spogląda na dziewczynę w ten sposób.

Lutek — myślał — zawsze był równy chłopak, a że ma swoje wyskoki, to jego prawo. Wiele okazał teraz energii i serca. Obecnie jest rad, śmieje się, mruży do niego oczy, podkpiwając z samego siebie opowiada o własnych detektywistycznych poczynaniach. Ale jest i coś nowego w zachowaniu się Pazoły. Czai się to w spojrzeniach rzuconych na Dankę. Tak się patrzy na kogoś szczególnie bliskiego. Tkwi to też w ledwie skrywanym niepokojem, z jakim Lutek obserwuje każde odezwanie się, każdą wymianę spojrzeń pomiędzy nim, Szymkiem, a dziewczyną.

Zaszło coś może pomiędzy nimi, czy po prostu pogłębiło się kielkujące zaledwie uczucie? A może to tylko przeczulenie z jego strony? Obydwoje są bardzo serdeczni, i Danka, i Lutek. Nie ma nic w ich zachowaniu, co świadczyć by mogło o bliższej zażyłości. Skąd więc nutki jakichś podejrzeń? Może chodzi o coś innego, po prostu o niego samego, o to, że on się zmienił od tamtej nocy, od pierwszych pocałunków z dziewczyną, od momentu, gdy zdał sobie sprawę, iż najzwyczajniej w świecie kocha.

Uspokajał się, pocieszał, znów śmiał się do nich chudą, pociągłą gębą.

Zgadało się o Florcu. Żalowali, że musiał iść na spotkanie, zamiast zostać tu razem z nimi. Serce ciągnęło go w dwie strony. Z Lutkiem się znali od dawna, z Danką nawiązała się ni tka. uczucia, ale z tym chłopakiem nic właściwie go nie łączyło. Okazał się, wszakże wspaniałym kolegą. Danka go ściągnęła, zjawił się natychmiast, nie żałował żadnego wysiłku ani ryzyka. Jak choćby z tym samochodem... Zakochał się w odratowanym z topieli rudzielcu. To także świadczy o nim niezgorzej.

Zapytał o Kryskę. I wtedy zdumiał się nagłym, zapadłym milczeniem, jak i spojrzeniami, jakimi szybko obrzucili się Danka i Lutek. A tu co nowego się tai?

— Wspomnieliście przedtem, że ona mi także pomogła. W jaki sposób? — nacisnął.

— To ci już chyba sam Florek najlepiej opowie — bąknął Lutek.

Danka zadecydowała jednak inaczej.

— Widzisz, Szymek, to, dłuższa historia. Musisz jej wysłuchać spokojnie. Wiąże się z naszą, a głównie twoją sprawą najściślej... Ta Krychna, rudzielec, jak ją nazwaliście, to w końcu biedne i raczej porządne dziewczynisko. Tak przynajmniej można wnioskować... Błagam cię tylko, z opinią na razie się wstrzymaj, obiecujesz?

— Skoro tego pragniesz. Inna rzecz, okropnie frapujący i intrygujący ten wstęp.

— Bo i sprawa intrygująca... Zatem słuchaj.

Opowiedziała wszystko, co wiedzieli od Florka. Podkreśliła moment przesłanego przez dziewczynę ostrzeżenia i jej nieświadomości, co zawiera podrzucana paczka. Wielkim atutem była także jej natychmiastowa decyzja złożenia zeznań, skoro się dowiedziała o aresztowaniu Szymona...

Krajecki dotrzymał słowa. Słuchał w milczeniu, tylko czoło ściągały mu zmarszczki, a oczy chmurniały. Łagodne błyski zjawiały się w nich od nowa jedynie wtedy, gdy obserwował, jak Danka starała się przedstawić, dziewczynę w najlepszym świetle. Długo milczał, gdy Danka zakończyła opowieść.

— Tak — powiedział wreszcie. — Najpierw podrzucenie, później anonim z donosem do milicji. Rezultat: siedzę. Jedno mnie wszakże ciekawi, po co im ta cała historia była potrzebna. Wygląda bowiem na to, że pośrednio tym sposobem sami wskazali trop...

— Dla mnie to jasne. Ten Zygmunt Gawryluk to musi być mściwa bestia. Brał odwet za to, żeś sprzął go po pysku. To jedno. A drugie, zaznaczam, że to mój domysł, ziemia musiała im palić się pod nogami. Pajęczek wspominał, iż już przed miesiącem otrzymał sugestię, by zwrócić uwagę, czy przypadkiem ktoś nie będzie handlował tu ikonami, szukał u niego oceny czy czegoś podobnego. Prokurator napomknął, że mieli poszlaki wskazujące na handel tym artykułem właśnie w Kołobrzegu. Może zwrócenie uwagi na ciebie zaspokajało zemstę i zarazem dawało facetom oddech w działaniu?

Krajecki zamówił trzy dalsze koniaki.

Gdy nadpili już złocisty płyn, Szymon powiedział z namysłem:

— Głupia dziewczyna. Dać się wciągnąć w taką historię. Trochę, mi jej żal, ale wybaczyć nie mogę. Przez jej głupotę, zgadzam się z tobą, Danka, iż na pewno należy odrzucić złą wolę, przeżyłem tak wiele upokorzeń i ciężkich chwil.

Po chwili namysłu dorzucił:

— Jednego nie rozumiem. Czemu jej bronisz z takim zapalem, jak się zdaje, przy aprobacie Lutka? Nie muszę Florkowi wypowiadać swojej opinii. Niech się kochają na zdrowie. Nie ma chyba konieczności, bym się z nią widywał. Tymczasem w tym, co usłyszałem, wyczuwam najwyraźniej coś nie domówionego. Co?

Znowu wymiana spojrzeń. I znów rzucająca wszystko na szalę decyzja Danki.

— Mamy w projekcie Łebę. Florek wszystko wspaniale tam przygotował. Zwijał się tutaj, jak mógł, by ci dopomóc. Zwrócił i nam, i władzom uwagę na wiele faktów. Otóż Florek pragnie, by Krystyna mogła pojechać razem z nami.

Szymon szeroko otworzył oczy. A potem wypił gwałtownie resztę koniaku.

— Pojechać? Z nami? — wyjąkał.

Rozdział XVIII

...A oto i rewelacyjny ciąg dalszy

Lutek nieufnie obejrzał się za odjeżdżającym Wartburgiem, z którego wysiadł zziębnięty Florek.

— Gdzieś go podłapał?

— Było późno, taksówki ani śladu, nie chciałem się spóźnić. Zatrzymałem pierwszy lepszy wóz lecący na Koszalin, facet się zgodził, no i jestem. A czemu pytasz?

— Obsesja. Pomyślałem, czy nie. zaczyna się nowa kabała...

Stawski melancholijnie pokiwał głową. Lutka zawsze się trzymają kawały.

Oczekiwali na niego w kawiarni, zaniepokojeni opóźnieniem. Odetchnęli, gdy wysiadł z Wartburga.

— Prędeż, prędeż, nie wypada się spóźnić. Stąd mamy jeszcze pięć minut drogi. — Danka ponagliła chłopaków.

Florek tak manipulował, by znaleźć się przy niej. Niespokojny był, nieme pytanie wyglądało z jego oczu. Zarazem najwyraźniej bał się to pytanie postawić. Nie widział się z nimi od wczoraj wieczora.

Zlitowała się nad jego niepokojem. Nie poszło to łatwo, Szymon okazał się nadszpiewanie uparty. Jeżeli ustąpił, to tylko dla niej. Łatwo mu ta zgoda nie przyszła...

— W porządku. Jedziemy razem — szepnęła więc tylko w przelocie i zaraz zagadała coś do Szymona, w obawie, by Florek nie zechciał rozpytywać się o detale. Tamtemu wszakże nie było to już potrzebne. Rozpromienił się i rozjaśniał.

Lutek przyjrzał mu się raz i drugi, uśmiechnął się, trącił w ramię:

*Żeby zrozumieć, skąd śmiech się bierze,
osieł wgramolił się na wysoką wieżę
i zamknął się lam na dób i kluczy czterdzieści —*

*bo tylko w wieży z kości słoniowej
rosną jak słonie myśli osiełkowe
myśli jak kisiel z pleśni bez treści.*

Florek ani myślał się urażać: zbyt był szczęśliwy. Słońce uśmiechało się tylko do niego. Tak samo promiennie jak uśmiechała się Krychna. Jakże była szczęśliwa, że Szymon został już uwolniony, a przyczyniło się do tego jej zeznanie złożone przed prokuratorem. Nie mniejszą radość odczuwała z faktu, że Florek nie odtrącił jej, nie pogardził, że nie zamierza jej pamiętać tamtego

postępu...

— No już, to tutaj. Przyczesać się, banda, ręce obejrzeć, czy czyste, buty odkurzyć, można ostatecznie chusteczkami do nosa — komenderowała Danka. — Żeby nie musiała się za was wstydzić.

Wepchnęła ich do klatki schodowej, nacisnęła guzik dzwonka. Przybrali odpowiednio poważne miny.

Nie były potrzebne. Gospodarz z miejsca wytworzył nastrój ciepły i bezpośredni. Jakże inaczej się tu poczuli niż w urzędowym gabinecie prokuratorskim. Na ścianach sporo grafiki, tematycznie związanej głównie z wybrzeżem. Wygodne mebelki. Na stoliku ciastka, wino, zaraz się pojawiła gospodyni z potężnym dzbanem kawy.

— Filia naszego kołobrzесьkiego wywiadu w komplecie — przedstawił ich żonie.

— Wspomniałam mężowi, że powinniście państwo otrzymać specjalne premie za rozwikłanie dwu tak poważnych spraw — śmiała się. — Okazało się, że pragmatyka nie przewiduje u nich takich przypadków. Mąż próbuje się zatem wymigać winem i kawą. Wygodniś.

— No i proszę — rozkładał ręce — nawet w domu nie ma się cienia autorytetu.

— Panie prokuratorze — przerwał ten niefrasobliwy nastrój Szymon. — Nazwisko pana spotkałem w opisach walk na Wale Pomorskim i. przy forsowaniu Kołobrzegu. Przypadek to, czy może ktoś z pana krewnych? Pamiętam, szturm i przedarcie się z kaemem w środek stanowisk niemieckich, co przesądziło o starciu. I jeszcze, nazwisko to wymienione jest przy akcji zaślubin z Bałtykiem, nie w samym Kołobrzegu, ale wcześniej, na wschodnim odcinku wybrzeża...

— Mieliśmy przed paru laty świetną propozycję przeniesienia się do Krakowa — wtrąciła pani domu. — Mąż pozostał jednak wierny temu ślubowaniu i dlatego zostaliśmy, chyba już na zawsze, nad morzem.

— Więc to był pan? — Szymek aż powstał z fotelika, wgapił się, chudy, wysoki, w sylwetkę prokuratora.

— Cóż, muszę się przyznać... Dokładnie zna pan szczegóły.

— Muszę — westchnął Krajecki — Czekam pana perspektywa jeszcze jednego spotkania ze mną, na temat tamtego okresu. Będę pana prosił o to serdecznie...

Gospodarz domu skinął życzliwie głową. Zdawało się, uciekał od wspomnieniowego tematu, bo zaraz zaczął wypytywać Dankę o jej samopoczucie po wszystkich przejściach, zażartował, jak daje sobie radę z trzema podobnymi charakterami? Musi to być wcale niełatwe.

— Ratuje mnie właśnie to, że jest ich trzech... Wszelkie odrębności charakterów niwelują się wzajemnie — ze śmiechem przyjęła wyzwanie.

Popołudniowe słońce pasmami wlewało się do pokoju, przesuwając się po zarumienionych od

wina twarzach zebranych. Ożywiła ich kawa, świetnie zaparzona, jakże inna od lur spijanych przez nich w lokalach. Przeskakiwano z tematu na temat, mówiono o studiach, budownictwie i architekturze, o Kołobrzegu i jego rozwoju, ich dalszych wakacyjnych planach. Na pewien czas odpłynęły tamte, minione już dla nich właściwie sprawy, zacierały się, ustępując nowemu czasowi.

Zadzwonił telefon. Gospodyni podniosła słuchawkę, zaraz ją przekazała mężowi. Wysłuchał czegoś uważnie, przytaknął, potem odkładając słuchawkę zastanawiał się, twarz jego przybrała skupiony wyraz:

— „Oto jak nas, biednych ludzi, rzeczywistość ze snu budzi” — zastękał wracając na swoje miejsce.

— Nareszcie choć raz Boy, a nie tylko Gałczyński — westchnął Szymon.

Parsknęli, Lutek pogroził mu dyskretnie pięścią.

— Jakież kłopoty? — zapytała Danka prokuratora.

— Nie. Meldunek. Ze Świnoujścia. Wszystko w porządku.

— Przepraszam, tamci? — Lutek nie umiał pohamować swej ciekawości.

— Ano, nie uniknę tego — powiedział żartobliwie. — Wracamy zatem do afer, w których częściowy współudział tak niesłusznie skłonni byliśmy początkowo przypisać panu Szymonowi — uśmiechnął się do Krajeckiego. — Jaki ustalamy porządek rzeczy? Mam zreferować najogólniej sprawę i potem przejdziemy do zapytań, czy odwrotnie, od pytań przejdziemy do rysunku całości? Zaznaczam, że niektóre szczegóły pozostają jeszcze objęte tajemnicą śledztwa, niewiele ich zresztą. Poza tym braknie do zamknięcia sprawy kilku elementów dosyć istotnych. Kto wie — spojrzenie jego ożywiło się — czy znowu nie uda mi się skorzystać z waszej pomocy?

— Może od ogólnego obrazu... Ja najmniej wiem o tym wszystkim mimo osobistego wkładu do sprawy — z uśmiechem spojrzał na gospodarza Szymek.

— Święta racja. Zatem kapituluję — przyciągnął do siebie niewielką teczkę. — Mam tutaj trochę notatek, choć i bez nich się chyba nie zgubię. Zochna, bądź tak miła, nalej nam jeszcze kawy, żebyśmy sobie nie musieli potem przeszkadzać...

— Pani pozwoli, ja ją zastąpię — poderwała się Danka.

Przyglądali się zręcznym ruchom drobniutkiej dziewczyny, napelniającej filiżanki.

— Można by właściwie wszystkie wydarzenia ostatnich dziesięciu dni, tak by to bowiem zamykało się w datach, potraktować jak jedną sprawę. Mimo bowiem pozornej odrębności i różnych uczestników działania, wszystkie nici, pośrednio lub bezpośrednio, zbiegały się ostatecznie wokoło jednej osoby, stanowiącej motor całej akcji — z namysłem powiedział prokurator. — Zastanawiam się nawet, jak to trzeba będzie traktować w praktyce procesowej. Ale

to już późniejsza sprawa.

— Przepraszam, łączy pan sprawę ikon z napadem na „Baltone”, prawda? — upewnił się Lutek.

— Tak. Może wszakże sięgniemy nieco w przeszłość. Od paru lat na zachodzie Europy objawia się zainteresowanie sztuką bizantyjską. Jednym z elementów tego zainteresowania zarówno muzeów, jak i prywatnych zbieraczy stały się ikony. Ceny ich poszły wysoko w górę, niezależnie od tego, że równoległe zwiększyła się podaż ikon na rynek. W tej podaży mało pochlebna rola przypada także naszemu krajowi.

— Bieszczadzkie cerkiewki.

— Tak, panie Szymonie. Właśnie te cerkiewki, opuszczone, niszczące, do których przez całe lata nie było praktycznie dostępu. Dopiero, gdy ruszyła sprawa ożywienia Bieszczad, przywrócenia im życia, gdy pojawili się tam ludzie, zaczęto się również interesować cerkiewkami. Przede wszystkim zaś konserwatorzy zabytków, naukowcy zajmujący się tą problematyką i historycy sztuki. W teren ruszyły pierwsze zabezpieczające ekipy. Zaczęto inwentaryzować to, co ocalało od zniszczenia. Nie wszędzie jeszcze można było dotrzeć, nie wszystko spisać, co najgorsze zaś, nie wszystko od razu zabezpieczyć. Z tej przejściowej sytuacji skorzystali sprytni kombinatorzy, często nieźli zorientowani w wartości zabytkowej poszczególnych okazów. Zaczęły się mnożyć alarmy o kradzieży już nie poszczególnych ikon, ale całych ikonostanów. Zwłaszcza w Krakowie zakwitł ożywiony handel tymi artykułami. Zainteresowali się nimi również i cudzoziemcy. Wbrew pewnym opiniom o kontakty z ludźmi z zagranicy wcale u nas nie jest trudno. I oto różnymi drogami ikony zaczęły wędrować na Zachód. Często dowiadywaliśmy się o tym ze spisów nabytków muzealnych gdzieś w Amsterdamie, Paryżu, Sztokholmie. Zaczęła się z jednej strony staranniejsza akcja zabezpieczająca w terenie, szczerze mówiąc, często połowiczna i niedbała, z drugiej strony zostały zaalarmowane placówki celne i organa milicji. Na skutek obserwacji i różnych sygnałów zaczęliśmy przechwytywać tropy i przerzutowe kanały w określonych miejscowościach.

— Jeden trop wiódł na Kołobrzeg...

— Przypuszczalnie tędy ubiegłej jesieni przedostał się do Szwecji pierwszy transport wartościowych ikon, wiosną zaś drugi. Supozycje te nie znalazły zresztą do dziś pewnego potwierdzenia. Możliwe, że wyjaśnią się w najbliższym czasie, znajdując poparcie w dowodach z prowadzonego śledztwa.. Wracajmy wszakże do naszej sprawy. Jak może słyszeliście, w Krakowie i Katowicach miały nie tak dawno miejsce procesy związane właśnie z ikonami. Poza bezpośrednio skazanymi, którym udowodniono przestępstwo, uzyskane zostały przy tej okazji niektóre dane o ludziach, którzy w jakiś sposób zamieszani byli w afery.

— I na tej liście znajdowało się nazwisko Zygmunta? — podskoczył na swym fotelu Pazoła.

— To byłoby zbyt proste. Nazwiska Gawryluka tam nie było. Przecież by nie otrzymał w takim wypadku paszportu, miałby z tym w każdym razie poważne trudności. Tyle chyba, że był studentem wydziału historii sztuki. Nie ukończył go zresztą. To wszakże nie była poszlaka, trudno podejrzewać każdego, kto ma cokolwiek wspólnego z tą dziedziną.

— Lutek, nie przerywałbyś panu. Potem poprosimy o możliwość stawiania pytań — zachnęła się Danka.

Prokurator podziękował jej lekkim uśmiechem.

— W każdym razie, mimo zastosowania pewnych środków, nie natrafiliśmy dotychczas na żaden wyraźniejszy trop jakiegokolwiek handlu ikonami. Aż nagle nadszedł sygnał, via Szwecja, szczególnie sobie darujemy, że przygotowywany jest poważny przerzut przedmiotów' o muzealnej wartości artystycznej. Czy w grę wchodzi Szczecin, czy Gdynia, czy może właśnie Kołobrzeg, nie wiedzieliśmy. Do Polski, niezależnie wybrało się kilka osób handlujących dziełami sztuki, tacy sztokholmscy marchandzi. Tu obserwacja była o tyle ułatwiona, że mieliśmy do czynienia z konkretnymi ludźmi z imienia i nazwiska, o tyle zaś utrudniona, że nie można tak obcesowo występować z pretensjami do cudzoziemców mogących mieć najzaciejsze cele w podróży do naszego kraju. Na kilka dni przed pamiętną sobotą nowa wiadomość. Dzieła sztuki mają się znajdować na środkowym wybrzeżu. Najprawdopodobniej ikony. Specjalna brygada zajęła się niektórymi ludźmi przebywającymi na naszym terenie. Muszę dodać, że nie tyczyło to Gawryluka. Drugi zaś...

— Stefan?

— Tak, Stefan, skazany został jedynie za przekroczenie drogowe; bodajże za nadmierną szybkość. Ten trop nie pozostawał zatem w naszym zasięgu. I nagle pojawia się w aktach nazwisko Szymona Krajeckiego. Niestety, informacja o charakterze anonimowym, na domiar napisana na maszynie. W tym samym czasie pewna naiwna panienska, sterroryzowana przez swojego kuzyna, podrzuca do pokoju zajmowanego przez panów — ruch głową w stronę Lutka i Szymka — dwie ikony o sporej wartości. Zarządzona, rewizja doprowadza do odnalezienia tych ikon. Strzał z tamtej strony bez pudła, jeśli chodzi o zwrócenie uwagi na kogoś zupełnie nie zorientowanego w sprawie. Próba, po części udana, odwrócenie uwagi organów milicji. Tak, i w tym momencie nasi mili goście wstępują na arenę...

Gospodarz podniósł się, rozlewając wino. Chłodne, delikatną mgiełką spowiło od zewnątrz kieliszki.

— Odsapnijmy na moment — uśmiechnął się. — Może dla odmiany coś z innej parafii. — Przyjrzał się grze świateł odbijanych w złocistym płynie. — W trakcie jakiegoś przyjęcia Stefan

Batory, gdy mu do pięknego naczynia nalano wina, uniósł kryształowy kielich w górę, przyjrzał się trunkowi i powiedział głośno: bonus... Szmer podniósł się pośród zgromadzonych wielmożów, z których wielu patrzyło zezem na nowego monarchę nie z piastowskiego rodu. Król zmierzył ich okiem i znów powtórzył: bonus... Szmer wzrósł, jakże to, żeby król robił tak kardynalne błędy. Batory powiódł po całym bractwie wejrzeniem, potem łyknął nieco wina, delektując się jego smakiem i powiedział: *Bonus color, bonus odor, bonum vini*, a wam, świnie, nie uczyć króla po łacinie.

Rozgłosną uciechą przywitali anegdotą. Gospodarz domu pokazywał się im od coraz to nowej strony. Potrzebny był ten moment odprężenia przed dalszym ciągiem historii, dobrze im znanej, a wysłuchiwanej z taką ciekawością.

— Przed zatrzymaniem pana Krajeckiego miał miejsce zręcznie przeprowadzony napad rabunkowy na „Baltonę”. Historia zrobiona była z głową. W niedzielę, kiedy wyjątkowo utargu dziennego w dewizach nie przekazuje się do banku, przy tym w dniu kiedy -ruch w przedsiębiorstwie był wyjątkowo intensywny, poważne zwłaszcza zakupy poczynił statek bandery fińskiej, udający się stąd w daleki rejs. Rabusie wtargnęli frontowym wejściem, otwierając drzwi z zatrasku specjalnym narzędziem. Normalnie, gdy nikogo nie ma we wnętrzu, zabezpieczenia są tak solidne, że trudno byłoby kusić się o włamanie. Pracujący jeszcze kierownik dał się zaskoczyć, zaraz go zresztą powalili na ziemię i skrepowali, kneblując usta. Kasa padła ich łupem, nic więcej... Pech chce, że następnego dnia panna Danuta, imaginując sobie, że zatrzymanie pana Szymona wiąże się z „Baltoną”, napomyka o tym fakcie oficerowi śledczemu. Pierwszy jakiś ślad związany z „Baltoną”. Przy konfrontacji kierownik placówki jest niepewny, ale skłania się raczej ku obciążeniu pana... Muszę powiedzieć, że afera z „Baltoną” była podwójnym manewrem, odciągnęła bowiem na pewien czas naszą uwagę od szmugli ikon.

— Przepraszam. Podwójny manewr? Jak to rozumieć? — Lutek nie potrafił się powstrzymać od tego pytania.

— Właśnie pragnę przejść do tych spraw... Jak dzisiaj wiemy, głównie zresztą dzięki waszej pomocy, bohaterami afery ikonowej są Zygmunt Gawryluk, obecnie przebywający w Szwecji, oraz Stefan Kochan. Motorem był oczywiście ten pierwszy.. Jeszcze nie mamy pewności, ale szereg danych wskazuje, że właśnie on spowodował przerzuty ikon i innych dzieł sztuki za granicę ubiegłej jesieni i minionej wiosny. Ze Stefanem natomiast nieco później dokonali innego przestępstwa przemytniczego, też na wybrzeżu. To ich złączyło ze sobą, tym bardziej, że Kochan dysponował jako zręczny mechanik samochodem, w którym pod karoserią warszawy krył się doskonały motor innej zupełnie marki.

Spojrzenia Lutka i Florka wyrażały dumę. Podchwycił to prokurator.

— Zasługę, tego odkrycia jak najbardziej należy przypisać panom. Gawryluk, postać dość popularna w Krakowie w środowisku psoudointelektualistów, tym razem rozpoczął grę o najwyższą stawkę. Od swego krewnego, przebywającego w Szwecji od końca wojny, wy-dębił zaproszenie. Zamiarem jego był wyjazd na Zachód na stałe. Do tego potrzebował zabezpieczenia w odpowiedniej ilości pieniędzy. Dla ich zdobycia opracował wariant, w którym zamierzał wszystkich, łącznie z najbliższymi współpracownikami, wystrychnąć na dudka. Trochę zepsuło mu plany opóźnione przybycie statku, na którym pierwszy oficer, Trygve Olsen, miał przemycić ikony... Co gorsza, Gawryluk spostrzegł, że w związku z naszą akcją zabezpieczającą, o której wspominałem na początku, a szczegółów której nie mam prawa odsłaniać, także i jego osoba zaczęła już budzić zainteresowanie. Bał się o ikony, o fiasko swojej największej gry. Stał się przesadnie ostrożny i czuły, z trudem utrzymywał już nerwy na wodzy... Może dlatego tak się przejął faktem podsłuchania przez panią, Danusiu, rozmowy jego i Stefana ze Szwedami, właśnie tymi marchandami sztokholmskimi. Na domiar wieczorem we „Fregacie” pan Szymon poznaje go jako człowieka, którego widział w Bieszczadach. Niepowodzenia zagęszczają się... Można wnioskować, że Gawryluk to człowiek o mściwym charakterze. Spoliczkowanie go przez pana Szymona, w połączeniu z przypomnieniem bieszczadzkiem, budzi w nim pragnienie zemsty. Decyduje się nawet na znaczną materialną ofiarę, wybiera, inna sprawa, dwie najmniej cenne ikony, które podrzuca panu w wiadomy sposób, równolegle wysyłając do władz milicyjnych anonim z doniesieniem. Nasyca w ten sposób zemstę, zarazem zaś oczyszcza sobie pole, przerzucając podejrzenie o handel ikonami na inną osobę.

— Cholera, żebym ja drania tak dostał w moje ręce — zamruczał Szymon, spoglądając na duże dłonie. Dopiero ogólny śmiech zorientował go, że myśl swą wypowiedział głośno.

— To posunięcie nie uspokaja wszakże Gawryluka. Czuje, że robi się ciasno. Decyduje się na nowe zagranie. Postanawia wyjechać wcześniej, niż zamierzał, do Szwecji. Ustala ze swymi szwedzkimi kontrahentami, iż zaufany człowiek, miał na myśli Stefana Kochana, dostarczy Trygve Olsenowi ikony, pieniądze zaś należne za nie już on sam otrzyma w Sztokholmie. Ze sobą ma już zresztą pokaźną sumę dolarów, niestety, nie możemy ustalić w obecnej sytuacji, jak dużą. Pragnie mieć jeszcze więcej. Żeby zaś osłonić już nie tyle siebie, ile zagwarantować do maksimum powodzenie operacji z ikonami, myśli o zwróceniu uwagi milicji na zupełnie inną aferę. Poprzez Stefana, znamienne, iż sam w tej sprawie nie konferował z bezpośrednimi sprawcami, podsuwa myśl napadu na „Baltoneę” ciemnym typom grasującym na wybrzeżu. Tego samego wieczora, by mieć alibi, może również i dla innych, jeszcze nie znanych powodów, wyjeżdża wraz ze Stefanem z Kołobrzegu. Jadą znaną nam warszawą i radośnie witają pierwszego autostopowicza, jaki się im nawija, to znaczy pana Floriana.

— Ach, dlatego tak ciągle podkreślali godzinę...

— Jak najbardziej dlatego. No cóż, alibi dobrze pomyślane. Po odwiezieniu pana aż do Łeby, przypuszczalnie następnego dnia w południe są już z powrotem w Kołobrzegu. Trzeba dodać-, że parę dni wcześniej zwinęli -tu żagle, zakładając nową swą bazę w Mielnie, j Samochodem niewielka odległość, a bezpieczeństwo o wiele większe. Bandytom, którzy obrabowali „Baltone”, zależy na jak najszybszym pozbyciu się dolarów i koron. Hurtem, za niską cenę, zakupuje je z miejsca Zygmunt. Jego kapitał wyjazdowy powiększa się znacznie. Teraz już śmiało może zdążyć na prom. Trzeba przyznać, że to większy kaliber przestępcy, umiającego myśleć logicznie i wyposażonego j w sporą dozę wyobraźni. Dodam tyle, że udaje mu się przewinąć z dewizami przez barierę celną i szczęśliwie wylądować w Szwecji.

— To znaczy, że wymigał się. Ma diabeł cholerne szczęście — wtrącił Szymon.

Prokurator nie odpowiedział, wargi jego drgnęły w cieniutkim uśmiechu.

— Tak przedstawia się sprawa w znanych nam do tej chwili elementach. Możliwe, iż dalsze śledztwo wprowadzi tu pewne zmiany, a na pewno uzupełnienia... Jeszcze krótko o sprawie Stefana. Zygmunt zaaranżował historię w ten sposób, iż ikony zostawili wspólnie w jakimś im znanym miejscu. Z momentem przybycia statku szwedzkiego i skontaktowania się z Trygve Olsenem, Kochan miał otrzymać od niego połowę umówionej zapłaty. Drugą połowę otrzymałby Zygmunt Gawryluk w Sztokholmie. Kochan w ogóle nie był wprowadzony w to, iż Olsen nie miał wypłacać nikomu żadnych pieniędzy. Sprawy finansowe należały do kompetencji jegomościów ze znanego nam volvo. Rzeczą Olsena było jedynie odebranie ikon i przerzucenie ich na statek za umówioną opłatą regulowaną w Sztokholmie... Miedzy .nami, to zresztą moja prywatna supozycja, na którą do tej chwili nie mam żadnych dowodów — i Zygmunta, i Stefana mieli zamiar wykiwać z kolei ci właśnie Szwedzi, ani tu, ani tam nie wypłacając im grosza. Może zresztą się myłę.

— Towarzystwo wzajemnego zaufania — uśmiechnęła się Danka.

Etyka zawodowa w tym środowisku, tak lansowana przez niektóre utwory kryminalne, jest fikcją. To wszystko rekiny pożerające się nawzajem. Wracajmy do sprawy. Stefan w pewnym momencie orientuje się, iż w umówionym punkcie ikon już nie ma. Odebrał je ktoś inny. Stefan jest tymczasem umówiony na spotkanie z Olsenem. Gdy się Olsen nie zjawia, Kochan zaczyna domyślać się, że został wystrychnięty na dudka. Postanawia się zemścić. Znajduje się pod ścisłą naszą obserwacją. To znów dzięki wam, ponieważ sam się ujawnił przychodząc po samochód. Oddaliśmy go i Kochan choć pozornie zwolniony, już był w naszych rękach. Wywołuje znaną wam awanturę w porcie, która w ostatecznym rezultacie sprawia, iż ikony trafiają do naszych rąk, przestępstwo zostaje udaremnione.

— A „Baltona”? — zapytał Lutek.

— Śledztwo w sprawie „Łaltony” posuwa się niezależną drogą. Rwą się nam wszystkie nici, sami już widzimy, że zarzut ten w stosunku do pana Szymona z wielu powodów nie da się utrzymać. Penetrujemy środowiska przestępcze, miejscowe, sezonowych gości. Ratownik, ów głośny tutaj pan Miacio, też wchodzi w naszą rachubę. Jegomość jednak ulotnił się. Nie ma go w Kołobrzegu, co nie dziwi, zważywszy, że został zwolniony w związku z niedopełnieniem obowiązków i woli zniknąć z terenu, ale nie ma go i w Słupsku, gdzie stale mieszka. Afery „Baltony” ciągle jeszcze nie łączymy bezpośrednio ze sprawą ikon. Dopiero wasza uwaga, że widzieliście Mięcia z Gawrylukiem i Kochanem, daje nam w rękę nową nić. Zaczynamy jegomością poszukiwać dość intensywnie. Na nasze szczęście, zapija się w Koszalinie i wywołuje awanturę. Zatrzymanie, śledztwo, od razu bardzo intensywne, zaskoczenie faceta zarzutem rabunku, operowanie nazwiskami Gawryluka i Kochana, wszystko to powoduje, że łamie się i przyznaje. Wyjaśnia też, skąd pochodziła inspiracja.

Lutek chciał coś powiedzieć, wstrzymała go podniesiona w górę dłoń gospodarza.

— Chwileczkę. Dla podsumowania. Aresztowany jest obywatel szwedzki, pierwszy oficer statku, Trygve Olsen. Jak dotąd trzyma się twardo, nie puszcza zbyt wiele farby. Ani jednego nazwiska, ani z polskiej strony, co w tej chwili dla nas jest niezbyt ważne, a co gorzej, także ani słowa o szwedzkich inspiratorach. To nam utrudnia rzecz, a właściwie utrudniało, można to już mówić w kategoriach przeszłości. Pasażerowie volvo odjechali dziś promem do Szwecji... Jeszcze chwileczkę, panie Lucjanie... Drugą postacią jest Stefan Kochan, też w areszcie. Ten sypie na całego zarówno Gawryluka, jak i Olsena.

Prokurator odetchnął głęboko. Sięgając po butelkę z winem, przeskoczył nagle na inny temat:

— Państwo praktykę wakacyjną już macie za sobą. Czy możnaby spytać o dalsze projekty? Interesuje mnie to także i zawodowo. Możliwe, iż znów zaistnieje potrzeba nawiązania kontaktu z wami.

— Jutro raniem planujemy zbiorowy wyjazd do Łeby. Czekają tam przygotowana melina, namiot, kajak, zapowiedź niebywałych atrakcji na morzu i jeziorze. W praktyce, przypuszczam, będzie dość nudno — wyjaśnił Lutek. — Cała nadzieja, iż Danką zapłącze się w nową historię. Szymona raz jeszcze posadzą, my zaś z Florkiem zaczniemy śledztwo na wielką skalę. Na wszelki wypadek już z góry serdecznie zapraszam pana prokuratora do współudziału....

— Że też właśnie wybraliście Łebę — mruknął gospodarz.

— Pana ta miejscowość interesuje?

— Na to wygląda. Od jakiegoś czasu prowadzą tam pewne nici. Przybyło ich trochę w ostatnim czasie.

— Przepraszam, czy można już pytać? Myślę o Łebie. Mówi pan o niej trochę tajemniczo. Rozumiem powody. Ale Łeba wiąże się i z naszą sprawą. Gawryluk z Kochanem zawieźli Florka do Łeby. Aż w taką ich uprzejmość nie wierzę, by to uczynili wyłącznie dla niego. Co tam robili? Florek jeszcze raz widział Kochana w jego warszawie za Koszalinem, na trasie słupskiej. Czy jechał on znowu do Łeby?

— Ten punkt pozostaje dotychczas nie wyjaśniony. Kochan tłumaczy to przypadkiem, wakacyjną przejażdżką. Mowa o pierwszej wyprawie. Drugiej zaprzecza w ogóle.

— Jeżeli można i ja bym wtrącił swoje trzy grosze. Pan wydają się zadowolony z obecnego stanu sprawy. Ja zaś widzę tam wielkie luki. Po pierwsze, główny sprawca przedostał się za granicę, stając się nieosiągalnym dla polskich władz. Po drugie, nie wiem, z jakich powodów, uzyskali zezwolenie na wyjazd Szwedzi z volvo, zamieszani chyba wystarczająco niedwuznacznie w aferę. Ci od „Baltony” to płotki. Stefan Kochan to w końcu też drugie skrzypce. Podobnie jak ten szwedzki marynarz. Skąd więc zadowolenie? Sieć okazała się mało misterna.

— Wywód pana jest logiczny, ale brak w nim kilku punktów oświetleniowych. Sprawa Szwedów. Nie mieliśmy żadnej podstawy formalnej, aby zatrzymać ich choćby pod byle pretekstem. Olsen nie świadczy przeciw nim, na zapytanie odpowiada, że to przypadkowo spotkani znajomi. Stefan twierdzi, że nic o nich nie wie, że to znajomkowie Gawryluka. Musieliśmy ich zatem wypuścić. Jedno jest pewne, że więcej wizy wjazdowej do Polski nie otrzymają.

— Skoro już o Olsenie mówimy — wtrąciła Danką swoje trzy grosze. — W pewnym momencie usłyszeliśmy, że to, iż Olsen wstrzemięźliwie zeznaje, obraca się na korzyść nie tylko jego, ale i polskiej strony. Tego nie pojmuję.

— Ludzie wplątani w sprawy przemytu, niezależnie od narodowości, są doskonale zorientowani w konsekwencjach, jakie im grożą w przypadku wsypy. Olsen jest na pewno powiadomiony, że grozi mu wyrok od trzech do siedmiu lat więzienia. Ale Olsen wie także, iż Polsce nie zależy specjalnie na przetrzymywaniu w więzieniach obcych obywateli. Istnieje ewentualność wyjścia na wolność, nawet wyjazdu do własnego kraju, za opłaceniem kaucji, gwarantującej, iż na proces obywatel ten na pewno się stawi. Kwoty nie są tu małe: dziesięć, czasem piętnaście tysięcy dolarów. Jasna rzecz, że pan Olsen, zwolniony za kaucją, nie stawi się na proces. Państwo zyska więcej przyjmując kwotę kaucyjną, niż więząc przez X lat Olsena.

— Ale co to ma wspólnego ze wstrzemięźliwością w śledztwie?

— Bardzo wiele, Olsen nie należy do ludzi, mogących z miejsca strzepnąć na stół dziesięć tysięcy dolarów. Ma on natomiast współników, których interes będzie polegał na tym, by sprawie

nie nadać rozgłosu. Wspólnicy ci, z momentem przybycia do Szwecji, a to im swoim milczeniem Olsen ułatwił, zakrzętną się około sprawy kaucji...

— Teraz rozumiem. Gawryluka natomiast należy zdecydowanie spisać na straty. Zwróci się do władz szwedzkich o azyl...

— Chwileczkę. Słyszeli państwo o „Interpolu”, międzynarodowej organizacji policyjnej? Prawo azylu nie dotyczy kryminalistów. Z chwilą zamknięcia obecnego etapu śledztwa zwrócimy się poprzez „Interpol” o wydanie władzom polskim Gawryluka jako niebezpiecznego kryminalisty.

— Taki bal! — zagwizdał Lutek.

— Strasznie nadużywamy pana grzeczności... Pragnęłabym postawić trochę osobliwe i krępujące pytanie. — Danką plątała się w słowach. — Wspominał pan kilkakrotnie o naszej pomocy, wysoko ją oceniając. Czy rzeczywiście?

Gospodarz rozłożył ręce.

— Kochani, nie mam nic do ukrywania. Szalenie nam pomogliście, wzięliście na siebie główną rolę, wskazaliście dosłownie nieomalże wszystkie tropy... Nie znaczy to, iż milicja i władze śledcze nie dopięły również celu po pewnym czasie. My też zaciskaliśmy oka sieci, początkowo jednak zarzucając ją na ślepo i zgarniając do niej wszelkie płatki nie związane z interesującą nas sprawą. Co najbardziej imponujące, to wasze tempo. Zaskakiwaliście nas dosłownie z godziny na godzinę. Tylko dlatego pan Szymon mógł zostać zwolniony na siódmy dzień od momentu zatrzymania.

— Ten czas w areszcie wystarczył mi najzupełniej — odsapnął Krajecki.

— Nie wątpię.

Pazoła zabębnił palcami o poręcz fotela.

*I sennie jest na bazarze,
i patrzą w błękit wieczoru
ironią zmęczone twarży
kinooperatorów.*

W powstałą po tych słowach ciszę dorzucił z wyraźnym zawodem:

— Pomyśleć, że to właściwie zamknięcie już naszej przygody. A szkoda... Jakoś pełniej się żyło.

— Dziękuję — skłonił mu się Krajecki.

Gospodarz spojrział na wianuszek swych gości.

— Bardzo bym pragnął, by to już naprawdę był koniec.

— Nie ma pan tej pewności? — zdziwiła się Danką.

— Nawet w tej opowieści, którą tu usłyszeliście, wiele spraw wymaga zebrania dowodów. To, że my coś wiemy, do procesu jeszcze nie wystarcza. A przy tym sporo jeszcze jest niewiadomych. Czasem zdarza się, że wywracają one cały, pozornie logicznie skonstruowany wywód. W każdym razie przede mną jeszcze masa roboty. I nie tylko przede mną. Jesteśmy trochę jak kinooperatorzy. Kręcimy taśmę, ale nie zawsze wiemy, jaki film ona wyświetli.

Spojrżeli po sobie. W słowach prokuratora nie było teraz ani zadowolenia, ani spokoju.

Zaczęli się żegnać, nie chcieli nadużywać już gościnności gospodarzy. Jeszcze z klatki schodowej słyszeli dobiegający z mieszkania prokuratora natarczywy sygnał telefonu.

Zatrzymali się przy centralnej ulicy Koszalina.

— Wracamy do Kołobrzegu, czy poszukamy tutaj czegoś dla siebie?

Na pytanie Lutka odpowiedział Szymon. Głos miał spokojny, ale można było wyczuć za tym spokojem nutkę przymusu i niechęci.

— Wracamy. Najwyższy czas zetknąć się z towarzyszką naszej jutrzejszej podróży. Nie uważasz, Danko? A ty, Florek?

Rozdział XIX

Sielska atmosfera na romantyczną nutę

Siedział nad samą wodą, z kolanami wysoko uniesionymi pod brodę. Obejmując nogi rękami, zapatrzony w delikatnie seledynową toń, przyciszonym głosem mówił do siebie, czy może do tej połyskującej tafli rozigranej płasami uklei:

*Tyś jest jezioro moje,
ja jestem twoje słońce,
światłami ciebie stroję,
szczęście moje szumiące.
Trzciny twoje pozłacam.
Odchodzą. I znów wracam.*

*Miękko moim kędziorom
w tych zielonych szuwarach.
O, jezioro, jezioro
piękniejsze niż gitara.
A nocą przez niebiosą
zlatują sznurem długim
gwiazdy i na twych włosach*

siadają jak papugi.

Krychna przykładając usta do ucha Florka, zapytała przejęta:

— Czy Lutek jest poetą? Tak ślicznie mówi.

Obejrzał się szybko, czy ktokolwiek inny tego nie słyszy, również szeptem informował dziewczynę. Zzymał się na naiwność Krystyny, ale zarazem myślał o niej z rozczuleniem. Trochę zahukana, nieotrzaskana, ale to dobrze, drobiazgi zawsze można wygładzić...

Danka i Szymon wciąż jeszcze tkwili w wodzie, zachwyceni jeziorem, nade wszystko zaś ciszą i spokojem, aż zaskakującymi po hałaśliwej plaży kołobrzeskiej.

— Lutek, Florek, kącicie się, wspaniała woda — pokrzykiwała Danka, od wczoraj w bajecznym humorze, roześmiana, rozśpiewana, takiej chyba nigdy jeszcze nie widzieli.

Pazoła dał się namówić, z rozpędu buchnął w wodę, przebrnął płyciznę i dołączył do tamtych. Florek uśmiechnął się, widząc, jak z obu stron obstawiają teraz dziewczynę płynącą na przełaj przez zatoczkę. I zaraz przesunął się w stronę Krychny. Z zapalem zaparzała herbatę do porannego posiłku. Pomagając jej kroić chleb przyglądał się dziewczynie. Korzystając z okazji, że znalazła się blisko niego, pocałował ją w karczek, tuż pod włosami. Obróciła się, trochę onieśmielona, z półuśmiechem na ustach, który tak bardzo lubił.

— No widzisz, jak świetnie? A tak się obawiałaś. Mówiłem ci, swoja wiara. Szymek przy bliższym poznaniu również nie taki straszny.

— O tym wiedziałam. Bałam się czego innego... Ciągle mi wstyd przed nimi, przed tobą.

— Kryśka, skąd mogłaś wiedzieć, było, minęło i koniec. Pocałuj mnie lepiej, zamiast pleść głupstwa.

Leciutko, delikatnie objęła go ramieniem za szyję, poddała wargi.

— Ty całuj — szepnął.

A potem już całowali się obydwójce, pod półprzymkniętymi oczyma wirowało i to słońce jasne, też roześmiane, i woda seledynowa przetkana cieniutkimi nitkami srebra, i mizerne krzewy nadbrzeżne, czepiające się piasku, i las nikłym pasemkiem wyrastający w oddali. Woda na herbatę kipiała w czajniku, przykrywka podskakiwała wesoło, zsunęły się na piasek z papieru kromki chleba, pełzły już ku nim jakieś mrówki.

— Hura, hura, hura!

Jednoczesny z tym zawołaniem gromki, przewalający się po całej okolicy zabrzmiał wybuch śmiechu trójki wybiegającej z wody.

Krychna frunęła błyskawicznie pod namiot, przerażona i zawstydzona. Florek brutalnie wytrącony z uroczego oszołomienia, wpatrywał się w przyjaciół baraniami oczyma. Nie mogąc słowa wykrztusić, ręką wskazał na namiot. Że mniejsza o niego, ale po co tak peszą dziewczynę.

Danka tylko chwilę zastanawiała się, po czym dając tamtym uspokajające znaki, zniknęła pod namiotową płachtą.

Krychna skuliła się w samym kątku, zanosząc się bezgłośnym szlochem. Pod dotknięciem dłoni Danki ramiona jej zadrgały jeszcze silniej.

Długo gładziła źle ufarbowane włosy dziewczyny. Za płachtą namiotową ucichło, chłopcy musieli odejść gdzieś dalej. Krychna uspokajała się, wreszcie podniosła załzawioną twarz na pocieszającą ją Danke,

— Czemu tak bardzo mi dokuczacie? Wiem, że źle wtedy zrobiłam, ale po co ciągle kpić ze mnie?

— Nie bądź dzieckiem. Nie było w tym śmiechu nic złego!.. Pomyśl, po kąpieli wracamy głodni jak wilki, ciesząc się na przygotowane śniadanie. A tu okazuje się, czajnik wykipiał, chleb w piasku, kucharze zaś zapomnieli o świecie, rozcałowani bez pamięci. Gdybyś w takiej sytuacji zobaczyła mnie z którymś z chłopaków, nie śmiała byś się również? Tamto, co było, już minęło. Najlepszy dowód, że jesteś z nami na prawach równego kompana... No pewnie, w pierwszej chwili mogło ci być nieswojo, nikt się nie całuje na pokaz, ale żeby aż chować się tutaj i beczeć, kto to widział. Wytrzymaj się i pędź do jeziora, bo ci twarz spuchnie i przestaniesz się Florkowi podobać. A ja cię bardzo lubię i tyle. No, już maszeruj — uchyliła płachty namiotowej. — Nie ma nikogo, gdzieś znikli, biegnij nad wodę.

Zerwała się, jakby ją kto kijem popędzał. Za chwilę taplała się już przy brzegu. Danka uśmiechnęła się, znalazła na nią sposób. Rozglądała się za resztą gawiedzi. Właśnie wyłonili się z gęstszej warstwy nadwodnych zarośli. Z miejsca poznała, że musiało dojść pomiędzy nimi do spięcia. Miny wszystkich były niewyraźne.

— Ej, banda, co z wami? — taksowała ich spojrzeniem.

Pierwszy odezwał się Florek.

— Nic takiego, głupstwo, nieco się posprzeczailiśmy i już znów święta zgoda. Nie beczy?

— Nie. Ale proszę was, zostawcie dziewczynę w spokoju.

Mimo heroicznego wysiłków Danki nie powracał ów bajeczny poranny nastrój. Wszyscy uciekali spojrzeniami na strony, próżno Lutek pogwizdywaniem nadrabiał beztroskę Krychna była zastraszona, Florek natomiast najwyraźniej urażony. Szymon błędził spojrzeniem po okolicy.

Widziała to wszystko i aż się w niej gotowało. Demonstracyjnie okazywała serdeczność Krychnie, wciągała ją w rozmowę, strzelała pomysłami i projektami. Nie na wiele się zdało to wszystko. Tamta nie umiała podchwycić stylu tej robionej niefrasobliwości. Danka, nie ustając w wysiłkach, przysięgała sobie zarazem w duchu, iż więcej nigdy nie da nabrać się na współczucie. Bardzo to ładnie, że się Florek zakochał, ale jeśli przez to tych parę dni do odjazdu dziewczyny

rnają przebywać w napiętym, pełnym nerwowości nastroju, gra w końcu nie warta jest świeczki.

— Wyglądacie jak troglodcy. Cała trójka. Panowie stworzenia. Nastrojowcy — zakłęła gromko, z całego serca. — Lutek, nie oglądaj się na łódź. Rybki później... Trzeba solidniej umocować namiot. Okopać i oczyścić teren wokoło. Przygotować miejsce na ognisko. Może na tym wzniesieniu, żeby mieć otwarty widok na jezioro. I w ogóle zróbcie coś, żeby było tu ładniej. Macie godzinę czasu. My z Krychna zagospodarujemy kuchenne zaplecze.

— Jesteś bardzo dobra dla mnie — szepnęła jej w ucho dziewczyna Florka.

— Mówi się równa, nie dobra. Chciałam po prostu i chcę, aby tych parę dni minęło naprawdę miło. Po ostatnich przejściach wszystkim nam należy się nieco spokoju. Ale, jak widzisz, z humorami zacnych panów niełatwo sobie poradzić.

Nie uważała za potrzebne wtajemniczenie Krystyny we wszystkie sprawy dotyczące ich czwórki. Stokroć lepiej uczyni to za nią Florek. Aby przetrwać tylko dziś i jeszcze dwa dni. Rudzielec przefarbowany na czarno odjedzie i znów zostaną sami. Ba, łatwo to powiedzieć, dziś i jeszcze dwa dni. W takim nastroju, za którym czai się burza, mogąca zerwać się w każdej chwili?

Czy tylko sprawa Krychny? Przekonana była, że istnieje i coś jeszcze poza tym. Bo wszakże Szymon...

Musiała się zastanowić. Znieruchomiała, składana patelnka zastygła w jej małych dłoniach, słońce przeglądało się w niej jak w lustrze...

Po wizycie u prokuratora, ledwie wrócili do Kołobrzegu, z miejsca wyprawiła Florka wraz z Lutkiem po Krychnę. Pazole szepnęła, że musi wbić Szymkowi pewne sprawy do głowy, wygasić w nim uprzedzenia w stosunku do tej dziewczyny. Nie ma sensu, aby się zaciął w uporze. Lutek bez entuzjazmu zgodził się z nią. Szymon natomiast, jakby wyczuwając, co się święci, z miejsca zajął postawę obronną.

— Danko, nie musisz mnie przekonywać. Wiem, że nie powinienem robić min i stawać okoniem. Że mi jednak jest trochę głupio, też chyba rozumiesz. Sam przecież zaproponowałem, aby się spotkać dzisiaj z tym cudem. Powiedziałem ci już wcześniej, że ostatecznie niech sobie jedzie. Wytrzymam parę dni...

Pomyślała wtedy, jakie to szczęście, iż urlop Krystyny dobiega końca i za trzy dni musi wracać do Krakowa. Florkowi wprawdzie gęba mocno się wydłużyła na tę wiadomość, roił sobie całe tygodnie przy boku ukochanej, ale im przyniosło to ulgę. Bo w końcu, miła ona czy niemiła, naiwna czy nienaiwna, ale zostaje faktem, że miała z tym Stefanem sporo wspólnego i zgodziła się na podrzucenie ikon.

— Parę razy uśmiechniesz się jednak do niej, prawda? Zrobisz to dla mnie, Szymek?

— Jeśli dla ciebie, to tak, na pewno — westchnął. — Słuchaj, Danko, zostawmy teraz to rude

dziewczę. Jeszcze się nim nacieszymy do syta. Mówmy o nas, o tobie. Tam, w areszcie ciągle o tobie myślałem, o tej nocnej kąpieli, o skarpie, na której...

— Później, Szymek, wrócimy do tych wspomnień... Zresztą już nasi wracają.

— Mogli się tak nie śpieszyć — zamruczał.

A potem był bardzo miły, zdumiewała się nawet, jak potrafi panować nad sobą. Grzecznie się znalazł wobec Krychny, napomknął, jak się dziwnie czasem nawiązują i utrwalają znajomości, zdobył się raz i drugi na ten przyobiecany uśmiech. Wszystko się zresztą zarysowywało wspaniale, pobyt w Łebie zapowiadał się atrakcyjnie. I nagle przed godziną pęknąć musiały misternie wiązane szwy, zasepiło się tak pogodne dopiero niebo.

Jakby sprawdzając to porównanie, zerknęła znad patelni na kopułę wiszącą nad nimi. Ale tam nadal trwała niezmacona pogoda, ani cień chmurki nie błakał się na horyzoncie.

— No jak, Krychna, gotowe?

— Gotowe. Co teraz?

— Nic. Idziemy na kontrolę do chłopców.

Tam się niewiele zmieniło. Zrobili wszystko, co im zleciła, bez ochoty, z wyraźnym przymusem. Teraz wałkonili się, każdy się trzymał z osobna.

Westchnęła, ze sztucznym zapalem ganiać jedno i chwalać drugie, śmiejąc się i żartując. Jeden Lutek próbował dostosować się do jej tonu, również robił to sztucznie.

— Coście tam w lasku narozrabiali? — korzystając z dogodnego momentu szepnęła, przysuwając wargi do jego ucha.

Wzruszył ramionami.

— Bo ja wiem. Krystyna to pretekst. Szymek zrobił się pieruńsko zazdrosny. O ciebie. Tu tajemnica kwaśnego humoru. Błysnął oczyma, podrapał się w strzyżoną na jeża czuprynę. — W tej wodzie pełno piasku, łeb mój się upodabnia do plaży — powiedział to głośno, zauważył bowiem, jak Krajecki przypatruje się im uważnie.

— O mój Boże — westchnęła.

W tej chwili Szymon wydał się jej nudny i irytujący ze swoją zazdrością. Trafił na odpowiedni jej nastrój, udało mu się zdobyć parę pocałunków i teraz wyczynia już sceny. Nic jeszcze nie powiedziane. Bo gdyby miała wybierać...

— Jakie są propozycje? Kąpiemy się, czy wypływamy gdzieś łódką? Florek z Krychną, żeby nie obciążać nazbyt tej starej krypy, mogą nam towarzyszyć kajakiem.

Postanowiła czuwać przez te trzy dni, aby maksymalnie zmniejszyć okazję do snu. Florka z Krychna trzeba trzymać na uboczu od reszty. I tamci będą tym zachwyceni, Florek nacałować się będzie mógł dziewczyny do syta, i oni odetchną może spokojniej. Ba, jeżeli to tylko o Krychnę tu

chodzi. Ale nawet i wtedy łatwiej będzie utrzymać w ryzach Lutka i Szymka, niż panować nad całą gromadą. Zza cypla zatoki nadbiegł narastający warkot.

— Kuter idzie — zerwał się Florek, pociągając za sobą Krychna.

Pobiegli nad brzeg jeziora.

— Nie ma to jak szczęśliwi zakochani — zauważył Krajecki.

— Ty zaś schniesz z rozpaczy, nie będąc pewnym swych szans? — zadrwił boleśnie Lutek.

— Uspokójcie się. Patrzcie, skracają w naszą stronę. Może już wrócił pan Anzelm?

— Trzy, cztery dni ma przebywać nad Gardnem. Tak mówiła ta pani.

— Nigdy nic nie wiadomo. Wyraźnie jadą do nas. A może zabierzemy się z nimi?

— Dziś chyba nie... To zajęłoby pełny dzień. Bobrują po całym jeziorze, krążąc od jednej do drugiej brygady... Kiwają do nas rękami, coś krzyczą. Chcą, żebyśmy podjechali. Florek, pakuj się w kajak razem ze swoim szczęściem.

— To wrywajmy i my na łódkę. Pewnie coś mają, Danka dla ciebie. Odebrałaś tą znajomością część laurów Florkowi. Bo już traktował Łebę jako swoją prywatną własność — ożywił się nieco Lutek.

Kuter zwolnił obroty, przesuwiał się jeszcze jedynie siłą rozpędu. Staszek, młody, przyjemny motorniczy o roześmianej gębie, przyzywał ich machaniem dłoni.

— Mam tu paczuszkę dla was. Chleb, coś tam jeszcze. Żebyście z głodu nie zmarli. Od dyrektorowej. Wieczorem, gdy będziemy wracać od Kluk, podrzucimy wam trochę ryb. Jak się urządziliście? Kławy namiot, wielki jak szopa. Tyle że jak zerwie się wiatr, zmiecie was z tego cypelka.

Podawał do łodzi sporą paczkę. Pomocnik motorniczego też wykrzywił w uśmiechu przybrudzoną smarami gębę. Niewielki kuter ledwie się trzymał, stary grat, mimo to świetnie służył nadal rybakom.

— Może was podholować? Zaczepcie się — od rufy plusnęła w wodę długa lina. Wczoraj też ich tak samo holowali na miejsce. — Jedziemy na przeciwległą stronę, pod Kluki, gdzie ci Słowińcy, wiecie?

— Odłączymy się na środku jeziora.

— Ta znajomość, Danka, to nasz los na loterii — cmoknął Lutek, gdy już ruszyli, a wokół nich przewalała się fala wznieczana przez motor.

Zdecydował przypadek. Florek wszystko obmyślił, nawet ten ostro wrzynający się w wodę cypelek przy wschodnim brzegu sam wynalazł. Ekwipunek turystyczny przejęty po rodzicach czekał spakowany, sporo ich jednak kosztowało wysiłku, nim ciężar donieśli z Łeby aż nad brzeg, pod rybackie. szopy okalające wybiegający w jezioro pomost. Przed nimi rysowała się

perspektywa jeszcze bardziej męczącej wędrówki piaszczystymi wydrami.

— Florek, a nie wygonią nas stąd? Wszakże to teren Słowińskiego Parku Narodowego? — zaniepokoiła się w pewnej chwili Danka. — Może by się postarać o zezwolenie?

— U kogo? Gotowi nie dać. Nie od dziś wiadomo, że turyści to zmora dla rezerwatów.

— Może w zespole rybackim? Dyrektor to znajomy rodziców. Zamierzałam ich później odwiedzić, ale można to zmienić.

Dyrektora zespołu nie zastali w domu. Wyjechał z grupą rybaków nad jezioro Gardno, miał jeszcze zamiar obskoczyć samochodem kilkanaście leśnych oczek, by przygotować wszystko pod jesienne zaciągi. Była za to dyrektorowa. Boże, jak się tej kobiecie usta nie zamykały ani na jedną sekundę!

— Anzelmek — osobliwie zdrabniała mężowskie imię — będzie dopiero za parę dni. To się ucieszy! Danuśka u nas! Zaraz będzie wspominał Albina... chciałam powiedzieć, Stanisława, tak mi się to jakoś płacze — spieszyła się, zaraz jednak powrócił jej dawny wigor, — To chcecie tak pod namiotem? Dziewuchy z chłopcami? Aha, namiot ma dwie części, dziewczyny osobno... Pozwolenie? No pewnie, można. Ja wam dam łódkę. Anzelmek nie będzie się gniewał, łódka ciężka i stara, ale wam lepszej nie potrzeba. Ryby łapiecie? Bo to Anzelmek musi dać specjalne pozwolenie. Można łowić, jak wróci, wypisze. Boże mój mileńki, a jeść co będziecie? Trzeba was będzie podkarmić. Już ja mleka podeślę, kutrem, co dzień chłopcy tam jeżdżą... Zaraz, zaraz, on jeszcze tu jest. Staszek, Staszek, a chodźże tu! Kiedy Jedziecie? Teraz? No to pięknie, zabierzcie ze sobą tych młodych. Co mają wiosłowaniem się męczyć. Poczekajcie na przystani. Ja ich muszę nakarmić. Chude to, zmizerowane! Taka to jut młodzież dzisiejsza. Ja zawsze byłam gruba i nigdy na to nie narzekałam... A ty, Danuśka, sama skóra i kości. Niedobrze, chłopcy cię kochać nie będą. Ale ładna jesteś. O, taką maleńką ciebie pamiętam, jeszcze jak matka na Albina czekała...

— Na Stanisława — poprawił Szymon.

— Święte słowa, na Stanisława! Co mi dziś Albin tak ciągle w głowie? No nic, pogadamy, jak wróci Anzelmek. Przyjedziemy po was albo lepiej wy tutaj, żebyście przyzwocie zjedli. A teraz czekajcie, nakarmię was. Jest jakaś rybka smażona, mam węgorza marynowanego, Anzelmek mówi, najlepsza ryba... Jajecznicę usmażę. Danuśka, Boże drogi! Anzelmek podskoczy z radości. On twojego ojca tak bardzo lubił. No i lubi, no i lubi...

Speszona, szczerwieniła odmaszerowała do kuchni. A potem był poczęstunek, po którym wszyscy z sił oklapli.

Teraz, gdy znów ciągnęci byli za kutrem na holu, konstatawali z przyjemnością, że pani Anzelmowa nadal zamierza otaczać ich solidną opieką.

Spoglądali na rozległe, o jasnej barwie wody jeziora. Motorniczy podciągnął linę, aż łódź

znalazła się blisko przy rufie, wtedy jednym skokiem był już przy nich. Łódka zachybotała na moment.

— Spokojna głowa, nie bójcie się... — witał się, podając rękę. — No i jak wam się widzi nasze Łebskie jezioro? Ładna woda, duża, można się nawet kutrem rozpędzić. Tyle że płytkie, to była kiedyś morska zatoka, jak wodę spróbować, leciutko słona. Ryba taką lubi, bliżej kanału to czasem i flądra, i śledź, zdarza się, że tu wpłynie. Niedługo łosoś już pójdzie, wtedy dopiero jest zabawa. Najgorzej jesienią, jak zaczynają się wiatry.

— My się chyba już odczepimy. Za daleko musielibyśmy wracać... — przerwał ten potok wymowy Lutek, myśląc, że i załoga upodobnia się do dyrektorowej.

Kiwali rękami za oddalającym się kutrem.

— Co tam mamy w paczce — oblizał się Lutek. — Rozpakuj, Danka, śniadanie było ciekawe, wtrząchnęło się cokolwiek. Jak mamę kocham, słoiki z marynowanym węgorzem. Ryba smażona. I chleb, Szymon, dawaj nóż.

— Słuchaj, Danka, jak to właściwie jest — gadał Lutek z pełnymi ustami. Samopoczucie jego uległo zdecydowanej poprawie. — Ona ciągle ci wmawia jako ojca Albina!

— Jak jest? Znali obydwóch braci, z tamtym musieli żyć bliżej, płacze się jej to teraz — z szybką odpowiedzią pośpieszył Szymek.

Lutek umilkł, a Danka, jakby speszona, opuściła głowę. Jej ta sprawa także nie dawała spokoju. Ten nie znany wuj musiał być najwidoczniej uroczym człowiekiem, jeśli go wszyscy wspominają z taką serdeczną nutą. Trzeba będzie podpytać matkę i ojca. A teraz nie ma co więcej zastanawiać się nad tym.

Rozłożyła się na ławce, poddając się piekącym promieniom. Szymon uczynił to samo, mieszcząc się z trudem na osmolonym dnie. Z ironią spoglądał na Pazołę, przygotowującego swój spinning. Kajak z zakochaną parą trzymał się od nich w bezpiecznej odległości. Florek korzystał z możliwości przestawiania sam na sam z Krychną.

— Myślisz, że złapiesz co? W samo południe? Tylko nas nie nadziej na blachę — odruchowo skulił się Szymek, gdy błystka przeleciała mu tuż przy twarzy.

— Nie przeszkadzaj. Niech ma uciechę... sędzę, że możemy sobie pozwolić na dzień błogiego lenistwa. Należy się nam... — zamruczała Danka, zadowolona, że humory obu chłopców się poprawiły. W każdym razie na tyle, że mogła nie obawiać się spięcia, jakie uprzednio przez cały czas wisiało w powietrzu. Zaraz Sobie coś przypomniała. — Cieszę się na wieczór. Dawno, bardzo dawno nie siedziałam już przy ognisku. I tylko błagam was, nie rozrabiajcie. Bo wtedy na wszystko się traci ochotę.

Przymknęła oczy. Dobrze było, ciepło, spokojnie. Leciutki wiaterek od zachodu łagodził

spiekotę. Z daleka doszedł dziewczęcy śpiew. Poznała głos Krychny. Głos był melodyjny, choć bardzo niewprawy. Jakieś wzruszenie ścisnęło jej gardło. Nie bardzo wiedziała, skąd się wzięło i z czym było związane.

Wrócili już dobrze pod wieczór. Przy namiocie wisiała owinięta w liście potężna ryba. Nawet nie zauważyli, kiedy kuter powracał.

— Chłopcy, wyprawa po drzewo, lasek dosyć daleko, śpieszcie się, bo nie zdążycie przed zmrokiem.

— Danka — odezwała się niespodziewanie Krychna, gdy chłopcy już oddalili się.

— Co, minęło ci ranne łzawienie?

— Nie dokuczaj... Głupio się zachowałam. Chciałam ci powiedzieć, jaka jestem szczęśliwa. Tak dobrze mi z wami.

— Chyba z Florkiem?

— I z nim. Ale w ogóle. Tak jakoś inaczej u was. Nigdy nie przeżywałam czegoś równie miłego. Zawsze będę pamiętać. I to, jacy jesteście dobrzy. Dziękuję ci. To głównie twoja zasługa — zawisła Dance na szyi.

— Zostaw dla Florka, bo będzie miał do mnie pretensje — śmiała się, oddając uścisk.

— Danka — usłyszała po chwili.

— Znów jakieś zwierzenie?

— Nie. Chciałam cię zapytać, przepraszam, jeżeli to niedyskretne. Ale jak jest z tymi chłopcami? Oni obaj chyba podkochują się w tobie? I Lutek, i Szymek.

— Zwyczajna przyjaźń, koleżeństwo i tyle. Nie zwracaj sobie głowy. Ciesz się, że masz Florka.

— Ja strasznie, okropnie się cieszę...

--- Część tego chrustu zwalimy chyba za namiot? Po co zaśmiecać front? — dobiegł je głos Lutka.

Wkrótce zapłonął ogień. Ciemniało z chwili na chwilę, cienie wydłużały się i czerniały na tle blasków ogniska.

Ciepła, wczesnowrześniowa noc. Trzask gałęzi sosnowych, niekiedy mocny, szczypiący wybuch wysuszonego jałowca. Gwiazdy. Delikatne migotanie jeziornej tafli. Spokój.

— Nie spodziewałem się podobnego przeskoku. Dopiero krata, a teraz ten biwak i znowu my wszyscy razem.

— Tamto wszystko minęło. Aż nie chce się wierzyć i momentami nachodzi mnie uczucie, że to jeszcze nie koniec, że nie może być tak nagłego przejścia z jednej rzeczywistości w inną.

— Pamiętajcie, jak tajemniczo mówił prokurator o Łebie, dziwiąc się, że właśnie tę miejscinę

wybraliśmy. Chciałbym wiedzieć, co miał na myśli — zasekundował Lutek.

— Zostawcie. Nic już nie będzie. Tylko my i to piękne jezioro.

W zapadłą ciszę wpadł teraz głos Lutka:

*Gdybym tkaczem był, na imieniny
taką tobie utkałbym tkaniną:*

*W samym środku rozległe jezioro,
nad jeziorem gniazd modrych kilkoro,
a na brzegu posepna olszyna:*

*na olszynie nieruchome ptaki,
a tu zatoce zębate szczupaki,
księżyc, noc i gwarliwa trzcina.*

Ciszę przedłużającą zaśłuchanie przerwał głos Danki:

— Przygasa ogień. Siedźcie. Przyniosę trochę chrustu.

— Pomogę ci — poderwał się za nią Lutek.

Za namiotem, rzucającym długi cień na miejsce, gdzie złożyli zapas chrustu, przy schyłaniu się po gałęzie zetknęły się ze sobą niespodziewanie ich głowy. I wtedy dłonie Lutka ujęły głowę Danki, a wargi dotknęły jej ust. Chciała go odepchnąć, ale potem sama przygarnęła chłopca do siebie. Ten pocałunek dopełnił w jakiś sposób nastrój wieczoru. Błyskawicą przeleciała jej przez głowę myśl o Szymku.

Nie widziała, wyczuła, iż nie są sami. Powoli obróciła głowę za siebie. Wysoki cień ostrzejszą plamą wyrastał na tle namiotu. Lutek także dostrzegł Szymka, który tak nagle jak się pojawił, równie bez słowa wycofał się i po chwili usłyszeli tylko ciężkie, straszliwie ciężkie jego kroki.

Wezbrało w niej coś gniewem i żalem. Gwałtownie odtrąciła Lutka od siebie.

Rozdział XX

Szczupak służy tylko za malownicze tło

Dęło od samego rana. Tak spokojna uprzednio tafla jeziora zamieniła się teraz w sfalowaną, rwącą od zachodu ku brzegom topiel. Z subtelnego seledynu barwa wody odmieniła się w brudnożółtą. Cieniutkie pasemka grzebieni jaśniejszymi liniami przecinały rozhuśtaną płaszczyznę..

Wiatr był ciepły, niebo czyste, lekko ostrzejsze w barwie od wody. Trzciny i sitowie kładły się

za każdym nadciągającym podmuchem,

a potem prostowały znów lekko, łagodnie, jakby radowała je ta zabawa w pokłony. Rybitwy żeglując z wiatrem łąpczywie skubały rzucaną przez falę ukleję. Żle przyszpilona płachta namiotowa bębniła z nużącą monotonością.

W obozowisku zabrakło wczorajszego napięcia. Poranna kąpiel, śniadanie, wszystko przebiegało bez tarć, z jakąś układną grzecznością. Spoza grzecznościowych zwrotów i gładkich słów przesiało jednak coś nowego, nie zaznanego dotychczas w ich wzajemnych stosunkach. Krychna i Florek, nie znając tła tego szczególnego nastroju, wyczuwali go bardzo wyraźnie. Stawski kilkakrotnie przewinął pytającym spojrzeniem po twarzach Danki, a potem Szymona i Lutka. Wszyscy odpowiadali grymaśnym, wyraźnie robionym uśmiechem. Nie podobała mu się ta atmosfera Wersalu. Nie rozumiejąc przyczyn, nic jednak nie umiał na to zaradzić. Wołał zatem zając się Krychną.

— Warto ryzykować przejażdżkę? „Salamandra” ma kryty falochron — zwrócił się do Lutka.

— Nie wiem. W każdym razie nie mam ochoty na wyciąganie was z wody — odburknął Pazoła. I nagle oznajmił: — Ja się wyprawiam na ryby. Na fali szczupak chętnie bierze, pozwolicie, że wezmę łódkę.

Danka zdumiała się, słysząc spokojne słowa Krajeckiego:

— Jeśli nic nie masz przeciw mojej osobie, chętnie wybiorę się z tobą razem.

Lutek odpowiedział dopiero po dłuższej chwili:

— Najchętniej. Nie wiedziałem, że cię interesuje wędkarstwo.

— A jednak...

Przeniosła wzrok z pociągłej twarzy Szymka na owalną, rumianą Lutka. Jakże oni są niepodobni do siebie. Zarówno zewnątrz, jak i w charakterze.

Czy zajdzie coś na tej łodzi, zetrą się, skoczą sobie do oczu, czy nadal zachowają ten dziwny, szczególny spokój, który panuje w obozowisku od rana, a pod którym coś się wyraźnie czai?

Posmutniała. A może oni sprzymierzą się teraz? Może Lutek jut wie od Szymona o tamtym wieczorze na plaży? Uciekają od niej. Woła przestawać ze sobą, byle nie z nią...

Zagryzając wargi patrzyła, jak całe towarzystwo schodzi nad brzeg.

Fala wbiła łódź daleko w przybrzeżny piasek. Namozolili się, nim ją zepchnęli na wodę.

— Pakuj się. Ja odpycham i skaczę! — wołał Lutek.

Łódź zachowywała się statecznie, solidna, szerokodenna krypa rybacka. Huśtało i rzucało także i nią, odpowiednio ustawiając, się dziobem do fali mogli jednakże płynąć. Szymek wiosłował, Pazoła tkwił przy wiosłku sterowym.

— Mijamy ten cypel... Jedziemy w skos na głębie, potem zrobimy zwrot i sama fala zepchnie

nas na miejsce! — Przekrzykiwał Lutek poszum wiatru.

Odjechali wystarczająco daleko, by zdać się, teraz na spychanie łodzi przez wiatr i falę w wybranym kierunku. Szymek przyglądał się Pazole. Naprawdę jest tak szalenie przejęty czekającym go wędkowaniem, czy stwarza pozory, maskujące jego stan wewnętrzny?

Zacisnął zęby, zwały się jakimś skurczem. Musi się opanować za wszelką cenę. W ostateczności zmilczeć, ustąpić. Nie poprzez akt rezygnacji, w innej sytuacji walczyłyby do upadłego. Tutaj w grę wchodziły inne motywy. Nie zwierzał się Lutkowi ze swego uczucia do Danki, tak jak i Lutek nie spowiadał mu się z niczego. Obaj mieli identyczne szansę. Od dziewczyny zależał wybór. Nawet do niej nie może mieć pretensji. Wtedy, na plaży, hamowała go, gdy pragnął mówić o swoim uczuciu, nie dopuściła do zwierzeń. Pocałunki mogły być wynikiem nastroju, sympatii, szczególniejszej przyjaźni. Tym nie wystawia się moralnego kwitu. Choć to prawda, nie szafuje się też nimi na prawo i lewo...

A Lutek? Gdybyż to -był kto inny., Nie ma prawa nigdy zapomnieć o tym, że Pazoła wyratował go z morza. Innej szansy ratunku nie było, poszedłby niechybnie na dno, razem z tą rudą dziewczyną. I nigdy nic pozwalał później o tym wspominać, ucinał z miejsca podziękowania, wstrząsał ramionami zdziwiony, jak w ogóle można rozprawiać o czymś tak najzupełniej normalnym i naturalnym. Taka jest postawa Lutka, szczerą, wypływającą z najgłębszych przeświadczeń. Tym bardziej trzeba o tym pamiętać, jak i o nie spłaconym długu wdzięczności. I oto nadarza się okazja. Cóż z tego, że rachunek okazał się niezmiernie wysoki. Jeżeli go Danką wybiera, jeżeli Lutek ją kocha, trzeba zostawić im wolne pole. On musi odejść, nie ukazując swych uczuć.

— Cóż się tak zamyślił? Bierz się za wiosła. Tu już spokojniej, a gdy wepchamy się w klin zatoki, woda będzie sfalowana tyle tylko, ile właśnie nam trzeba. Zaraz za tym większym występem trzciny zarzucamy kotwicę — wskazał potężny kamień przywiązany do sznura.

Szymon chwycił energicznie za wiosła, próbując otrząsnąć się z osaczających go myśli.

— Teraz skonstruj, tutaj stajemy.

Kamień z pluskiem rąbnął w wodę, ciągnąc za sobą masywny sznur. Lutek zręcznym ruchem uchwycił pasmo trzciny przysiadając na nim i w ten sposób stwarzając drugi punkt oparcia dla łodzi.

Kołowrotek zawarczał, linka wysuwała się migotliwie. Błystka uderzyła o wodę daleko od nich. Lutek chwilę odczekał i dopiero zaczął kręcić korbką nawijając linkę na szpulę. Niekiedy podciągał krótkimi drgnięciami wędzisko, to znów przyhamowywał jednostajny ruch dłoni. Srebrnym migotem blacha wyskoczyła nad wodę przy samej łodzi. Nowy rzut, ten sam ceremoniał.

Lutek niezmordowanie powtarzał rzut za rzutem, prowadząc blachę raz pod samą powierzchnią, to znów opuszczając ją na dno, zmieniając szybkość obrotów korbką, regulując rytm drgań szczytówki. Ciągłe bez skutku.

— Albo złe miejsce, albo dziś nie żerują... Chociaż powinny... — złościł się.

Szymka znudziło to ślepienie. Przymknął oczy, wystawiając twarz na działanie wiatru i słońca. Pobyt nad jeziorem mógł być uroczy, tymczasem diabli zdają się brać to wszystko. Może najlepiej byłoby znaleźć jakiś pretekst i wynieść się stąd, zostawiając wolne pole Lutkowi. Po cholere dręczyć się spoglądaniem na zakazany owoc, zwłaszcza gdy owoc ten ochoczo spada w obce ramiona. Jutro odjeżdża przemalowany na czarno rudzielec Florkowy. Zabrać się tak z nim razem?

— Przesuniemy się dalej. Może tam się bardziej poszczęści.

Nie musieli wiosłować, wiatr sam przesunął łódź w pożądanym kierunku. Cierpliwe biczowanie wody zaczęło się od nowa. Szymon nie miał już ochoty na przyglądanie się operacjom Lutka. Słońce rozleniwiało, szum wiatru i obijanie wody o burty łodzi działały obezwładniająco. Dobrze byłoby zdrzemnąć się, nie trzeba by wtedy tyle rozmyślać. Ale pod przymykanymi oczyma jawiły się ciągle na przemian twarze to Danki, to znowu Lutka. Jej oblicze rysowało się skupione, rysy jakby się zaostrzyły, w oczach zaś niby popłoch. Czemu ją taką widzi? Lutka znowu inaczej. Ten jest chyba naprawdę pogodny, to jemu tylko zdawało się rankiem, że i Pazołę trapi niepokój. Z pasją szuka swojego mitycznego szczupaka, zachwycony zabawą.

Otworzył oczy, by sprawdzić swe spostrzeżenia. Spojrzenie jego trafiło prosto w twarz Lutka. Ani zadowoloną, ani tym bardziej uśmiechniętą. Lutek przyglądał mu się uważnie. Spinning leżał obok niego na ławce.

— Masz dość? — spytał Szymek, bo przecież trzeba coś było powiedzieć.

— Trochę odczekam. Ze szczupakami tak bywa. Cisza, spokój, kwadrans zaś później pcha się jeden za drugim na hak.

— Może, nie znam się na tym.

— Powoli się dowiesz. Gdy tak ze mną parę razy wyjedziesz... Może masz ochotę spróbować?

— Dziękuję. Nie ciągnie mnie... Gdy z tobą wyjadę?... Nie wiem, trapię się bowiem czymś innym. Właściwie pora wracać mi do Wrocławia. A jeszcze pragnąłbym zajrzeć na parę dni pod Hławę do matki. Zastanawiam się, czy nie wyruszyć już jutro.

Błysk rzucony z większym niż poprzednio rozmachem frunął teraz bardzo daleko. W ślad za nim padły słowa wypowiedziane nienaturalnie:

— Powinniśmy się porozumieć, Szymek. Niedomówieniami daleko nie ujedziemy. Wiesz, chodzi mi o wczorajsze. I w ogóle o Danke.

Na próżno wyczekiwał, na odpowiedź. Wyrzucił znów błystkę.

— Przyjaźnimy się z górą od dwóch lat. Nie chciałbym tego tracić — dorzucił ściszym głosem.

— Nie zamierzam zrezygnować z naszej przyjaźni, dlaczego więc o tym gadasz?

— Niełatwo mi poruszać ten temat, a ty jeszcze kołujesz. Wiem równie dobrze jak ty, że cały twój wyjazd to nowa koncepcja. Nic cię przecież nie goni... Zrodziło się to w tobie nagle z powodu przeczulenia czy rozżalenia.

— Zależy, co kto uważa za przeczulenie... Zresztą, Lutek, zostawmy ten temat Nie jesteśmy dziećmi.

— Nie wiem sam... Danka mi się podoba. Morowa dziewczyna.

Gdyśmy wpadli w te tarapaty, umiała się znaleźć. Przy tym jest naturalna/ dzisiaj, gdy niemal każda mizdzy się, snobuje na Jakiś styl... — Lutek mówił nerwowo, rwały się zdania, słowa wypadały z jego ust jakby siekane. — No tak, podoba mi się, Może bardzo mi się podoba. Miałem już nieco do czynienia z babkami. Różnie się zdarzało. Z Danką wszystko inaczej. To zaciekawia, przyciąga. Gdybym miał wszakże powiedzieć z ręką na piersi, jak jest ze mną naprawdę, uznałbym, że to chyba jeszcze nie miłość. Wiem, skończą się wakacje, rozjedziemy się, dziękuję, cześć, do widzenia. Wspomni się raz i drugi, a później nie będzie się nawet pamiętać.

Rzut spinningiem. Nerwowe ruchy dłoni kręcącej korbkę, jakby w takt tych słów rzucanych ze skrywaną pasją, prawdziwych czy nieprawdziwych, diabli to wiedzą. Szymon patrzył na przyjaciela, nie wiedział, po co ta spowiedź, co za nią się kryje. A może Lutek również się uniósł ambicją, pragnie się okazać szlachetny, ustąpić? Myśl ta zapiekła go jak ogniem, zachnął się:

— Zostaw usprawiedliwienia. Nie wychodzi to zgrabnie. I zresztą z jakiej .racji się usprawiedliwiasz? Nie masz po temu żadnego powodu. Na wspaniałomyślne gesty reaguję zazwyczaj odwrotnie, nie lubię ich i nie przyjmuję do siebie — powiedział to ostro.

— Daleko mi do nastroju pokuty. Pozwól mi wszakże poinformować cię, jak rzecz wygląda. Choćby tylko dlatego, by mnie samemu ułatwić sytuację. Co tu gadać, Szymek, głupio się czuję. Wiem, że cię Danka obchodzi.

— Złudzenie.

--- Może i złudzenie... W każdym razie to wczoraj przyszło tak jakoś nagle. Mocno nawet z, nią wojowałem o tego całusa...

— Po co mi to mówisz?

— Po co ci to mówię? Wspomniałem już, bo mi głupio. Rano wszyscyśmy łazili nabzdyczeni. Zanościło się, że tak będzie nadal... Chciałbym to rozładować. Wiesz, Szymek, ja się mogę od Danki trzymać z daleka, rozumiejąc, że...

— Proszę cię, skończ! — jakże mu trudno przyszło wymawiać te słowa, gdy coś dławiło silnie

za gardło.

Myślał, że ze strony Lutka, niezależnie od intencji, wychodzi to podle. Po prostu podle. Całował się wczoraj, stroił słodkie miny, zawracał dziewczusze głowę, a dziś, łaskawca, bagatelizuje to, gotów jest odstępować Dankę. Zbytek honoru. Ostatecznie też nie o Lutka jedynie chodzi. Ważniejszy tutaj stosunek Danki do nich obu. Raz się całuje z jednym, to znowu z drugim. Zabawa, szukanie emocji, mocnych wrażeń? Może w końcu obaj są jej obojętni, a pocałunki to małe urozmaicenie wakacji. Mentalność pustej, mało właściwie wartościowej dziewczyny. Tylko jemu, naiwniakowi, wydawało się wtedy na plaży, iż jest inaczej. Głupiec. A naprzeciw drugi głupiec. Pewnie wyobraża sobie teraz, że jest nie wiedzieć jak bardzo szlachetny.

— Jeżeli pragniesz, mogę skończyć. Niedobrze ci z oczu, Szymek patrzy. Źle jakoś, opacznie wyjaśniasz sobie moje intencje. Tymczasem po prostu ja się nie umiem wysłowić. Nawet Gałczyński mi tu nie przychodzi z pomocą — uśmiechnął się gorzkawo. — Staraj się spojrzeć prościej. Wina jest tylko moja, Danka poddała się nastrojowi, zdarzają się takie chwile, choć nie powinny się zdarzać. Wiem, że cię bardzo lubi, jest głęboko przywiązana do ciebie. Może nawet coś więcej...

— Jeszcze raz proszę cię!

— Zaraz. Dopowiem do końca. To nie ustępstwo z mojej strony. Zwyczajnie, zacząłem głupio zabawę. Idiota ze mnie. Bo jeśli wiem, jak sprawy się mają, że i Danka, i ty...

Urwał, bo oto nawijana spokojnie linka gwałtownie zaczęła się wysuwać, korbka trzasnęła go po palcach, długo trwało, zanim przyhamował jej błyskawiczne obroty, a wtedy podciął silnie, nieco za ostro.

— Jest, jest! — zakrzyczał.

Szymona także opanowała emocja łowiecka. Jakże się nie emocjonować, gdy linka siecze o wodę jak. oszalała, skosem przecina toń, szczytówka wygina się w pałąk, Lutek co chwila zwalnia zacisk korbki, a tam gdzieś daleko, pod wodą, szarpie się coś, walczy, zaciekle, desperacko, w śmiertelnym lęku i śmiertelnej pasji.

Ręce Lutka drżą, wargi dygocą, zwiera więc usta, zaciska je kurczowo. Stoi w łodzi, na szeroko rozstawionych nogach, poddając się kołysaniu fali, wpatrzony z niebywałym napięciem daleko w toń, gdzie lina, ciągle szarpana, tnie wodę w lewo i prawo, w lewo i prawo. Przez ciało jego biją fale ciepła. Czuje rybę poprzez każde drgnięcie, szczytówki, poprzez każde mocniejsze napięcie linki. Wie już, to nie jakiś zwykły śledź, choć dopiero co marzył nawet o takim, to nie kilówka. Na haku szamoce się i szarpie potężna sztuka, stary żarłacz o zielonkawych cieniach na grzbiecie. Musi być szczwany, zwalnia, potem rwie nagłymi zrywami. Linka obwisła, nie tnie wody jak nożem. A może szczupak zszedł z haka, może koniec emocji, jedynie przedsmak wielkiej

zdobyczy i fiasko, mizerne fiasko?

I oto od nowa napięcie, przerzucone przez dłoń po ramię, do serca, które nagle mocniej zabiło z radości. Jest, wali w głębinę, na skos, warczy bębenek, popuszczać, popuszczać, bo gotów się zerwać.

— Ciągnij go!

— Jeszcze nie, bo mi pójdzie. — Drgnięciami szczytówki próbował zawrócić szczupaka z jego drogi. Ryba jeszcze silniej napięła linkę, sunąc prosto w gęstwę grzybieni. I zaraz zakotłowało się, zapieniło, liście albo zanurzały się pod wodę, albo ucięte jak nożem wypływały na powierzchnię, poddając się rzucaniu fali... Zerwie, nie zerwie.. Zielsko puszcza, szczupak zaś zawraca uderzając gwałtownie w lewo. I zaraz nagły skręt, teraz w prawo, mocne rozpaczliwe szarpnięcia. Znów się linka luzu je, drga, teraz lekko, leciutko. Lutek coraz szybciej obraca korbką. Czuje już ciężar. Jakże ciężko, jak bardzo ciężko, mimo że ryba nie stawia oporu, daje się holować jak kawał kłody. Metr po metrze, coraz bliżej i bliżej. Szczupak ciągle się trzyma w pobliżu dna. A teraz podrzut, widać go, naprawdę ogromny, wyskakuje połową tułowia nad wodę, trzepie wygiętym w kabłąk ogonem, odbija się, wali do przodu, terkot gwałtowny szpuli, snucie się srebrnawej linki, jak paciorkami nanizanej kroplami wody.

— Zmęczony. Ostatnie podrzuty. Trzymaj podbierak — Lutek opanowuje zdenerwowanie.

— Trzymam. Czemu go, u diabła, nie ciągniesz?

— Spokojnie, spokojnie, holuję. Zmęczony — mówiąc to Lutek nie wie, kto z nich obu bardziej zmęczony, Szczupak czy on. Serce tłucze się jak zwariowane.

Jeszcze jeden daremny zryw, jeszcze któraś desperacka próba. Ostatnie metry linki, ryba powoli podchodzi pod łódź. W głębi przez sfalowaną wodę łyska już. niewyraźnie białe podbrzusze. Już się rysuje zamazany, wielki obły kształt. Szymek zanurza podbierak w wodę, przesuwając w kierunku zbliżającej się ryby...

Szczupak przeskakuje nad podbierakiem. Linka niebezpiecznie zaczepia o drążek siatki. Drugi podchwyt, też nieudany, szczupak jest po prostu za duży, przewala się poprzez podrywki.

— Szymek, od łba, od łba zagarniaj.

— Jest, jest.

Obaj tak wrzeszczą w momencie, gdy poderwana podbierakiem, szarpnięta w górę, wielka ryba zwała się na dno łodzi, zaczynając tam opętańczy taniec poprzedzający konanie. Lutek rzuca się na nią, a nuż by się olbrzymowi udało wyskoczyć, trzymając śliskie, mięśniami nabite cielsko. Szerokim rozstawem palców obejmuje od góry, łapiąc rybę pod skrzela. Już mu teraz nie ujdzie.

— Nasz — oddech pełen ulgi i pełen zachłystującej radości.

— Nasz — powtarza Szymek. — Ile on może ważyć?

— Zdawało mi się, że jest większy. Sądę, że jakieś sześć kilo. Szczupaki tej wagi są najsilniejsze, najdłużej także się opierają. Stąd złudzenie co do rozmiarów. Blisko metr długości. Pierwsze moje takie trofeum. Pierwsze. Przyniosłeś mi szczęście.

Lutek spogląda na Szymka i widzi, jak rozpalone oczy Krajeckiego gasną, na miejsce błysków ożywienia wraca chmura zaciętości. I w nim też się coś załamuje. Wzdycha głęboko, oklapły przysiadł na ławce, niemalże obojętnie spoglądając teraz na zdobycz. Czuje zarazem, że tak lub inaczej musi zakończyć tamtą rozmowę, powiedzieć do końca to, co pragnął powiedzieć, a potem Szymek niech decyduje. Mówi więc głośno:

— Chcę, abys wiedział, że w żadnym razie nigdy już ci nie stanę na drodze, Szymek.

Krajecki otwiera usta, ale milknie.

Odchodzi im ochota do dalszego połowu. Bez słowa zawracają ku wyjściu zatoki, by skierować się potem do miejsca swojego biwaku, Na brzegu leży wyciągnięty nadmuchiwany kajak.

Na jeziorze wiatr nie ustaje, wciąż rzuca narastającą falą.

Gdy kończą wyciągać łódź na piasek, naprzeciw nich niespodziewanie ukazuje się Danka. Twarz ma poważną, skupioną.

— Bałam się już o was, nie odzywaliście się tak długo.

Lutek wskazał na rybę:

— Ale czasu nie zmarnowaliśmy.

Krótką chwilą zachwytu, zaraz znów wyraz znużenia i smutek.

— Gdzie tamci?

— Poszli po chrust, dziś na nich kolej... Obiad gotowy od dawna, wyschło pewnie wszystko, przestygło.

Szli w kierunku namiotu. A tam Danka nagle obróciła się, stanęła przed nimi, drobniejsza jeszcze jak gdyby i niższa niż zazwyczaj.

— Miałam czas zastanowić się nad niejednym. Nie widzę sensu, byśmy nadal mieli się kwasić. Moja obecność tutaj stała się niepotrzebna. Mam ochotę zabrać się jutro wraz z Krychną.

Zamrugali oczyma. Szymon zupełnie zbaraniał. Lutek parę razy otwierał usta, aż wreszcie zamiast słów, wyrwał się z nich śmiech:

— Jeszcze tylko ja musiałbym wpaść na ten sam pomysł. Przed godziną Szymon zwierzał mi się z identycznego projektu. Teraz ty, Danka. I od tego momentu historia staje się śmieszna. Kupa zakochanych idiotów. Darujcie, siebie także włączam w to towarzystwo.

— Zakochanych? — Danka zaoponowała gwałtownie. — Otóż, mości szlachetni panowie, czas byście się dowiedzieli: lubię was obu, dobrze się z wami czułam do wczoraj wieczór. Ale ani mi w głowie kochać się w którymś z was, tak samo, jak nie mam ochoty znosić scen zazdrości...

Bo inaczej...

— Zaraz, chwileczkę, ktoś woła? — przerwał jej Lutek.

Obejrzeni się. Na wodzie miotał się kajak rzucany falą; a w nim jakaś para dawała rękami rozpaczliwe znaki.

— Toną czy co, u licha?

— Oni nie mają wiosła.

— Zniesie ich prosto do nas. Idziemy na brzeg. Zastraszeni jacyś...

Od lasu z wiązkami chrustu sunęli Krychna i Florek. Danka westchnęła. Nawet nie zdążyła wygarnąć tym wariatom jak się należy.

Zaraz też pomyślała, że w końcu może to i dobrze. Kto wie, czy na ostatek oni by jej nie wygarnęli. I chyba dopiero mieliby rację.

Rozdział XXI

„A ja jestem dla ciebie jak światło”

Trzeba było wyjechać po nich łódką. Fala w pobliżu brzegu kołtuniła się mocniej, bezwolnym kajakiem miotało jak piłką, później się okazało, że i linka sterowa urwała się, jeszcze trochę, a nieprzytomna ze strachu para byłaby się utopiła. Woda przy mocniejszym uderzeniu wiatru wlewała się do kajaka. Zdrętwieli od chłodu, ożywili się dopiero na widok namiotu.

— Ostrożnie, bo skąpiecie się na ostatek — przestrzegał ich Szymon.

— Ja pływać nie umiem — wystraszyła się kobieta.

— Ja też nie bardzo — dygocącymi wargami dorzucił jej towarzysz.

Przyholowali ich, niemalże wyciągać musieli zdrętwiałych z kajaka. Gotowi byli rzucić się na szyję swoim wybawcom. Danka pchnęła kobietę do namiotu, przedstawicielem płci brzydkiej zajęli się chłopcy. Trzeba było oboje osuszyć, przebrać w jakieś ubrania.

Ogień buchnął wysoko, podsycany przez wiatr. Zmierzch jesienny spadł nagle, niemal bez zapowiedzi. Na ścianach namiotu zarysowały się cienie.

— Tego jeszcze nam brakowało — zaburczał po cichu Florek. Jakoś nie pałał sympatią do nagle przez wodę zesłanej im pary.

Nikt mu nie przytaknął. Bo właśnie poza Krychną i Piórkiem pozostała trójka z odczuciem ulgi powitała niespodzianą odmianę wieczoru.

— Co za pomysł wyruszać na taką falę? Gdzieście zgubili wiosło? — natarł na gości Szymek, obruszony niefrasobliwością kajakowiczów. — Macie piekielne szczęście, żeście uszli z życiem. Wody tego jeziora szczególnie są niebezpieczne.

— Wy płynęliśmy z Kluk. Nie zapowiadało się z początku tak groźnie. Dopiero z chwilą, gdy

zgubiliśmy wiosło i urwał się nam ster — zaczął młody człowiek, pokorny i zapeszony.

— Powiedz, gdy zgubiłem i urwałem... — prychnęła jego połowica.

— Kolacja! — energicznie ucięła sprzeczkę Krychna, pełniąca dzisiaj obowiązki kucharki. I zaraz się zafrasowała. — Tylko ani nakryć, ani sztucców nie mamy za wiele. Będzie trzeba się dzielić.

Duży gar rybnej zupy dymił apetycznie. Druga połowa szczupaka piekła się na sposób traperski w ogniu, obłożona gliną. To już był pomysł Lutka.

Zupa, choć przesolona, smakowała wszystkim. Gościom trzęsły się uszy i wyraźnie poprawiły humory. Nawet, na siebie zaczęli spoglądać cieplej, a w pewnej chwili młodzian przechylił się i ucałował żonę.

— O, tak to zupełnie inaczej. Zrób pan to jeszcze raz — zaśmiał się Lutek. Spojrzał w bok: — Ciebie, Florek, moje życzenie nie tyczy. Jeszcześ się nie połączył z Krychną dozgonnym węzłem.

Przetoczył się śmiech nad brzegiem, spłynął na wodę naprzeciw falom.

— O Boże, moja ryba! — porwał się Pazoła i kijem zaczął wyciągać z ogniska bryłę skamieniałej gliny.

Wszystkie oczy ześrodkowały się na tej bryle. Czy uda się osobliwe doświadczenie Lutka? On sam, nie mniej przejęty, toporkiem rozbijał glinę. I wtedy buchnął z niej wspaniały zapach, łuski gliny odskoczyły, a w środku tkwił apetycznie upieczony szczupak. Trzeba było widzieć triumfalną minę Pazoły.

— Mam w kajaku flaszeczkę — porwał się niefortunny kajakowicz, nazywany przez żonę Janem.

— Rozsądniej pan z minuty na minutę — szczerze pochwalił go Lutek.

Gdy ze szczupaka nie zostało ani śladu, wszyscy poczuli rozkoszną ociążałość w żołądkach.. Przy ogniu zastygła cisza. Para kajakowiczów siedziała blisko przytulona do siebie. Jakby dopiero zaczęli w pełni zdawać sobie sprawę z ryzyka, jakie przeżyli. Lutek tkwił z dala od Danki. Równie daleko trzymał się od niej Szymek. Dziwne wrażenie czyniła ta izolacja dziewczyny.

— Państwo stale mieszkać w Klukach? — zwrócił się Szymon do gości, byle coś tylko powiedzieć.

--- Skądże. W Warszawie. Jesteśmy tu na wakacjach. Ojciec jest dyrektorem departamentu gospodarki wodnej. Podlegają mu PGR-y rybackie. Wyobrażam sobie, jak bardzo musi się niepokoić. U jednego z rybaków wynajęliśmy domek — pośpieszył młody z wyjaśnieniami.

— Jak znam ojca, on z miejsca zarządzi poszukiwania — dorzuciła kobieta.

— W nocy? Przy takiej fali? — zaśmiał się Lutek. — Zobacz pan — upierała się.

Rozmowa urwała się, wróciła ta trudna do- wytrzymania cisza, Danka wierciła się na swym

miejscu, Lutek kijem grzebał w piasku, Szymek raz jeszcze usiłował przełamać złą atmosferę. Wypytywał kajakowiczów o Kluki, o ludność słowiańską, orientując ich zarazem w temacie. Zaskoczeni, trzęśli w przeczeniu głowami. Nie znali niemal niczego...

Ale i ten temat w końcu się urwał. Znowu milczenie.

— Lutek, zapomniałeś na amen o Gałczyńskim.

Pazoła obrócił się na swym miejscu zaskoczony propozycją Szymona. Zawsze przecież raczej tuszował recytacyjne zapędy kolegi, a teraz jakby trafił w tok jego myśli. Właśnie błąkały mu się te strofy po głowie. Zaczekał jeszcze, aż Florek usadowi się ciasno obok swego przefarbowanego na czarno rudzielca, dopiero zaczął:

*Wszystkie szmery,
wszystkie traw kołysania,
wszystkie ptaków
i cieniów ptasich przelatywania,*

*wszystkie trzcin,
wszystkie sitowia rozmowy,
wszystkie drżenia
liści topolowych,
wszystkie blaski
na wodzie i obłokach,
wszystkie kwiaty,
wszystek pył na drogach,*

*wszystkie pszczoły,
wszystkie krople rosy
to mi jeszcze,
przyjacielu, nie dosyć...*

*chciałbym więcej ptaków,
drzew z ptakami,
więcej blasków, gwiazd, obłoków,
trzcin, kaczek na wodzie,*

i uchwycić to wszystko rękami,

*ucałować to wszystko ustami
i tak zająć, jak słońce zachodzi.*

Danka słuchała z na pół przymkniętymi oczyma. Wzrok jej wyławiał języki ognia, strzelające niekiedy mocniej, sylwetki ludzi wokoło ogniska zlewały się w ciemne, niekształtne plamy o zamazanych konturach. I tak było dobrze. Tak było może w tej chwili najlepiej. Słuchać melodyjnego, miękkiego głosu Lutka, chyba tym głosem ją wabił od samego poznania, myśleć, że Lutek jest przy niej, blisko, bliźniutko... A może nie Lutek, może Szymon, wysoki, tak bardzo wysoki, aż teraz wydawał się jej niedosiężny zupełnie. Już by go nie mogła ucałować, choćby się wspinała na palce, choćby podskakiwała możliwie najwyżej. Lutek, Szymek, obaj raptem zubożeli w stosunku do niej, dalecy i urażeni. Starają się pozorować normalność, nie potrafią. Lutek jeszcze próbuje panować nad sobą, przełamuje się, najlepszy dowód, że wrócił do Gałczyńskiego. Ale to Szymek prosił go o tę recytację, ten Szymek, który zżywał się zawsze na nastrojowość, jak to nazywał, uwielbianą przez Witka. Szymek jest nieskazitelnie poprawny, nie ukrywa złego humoru, ale go także i nie podkreśla. Tkwi zadumany i jakby osamotniony. Może przestał ją cenić, potraktował jako głupią dziewczuchę.

Florek tuli się beczelnie do Kryśki. Ta śmieszna para kajakowiczów również jest zasłuchana, w idealnej obecnie zgodzie. I tylko ci dwaj tkwią wokoło tego samego ogniska daleko od siebie, albo również daleko od niej. Obserwują się dyskretnie, są czujni, napięci wewnętrznie. Są samotni. Niemniej najbardziej samotna jest właśnie ona. I chyba z własnej najbardziej winy..

— Niech pan powie coś jeszcze. To urocze, tak bardzo współgra, z otoczeniem — poprosiła młoda kobieta.

— Lutek, ja także bardzo proszę — widząc jego wahanie, dodała Krychna.

Szymon tkwił na swym miejscu nieporuszony. Mocniejszy poblask ogarnął jego twarz, zastygła, jakby skamieniała. Oczy wpatrywały się uporczywie w ogień. Mogło się zdawać, że nic z zewnątrz nie dociera do niego.

Pazoła przesunął się trochę do tyłu, od ogniska ciągnęło zbyt silnym żarem. Sylwetka jego pogrzyżła się w cieniu. Dance nie wiedzieć czemu przyniosło to ulgę. Niech tkwi w mroku, zaledwie widoczny, niech głos jego płynie jako coś zupełnie obcego, nie związanego z konkretną postacią.

*Ze wszystkich kobiet świata
najpiękniejsza jest noc.
Ona idzie, ona płynie, ona sunie
pod niebios ogromną bramą;
a wszystko jest piękne u niej,*

a pachnie od niej wanilia i cynamon

Z góry w doliny schodzi coraz głębiej,

oczy ma piękne jak jastrzębie,

a nogi ma proste jak sosny.

Nadaremno się dziwisz i pytasz

nie ma końca gwiazdzisty korytarz,

nie ma kresu dla nocy miłosnej.

Bezwiednie spojrzała w niebo, ale zaraz cofnęła wzrok od granatowej kopuły nad głową. Nie ma po co oczekiwać spadających gwiazd i starać się w tym krótkim przeblysku chwili zamaryć o czymś, po to, by się spełniło... Jak brzmiało to zakończenie? „Nie ma kresu dla nocy miłosnej”... Dwie pary siedzą ciche, zasłuchane w siebie. Lutka w ogóle zakrył cień, sylwetka Szymka majączej niewyraźnym konturem. Co każdy z nich myśli? Czy w tych myślach jawi się któremuś z nich ona? Głupie, szczeniące myśli... Jakiś fragment losu został przez nią przegrany, zapisał się minusem na koncie. Ale co się właściwie stało? Czy nie rozszczepia włosy na czworo? Wiadomo z góry, że zabawa w przyjaźń z chłopcami nie wytrzymuje próby. Zawsze pojawi się inne uczucie. Nie było z jej strony obietnic nie było i niedomówień. Że doszło wszakże w obu wypadkach do pocałunków? Czy to aż taki problem, żeby wytwarzała się potem sytuacja nie do zniesienia?

Florek podniósł się, z pobliskiego stosu podrzucił na ognisko naręcz wysuszonego chrustu. Strzeliły płomienie, blask szerokim kręgiem zagarnął mrok, wydobywając z niego poszczególne sylwetki. Ujrzała twarz Szymona. W świetle wyglądała zupełnie inaczej. Nie martwa i skamieniała, ale najbardziej żywa, czująca, ściągnięta silnym przeżyciem. Wzrok jego przewinał się po niej, zaraz się cofnął jakby spłoszony.

Cienko kwiląc przeleciała nie opodał kania. Od jeziora szły uderzenia fali, słabszej już, przygasłej, bo i wiatr wyraźnie tracił na sile.

Czemu wszyscy tak milczą. Nie ma w tym milczeniu spokoju. Odwrotnie, nasycy się napięciem i zagęszczającym się podnieceniem. Może zresztą jej się tak tylko wydaje, własny niepokój przydziela również i innym. To pewne, że musi przerwać ten stan napięcia, nie patrząc, co się wtedy ostatecznie wyzwoli.

Chciała zerwać się, krzyżeć, wołać do nich, śmiać się, a może i płakać. Już otwierała usta, gdy osadziło ją niespodziewanie ostre wejrzenie Lutka. Twarz miał oświetloną, oczy połyskiwały intensywnie, tkwił w nich wyraźny nakaz. I jak nagle napłynęło na nią pragnienie wybuchu, tak obecnie zetlało, ustępując miejsca bezwładowi myśli. Może lepiej tkwić tak, gapić się w ogień, nie gmerać w swoim i cudzym wnętrzu, czekać. Świt, czas mijający, same rozstrzygną. Lutek znów

coś wygrzebał z pamięci, dawno już nie deklamował aż tyle.

Zasłuchała się. Czyżby to o niej myślał?

*We śnie jesteś moja i pierwsza,
we śnie jestem pierwszy dla ciebie.
Rozmawiamy o kwiatach i wierszach,
psach na ziemi i ptakach na niebie.*

*We śnie w lasach są jasne polany,
spokój złoty i niestychany,
pocałunki zielone jak paproć.*

*Albo jesteś egipska królowa,
jak miód słodka i mądra jak sowa,
a ja jestem dla ciebie jak światło.*

Nie przebrzmiały jeszcze w powietrzu ostatnie strofy, gdy Szymek podniósł się zdecydowanie, wyprostował, a potem wolnym i ciężkim krokiem ruszył w stronę jeziora. Nieme spojrzenia obecnych pobiegły za nim. Nikt nie wyrzekł jednego słowa. Tylko Lutek dźwignął się również, stojąc patrzył za oddalającym się przyjacielem Trwało to bardzo długo. Aż wreszcie usiadł na dawnym miejscu. Uderzyło Dankę to jedno, że nawet nie ogarnął jej przelotnym chociażby wejrzeniem. Uderzyło i zabolowało. Zupełnie jakby nie chciał.

Znowu Lutkowy głos, ściszony nieco, ale jakże inny, zjadliwie kpiący i sarkastyczny:

*Mnie to też zdenerwowało,
lecz na nerwy sposób mam:*

*Moczmy nogi! Moczmy nogi!
Polsko moja, moczmy nogi!*

— Lutek! — powiedziała Danka z pasją.

Zaśmiał się.

— On ma rację, jeżeli rzeczywiście to robi. Na idiotyzmy to naprawdę najlepszy sposób. Na idiotyzmy w samym sobie, na kace duchowe i chandry. Moczyć nogi albo zalewać gardło.

Przygnana wiatrem para przyglądała się tej scenie zaskoczona i niespokojna Nie mogli niczego pojąć.

— Pójdę, zobaczę — Stawski podniósł się z miejsca.

— Siedź, tumanie — osadził go Lutek. — Sam wróci. A właściwie czas już najwyższy pójść

spać.

— Pan stwarza wierszami tak uroczy wspaiały nastrój, że zupełnie odbiega ochota do snu. Czy jeszcze coś usłyszemy? — mizdrzącym tonem zaszcebiotała teraz młoda kobieta.

Mąż jej, może delikatniejszy, wyczuwając coś w atmosferze i zdając sobie sprawę z niestosowności odezwania małżonki, zakreślił się niespokojnie.

Lutek wzruszył tylko ramionami i ostentacyjnie obrócił się tyłem do młodych małżonków.

Dankę zaś ogarnął nagły niepokój o Szymka. Czemu tkwi tam tak długo, dlaczego nie wraca. Podniosła się, skinęła na Lutka:

— Chodźmy do niego.

Ponownie wzruszył ramionami.

Pobiegła sama. Serce jej łomotało, podbijane trwogą. Odetchnęła dopiero nad brzegiem. Szymek siedział na skraju łodzi, zapatrzony przed siebie. Drgnął, gdy znalazła się obok niego.

— Wracaj, byłam już niespokojna o ciebie.

— Zostaw mnie, Danko, samego.

— Szymku, chciałabym wytłumaczyć ci wszystko. Źle mnie zrozumieliście. Stworzyła się atmosfera, w której naprawdę nie można dłużej wytrzymać. Ja nie chciałabym, ale może naprawdę najlepiej będzie, jeśli wyjadę.

— Jak uważasz. Ja cię nie zatrzymuję.

— Jak możesz...

— Zawsze byłem nieokrzesaniec i gbur. Zmykaj stąd, a jeśli nie chcesz, ja sobie pójdę. Lutek gotów pomyśleć nie wiedzieć co. Że może się całujemy. Zresztą byłoby to właśnie w twym stylu. Wczoraj z nim, dzisiaj ze mną...

Przygryzła silnie wargi. Ani myślała odchodzić, ale zarazem zdawała sobie sprawę, że przedłużająca się nieobecność jej przy ognisku zamiast złagodzić, tylko zaostrzy sytuację jeszcze bardziej. Gwałtownie szukała sposobów wyjścia, bezwiednie przy tym przesuwając spojrzeniem po płaszczyźnie jeziora, jaśniejszej o parę tonów od zgranatowiałego nieba. I wtedy dostrzegła szybko mknące światełko.

— Co to — wskazała kierunek dłonią. — Motorówka, kuter. — Przypomniały się jej słowa młodej kobiety o poszukiwaniach zaginionej pary. Uczepiła się teraz tego pretekstu, podniosła głos wołając: — Chodźcie tutaj, chodźcie prędko.

Spojrzała na Szymona. Nieporuszony siedział na skraju łodzi, Zatupotało pięć par szybko zbiegających stóp.

--- Stało się co? — Florek wietrzył jakąś frapującą historię.

— Jakiś kuter. Może państwa szukają?

— A nie mówiłam? — klasnęła w dłonie młoda kobieta. W głosie jej zabrzmiał prawdziwy triumf.

— Moczmy nogi! Moczmy nogi! — namaszczonym głosem powiedział ni stąd, ni zowąd Lutek.

Obejrzeni się na niego zaskoczeni. Wyciągniętą dłonią wskazywał na nogi Szymka. Nadbiegająca fala coraz to ogarniała jego stopy.

Nie można było tego skwitować inaczej niż śmiechem. Jeden tylko Szymek pozostał poważny, patrząc na wesołków z wyraźną złością.

Florek z przejęciem nasłuchiwał terkotania.

— Szukają nas, szukają. A nie mówiłam?

— Już ich widać. Reflektor. Oświetlają brzegi. To kuter. Zaraz tu będą.

Florek przysunął się do Krychny i zaczął jej coś gwałtownie klarować. Przytakiwała ruchem głowy.

— Wiecie, my z Krychną też zabierzemy się z nimi. Kajakiem mordowalibyśmy się parę godzin. Przed południem odchodzi pociąg. To chyba najlepsze rozwiązanie. Biegnę po graty.

Kuter podpływał możliwie najbliżej brzegu. Motor pykał teraz łagodnie. Reflektor oświetlał grupę stojącą na piasku. Z wiatrem nadbiegły radosne pohukiwania.

— Ojciec też jest tutaj — szepnęła para kajakowiczów z wyraźnie zrzedłymi minami.

— Już, gotowe, zabrałem wszystko — zasapał Florek.

— Pakujcie się zatem wszyscy do łodzi. Odstawimy was na kuter — komenderował Pazoła. — Szymek, ty przy sterze, ja wiosła, Danko zajmie się rozmieszczeniem pasażerów.

— Tak mi żal, że muszę wyjeżdżać — szeptała Krychna na ucho Dance, — Ogromnie się do was przywiązałam. Tacy byliście dla mnie dobrzy. I życzę wam, tobie, chłopcom, żeby wszystko się ułożyło pomyślnie, martwiłam się, że jesteście tacy osowiali, bez humoru. Może, gdy mnie zabraknie, poprawią się wam nastroje.

— Daj spokój, przecież nie o ciebie tu chodzi.

Na kutrze wielka radość. Ale ręce starszego pana jeszcze dygocą, twarz blada, worki pod oczyma,

— Dzieci kochane, co ja przez was przeżyłem!

Dziewczyna spojrzała na niego, potem na Lutka i nisko opuściła głowę. Mąż usprawiedliwiał się niepewnie, tłumacząc rzecz zagubieniem wiosła.

Starszy pan okazał się bardzo elegancki. Zapowiedział się z wizytą w najbliższych dniach, by w normalnych warunkach podziękować za pomoc udzieloną synowi i jego żonie.

Motorniczy niecierpliwił się, nakłaniając do szybkiego odjazdu.

— Za cztery godziny musimy wyjeżdżać pod Kluki. Warto by przedtem chociaż godzinę pospać — tłumaczył.

Z fasonem nacisnął syrenę, imitowaną przez gruchę starego, wysłużonego klaksonu. Zajęczała chrypliwie. Krychna i Florek wymachiwali rękami, aż kuter wtopił się w ciemnię jeziora i tylko długo jeszcze świeciło jego pozycyjne światełko.

— Zostaliśmy tylko we trójkę — szepnęła wtedy Danka, gdy już nie dochodziły ich uszu nawet najśłabsze odgłosy pracującego motoru.

Każdy krok przy tych dwóch tak bliskich jej chłopcach, nagle zobojętniałych w stosunku do niej, choćby tylko obojętność tę udających, odbijał się w niej narastającym pragnieniem, by przywrócić ich dawne stosunki, wykreślić to co złe teraz, co tak boleśnie dzieli. I każdy krok zarazem znaczył się świadomością bezradności, kompletną niewiedzą, co ma uczynić, by swój zamiar przemienić w konkretne działanie.

Ognisko już przygasło. Z niewielkiego wyniesienia, na którym stał namiot, ogarniali znaczną część jeziora. Noc jeszcze wisiała nad nim, ale na wschodzie brzask rysował się coraz wyraźniej. Tam było jaśniej, nad horyzontem zapalały się leciutkie, delikatne jeszcze żółcie i róże. Tym bardziej czarna wydawała się strona zachodnią, w której leżała Łeba. Ale i na tej czerni w jednym punkcie znaczył się wąskim słupem dziwnie niepokojący blask. Wpatrywali się nie bardzo umiając sobie zdać sprawę z pochodzenia drgających świateł.

— To chyba nie reflektor naszego kutra — zastanawiał się Lutek. I to były właściwie pierwsze słowa, które padły pomiędzy nimi od chwili opuszczenia jeziornego brzegu.

— To pożar. Coś w Łebie się pali — z przejściem szepnął Szymek. — Widzicie?

Widzieli. Migocący blask poszerzał się, rozrastał, przybierał intensywniejsze kolory. Już obok żółci niziutko rozsiało się i chybotąło czerwone pasemko.

Rozdział XXII

Stefan znowu wkracza do akcji

Jezioro stało nudne jak balia: ani najmniejszej zmarszczki. Tylko na piasku piana i przyniesione wraz z falą śmiecie świadczyły, że zaledwie parę godzin temu wyglądało zupełnie inaczej.

Po niebie pętały się drobne chmury, w powietrzu wisiała leciutka mgiełka.

Wstali późno, ta parność wyгнаła ich spod namiotu. Nie orzeźwiła kąpiel, snuli się zmęczeni i skołowani, spoglądając na siebie ukradkowymi spojrzzeniami. Lutek parę razy brał w rękę spinning, ale ziewając znów. go odkładał. Danka równie bez zapału próbowała zmajstrować coś w rodzaju ni to śniadania, ni to obiadu. Szymek usadowił się w cieniu za namiotem: wyciągnawszy długie nożyska, przyglądał się im z uwagą.

— Danka, o której Florek ma wrócić? — odezwał się znad jeziora ciągle coś tam medytujący Lutek.

— Wspominał, że ją odwiezie do Słupska i wraca zaraz następnym. Gdzieś po szesnastej.

— Tu będzie zatem dopiero nad wieczór.

— Stęskniłeś się?

— Kto wie, może... W każdym razie normalny facet. Nie należy do motyli przejeżdżanych przez ciężarowy samochód.

Szymon podszedł bliżej, słuchając podnosił wysoko brwi. Danka zezem przyjrzała się Lutkowi. Zwariował do reszty?

*Niepoważny stosunek do życia
figla ci w końcu wyplatał:
nadmiar kolorów, brak idei
zawsze się kończą wstydem i
są wekslem bez pokrycia,
mój ty niprzypiał niprzylatał.*

— Dajmy dziś spokój Gałczyńskiemu, mam go niekiedy powyżej dziurek od nosa — rozżłościł się Szymon. — Co w końcu robimy?

— Zjeść coś i zasnąć. Tyle że trochę parno. Burza będzie najpewniej.

— A co, strzyka ci może w kolanie? Łamie po kościach?

— Boże drogi, jacy wy obaj jesteście nudni. — Danka z pasją trzepnęła jakimś kubkiem o piasek. — Zacznijmy wreszcie zachowywać się normalnie. Cała zabawa w biwak traci sens, jeżeli będzie my tak kisić się nadal.

— Już straciła — bąknął Lutek. — Zatem co dalej?

— Można by wplątać się w nową aferę. Ponieważ to raczej jest nierealne, zostaje coś innego. Wczoraj już wam o tym wspomniałam. Nie byłam jeszcze zdecydowana. Dzisiejszy ranek przesądził. Wyjeżdżam. Może z tą chwilą zaczniecie nieco weselej się bawić.

— Ja również zwijam manele. — Szymek najzupełniej obojętnie zdawał się odnosić do decyzji Danki.

— Pozostaje mi odesłać Florka do Krakowa w pogoni za Kryską, wtedy dopiero w pustelniczym życiu pod namiotem przy filozoficznych medytacjach spróbuję podciągnąć, się nieco intelektualnie. Po to choćby, by przy najbliższej okazji być w stanie zgłębić wasze genialne decyzje — zakpił Lutek, którego nie opuszczało poczucie humoru i dostrzegał śmieszność niektórych sytuacji. — Coś ta noc źle na was wpłynęła.

— Przyganiał kocioł garnkowi — szarpnął się Szymek, zaraz jednakże dodał. — A w sumie to

masz rację. Bawimy się w wygłupy i przeczulenia.

— Nareszcie -- Danka klasnęła w dłonie. — Żeby nie to, iż znów zaczęlibyście odstawiać sceny zazdrości, pocałowałabym was oby dwóch serdecznie.

— Zbytek łaski — zamruczał Lutek pod nosem.

Danka udała, że nie słyszy tej zjadliwości. Zastanawiała się nad czymś, dopiero po dłuższej chwili rozjaśniła się. — Mówiłam dopiero co o nowej aferze, żarty żartami, ale coś w tym jednakże jest. Żyliśmy w ostatnim okresie tak intensywnie, że z chwilą, gdy minęły wszystkie emocje, nie umiemy się przestawić na wypoczynkowy, co tu gadać, trochę gnuśnawy tryb życia. Może stąd nasze nastroje i zwariowane humory?

— Burza idzie — Lutek dramatycznie wykrzywił gębę, wskazując zagęszczające się chmury. — Mam w zanadru perspektywę emocji. Moglibyśmy wyprawić się naszą krypą do Łeby po Florka. Zrobimy na dworcu kocią muzykę, jeżeli wcześniej nie zerwie się burza i mimo naszych dramatycznych wysiłków nie potopi nas.

— I co, taki kawał zapychać na wiosłach? Przy tej pogodzie? Oszalałeś? Wolę już iść piechotą. Wtedy będzie przynajmniej nadzieja, że zacna dyrektorowa skombinuje dla nas sposób odstawy kutrem lub helikopterem.

— Szymek, zaczynasz się wyznawać na żartach. Dowód najlepszy, że zupełnie już z tobą niedobrze... Możemy próbować na piechotkę. Dowiemy się w Łebie, co się tam wczoraj paliło.

— Nie powiedziałaś? Dbają o nas. Motor jakiś zasuwa wodą. Żebyśmy się nie przemęczyli — ucieszyła się szczerze.

Rozradowana była obrotem sprawy. Zobaczyli wreszcie sami, że są zwyczajnie śmieszni ze swymi humorami i nieustannym boczeniem się. Nawet jeśli istnieją jakieś zadry, trzeba umieć je ukrywać, a nie obnosić się z nimi na pokaz. Lutek łatwiej umiał przechodzić z nastroju w nastrój, że wszakże zdobył się na to i Szymek?

T- Motorówka. Ciasno, ale z biedą byśmy się może zmieścili. Ten facet, który stoi, skądś mi znajomy.. Głowę bym dał, że... Niemożliwe, co by on tutaj robił?

— Myślisz, Lutek, że to porucznik z Kołobrzegu? Zgadza się jak najbardziej — potwierdził Szymon. — Danka zdaje się wywróżyła nam dalsze emocje; dopiero się użalała że jej ich brakuje. Osobiście raczej nie mam takich zmartwień..

Motorówka pochodziła z zespołu rybackiego, znali ją dobrze. Za kołem tkwił Staszek, który mordował się przez całą noc na kutrze w poszukiwaniu zaginionej pary wczasowiczów. Musiał chłopak serdecznie kląć w duchu nowe zadanie. Może dlatego z takim impetem szurnął w piasek plaży, że stojący w łodzi porucznik stracił równowagę i rąbnął do tyłu jak długi.

— Jesteśmy, panie szefie, na miejscu. To ich obóz — oznajmił wtedy spokojnie.

W odpowiedzi otrzymał wściekłe wejrzenie. Porucznik zeskokczył i szybkim krokiem szedł ku wychodzącej mu naprzeciw trójce. Oczyma myszkował na wszystkie strony, twarz mu się wydłużyła.

— Dzień dobry. Znowu się spotykamy. Widzę, że nie jesteście w komplecie... A tamci?

— To znaczy kto?

— Pan Stawski i ta dziewczyna.

— Wyjechali. Dziś o świcie zabrał ich kuter, Krystyna wraca bowiem do Krakowa. A co się stało?

— Kutrem? — spojrzał na Staszka, który zaciekawiony także się zbliżył do całej grupki. — Czemuś mi pan nie mówił, że ich tu nie ma, że zabrał ich pan nad ranem do Łeby?

— Przepraszam, a niby kogo? O nic się pan nie pytał, to co miałem gadać? Taki mądry, by myśli zgadywać, to- ja nie jestem. I co, niepotrzebnie jechaliśmy.

— O której mieli pociąg?

— Krótko po dwunastej. Wyjechali przed paru godzinami.

— Znowu klops. Żeby to jasna cholera! — ulżył sobie porucznik.

— Panie naczelniku, ośmielam się zauważyć, tutaj są damy — z najpoważniejszą miną powiedział Lutek.

W pierwszej chwili porucznik zamierzał zareagować gwałtownie, zaraz jednakże machnął ręką zrezygnowany. Wyrażnie stropiony, zastanawiał się nad czymś. Obejrzał się na Staszka wciąż stojącego wraz z całą grupą.

— Przygotujcie motor, zaraz będziemy wracali. Ja tymczasem porozmawiam tu jeszcze chwilkę.

Odczekał, aż motorniczy oddalił się. Rozejrzał się wtedy, wskazał na zrobione z płatów murawy siedzenia przy wygasłym ognisku. Zaciekawieni tą niespodziewaną wizytą rozsiedli się wokół ubranego po cywilnemu przedstawiciela milicji. Porucznik minę miał kwaśną, wydawał się wykołowany jakimś nie znanym mu obrotem wydarzeń.

— Zaznaczam konieczność całkowitej dyskrecji. Moje pytania proszę traktować najpoważniej, tak jakbyście zeznawali do protokołu.

— Ale co się stało? Siedzimy jak tabaka w rogu, czekając na objawienia z pańskich ust. — Danką wypowiedziała myśl wszystkich.

— Dobra jest — kiwnął głową. — Zaraz się dowiecie. Poszkapilo się nam mocno ze sprawą... Siedzicie tutaj już czwarty dzień, prawda? Nikt obcy nie pętał się koło waszego obozowiska, nie próbował tu dotrzeć czy porozumieć się? Trzymaliście się stale razem, czy też bobrowaliście po terenie i pojedynczo? Jaśniej mówiąc, czy ta dziewczyna na przykład miała

możność zetknięcia się z kimś poza waszą wiedzą?

— Krystyna? Raczej byłoby to utrudnione. Florek nie odstępował jej na krok. Zakochani są... Nie widzieliśmy też nikogo w pobliżu. Poza parą, którą wczoraj z kajakiem przygnała do nas wichura. Oni wszakże nie wchodzi chyba w rachubę?

— Ci nie. Znam sprawę. Więc ta Krystyna Wiśniewska raczej nie miała możliwości podtrzymywania dawnych swoich kontaktów? — ogarnął teren spojrzeniem. — Zadupie rzeczywiście cholerne, co was tutaj pociąga? Za żadną forszę nie tkwiłbym na podobnym pustkowiu... Przy tym odszukać was także trudno. Facet nie miałby na to czasu. Skąd by też mógł się dowiedzieć? Ona wcześniej nie znała miejsca tego biwaku?

— Tak jak i my. Jeden Florek wyznawał się w tych okolicach nad Łebskiem. O kogo chodzi, panie poruczniku... Domyślam się czegoś, ale zarazem wydaje mi się to bardzo nieprawdopodobne. On przecież jest u was? — Lutek marszczył czoło zafrasowany, popatrywał na porucznika.

— Słusznie, słusznie, właśnie o niego chodzi. O Stefana Kochana. Szatan zwił nam przed dwoma dniami. W czasie przeprowadzania na przesłuchanie z aresztu do prokuratury.

— I szukacie go w Łebie? Są jakieś ślady, wskazujące na ten kierunek?

— Poszkapiliśmy, poszliśmy początkowo innym tropem. Zresztą nie tak zupełnie bezmyślnie. Dziś w nocy, właściwie nad ranem, dopiero pożar zwrócił naszą uwagę. Ja już wczoraj miałem być u was. Zamierzałem przesłuchać dziewczynę i Stawskiego. Nie udało się. No i w nocy wybuchła w tym czasie ta bomba.

— Pożar? Łuna od strony Łeby? Widzieliśmy ją — zelektryzowała ich ostatnia wiadomość. — A co to może mieć ze Stefkiem wspólnego?

— Jak dotąd nic. Pewne poszlaki zdają się łączyć te sprawy. Zobaczymy po przesłuchaniu, które kolega prowadzi w mieście. Jedno jest pewne, facet najprawdopodobniej znajduje się w Łebie albo w najbliższej okolicy.

— Stefek?

— Niech pan tak głośno nie krzyczy, panie Pazoła — rozżłościł się porucznik, zerkając ku tkwiącemu na motorówce Staszкови. — Mówiłem, że to ściśła tajemnica. Ponieważ jednak od początku jesteście w aferę wplątani, prokurator specjalnie mi to zalecił, więc gadam, choć czynię to z przymusem. My z takich amatorów jak wy za często nie korzystamy.

— A szkoda, o ileż by wszystko szło gładziej — uśmiechnął się Lutek zyczliwie. — Czym więc możemy panu służyć? Chętnie ruszymy do akcji, prawdę mówiąc, było nam już tutaj nieco nudnawo.

— Przemyślcie jeszcze, czy ta dziewczucha nie mogła się tutaj z nim spotkać? Może wyjeżdżała

ze swoim chłopcem do Łeby? Może kajakiem gdzieś ładowali po drugiej stronie? Albo jacyś turyści, poza wczorajszą parą, was odwiedzali?

Nie, tego mogli być pewni. Kryśka żadnych kontaktów ze Stefanem mieć tutaj nie mogła. Czy zresztą by chciała? Uczuli się związani z nią pamięcią wspólnie spędzonych dni. Przyjęli ją pomiędzy siebie, uznali za równiacę, jakże by więc mogła pozostawać w zmowie z bandziorami?

— Oni wtedy, jeszcze z tym Zyga, jeździli do Łeby. Kiedy to Florek zabrał się z nimi na łebka — przypomniała Danka. — Może iść trzeba tym tropem?

— Ten trop właśnie urywał się od samego początku. Na ten temat w trakcie przesłuchań Kochan milczał jak zakłęty. Tłumaczył, że to zwyczajna przejażdżka. Chcieli mieć alibi w związku z „Baltoną”.

— Prokurator mówił, że inne jakieś nici, wcześniejsze jeszcze, wskazywały na Łebę jako punkt przemytniczy — Lutek miał dobrą pamięć.

— Nic nowego nie doszło do nas w tej sprawie — porucznik rozłożył ręce.

— Co zatem robimy? — Danka zwracała rozmowę na konkretniejsze tory.

— Zastanawiam się właśnie... Stawski powróci ze Słupska pociągiem o szesnastej trzydzieści sześć? Muszę z nim porozmawiać o tej jeździe na łebka, o kierunku, w którym się udała warszawa, może jeszcze o tym i owym... Wy zostajecie tutaj?

— Skądże. Przed pana przyjazdem zastanawialiśmy się, jak się przedostać do Łeby. Jeszcze nie widząc, kto nadjeżdża, szykowaliśmy skok na motorówkę — z miejsca zdecydowała Danka.

— No to jazda, szkoda czasu. Aha, na łodzi nie mówmy nic o tych sprawach.

— Zbiorę tylko trochę maneli — Danka, nagle ożywiona, znikła już pod płachtą namiotu.

— Rozmowa z Florkiem zbyt wiele panu nie da — kontynuował tymczasem Lutek. — Opowiadał mi szczegółowo historię tamtej podróży. Faceci bąknęli coś o ulicy Trzeciego Maja, po wysadzeniu go pojechali .podobno w tym właśnie kierunku. Nazwisk żadnych nie wymieniali, w każdym razie nic mu nie utkwilo w pamięci... Proszę pamiętać, że on niczego nie podejrzewał, stąd uwaga jego mogła być rozproszona. Na domiar był zakochany...

— Tak, wiem o tym. Dlatego też rzecz traktuję raczej tylko już z obowiązku... Będziecie na dworcu? Mam tutaj niewielu ludzi, wołał bym ich nie rozpraszać na sprawy marginesowe...

— Na dworcu przecież ich także pan ma. Tyle że nie Florka pilnują, prawda?

Porucznik przyjrzał mu się uważnie, wreszcie skinął głową.

— To zrozumiałe, że musieliśmy obstawić wszelkie możliwe wyloty. Facet jeszcze w nocy najprawdopodobniej musiał być w samej Łebie. Pociągów ani autobusów w tym czasie nie miał. A potem było zbyt późno, by mógł z nich skorzystać. Chyba się nadal dekuje gdzieś tutaj. Jeżeli ma melinę, sprawa trudniejsza, jeżeli nie, wcześniej czy później wpadnie nam w ręce. Wracając do

tamtej propozycji — podniósł się, widząc, że Danka była już gotowa do drogi. — Skontaktujcie się ze Stawskim na, dworcu. Jeżeli nic nowego sobie nie przypomni, to nie ma pośpiechu. Gdyby doszły jednak jakieś dodatkowe elementy, będę w miejscowej komendzie. Was w razie czego gdzie mogę szukać?

— Jako punkt możemy chyba ustalić dom dyrektora rybackiego zespołu? — Szymek spojrzał pytająco na dziewczynę.

— Zgadza się. Lutek, czemu zabierasz ze sobą cały majdan? — zdziwiła się, widząc go z plecakiem w ręku.

— Szymkowi też radzę. Diabli wiedzą, jak długo zabawimy poza naszym biwakiem. Nauczeni doświadczeniem...

Uśmiechnęli się wszyscy. Nawet porucznik. Gdy szli już do motorówki, zapytał jeszcze:

— Ale czy tak naprawdę, na sto procent, jesteście pewni tej Krystyny Wiśniewskiej? Nie przedsiębrała tu niczego poza waszymi plecami? Czy z pewnością udała się do Krakowa?

Czy mogli być pewni? Po wszystkim tamtym i w obliczu nowej sytuacji? Spojrzeli po sobie spłoszeni, zdezorientowani. Szymek pierwszy się znalazł:

— Myślę, że chyba możemy być pewni. To porządna dziewczyna. Jeżeli coś źle czyniła, to wyłącznie przez swą niewątpliwą naiwność...

Danka spojrzała na niego z wyraźnym uznaniem. Mile ją zaskoczyła postawa Krajeckiego. To było bardzo szlachetne. Lutek dostrzegł jej spojrzenie. Pomyślał, że gdyby między nim a Krajeckim nadal szła rozgrywka o względy dziewczyny, tym razem punkt na swe konto zapisałby Szymek. Tyle że teraz przestawało to dla niego być aktualne, decyzję już powziął.

Jeden porucznik nadal nie wydawał się przekonany. Skrzywił się ale nie odezwał się ani słowem. Zresztą ładowali się już na motorówkę. Staszek zerwał się z miejsca i gnał wyciągając z silnika wszystkie moce.

Za nimi pozostawała spieniona bruzda, dwoma skrzydłami szeroko rozgałęziająca się na obie strony. A potem zostawały już tylko płyty piany, zastygłe na gładkiej tafli. Nadal było parno, choć słońce coraz to się kryło za chmury, gęstą przesłoną spowijające niebo. W powietrzu, nie poruszonym najlżejszym nawet powiewem, kryła się jakaś zapowiedź. Staszek parokrotnie rozejrzał się wokoło. Od zachodu zaczynały się kłębić mgły.

Szymek przysunął się ku niemu.

— Knoci się coś pogoda?

— Tu nigdy nic nie wiadomo. Najgorsze są burze od zachodu, tak samo wiatry. Wtedy, zdarza się, nawet kutrem jest niebezpiecznie wypływać... — Staszek zamilkł i dopiero po chwili wyrzucił z pasją. — Kurza twarz, za godzinę najpóźniej musimy kutrem gnać do rybaków. Przy takiej

pogodzie ryba bez lodu z miejsca zaśmierdnie... Co się to ostatnio zrobiło? W nocy szukaj jakichś wariatów, co kajakiem wypływają na fale. We dnie woź milicjanta, który szuka, czego nie zgubił. Co on chciał od was?

— Nic ważnego. Stare sprawy, jeszcze z Kołobrzegu. Mamy być świadkami.

— Ja tam wołę od milicji i sądów trzymać się jak najdalej. Wy do Łeby, a dyrektora jeszcze nie ma. Może jutro wróci.

Ostro wziął zakręt, aż ich zarzuciło na burtę i nieco wody chlapnęło do środka. Staszek tylko się zaśmiał z uciechy, przechylił głowę, do ucha Szymona:

— Najszybszy motor. Tu kiedyś jedni kłusowali z motorkiem, szwedzkim, myśleli, że dadzą nam radę. Tośmy dopiero zrobili wyścigi! Całą godzinę ich gnaliśmy, ale wreszcie stanęło na naszym... Sam go tak przemajstrowałem, lata jak zwariowany. Zaraz i Łeba. Ładny pożarek mieliśmy w nocy.

— Co się paliło?

— Chałupa. Połowa jej poszła z dymem, część tylko ocalała. Spaliły się też szopy, składziki, stodoła i magazyn. Inna sprawa, nie na biednego, trafiło.

— Kto to taki?

— Kierownik największego sklepu spożywczego... A jeszcze i gospodarstwo ma, i norki trzyma. Lisy także, niebieskie. Obrotny gość — obejrzał się, czy porucznik nie słyszy, zaszeptał ciszej, ledwie go Szymon w hałasie motoru rozumiał. — Ludzie gadają, że to niezwykły pożar, ale podpalenie. Tylko nie wiadomo, czy to ktoś zrobił z zemsty, czy on sam ogień podłożył... Taki bal. No, my już namiejscu.

— A gdzie się mieścił ten dom?

— Na Trzeciego Maja.

Zgasił motor, dobił do pomostu już tylko siłą rozpędu.

Porucznik szybko się żegnał, przypominając o umówionych warunkach kontraktu. Ruszył przed siebie prawie biegiem, nagle coś sobie jednak przypomniał, zawrócił. Uśmiechnął się jakby zażenowany:

— Wy macie piekielne szczęście. Orientujecie się, jaka jest sytuacja. Gdyby więc coś wam podpadło, wzbudziło podejrzenia, to ja w każdej chwili jestem do dyspozycji.

Lutek popatrzył za nim:

— Trochę narwany i nazbyt urzędowy, ale w końcu ujdzie w tłoku chłopina... Nerwowy, czemu się wcale nie dziwię. Poruta wypuścić takiego ptaszka z rąk. Na głowie by teraz stanął, byle tylko nadrobić stratę.

Kuter łagodnym zakrętem wychodził z zatoki na pełne jezioro, Pokiwali rękami do Staszka.

Odpowiedział tym samym.

Nie zostawało już wiele czasu. Spacerkiem przez Łebę ledwie, ledwie zdążą na pociąg, którym Florek miał wrócić ze Słupska.

Po drodze na wszelkie możliwe warianty przenicowywali nowiny udzielone przez porucznika.

— Jedno mi się w tym wyraźnie nie spodobało. Oni na siłę chcą wplątać Kryskę w kabałę. Facet niemalże na pewniaka przyjeżdżał, przekonany, że musiała być ze Stefanem w kontakcie. Coś mi się także zdaje, że chciał Florka wziąć na spytki nie tylko w sprawie tamtej wycieczki warszawą. Może sądził, że Florek zacznie sypać dziewczynę? — Lutka najbardziej absorbowały te właśnie sprawy. — Na motorówce przez cały czas zastanawiałem się, czy ona mogła nas w jakiś sposób nabić w butelkę.

— Też krążyłam myślami wokół tego tematu — przyznała się Danka.

— Ona nie ma z tym nic, ale to nic wspólnego — twardo i ze złością oznajmił Szymek. — Przyśpieszmy, bo Florek wyfrunie z peronu ani czekając na nas.

— Dobrze, potem co będziemy robili? Wracamy dziś na nasz biwak?

— Dziewczyno, ty nas chyba chcesz zamordować. Czym mamy wracać i po co? Tam była nuda i krzywe miny, tutaj trafia się szansa uczestniczenia w grubej aferze, a ty stawiasz podobne pytania. Żarty żartami, ale najpewniej w Łebie zanocujemy. Danka, twoja dyrektorowa nie znajdzie dla nas jakiegoś kąta?

— Masz rację, Lutek. Na pewno nam to ułatwi, cudowna kobieta.

— Tyle, że gada za sześć. Już ten Anzelmek musi mieć przy niej wesołe życie. Nie dziwię się, że zaszywa się nad Gardnem i ani myśli wracać... No proszę, zdążyliśmy w samą porę, lokomotywa już gwizdże. Musimy zrobić jakiś kawał Florkowi. Może mu zaśpiewamy sto lat? Szkoda, że kwiatów jakichś tu nie ma pod ręką, Zbaraniałby, daję słowo. Już go widzę, przy drzwiach. Uwaga, kiwamy radośnie, a potem śpiew. Baczość, wiara!

Było i nie było tak, jak przewidział to Lutek. Stawski ucieszył się najpierw na ich widok, potem zdumiał zupełnie, gdy mu uroczyście wyśpiewali sto lat, aż pasażerowie zatrzymywali się kupą, zachodząc w głowę, kto to jest tak uroczyście witany. Na koniec Florek się zdenerwował i o dziwo, przekrzyczał ich:

— Zamknijcie się! Powiem coś takiego, że wam oczy zbieleją.

— Co, oświadczyłeś się? Żenisz się? Zapraszasz na ślub?

— Odwalcie się, dowcipnisie. Chodźmy gdzie na bok, żeby nas nikt nie słyszał. O, tam jest ławeczka, będzie można pogadać...

— Tylko zawiadowcy z kolegami brakuje. Bo tak to się sceneria powtarza — zauważył Pazoła.

— Żebyś wiedział — poparł go Florek.

— No już, gadaj teraz — naparł Szymek, ledwie zajęli miejsca. — Bo nas ten wiatr wywieje. Jeszcze kwadrans temu nie było go w ogóle...

— Zachodni, jak przepowiedział Staszek — dorzucił Lutek.

— Uspokójcie się, naprawdę mam coś ważnego do powiedzenia. Przemyślałem to sobie dobrze w drodze do Słupska... Jak wiecie, przyjechaliśmy tu wcześniej rano, do pociągu mieliśmy sporo czasu. Kawiarnia, ciastka, posłuchaliśmy gadek o jakimś pożarze w Łebie. Duszno było, ciągnęło do kąpielii jak rzadko kiedy. Walizkę Krychny zostawiliśmy w przechowalni i pomaszerowaliśmy na plażę. No i teraz to najważniejsze...

— Wstęp dotychczasowy niewątpliwie zapowiada olbrzymią sensację...

— Zaraz się o tym, Lutek, przekonasz... Po wczorajszej wichurze plaża bliżej brzegu mokra była od fal, piasek ubity. Poszliśmy daleko, przyjemnie się szło. Dotarliśmy niemal po granicę ruchomych wydm, słyszeliście o nich, prawda? Tam się wykapaliśmy, poleżeliśmy trochę. Krychnie żal było morskich kąpielii. Ludzi na plaży zebrało się sporo, miejscami tłoczno było jak w Kołobrzegu.

— Każda liszka swój ogon chwali. Nie patrz się tak, wal wreszcie, co dalej?

— W pewnej chwili, spoglądając przypadkiem w bok, pod pasmem umocnień skarpy zobaczyłem leżącego faceta. Oniemiałem... Przysięgłbym bowiem, że tym facetem był Stefan. Ten z ikonowej afery: Stefan Kochan.

— To wiemy, wiśmy, gadaj dalej — spoglądali porozumiewawczo po sobie. Porucznik miał zatem rację, przestępca krył się w Łebie.

— Musiał zauważyć, że mu się przypatruję, nałożył okulary przeciwsłoneczne, wyciągnął się na całą długość... I nagle przestałem być pewien, czy to on...

— Zaraz, a ona też widziała tego- faceta? — wtrącił Lutek.

— Nie widziała, szła od strony morza. Postanowiłem też nic jej nie mówić. Zdenerwowałaby się, a ja byłem pewien, że mi się przywidziało, że to zwyczajnie bzdura. Ktoś może trochę najwyżej podobny i tyle... Nie miałem już czasu zastanawiać się nad osobliwym spotkaniem. Dopiero w powrotnej drodze zaczęło mnie to prześladować od nowa.

— No i co? Stefan czy duch?

— Jednak Stefan. Tak dalece nie mogłem się mylić. Dlatego tak się ucieszyłem, gdy zobaczyłem was na peronie. Zaraz, zaraz, a czemu wy tutaj? Stało się coś?

— Trochę stało, Przyjeżdżał porucznik z Kołobrzegu do ciebie i Krychny. Ten Stefan uciekł, podobno rozbija się właśnie tutaj.

— Więc jednak — Florek aż sczerwieniał z emocji.

— Pożar wczorajszy, jak mogliśmy wywnioskować ze słów porucznika, mniej lub więcej zdaje się również wiązać z tą szlachetną postacią.

— Spalił się dom na Trzeciego Maja — dorzucił Szymek.

— Potem mu wszystko dopowiecie — przerwała tę wymianę wiadomości Danka, trąc dłońmi zaczerwienione oczy — bo nas ten wiatr wykołuje zupełnie. Mam pełne oczy piasku.

— Cholerna jakaś pogoda, wiatr, spokój, znów nawałnica. Słyszysz cie, grzmi!

Rozdział XXIII

Wędrujące wydmy nad Łebskiem

Zapłatała się w nocnych, długich rozłogach, musiała przystanąć, by uwolnić z uwięzi nogi i złapać swobodniejszy oddech. Florek nawrócił ku niej.

— Zmęczona jesteś?

— Trochę... Ciągłe płacząc się w tym paskudztwie.

— Nie wygaduj, to turzyca piaskowa, największy sprzymierzeniec przy próbach stabilizacji wydm. Razem z wysoką piaskownicą i kostrzewą piaskową próbują stawić opór straszliwej lawinie.

— Ej, Florek, skąd z ciebie taki botanik? — tamci też zatrzymali się, Lutek ocierając pot z czoła przysłuchiwał się wyjaśnieniom Stawskiego. — Jeśli mi jeszcze powiesz, jak się nazywają te kosmate, lepiące się liście, udekoruję cię honorowym wawrzynem.

— Lepiężnik, krewniak zwykłego podbiału. Te zaś złote kwiatostany to Jastrzębiec baldaszkowaty. Wuj jest botanikiem, kiedyś z nim trochę łąziłem na różne wyprawy, stąd moja mądrość.

— Wierzę ci na słowo, sam nie mam o tym zielonego pojęcia. Marnie, Danko, wyglądasz, zmęczyłaś się?

— Przejdzie. W tamtym lasku w każdym razie zarządzam wypoczynek. Nie oczekiwałam czegoś podobnego. To ma wygląd wzburzonego straszliwego morza. Żeby nie kępki trawy miejscami, powiedziałabym, że cudem jakimś przeniesiono nas na Saharę. Słuchajcie, zastanawiam się, czy nasza wyprawa ma jednak sens. Miejscowy komendant trząśł wczoraj w powątpiewaniu głową, w ogóle odrzucał możliwość ucieczki Stefana tą drogą.

— To gdzie się podział? W ziemię się chyba nie zapadł. Facet przy tym nie musiał być zorientowany w niebezpieczeństwie przedzierania się poprzez wydmy. — Florek gorliwie bronił swojej koncepcji. — Na plażę dla przyjemności przecież nie poszedł, musiał w tym mieć swoje racje.

— Mogło być tak, mogło być też zupełnie inaczej. — Szymon reprezentował tu, podobnie jak Danka, daleko posunięty sceptycyzm. — Jedno pewne, że dotąd go nie złapali. Kolej, drogi, wszelkie możliwe przejścia obstawione dokładnie. I nic.

— Siedzi zadekowany przy jakiejś ciepłej babce i gwizdże na milicję i na nas.

— O nas to chyba wiele on nie wie.

— Skoro cię widział z Krychną na plaży, mógł się domyślić... Pchamy się dalej, na wskazany przez Dankę punkt wypoczynkowy... Cholera, dziwaczny ten piach, miejscami twardy, jakby ubity, pofałdowany, kiedy indziej można się w nim zapaść po pas. Pełno mam go w ustach, we włosach; zgrzyta, trzeszczy paskudztwo.

Wolno, z trudem wyciągając nogi z sypkiego wydmowego piachu, mrużąc oczy przed bijącą od niego bielą, szli gęsiego, bezustannie penetrując pozostającą w zasięgu wzroku okolicę. Słońce, nieco zamglone, prażyło mocno. Spoceni, nieprzyjemnie odczuwali tarcie osiadających na ciele drobinek piasku.

— Cholernie mi się chce pić — szepnęła Danka.

— Zaczekaj, dobrniemy do lasku... Czego się te marnawe sosenki tutaj trzymają, nie wiem. Jakże mogą zapuścić korzenie w tak bardzo niepewny grunt? Mój plecak bardzo się przydał, a takie oczy zrobiłaś, gdy go zabierałem z biwaku. W czym byśmy nieśli napitki?

Szli więc krok za krokiem, lasek ciągle się nie chciał przybliżyć, a czasem, gdy zapadali w wryte wiatrem wąwozy, w ogóle nawet nie było go widać, potem zaś na szczytach wzniesień wydmowych drzewa olbrzymiały, wydawały się znacznie wyższe.

Florek często spoglądał na kompas, a potem na kartce usiłował kreślić zarys przebytej drogi. Mieli już sporo kilometrów za sobą. Od Rąbka weszli w pasmo zwane białym z wydmami ruchomymi, przelewającymi się nieustannie z miejsca na miejsce, chwilowo tylko, jak teraz, przyczajonymi w swym ruchu.

Równie zmęczony jak pozostali, musiał wszakże nadrabiać miną. Nie był pewien swych* racji, hipotezy budował na zbyt mizernych przesłankach, niemniej jednak dawały one punkt zaczepienia. Jakoś nie wierzył w posiadanie przez Stefana zakonspirowanej meliny w Łebie. Coś mu podszeptywało uparcie, że na tym szlaku należy szukać ptaszka. A jeżeli to tylko złudzenie? Wtedy miał jedno usprawiedliwienie dla siebie. Lepsze było robienie czegokolwiek, niż bierne wyczekiwanie na to, co czas przyniesie. Chodziło przecież o Krychnę. Zdaniem milicji pobyt Krychny w Łebie nie był czymś przypadkowym. Kochan, decydując się na ryzyko ucieczki, musiał sobie ja-kcś zapewnić tu opiekę. Wybrał Łebę z uwagi na powiązania z tym miastem.

Trudno im było odmówić logiki w wywodach. Jedno zostało pew-nfe, że podejrzenia mocno się kierowały na Krystynę. Nie patrząc na nic, zapragnął za wszelką cenę oczyścić dziewczynę z

zarzutów. Stąd się narodził pomysł z penetrowaniem wydm. Szczęście, że znalazł poparcie Lutka, inaczej tamci gotowi by byli wyperswadować mu taki zamiar.

Pierwsze mizernawe sosenki, powykrzywiane, karłowate, dalej już nieco prostsze, trochę ostrej, kłującej trawy, jak brzytwa przecinającej palce przy wzięciu w rękę, w paru miejscach nikła .warstwa popielatego chrobotka. Danka oznajmiła, że dalej krokiem się nie ruszy bez wypoczynku. Dopiero pierwsza, mają jeszcze sporo czasu przed sobą.

— Słowem — przegryzka. Obiad na zimno. Już to kochana ciocia Anzelmowa nie pożałowała wyżerki. Czuję to na swych plecach. — Lutek zacierał ręce, wbrew zmęczeniu pełen życiowej ochoty, jak niemal zawsze, gdy wyłaniała się perspektywa dobrego jedzenia.

— Pić nade wszystko.

— Służę ci, dziewczę — z ukłonem podał jej flaszkę. — Trochę ciepła, ale zapomniałem zabrać ze sobą lodówkę. Mamy jeszcze trzy butelki wody i dwa termosy z herbatą. Jeżeli ryba nie została przesolona, powinno nam to wystarczyć.

Gdy ugasilili pierwsze pragnienie i przełknęli po parę kęsów, poczuli się weselej. Śmieszne wydały się im te detektywistyczne zapędy, szukanie zbiega w miejscach, gdzie według wszelkiej logiki na pewno go nie było.

— Zaiste, banda wariatów. Nie zdziwię się, jeżeli po powrocie okaże się, że czeka nas sanitarka, w niej zaś faceci z kaftanami bezpieczeństwa. Prościutką drogą pojedziemy wtedy do głupków — drwił Lutek.

Szymon przysiadł się do Florka.

— Jak widzisz naszą trasę? — zapytał. — Pamiętaj o czasie i miej też wzgląd na Dankę. To nie wyprawa dla dziewczyny, chociaż ona wspaniale daje sobie radę.

— Od Rąbek, mocnym zachodnim skosem, szliśmy w kierunku jeziora. — Stawski wpatrywał się w bardzo szczegółową sztabówkę wypożyczoną w zespole rybackim. — Jezioro powinno być stąd nie dalej niż o kilometr. Nie ma sensu tam się posuwać. Jeśli dobrnął do wody, to dalej też mógł już sobie poradzić. Coś mi mówi, że jeśli mamy go szukać, jeżeli on w ogóle obrał tę drogę przedarcia się przez obstawę milicji, to powinniśmy szukać go tylko pośród obszaru największych wydm. Myślę, że teraz skęcimy lekko na północ, ciągle utrzymując ten kierunek zachodni. Powinniśmy wyjść na brzeg morski naprzeciw półwyspu wrzynającego się w jezioro. Bo przecież w stronę Boleńca na pewno nie dotarł, byłoby to za daleko nawet dla bardzo wysportowanego faceta, na jakiego on nie wygląda.

— Cholerny kawał drogi... Słuchaj, stary, jeśli twoje domysły są słuszne, to ten Stefan musiałby trafić wczoraj na silną wicherę. Wydmy na pewno chodziły jak .przyrośnięte ciasto. Po

gościu mogłoby nie pozostać śladu. Jaką wysokość osiągają te piaskowe kopczyki?

— Do czternastu metrów, ale to wyjątkowo. Wiatr nie był zbyt silny, przewiewało tylko piasek z miejsca na miejsce.

— Dziękuję, to też wystarczy, żeby zniknąć na dłuższy czas z oczu ludzkich. Po dziesięciu albo dwudziestu latach przypadek odsłoni kosteczki.

Krajecki przyglądał się sfałdowanym, pociętym wzgórkami i wąwozami, pokarbowanym jeszcze dodatkowo drobnymi brzdami wydmom. Niekiedy połać żółtawej bieli przerywała skupiska trawy i drobnych roślin, a potem znów była tylko ta ostra, paląca oczy jasność kruszynek drobniotkiego piasku. Z lewej wyrastała na horyzoncie zielona plama lasu, równie mizernego i małego jak ten, w którym znaleźli chwilowe schronienie. Nie wyczuwało się stąd bliskości morza ani potężnego jeziora.

— Nigdy bym w to nie uwierzył, że w Polsce istnieje coś takiego — pokręcił głową w podziwie.

— Co to za ptak? Ogromny i piękny. On wcale nie porusza skrzydłami, a pomimo to szybuje.

— Ten, Danko? Dobrze trafiłaś. Orzeł morski. Bardziej fachowo birkut bielik. Gnieźdzą się w tych stronach.

— Na wydmach?

— Raczej nie, w pobliżu, ale ten teren również uważają za swój.

— Mnie przypomniały się sępy — wzdrygnął się Szymek.

— Skończcie z ponurościami. Idziemy — zdecydowała Danko. — Karawana rusza. Lutek z plecakiem na przedzie w charakterze jucznego wielbłąda.

Uśmiechnął się do niej:

Lata trzeba wędrować,

lata trzeba się, wlec:

boli od słońca głowa,

słońce pali jak piec;

bolą od słońca skronie,

serce od słońca boli,

w ustach nam ślina płonie,

ślina o smaku soli;

źródła nam uciekają,

straszą nas plamy i cienie,

*oazy omijają,
oaza — omamienie.*

— Nie wiedziałem, że Gałczyński też wędrował po pustynnych wydmach nad Łebskim jeziorem — mruknął Szymon.

Po godzinie poczuli się równie zmęczeni, jak przed przerwą w lasku Usta znów wyschły, wargi spierzchły wszystkim do bólu. I ciągle nic. najmniejszej oznaki, że ktoś ciągnął tędy przed nimi.

Pierwszy pomysł strzelił mu do głowy jeszcze wieczorem, po przesłuchaniu przez porucznika milicji z Kołobrzegu i komendanta miejscowej komendy. Jeszcze niewiele szczegółów o pożarze było znanych milicji. Gadało się głównie o Kochanie. Po prostu zniknął, mimo dokładnego penetrowania terenu.

I oto ku zaskoczeniu porucznika, pierwszy Wyraźny trop wskazywał im znów jeden z tej osobliwej studenckiej paczki, zabawiającej się po niewoli, ale trochę i z amatorstwa, kryminalistyką. Stawski widział Kochana, rozpoznał go z całą pewnością. Na plaży się ukrył, mądrze to było pomyślane. Trudno bowiem szukać sprawcy przestępstwa pośród tysięcy gołosów korzystających z ostatnich okazji wczesnowrzeźniowej kąpieli.

— Łeba okazała się dla niego za mała. Mimo masy wczasowiczów, przelotnych ptaków, łatwo mógł być rozpoznany. Dlatego wybrał plażę.

— Proszę panów... — przerwał im wtedy gwałtownie. — Wszakże on usadowił się tak niedaleko chyba nie bez kozery. Obstawiona jest Łeba i drogi ku niej wiodące. Facet zdaje sobie z tego sprawę. Szuka zatem innego wyjścia. Gdyby się przedarł przez wydmy, łatwo by już dotarł przez Smołdzino na Słupsk, czy też bezpośrednio stamtąd na Ustkę.. Bezpiecznie mógł odczekać dzień na plaży, a wieczorem pod osłoną zmroku przedrzeć się właśnie przez wydmy...

Komendant uśmiechnął się:

— Słyszysz pan, jak wiatr gwizdże? Nie ma mocnych, by przy takiej pogodzie, na domiar nocą, potrafili przejść przez wydmy. Zawieje, zasypie, ani śladu nie pozostanie... Ludzie, meliny — to jest ważne... Ci z pożaru zamknęli się, nie puszczają farby. Wiadomo tyle, co pod świeżym wrażeniem straty wygadała żona kierownika sklepu. Z miejsca wyraziła przekonanie o podpaleniu. Odwiedził ich jeden z dawnych znajomków męża, zabiegał o pożyczkę, kilka tysięcy, o coś się nawet kłócili. Mąż pożyczki mu nie dał, a w nocy pożar ogarnął dom i przyległe budynki... Po czym Stefan Kochan schował się gdzieś zamierzając przeczekać najgorsze nasze poszukiwania, by potem spokojnie wyjechać. Jedno jest w tej sprawie pewnie, to mianowicie, że nie uciekał przez wydmy.

Florek trwał jednak uparcie przy swojej koncepcji. I znowu ją odtrącono. Komendant powiedział, iż najprzebiegły przestępca rzadko kiedy chadza z kompasem w kieszeni. A bez

kompasu i jakiej takiej chociażby orientacji w terenie każdy tam zabłądzi. Można krążyć całymi godzinami, nie natykając się na własne ślady, wiatr ja bowiem momentalnie rozwiewa, wygładzając powierzchnię.

Florek i w tej chwili, krocząc bezpośrednio za Danką, dziwił się swemu uporowi. Wtedy był niemal pewny, że Stefan uciekał przez wydmy.

Jakże rad był, gdy zdecydowanie poparł go Lutek. We dwójkę łatwo już im przyszło namówić na wyprawę Szymona i Dankę. I oto brną przez te cholerne piachy, zmęczeni, zziębnięci, on zaś dopiero zaczynał zdawać sobie sprawę z bzdurności swego pomysłu. Sami gotowi się tutaj zagubić, piekielny, nierealny krajobraz, jakby przeniesiony z innej zgoła planety. Zmęczenie narasta z chwili na chwilę. Danka idzie już z największym wysiłkiem.

Lutek przepuścił przed siebie Szymka i Dankę, ujął Florca pod ramię.

--- Stary, musimy skrócić trasę. Danka wyciągnie nam nogi. Nie zresztą to nie da. Chybiliśmy sromotnie tym razem. Nie uważasz?

Wzruszył w odpowiedzi ramionami, raczej tylko już dla fasonu, stracił bowiem nadzieję.

— Skręcamy w prawo, Szymek, będziemy przedzierać się prosto do morza! — zakrzyknął do przodu.

Ciążył każdy krok, buty zdawało się zapadały się w sypkie podłoże coraz głębiej i głębiej, coraz trudniej też je było wyciągać. Niemalże zniknęły częstsze uprzednio plamy szarawej zieleni wydmowej, nie było w ogóle lasków, tylko garby pofałdowane, tylko wąwozy, które przecinać trzeba z dodatkowym, wysiłkiem. Za nimi gdzieś daleko jezioro, przed nimi znacznie bliżej morze.

Dankę znów męczyło pragnienie. Szymek spojrział na Lutka, ten z miejsca skinął aprobowująco głową, zdjął plecak z ramion i nie przystając, wyciągnął z niego butelkę, przedostatnią, jaką posiadali. Termosy także były już puste. Danka zawahała się, ale na zapewnienie, że to ciągle nie są jeszcze ostatki, z wdzięcznością przyjęła wspaniałomyślny dar. Łykała co jakiś czas, niewiele, aby tylko odświeżyć usta, zwilżyć gardło, a potem zwieriała szczęki i szła, wlokła się raczej, krok za krokiem, przez piach, przez garby, przez wąwozy, przez tę jasną, przenikliwą biel nadlebskiego ruchomego pustkowia. Wszyscy już zresztą opadli z sił. Nie było wielkiej przesady w przestrojach Staszka. Z pustynnymi wydmami nie ma zabawy. Wielu było już takich śmiazków, nawet w tym powojennym okresie, wszyscy przegrali.

Szczęście, iż ciągle było cicho, wiatr się nie zrywał, chmury tylko znacznie zgęstniały. W pewnej chwili Szymek, idący na przedzie, odwrócił się, pytając, czy oni również widzą jakieś czarne linie dziwaczne, powykręcane.

Florek próbował odczytać coś na swojej sztabówce. Bez przerwy zresztą ostatnio się jej

przyglądał, tak samo jak zerkał raz po raz na kompas. Dręczyła go bowiem obawa, że zabłądzą, zgubią się, nie odnajdą już nigdy drogi ani ku jezioru, ani ku morzu, jak nakręcone pajace kręcić się tylko będą tam i z powrotem, tam i z powrotem. I dopiero teraz odetchnął z ulgą, zgadzało się, szli dobrze, trochę, a nastąpi koniec morderczego marszu.

— Dobra, jest to martwy las, zasypany kiedyś przez wydmy... Stamtąd już zupełnie bliźutko do morza. Postawiliśmy zatem...

Urwał. Bo cóż on, u licha chciał powiedzieć? Że postawili na swoim? To byłoby trafne, gdyby odnaleźli Stefana. Ale tak? Że jedynie wybrnęli cało z nowej przygody? Po cholere się było w nią wdawać? Teraz muszą być w duchu wściekli. Bo komuś z zewnątrz trudno zrozumieć, jak dla niego ważny był każdy cień nadziei, że odciążą Krychnę z padających na nią oskarżeń. Nie domówionych, nie nazwanych, ale istniejących. Jakież mieli oni dowody, by dziewczynie ufać? Spokrewniona jest z przestępcą.

Szymon znów coś zobaczył. Biegnie teraz, skąd znajduje jeszcze w sobie tak wiele sił? Może tam gdzieś rzeczywiście jest Stefan? Pobiegł i on, zostawiając za sobą Dankę i Lutka.

— Jest jednak! Miałeś, Florek, rację! Oby żył tylko. Tak dziwnie leży...

Już klęczał przy tamtym, szukając pulsu. Zauważył, że Stefan ma silne wypieki na twarzy, a ciałem jego wstrząsają dreszcze. Uciekinier leżał na wpeł wsparty plecami o szerniały kikut jednego z drzew. Fałdujący się piasek przysypał człowieka do połowy, wystarczyłby mocniejszy zryw wiatru, by przysłonić go całkowicie.

— Danka, proszę o wodę.

Przez z trudem rozchylone, spieczone aż do sinizny wargi wlewał drobne łyeczki do gardła chorego. Spryskał mu twarz. Znów zbadał puls.

— Nierówny, bardzo słaby... On chce mówić.

Otworzył właśnie oczy, zaczerwienione, zaprószone drobinami piasku. Patrzył na nich, na kikuty zmarłego lasu, zdawał się nikogo nie widzieć i nie poznawać. Zaszeptał, na próżno jednak. Szymek nadstawił ucho pod same usta, z sepleniącego bełkotu niczego nie potrafił zrozumieć. Z pomocą Lutka i Florka dźwignął więc teraz Kochana, układając go w wygodniejszej pozycji.

— Biedny. Co mu jest? — szepnęła Danka z oczyma pełnymi łez. — Wygląda mi to na porażenie słoneczne. Szedł przez pustynne wydmy bez żadnego nakrycia głowy. Mógł być zmęczony i głodny, chciał pić. Musimy teraz naradzić się, co robić dalej. — Szymon nie wiedzieć kiedy objął przewodnictwo akcji.

— Do plaży mamy jeszcze blisko kilometr. Nie wyniesiemy go sami. W dodatku mogłoby mu to zaszkodzić. Lekarz konieczny, jakieś zastrzyki, środki wzmacniające. Trzeba prosić o pomoc.

— Pięknie, Florek, ale jak to uczynić? I czym go zabiorą? Karetka tu nie dojedzie.

— Może. Podjeżdżając brzegiem plaży, nad samą wodą, po twardym piachu. Ten kawałek sanitariusze z noszami przebrną pieszo.

— To trzeba wobec tego gonić do Łeby? — Lutek przeraził się odległością. — Potrwa to okropnie długo. A jeżeli stan chorego pogorszy się przez ten czas?

— Nie zostawimy go tutaj samego. Wystarczy, gdy podzielimy się na dwie grupy. Jedna zostanie, druga będzie organizować pomoc. Musi iść Florek, on się najlepiej wyznaje w okolicy, wskaże miejsce... Kto z Florkiem? Ty, Danko?

— Poszłabym, ale mogę się okazać przeszkodą. Poobcierałam nogi i bardzo osłabłam. Zresztą lepiej, by kobieta została przy tym biedaku.

— Nie rozczulaj się przesadnie. Musimy pamiętać, kim jest ten Stefan — głos Lutka zabrzmiał sucho.

— Dla mnie jest teraz chorym, nieszczęśliwym człowiekiem, Tamte sprawy chwilowo mnie nie obchodzą. Ja zatem zostaję tutaj w oczekiwaniu na pomoc. Kto pójdzie z Florkiem?

Moment wahania. Potem chropowaty głos Szymka przerywający milczenie:

— Ja.

Pazoła poderwał się z miejsca.

— Nie, ty lepiej potrafisz tutaj zaradzić, dopomóc Dance. Ja idę z Florkiem.

Spotkały się ich spojrzenia. Długo zaglądali tak sobie w oczy. Florek wpatrywał się w obu przyjaciół nic nie rozumiejąc z ich starcia. Danko odczuła, jak jej serce się ścisza. Żaden nie chce z nią sam pozostać. Odżył zatem w pełni wczorajszy ich nastrój. Są grzeczni, ale każdy z nich woli trzymać się od niej z daleka. Straciła ich zaufanie.

— Jak sobie chcecie. Nie potrzebuję żadnej litościwej opieki. Sama dam radę — wyrzuciła z siebie w tłumionej pasji.

— Wy to też jesteście tędzy wariaci. — Florek popukał się w czoło Jeszcze się nie zdarzyło, by okazał kolegom podobny brak respektu. — Ambicjonalne rozgrywki. Łaskawcy, jeden się niziutko kłania drugiemu. Uważałem was za znacznie mądrzejszych. Idę z Lutkiem. Szymon zostanie tutaj... Nie próbujcie protestować. Brałem na siebie ryzyko namawiając was na poszukiwania tego faceta. Do końca też będę pamiętał o celu tej wyprawy. Lutek, zbieraj się, szkoda czasu. Każda chwila może być droga. Trzymaj się, Danko — dorzucił znacząco nie ciepłej.

Gdy dwie sylwetki zginęły za wydumą-narosłą u przedproża martwego lasu, Danko spojrzała w niebo. Słońce mocno już opadło na zachodnią stronę, wyłoniło się właśnie jakąś szczeliną zza chmur, pasmami światła opadło na biały piasek.

— Potrwa co najmniej godzinę, nim dotrą na miejsce. A nawet więcej — odezwała się ni to do siebie, ni to do milczącego Szymona.

Chory jęknął cicho, poruszył wargami. Dała mu pić, zwilżyła całą twarz. I znów było cicho. Od kikutów drzew w momentach, gdy słońce przebijało przez osłonę chmur, kładły się długie, dziwacznie powykęcane cienie. Obraz ten rysował się nierealnie i groźnie.

Czas przesuwał się bardzo powoli. Cienie stawały się dłuższe i dłuższe. Zachodnia strona nieba wyłaniała się coraz czystsza. Górą musiał zerwać się wiatr, przepędzając chmurzyska na wschód.

Szymon siedział wsparty plecami o szerniały, mocno pochyły pień. Wpatrywał się w nie kończące się pasma wydm. Nawet i teraz, przy bezruchu powietrza, drobiny piasku zdawały się wolniuteńko przesuwać przelewając się miękko rozestłanymi fałdami, jak powierzchnia jeziora trącana łagodną morką. Przyglądała się jego ostrej, pociągłej twarzy, nieco przydługiej szyi, mocno osadzonym ramionom.

Jakie, to dziwne — myślała — jeszcze tak niedawno czuli się doskonale razem, przekomarzali się, żartowali. A teraz? Jak obcy sobie ludzie, dalecy, niechętni.

Doznała wrażenia, że ktoś się w nią wpatruje uporczywie. Odwróciła głowę. Chory patrzył na nią, poznawał ją. Uśmiechnęła się lekko.

— Pić?

Skinął głową. Przytknęła mu flaszkę do warg, zważając, by zostawić jeszcze nieco wody na później. Przyglądał się jej rozgorączkowanymi oczami. Usłyszała jego szept.

— Więc to znowu wy... Pomagacie glinom... Mnie już wszystko jedno. Gwiżdżę na wszystko. Okiwali mnie, ale odkułem się na nich. Ten głupek poznał mnie, wyrzucił za drzwi. Spaliła mu się chałupa, teraz musi sobie gryźć palce — zaśmiał się cichutko, w śmiechu tym tkwiło jakieś szaleństwo. — Oddacie mnie glinom? — Widział teraz nad sobą także długą sylwetkę Szymka, który podniósł się ze swojego miejsca i stanął obok, nasłuchując w milczeniu. — Możecie oddawać, łaskawcy, mam was wszystkich gdzieś.

— Czekamy na lekarza i karetkę, która zabierze pana do szpitala. Jest pan chory — łagodnie powiedziała Danka.

Zamigotało coś w oczach Stefana. A potem przymknął powieki, czerwone, obrzmiałe.

— Na lekarza... Tak, jestem chory. Ten piasek, straszne drzewa bez igliwia i kory. Białe piasek. A tamten ogień czerwony — zaśmiał się znowu.

Szymon ujął chorego za puls. Słaby był, ciągle nierówny.

— Słyszałaś? Poznał nas... Cieszył się, że podpalił dom współnika. Osobliwa etyka w tym towarzystwie. Teraz znów stracił przytomność. Ma cholernie wysoką temperaturę, serce z trudem to wytrzymuje. Kiedy oni wreszcie przyjadą?

— Tak bardzo dłuży ci się czas ze mną? — przekora nie zezwoliła jej poniechać tego pytania. Nie czekając na odpowiedź, ciągnęła dalej: — Żywisz do mnie urazę. Zastanawiałam się nad tym wszystkim i myślę, że żaden z was mnie naprawdę nie kocha. Wydaje się wam to tylko, wmawiacie w siebie. Ja zaś byłam głupia, traktując was serio. Choćby teraz, ta twoja poza, śmieszna, pretensjonalna. Nawet nie potrafisz być naturalny — urwała, spostrzegła się, że właściwie wszystko to, co mówi, nikomu nie jest potrzebne. — Przepraszam cię, uniosłam się, bo mnie to wszystko bolało tak jeszcze niedawno. Ale już teraz nie. Doszłam do wniosku, że najlepiej będzie, jak rozejdziemy się, zwijając nasz obóz. Jeszcze jedno ci dodam. Florek pozornie najbardziej niedopierzony, dziecinny, okazał się spośród was jedynym mężczyzną. Był wobec swojej Krystyny szlachetny, tak samo wobec nas wszystkich. Czyż nie budzi szacunku jego postawa także w tej sprawie? — wskazała na chorego leżącego teraz cichutko. — On chyba zasnął?

— Tak, śpi — powiedział Szymon. I zaraz zniżył głos do szeptu. — Masz wiele racji, ale to wszystko nie jest tak proste, jak mówisz. Czy naprawdę ci się wydaje, że przyjemnie i łatwo jest siedzieć tu obok ciebie, milcząc, wygapiać się diabli wiedzą gdzie, zamiast cieszyć się twoją obecnością? Danka, nie jest tak prosto, jak mówisz. O wielu rzeczach nie wiesz, nie rozumiesz ich, a może tylko nie chcesz rozumieć. Pamiętasz, był taki dzień, gdy Lutek uratował mi życie. To stawia mnie w sytuacji dłużnika...

Zaśmiała się.

— I uważasz, że z tego powodu można poświęcić uczucie? Bardzo osobliwe pojęcie honoru. Tylko że zapomina się przy tym, iż jest jeszcze ta trzecia osoba, która wcale nie zamierza być obiektem wdzięcznościowych przetargów.

— Danka, na Boga...

Urwał, dała mu bowiem znak ręką, by zamilkł. Z daleka dobiegał mocny narastający poszum. Słońce zniżało się już na zachód, krótko, a zmrok spowije martwy las, i biały piasek ruchomych wydym. Sądzone im może czekać długo w noc, tamci mogą napotkać przeszkody, samochód nie będzie się mógł przedrzeć przez plażę. Czy nadal trwać będzie ta dziwaczna, żadnemu z nich właściwie niepotrzebna rozmowa? Przetliły się pewne sprawy, mitręgą niepotrzebną jest nawracanie do nich...

— To nie samochód. Wygląda na samolot. Pewnie loty ćwiczebne. Przelatuje gdzieś blisko nas, stąd taki rumor. Pod zachód głos daleko się niesie — powiedział Szymon.

Warkot narastał, zagłuszając sobą i niebo, i piaskiem usianą ziemię. Hałas płynął wprost na nich.

— To helikopter, widzisz jego pozycyjne światełka? — zakrzyknął Szymon wskazując ręką.

Już nie tylko światełka, ale i cała maszyna, jak olbrzymia ważka zniżająca się ku ziemi, widoczna była w ostatnich poblaskach dziennego światła. Szymon wyskoczył na wyższe wzniesienie i zaczął wymachiwać ściągniętą z siebie koszulą.

Zapadający mrok przeciął smugą reflektor. Zazóciły się i piasek, i martwe drzewa, i twarze młodych uniesione ku górze. Maszyna zniżala się wolno, pilot przechylony na bok uważnie obserwował teren.

— Chyba nie będzie mógł tutaj siadać? Za miękki piasek, koła się pograżą po osie.

Wolniutko, wolniutko, wyjąc przeraźliwie, wirowaniem wzniesając dokoła straszliwy wiatr, helikopter opadał nad ziemię, w miejscu, gdzie wzniesienie wydmowe odsłaniało szerszą, wolną od przeszkód płaszczyznę. A potem obroty jakby lekko zelżały, wielki żuk zatrzymał się na kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią.

--- To sanitarka wojskowa — powiedział zdziwiony Krajecki.

Zwinnie zeskakując z maszyny, biegł już ku nim przez piasek rozpromieniony Florek. Zaraz wygramolił się pękaty mężczyzna z niewielką walizką lekarską w rękę. Dankę zdziwiło, że brakło Lutka, ale nie miała teraz czasu zastanawiać się nad tym.

Podczas gdy lekarz schylił się nad chorym, Florek w urywanych słowach wyjaśnił zdumionym przyjaciółom:

— Okazało się, że karetka nie dałaby rady przejechać. Wóz musiałby mieć specjalne opony. Z pomocą przyszła niedaleka jednostka lotnicza. O tyle lepiej, że szybciej, bezpieczniej, a zarazem i wy będziecie mogli się zabrać. Maszyna jest sześćosobowa, dlatego Lutek nie mógł przylecieć... — spojrzał na lekarza, zwrócił się do niego z pytaniem: — Może panu coś pomóc? Bardzo niedobrze?

— Niedobrze, ale nie za groźnie. Porażenie słoneczne i jakby oznaki zapalenia płuc. Wysoka temperatura. Jest nieprzytomny i bredzi. W szpitalu postawimy go szybko na nogi. No, panowie, już po zastrzyku. Teraz pomożecie mi przenieść chorego na helikopter. Ostrożnie! We trójkę to łatwo, gorzej, jak zdarza się robić coś takiego samemu.

Gdy maszyna wzbijała się prostopadle w górę, nad wydmami zapadała już noc.

Rozdział XXIV

Happy endu braknie,

ale i tak kończy się wszystko pomyślnie

— Anzelmek jutro już będzie. Dał dzisiaj znać. Wie o was. Ucieszył się z Danki, a reszty ogromnie ciekaw. Doszło już tam o waszych wyczynach. Cała Łeba o tym tylko mówi... Sandacza wam specjalnie z-robiłam, z jajeczkiem, już to lepszej ryby nie szukać. Głodni jesteście, zmęczeni,

tamtej nocy mało spaliście. Strasznie na tych wydmach podobno, opowiadali ludzie. Krótko po wojnie wpakowali się w wydmy dwaj młodzi ludzie. Licho wie, czego na nich szukali. Może chcieli uciekać, chować się, wiadomo, niespokojny był czas. A w nocy zerwał się wiatr, dęło bez chwili . przerwy. Zawiało wtedy ładny kawałek jeziora od strony Rąbka, parę chatyn, co tam stoją, do okien piach miało. No i tamtych znaleźli dopiero po trzech dniach, jak nowy wiatr przyszedł, odwiał to, co pierwszy zasypał... Dużo takich historii opowiadają. Że wy mieliście odwagę aż tam się pchać, i to po kogo, po jakiegoś bandziora... On podpalił Siwickim dom, dobra się tam tyle podobno spaliło, że na miesiąc życia dla całej by Łeby starczyło... I kto by pomyślał, że Siwicki na złocie siedzi. I to ciemnym jakimś, kaprawym złocie, jeżeli go aresztowali. Jak się dowiedział, że wyście tamtego, znaleźli na wydmach, sam się przyznał podobno... Jedzcie, jedzcie, bo mi Anzelmek głowę urwie, że was źle podkarmitam. Węgorza dużo dostali rybacy na Gardnie. Cieszą się chłopcy, bo premia podleci. A to u nas patrzeć, jak koniec gospodarczego roku. Od listopada zacznie się pracować na nowy... Nic nie mówicie, nie odpowiadacie, a ja pytam tylko ciągle.

Lutek oczy wznosił modlitewnie ku górze. Danka uśmiechnęła się mimo woli, Florek natomiast parskając pochylił głowę nad talerzem. Jeden Szymon z anielską cierpliwością wysłuchiwał paplania dyrektorowej. Uroczą poza tym kobieta, jedzenie wspaniałe, za taką cenę można trochę posłuchać, w radio bywa niekiedy nudniej. Tyle że tutaj gałki się nie przekreśli.

Mocne pukanie do drzwi. Spojrzeli po sobie.

— Może Anzelmek wcześniej wrócił? On zawsze tak wali — zerwała się gospodyni, skoczyła otwierać.

W drzwiach stał listonosz. Spojrzał na depeszę trzymaną w ręku.

— Lucjan Pazol czy tutaj mieszka?

— Pazoła chyba?

— Niech będzie Pazoła. To pan? — wszedł do środka, kłaniając się nisko gospodyni. — Dawno u pani nie byłem, nie mój rejon, a wieczorkami to tylko z telegramami i pieniędzmi chodzę. Latem tego powyżej uszu, dopiero jak szarańcza wczasowa wyjedzie, to nareszcie spokój nastaje...

— Panie Piecuch, nie wstyd panu przy naszych gościach? — osadziła go gospodyni.

— Przepraszam, wyrwało się... Nie do państwa mówiłem, takich gości daj Boże więcej, już wiem teraz, z kim mam przyjemność, toż wszyscy o państwie mówią, że to tego podpalacza na wydmach... Ale inni na wczasach są różni. Przyniesie się takiemu, bywa, dziesięć nawet tysięcy złotych, to dwójkę ci do ręki wetknie, jeszcze powie: „dziękuję, dobry człowieku”. A udławiłbyś się tą twoją dwójką i dobrym człowiekiem... Pan tu podpisze, o, dziękuję. Dycha? Ależ ja nie pod pana mówiłem. Kłaniam się nisko.

— O Boże, jaki gaduła — westchnęła Danka. — Co za nowiny, Lutek?

— Ledwie zobaczyłem telegram, wyczułem, w czym rzecz. Starzy naglą, bym natychmiast powracał. Nie wiem, co się tam stało. Czytaj, może coś więcej zrozumiesz — rzucił depezę Florkowi.

— „Wracaj jak najprędzej, Najpóźniej jutro wieczorem oczekujemy cię w domu. Ucałowania. Rodzice” — wydukał Florek, machinalnie obracając telegram w rękę. Drgnął nagle. — Lutek, ale to przecież...

— Milcz, głuptaku — szept był cichy, ale wymowny. — Widzicie, kłapa, koniec radosnych wakacji, detektywistycznych przygód, amorów i dyshumorów. Nie powiem, bym łatwo od was odjeżdżał.

Jeszcze wpląszczecie się beze mnie w nową aferę, zabraknie człowieka ze zdrowym rozsądkiem — żartował Lutek. A potem recytował innym już tonem:

*i tak się trudno rozstać,
i tak się trudno rozstać,
bo nawet jeśli trochę, pada, to niech pada —
i tak się trudno rozstać,
i tak się trudno rozstać,
nas chyba tutaj zaczarować musiał deszcz.*

Przy ostatnich słowach wymownym ruchem ręki wskazał na szyby. Uderzyły o nie krople skosem tnącego deszczu, dobiegł poszum zrywającego się wiatru.

— Jasny gwint, temu nawet deszcz zaczyna padać na poczekaniu, byle to pasowało pod wierszyk — powiedział Florek.

— Nie wiedziałam, że to tekst Gałczyńskiego. Aż mi wstyd — powiedziała Danka. — Zaskakuje mnie, że nas już opuszczasz. Gorzej czy lepiej, ale dobrze chyba było nam wszystkim ze sobą. Powstanie jakaś luka. Dziś ruszysz?

— Tak ci spieszo, aniele? O nie, dopiero jutro, tatowie termin wyznaczają wyraźnie. Nie widzę powodu, by go przyspieszać.

— Przyznam się wam, że kiedy ujrzałem depezę, czekałem na nową bombę — szczerze powiedział Szymek, — Tak wygląda, że i przygody się jednak skończą i my rozsypimy się po kraju. Danka wspominała już o wyjeździe, na mnie również pora. Muszę odwiedzić matkę pod Iławą, w Olsztyńskim, dopiero potem poześluję na Wrocław.

— W każdym razie nikt cię nie nagli jak mnie depezą, parę dni możesz tu jeszcze pozostać. Danka też się na pewno rozmyśli, pogoda się utrzymuje, chwilowy deszcz nie ma przecież znaczenia — spieszenie, jakoś tak nie po swojemu wypalił Pazoła..

Florek przyjrzał mu się uważnie. W jego oczach zjawiły się ciepłe błyski.

— Nic nie jecie, sandacz ledwie ruszony. To po to, gołąbki, tak się namordowałam? Musi jechać, to musi, trudno, ale jeść trzeba. W życiu zawsze się gdzieś odjeżdża i dokądś wraca. Podobnie i mój Anzelmek, stale w podróży, jak nie na jeziora, to jedzie do województwa, bywa, i o Warszawę samą zahaczy. Jedzcie, jedzcie, ba pomyślę, że wam nie smakuje mój obiad.

— Jemy, pani dyrektorowo, ale są pewne granice. Ja już nie mam zapasowych dziurek w pasku...

— Nie masz? Zaraz ci dam nożyce, czy lepiej może szydło, zrobimy dziurki. Żeby tylko takie kłopoty...

— Ratujcie duszę moją! — Lutek naprawdę strwożony rozejrzał się po przyjaciółach. — Ja już wysiadam, sam opchnąłem z kilo sandacza.

Po obiedzie Florek zaczął się szykować do wyjścia. — O której masz randkę z porucznikiem?

— O czwartej. Mówił, że króciutko, formalność, ja niewiele wtem, a oni wszystko mają już w ręku.

— Podpytaj go bliżej o pewne sprawy. Jak z tym facetem, któremu Stefan podpalił chałupę. Może porucznik puści farbę. Zapytaj także, jak się czuje nasz pacjent.

--- Wygodnyś. Podyktowałeś już całą listę. A może byś sam ze mną się wybrał?

Nigdy nie umiał dogadać się z porucznikiem, mroził go tamten swą urzędowością. Co innego Lutek, ten żartem, to znów cieplejszą nutą zjednął sobie nawet surowego przedstawiciela prawa.

— E, miałem ochotę z nimi pozostać — wskazał na Dankę i Szymka. — Zresztą porucznik nie ze mną zamierza rozmawiać. Inna sprawa, mam coś do załatwienia w mieście. Zajdę na pocztę, nadam do starych depeszę, że jutro wracam.

— To i my, Danko, także...

W tejże chwili, jeszcze Szymek nie skończył zdania, pulchnymi ramionami zagarnęła ich Anzelmowa.

— Tak dobrze nie ma. Wy zostanieie przy mnie, musimy pogadać. Bo zaraz znów wyfruniecie na jakie odludzie i arii słowa nie będzie można zamienić, a muszę dużo się o was dowiedzieć, żeby potem Anzelmkowi powtórzyć. On was ogromnie ciekawy. „Jakże — mówi — Albinowa córka droga mi tak jak własne dziecko, najlepszy był przyjaciel w chłopięcych latach”.

— Stanisława córka pewnie pan dyrektor powiedział, a nie Albina. Pani ciągle się płacze mój wujek z ojcem.

--- Ano pewnie, oczywiście, że Stanisława, Stasiuczka. Tyle lat, splątało się w sprawach, splątało w ludziach, o jednym się mówi, o drugim myśli. Wiecie, ja wam dam konfitury z derenia. Sarna je robiłam, Anzelnec czasem jak siądzie, to do połowy słoik oczyści. Smak taki ma.

Florek z Lutkiem wymknęli się w trakcie tej nie milknącej przemowy.

— Zagada ich na śmierć. Cudo kobieta, tylko że ten język, mój Boże. Biedny Anzelmek.

— Ciekaw go jestem. Słuchaj, co jest z tym wujem Danki? Ta kobieta ciągle go płacze z kimś innym. W Kołobrzegu było to samo, na spotkaniu z kombatantami. I zawiadowca, a raczej jego zastępca podobnie poplątał... Szymek zaraz zmienia temat, a Danka chmurnieje, zamyśla się. Nie zauważyłeś?

— Rzeczywiście. Ale nie zwróciłem szczególnej uwagi. Zdarzają się niekiedy takie pomyłki. — Florek myślał o czymś innym. — Możesz mydlić oczy Dance i Szymonowi, ale ja widziałem telegram do ciebie. Nie we Wrocławiu, w Łebie został nadany. O ile zaś wiem, twoich rodziców tu nie ma. Co nowego wykombinowałeś?

Pazoła przytakiwał słowom kolegi. Smutny był, tutaj już nie potrzebował nadrabiać humorem.

— Po to z tobą wyszedłem, nawet gospodynię wciągnąłem do spółki, aby ich zatrzymała. Musimy pogadać. Przedtem jednak sprawa dość zasadnicza, na niej opieram swoje plany. Jesteś przy forsie, Florek? Potrzeba mi paruset złotych. Odeślę ci je potem z Wrocławia.

Florek otworzył portfelik, wyciągnął dwie pięćsetki. Jedną z nich podał Pazole.

— Pół na pół. To wszystko co mam. Wystarczy?

— Ujedzie się. Zaraz za rogiem jest knajpa, mordownia, ale nie szkodzi. Taniej. Rąbniemy po jednym.

— Muszę do porucznika.

— Jeden ci nie zaszkodzi. Będzie ci się lepiej gadało. Lubię takie knajpy o zatłuszczonych blatach, cuchnące piwem, ze zmiennym repertuarem gości. Dorożkarze, wozacy, w każdym razie prawdziwe typy. Nikogo tam nie obchodzisz... To tutaj, bigosikiem solidnie zanosi, wpychaj się.

Uderzyło to Stawskiego, iż Lutek ożywił się nagle, jeszcze przed wypiciem swej stopki. Entuzjasmował się małymi, zagubionymi knajpami, pokazywał galerię butelek z wmontowanymi w nie przemyślnie okręcikami, plótł i bajął, wyglądało w końcu, iż nie tylko Florka, ale i siebie samego chce oszołomić, przygłuszyć potokiem słów. Aż umilkł niespodziewanie, strzelił w powietrzu palcami.

— Głodne kawałki. Dziwisz się, a rzecz w tym, że wcale mi nie łatwo wtajemniczać cię w tę historię. Tym bardziej że i dla mnie nie wszystko w niej jest jasne do końca. Chyba i dlatego też należało się wreszcie zdecydować... Sytuacja stawiała się nazbyt głupia... No bo widzisz, Szymek kocha się w Dance. Za późno zdałem sobie z tego sprawę. Albo ją zlekceważyłem. A Danki? — mógłbyś zapytać. Tego nie wiem. Sądzę, że Szymek ma wszelkie szansę, Dziewczyna została skołowana naszymi sprzeczkami, obrażaniem się, zazdrością. Odstawiliśmy przecież niezłe przedstawionko, komedyjkę w rybałtowskim stylu.

Urwał, przełknął wódkę jednym leciutkim przechyleniem kieliszka.

Spojrzał na ledwie nadpita stopkę Florka.

— Boisz się porucznika, że cię zeklnie za picie przed zeznaniami? Uwolnię cię od skrupułów, wypiję. No widzisz, już spokój.

— Naprawdę wyjeżdżasz?

— Nie wiem. Może tak, może nie. Wycofuję się. Ja... nie Kocham Danki... Od paru dni z powodu tej dziwnej sytuacji jestem nieswój, wiesz, co to znaczy. Muszę iść między obcych ludzi. Nie chcę wtedy być samotny, ale nie lubię także przebywać wśród bliskich. Cholera też wie, czy nie będę jeszcze na coś potrzebny, koło nas coś ciągle się dzieje. Zamelinuję się tutaj w Łebie. Gdybym wyjeżdżał, dam ci znać. Umówimy się jakoś, żebyś wiedział, gdzie masz mnie szukać,

— Nie gniewaj się, pozwól mi także mieć własne zdanie. Rozumiem cię, decyzja zapadła. Nie wiem, dobrze czy źle, że tak się układa, a nie inaczej... Mówię ci to, bo chcę, abyś wiedział, że nie wszystkiemu wierzę, co powiedziałeś. Chodzi o twój stosunek do Danki...

— Kochany, mógłbyś się zamknąć? — Lutek powiedział to ostro, bardzo ostro.

— Mogę. Wystarczy mi, iż masz świadomość, że ja też cokolwiek widzę i wiem. Zaimponowałeś mi, Lutek. Chciałbym, byśmy dochowali sobie przyjaźni. Muszę już iść, bo ten porucznik zacznie po swojemu przewracać oczami, czego nie lubię. Czy wracamy dziś do naszego obozu?

— To byłoby najsłuszniejsze. Ja też pojedę. Pamiętaj, dopiero na jutro wieczór mam zjawić się we Wrocławiu — uśmiechnął się. — Idę stąd prosto do pani dyrektorowej. Ciekawym, jaką wałową obdarzy nas dziś na drogę. Świetnie pitrasi te ryby. I w ogóle, złoto człowiek.

Szli szybko. Do komendy nie było zresztą daleko. Przed wejściem Florek nie wiedzieć czemu uściskał mocno dłoń Lutka. Ten szeroko otworzył oczy.

— A tobie co się stało? Boisz się, że cię przymkną? — i zaraz przymrużył oko, wiedział wszak świetnie, że ten uścisk był dla niego. — Dziękuję ci, ale się nie łam. Gorsze sprawy bywały. O proszę, posłuchaj:

*Tutaj Poeta oszalał
rozgryzł kurzajkę na nosie,
westchnął i łzami się zalał,
i dalej poszedł z łososiem.*

Florek wzruszył tylko ramionami. Poradź co z takim wariatem. Z westchnieniem przestąpił progi milicyjnego urzędu.

Lutec stał jeszcze przez chwilę, potem otrząsnął się, wyprostował i gwizdząc, najkrótszą drogą pomaszzerował do siedziby dyrektora rybackiego zespołu. Trzeba było rozegrać partię do końca z

pełnym fasonem. Dostało się w tyłek od losu, ciężko, ale rzecz w tym, iż nie powinno się swoich przeżyć ujawniać. Lepiej już nawet szarżować, pogwizdywać, pleść byle banały.

Gwizdał więc z całą energią, aż się ludzie oglądali. Coś się jednak i w nim samym przełamało, następowało poczucie ulgi, jak zawsze po dokonanych wyborze, kiedy kończą się wszelkie połowiczności, i męczące wahania.

Przed rybakówką stała bagażowa warszawa. Musiał znów gwizdnąć. Czyżby to Anzelmek pojawił się niespodziewanie o dzień wcześniej, niż zapowiedział? Zastanowiła go tylko cisza panującą w domu Nie ma nikogo?

Bo że tam Danka i Szymek po cichu sobie gruchają, to nic dziwnego. Ale że dyrektorowa nie korzysta z obecności małżonka, młócąc nowinami, to nie mieściło się w głowie.

Niespodziewanie na progu pojawił się przed nim nie dyrektor, lecz Szymek.

— Dobrze, że już jesteś.

— Tak się stęskniłeś? Jak widzę... — urwał dostrzegając wyraz twarzy kolegi. Ściągnięta była, zszarżała. — Stało się coś?

Krajecki skinął potakująco głową. Rozejrzał się i pociągnął Lutka na ławeczkę przed domem.

— Ona jest w pokoju z przeciwległej strony domu... Trochę już lepiej, ale z początku naprawdę byłem przerażony.

— Danka? Co się stało?

— W dwóch zdaniach ci tego nie streszczę. Albo spróbuję, bo inaczej będziesz mi ciągle przerywał. Danka dowiedziała się, że ci, których uważała za swoich rodziców, wcale nimi nie są. Adoptowali ją. Ojcem jej był ten niby wuj Albin, który padł przy zdobywaniu Kołobrzegu. Od dawna coś przeczuwała, niemniej odkrycie prawdy stało się dla niej ogromnym wstrząsem. Już się nieco opanowała, chce teraz być sama.

— Czy to było konieczne? Głupota! Jeżeli tyle lat chowała się w świadomości, że ma rodziców, to świństwem było orientować ją, że jest inaczej. Ten dyrektor taki mądrała?

— Ona swoim gadaniem narobiła tego bigosu. Dyrektorowa. Jego nie winie. Radził się mnie przed ujawnieniem dziewczynie prawdy. Dowiedziałem się tej prawdy wcześniej niż Danka. Po śmierci ojca i niedługo potem matki zaadoptowano ją.

— I zdecydowałeś, że trzeba jej to powiedzieć?

Lęk w jasnych oczach Krajeckiego. Nerwowe podrzucanie ramienia. Zarazem jakaś determinacja.

— Słuchaj, potem ocenisz. Nie było to łatwe. Ale to ją czekało, prawda zaczynała wyzierać ze wszystkich stron. Ona ją przeczuwała.

Intuicyjnie może już nawet się domyślała, najwyżej bała się potwierdzenia.

— Wnioski później. Opowiadaj, jak to było — głos Lutka stał się suchy.

— Dobrze. Zaraz po waszym wyjściu pojawił się nieoczekiwanie dyrektor. Strasznie na swój sposób miłe chłopisko. Uradował się Danka i nami, jakby mu kto w kieszeń nasypał. Zaraz kazał zastawić stół. Gadaliśmy wszyscy, ile wlezie. Przede wszystkim dyrektorowa, tyle przecież miała do opowiedzenia swojemu Anzelmowi. Jak zawsze, i tym razem strzeliła Albinową córką, jeszcze niezręcznie się poprawiając. Widziałem, jak Danka zastygła w tym momencie. Dostrzegł to i dyrektor. Już przedtem dawał znaki żonie, a widząc reakcję Danki, skulił się tylko i zastrzygł uszami... Po długiej chwili, a wszyscy raptem zamilkliśmy, Danka pyta, niby to swobodnie, ale widzę, ile ją to kosztuje, jak to właściwie jest. Co się z kim spotyka z dawnych znajomych rodziny albo z kombatantów walk wyzwoleniczych, wszyscy ciągle mówią jej o Albinie jako o ojcu. Albo wspominają, jak to Albin tęsknił do swej małej córeczki, której jeszcze nie widział, urodziła się bowiem pod jego nieobecność. Wreszcie napałała na dyrektora: miał Albin dzieci, czy nie miał. Bo w domu jej mówią, że wujostwo byli bezdzietni... Tamten zakręcił się jak złapany w sieci, oczyma wiercił na strony, ręce tarł, ale słowa nie pisnął. Żona jego, przerażona, wyniosła się w ogóle z pokoju. Wreszcie Anzelm podniósł się, powiedział, że za pół godziny służy Dance swoją osobą, odpowie jej na pytania, chwilowo tylko ma coś ważnego do załatwienia... Zaraz potem wywołał mnie pod jakimś naiwnym pretekstem. Tu wyłożył kawę na ławę. Ma gadać prawdę czy nie? Jego zdaniem, chyba należy powiedzieć. I tak się dowie. Już coś przeczuwa. Uzależnił wszakże decyzję ode mnie. Odpowiedziałem mu: tak.

— Chyba miałeś rację w tej sytuacji — powiedział Lutek z pewnym wahaniem. — Postąpiłbym tak samo. Coś ty, zwariował?

Szymon dosłownie uniósł go z ławki, porywając w objęcia. Oddając uścisk, Lutek z dozą melancholii pomyślał, że to jeszcze raz rozstrzyga o sprawach związanych z Danką.

— Cieszę się, że myślisz -tak samo. Cholernie się szarpałem myśląc, czy nie zrobiłem głupstwa... Ustaliliśmy jeszcze, że gdyby Danka nie ponowiła pytań, rzecz jasna, on słowem nie nawiąże do sprawy. Trzeba ją znać. Ledwie się przy niej pojawił, z miejsca przypuściła szturm. Wyszedłem. Rozmawiali długo. A potem usłyszałem jej płacz...

— A co z nią teraz?

— Leży w bocznym pokoju. Powiedziała, że musi się uspokoić. Nie próbowałem jej niczego tłumaczyć. Ciekawe, co powiedziała w pewnej chwili: że ona już o tym myślała, tam w Kołobrzegu. I jeszcze wcześniej, przed paru laty, gdy ktoś podobnie wyskoczył z Albinem rozkochanym w córce... Tyle że za każdym razem odtrącała takie myśli, bała się ich. Już nie płacze, jest bardzo smutna.

— Co myślisz teraz robić? Tu zostajemy, czy wracamy na biwak? Gdzie będzie jej lepiej?

— Anzelm, bo to widzisz, brudzia z nim wypilem, mówi, że każdej chwili da motorówkę. Jeżeli i Danka się zgodzi, proponowałbym powrót nad jezioro. Tam prędzej wróci do siebie. Zajrzę do niej, zobaczę, jak czuje się teraz...

Lutek gwałtownie szarpnął go za ramię, pociągając na powrót na ławkę.

— Daj jej teraz spokój. Są inne sprawy do obgadania. Odwiozę was, przenocuję, rano zaś pożegnamy się i machnę się do Wrocławia. Florek będzie z wami, znajdzie sobie nad wodą zajęcie, nie będzie przeszkadzał. Musisz być dla niej bardzo łagodny i dobry. To wielki wstrząs dla dziewczyny. Ale co dalej? Już niedługo nauka. Ona w Poznaniu, ty we Wrocławiu. Kochacie się i chcecie być daleko od siebie? Coś tu nie tak...

Zobaczył zdumienie w oczach Szymona. — Kochacie się... Ty wiesz, że ona na pewno mnie kocha?

— Jestem przekonany, I chyba nie od dzisiaj. Ty tylko, bawiąc się w zazdrośnika, nie raczyłeś tego zauważyć. Bo wtedy, powtarzam, była to moja wina. A i twoja, boś się nią mało zajmował, nie była pewna twojego uczucia.

— Lutek, a ty? A jak z tobą?

— Dawno ci powiedziałem. Bardzo ją lubię, ale nie kocham. Przecież mam we Wrocławiu swoją dziewczynę.

— Masz we Wrocławiu dziewczynę? Nic nie wiedziałem, nie mówiłeś...

— A cóż to, miałem ci się zwierzać? Mam i tyle!

W twarzy Szymka wszystko teraz stawało się radością, a zwłaszcza jasne oczy, błyszczące w tej chwili, wilgotne, szczęśliwe.

— Bp widzisz, Lutek, ja mam zamiar przenieść się na studia do Poznania, na jednej polibudzie być z Danka... A kiedyś chyba osiadziemy w Kołobrzegu.

— Rozsądnie. Zwłaszcza z tym Poznaniem. O Kołobrzegu będziecie jeszcze mieli czas myśleć... Słuchaj, Szymek, powiedz Dance, że nie powinna zdradzać prawdy przed tymi, których uważała tyle lat za swoich rodziców i którzy byli dla niej jak prawdziwi rodzice.

Odarto ją ze złudzeń, ale przecież jest młoda. Tamci to starsi ludzie, nie należy im robić krzywdy... I jeszcze jedno. Ta dziewczyna naprawdę bardzo, bardzo jest warta tego, żeby ją kochać.

— Cóż wy tak tu wygrzewacie się na słończku jak stare pryki? A Danka gdzie? No, Lutek, mam trochę nowin. Stefan czuje się znacznie lepiej. Ten facet, któremu podpalił dom, to był aferzysta na wielką skalę, taka szara eminencja w gospodarczym podziemiu. To on na zlecenie Zygi wydał ikony Szwedom, tym z volvo. Aha, co ważniejsze, Szwecja na wezwanie „Interpolu” przekaże władzom polskim aresztowanego już w Sztokholmie Gawryluka. W sprawie znów tego

oficera szwedzkiego...

— Dobra, dobra, już nas to nudzi. Ciągłe mamy zajmować się tylko kryminalistami — ku najwyższemu zdumieniu Florka przerwał mu Lutek. I zaraz obrócił się/ do Szymona: — Idź teraz, zajrzyj, co z nią się dzieje.

— Lutek! Nic nie rozumiem! Co ma być z Danką?

— Potem ci opowiem. Zmęczony jestem. Wiesz, rozegrałem potężną batalię. Z samym sobą, Zwycięską. Ale drugi raz nie chciałbym przeżywać w życiu niczego podobnego.

Ciepło ujął go teraz pod ramię.

— Mam do ciebie serdeczną prośbę. Tu masz trzysta złotych, reszta wystarczy mi na dobrnięcie do Wrocławia. Bo jednak na prawdę tam jutro jadę... Odwiesz mnie z biwaku do Łeby. A za tę forszę kupisz kwiaty, najładniejsze, jakie tu znajdziesz. Najlepiej róże. Ofiarujesz je Dance i Szymkowi, razem dla nich obojga. Jako prezent zaręczynowy ode mnie. Ładne róże, dużo tych kwiatów...

Przygryzł wargi, zaraz się jednak uśmiechnął. Florek odniósł wrażenie, że uśmiech ten przepojony był smutkiem.